

NIEZWYKŁA PODRÓŻ PO IMPERIUM GRECKICH BOGÓW!
BESTSELLER MISTRZA GATUNKU.

SZKOŁA BOGÓW



BERNARD WERBER



BERNARD WERBER

SZKOŁA
BOGÓW

Z języka francuskiego przełożyła
Lilla Teodorowska



Tytuł oryginału:
NOUS, LES DIEUX

Copyright © Editions Albin Michel - Paris 2004
Copyright © 2015 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2015 for the Polish translation by Lilla Teodorowska

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Korekta: Małgorzata Kryszkowska

ISBN: 978-83-7999-412-0

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2015

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o.o.](#)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

Przedmowa

1. Encyklopedia: Na początku
 2. Kim jestem?
 3. Encyklopedia: Na początku (ciąg dalszy)
 4. Przybycie
 5. Encyklopedia: Na początku (ciąg dalszy)
 6. Przyobleczony w ciało
 7. Encyklopedia: Na początku (zakończenie)
 8. Wyspa
 9. Encyklopedia: W obliczu Nieznanego
 10. Pierwsze spotkanie
 11. Encyklopedia: A gdybyśmy byli sami we wszechświecie?
 12. Spotkania
 13. Encyklopedia: Niebiańskie jerozalem
 14. Miasto błogosławionych
 15. Gość
 16. Encyklopedia: Symbolika cyfr
 17. Pierwsza uroczystość w amfiteatrze
 18. Encyklopedia: Krzyk
 19. Pierwsze oficjalne zabójstwo
 20. Encyklopedia: Ankh
 21. Niebieski las
- I. Dzieło w kolorze niebieskim
22. Niebieska rzeka
 23. Mitologia: Geneza grecka
 24. Śmiertelnicy. Rok o
 25. Mitologia: Kronos

- [26. Sobota: Zajęcia Kronosa](#)
- [27. Encyklopedia: Trzy kroki w przód, dwa kroki w tył](#)
- [28. Czas zapisany na brudno](#)
- [29. Encyklopedia: Kosmiczne jajo](#)
- [30. Smak jajka](#)
- [31. Encyklopedia: Śmierć](#)
- [32. Żałoba](#)
- [33. Mitologia: Mieszkańcy Olimpu](#)
- [34. W niebieskim lesie](#)
- [35. Encyklopedia: Lustro](#)
- [36. Stadium lustra. 2 lata](#)
- [37. Mitologia: Hefajstos](#)
- [38. Niedziela: Zajęcia Hefajstosa](#)
- [39. Encyklopedia: Przepis na ciasto czekoladowe](#)
- [40. Narodziny świata](#)
- [41. Encyklopedia: Człowiek superświatlny](#)
- [42. Brzeg](#)
- [43. Mitologia: Syreny](#)
- [44. Śmiertelnicy. 4 lata. Próba wody](#)
- [45. Mitologia: Posejdon](#)
- [46. Czas roślinności](#)
- [47. Rosyjskie laleczki](#)
- [48. Owoce morza, jeżowce i ostrzygi](#)
- [49. Encyklopedia: Tajemnice](#)
- [50. Wyprawa w czarnym świecie](#)

II. Dzieło w kolorze czarnym

- [51. W czarnym świecie](#)
- [52. Strach](#)

- [53. obóz przejściowy](#)
- [54. Mitologia: Ares](#)
- [55. Wtorek: Zajęcia Aresa](#)
- [56. Encyklopedia: Przemoc](#)
- [57. Czas zwierząt](#)
- [58. Encyklopedia: „142 857”](#)
- [59. Smak krwi](#)
- [60. Encyklopedia: Prawo Petera](#)
- [61. Śmiertelnicy. 8 lat. Strach](#)
- [62. Mitologia: Hermes](#)
- [63. Środa: Zajęcia Hermesa](#)
- [64. Encyklopedia: Rewolucja jahwistyczna](#)
- [65. Czas szczepów](#)
- [66. Encyklopedia: Mrówki](#)
- [67. Bilans hermesa](#)
- [68. Encyklopedia: Hierarchia u szczurów](#)
- [69. Terytorium i agresja](#)
- [70. Mitologia: Rasy ludzkie](#)
- [71. Ona tu jest](#)
- [72. Encyklopedia: Trzy upokorzenia](#)
- [73. Beatrice zamordowana](#)
- [74. Święta góra](#)
- [75. Poszukiwania prowadzone z powietrza](#)
- [76. Encyklopedia: Lewiatan](#)
- [77. W brzuchu potwora](#)
- [78. Encyklopedia: Prawa Murphy'ego](#)
- [79. Śmiertelnicy. 10 lat](#)
- [80. Mitologia: Demeter](#)

- [81. Czwartek: Zajęcia Demeter](#)
- [82. Encyklopedia: Kalendarz](#)
- [83. Czas plemion](#)
- [84. Encyklopedia: Ceremonialne pochówki](#)
- [85. Bilans demeter](#)
- [86. Encyklopedia: Eksperyment na szympansah](#)
- [87. Magiczna sztuczka](#)
- [88. Encyklopedia: Pamięć pokonanych](#)
- [89. Czas doświadczeń](#)
- [90. Encyklopedia: Nostradamus](#)
- [91. Spokojny świat](#)
- [92. Encyklopedia: Atlantyda](#)
- [93. Edmond ma kłopoty](#)
- [94. Encyklopedia: Ruch encyklopedystów](#)
- [95. Śmiertelnicy. 12 lat](#)
- [96. Mitologia: Afrodyta](#)
- [97. Piątek: Zajęcia Afrodyty](#)
- [98. Encyklopedia: Prawo dlicha](#)
- [99. Czas miast](#)
- [100. Encyklopedia: Amazonki](#)
- [101. Okrutne rozczarowanie](#)
- [102. Encyklopedia: Samoograniczanie się pcheł](#)
- [103. Uwaga na sufit](#)
- [104. Encyklopedia: Dogoni](#)
- [105. Najważniejszy uczeń](#)
- [106. Encyklopedia: Iluzjoniści](#)
- [107. Wyprawa w czerwonym świecie](#)

[Składam podziękowania](#)

PRZEDMOWA

A gdyby się okazało, że to nie najbardziej światłe, lecz właśnie najokrutniejsze cywilizacje odcisnęły swe piętno na historii ludzkości?

Jeśli się dobrze przyjrzeć, zauważymy, że zaginione kultury nie były wcale najmniej rozwiniętymi. Czasami wystarczył przywódca naiwnie wierzący w pokojowe obietnice wroga lub też zakłócająca przebieg bitwy niespodzianka pogodowa, aby odmienić los całego ludu. Następnie historycy zwycięzców od nowa i według własnego uznania opisywali przeszłość pokonanych, zwykle w taki sposób, który uzasadniał ich unicestwienie. Powiedzenie „Biada zwyciężonym” zamyka wszelkie dyskusje, pozbawiając ewentualnych wątpliwości przyszłe pokolenia. A Darwin znalazł nawet naukowe uzasadnienie tego rodzaju masakry, tworząc pojęcie „selekcji naturalnej” oraz swoją teorię „przeżycia osobników najlepiej przystosowanych”.

Tak właśnie, w oparciu o bitewne komentarzyska i zapomniane zdrady, powstała historia zamieszkującej Ziemię ludzkości.

Kto widział?

Kto wie, jak było naprawdę?

Znalazłem tylko jedną odpowiedź: bóg lub bogowie, oczywiście pod warunkiem, że „on” lub „oni” w ogóle istnieją.

Próbowałem wyobrazić sobie tych dyskretnych świadków historii. Bogów obserwujących ludzkie rzesze jak entomolodzy przyglądający się życiu mrówek.

Jeżeli istnieją bogowie, to jaką otrzymali edukację?

Wszystko ulega ewolucji. Jak więc przeszli z okresu młodości w wiek dojrzały? W jaki sposób wpływają na losy świata? Dlaczego interesują się nami?

Odpowiedzi szukałem w świętych tekstach: od tybetańskiej *Księgi umarłych*, poprzez szamanizm i wielkie kosmogonie ludów zamieszkujących wszystkie kontynenty, aż po egipską *Księgę umarłych*. Informacje, które tam znalazłem, rzadko bywały sprzeczne. Tak jakby istniało wspólne postrzeganie przekraczającego nasz umysł wymiaru oraz reguł kosmicznej gry.

Filozofia i nauka zawsze spierały się ze sobą, ale dla mnie obie te dziedziny łączą się w tym, co nazywam „duchowością laicką”. W niej zaś bardziej liczą się pytania niż odpowiedzi.

Wobec całej reszty pozwoliłem działać swojej wyobraźni. W moim osobistym odczuciu, Szkoła bogów stanowi naturalną kontynuację Tanatonautów oraz Imperium Aniołów. Wydaje się całkiem logiczne, że po zdobyciu Raju, a następnie poznaniu anielskiego świata, kolejnym krokiem na drodze ewolucji jest świat bogów...

Właśnie dlatego odnajdujemy tu znowu Michaela Pinsona oraz jego niezwykle przyjaciół: Raoula Razorbacka, Freddy'ego Meyera, Marilyn Monroe, wszystkich eks-tanatonautów, których łączy wspólna dewiza: „Z miłością do szpady, z humorem do tarczy”. Zagłębiłem się w ów świat wyobraźni, jakby to był sen, z którego dopiero się obudziłem. Niektóre sceny wracały do mnie nocą.

Pracując, słuchałem dużo muzyki filmowej, zwłaszcza z *Władcy Pierścieni*, *Wydmy* oraz *Jonathana Livingstona*. Poza tym dzieł muzyki klasycznej: dziewiątej symfonii Beethovena, Mozarta, Griega, Debussy'ego, Bacha, Samuela Barbera oraz symfonii Planety Gustawa Horsta.

Z rocka: Mike'a Oldfielda, Petera Gabriela, Yes, Pink Floyd.

Kiedy rozmawiałem o moim pomysle z wydawcą, z entuzjazmem podszedł do idei stworzenia takiego świata. Rezultat: ponad tysiąc stron, z których powstaną trzy tomy powieści.

Na końcu poszukiwań mojego bohatera – spotkanie ze Stwórcą Wszechświata.

Może zatem Czytelnik także zada sobie to pytanie: „Gdybym się znalazł na miejscu Pana Boga, to co bym zrobił?”.

Bernard Werber

„Zostałeś tu przyprowadzony po to, abyś to widział”.

Księga Ezechiela, 40-4

„Ci, którzy nie zrozumieli przeszłości,
Zwłaszcza ci, którzy nie zrozumieli historii ludzkości,
W szczególności zaś ci, którzy nie zrozumieli swojej
własnej przeszłości,
Zostaną skazani na jej powtórzenie”.

Edmund Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

Trzymany w laboratoryjnej klatce chomik
mówi do swojego towarzysza:
„Wytresowałem naukowca. Za każdym razem,
kiedy naciskam na ten guzik, przynosi mi ziarno”.

Freddy Meyer

1. ENCYKLOPEDIA: NA POCZĄTKU

...Nic.

Na początku nie było nic.

Żaden blask nie mącił ciemności i ciszy.

Wszędzie była Nicość.

Rządy pierwszej siły.

Siły „N”: force Neutre – siły Obojętnej.

Ale Nicość marzyła, by stać się czymś.

Wtedy w nieskończonej przestrzeni

pojawiła się biała perła: Kosmiczne Jajo,

nosiciel wszystkich potencjałów

i wszystkich nadziei.

Jajo zaczęło pękać...

Edmond Wells,
Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

2. KIM JESTEM?

Kiedyś byłem istotą śmiertelną. Potem byłem aniołem. A teraz czym się stanę?

3. ENCYKLOPEDIA: NA POCZĄTKU (ciąg dalszy)

...I Kosmiczne Jajo wybuchło.

Stało się to w roku 0, miesiącu 0, dniu 0,

godzinie 0, 0 minut, 0 sekund.

Wskutek działania drugiej siły skorupka pierwotnego jaja rozpadła się na dwieście osiemdziesiąt osiem kawałków.

Siła „D”, force de Division – siła Podziału.

Podczas wybuchu wytrysnęło światło, ciepło

i wielki obłok pyłu, który jak błyszczący

proszek rozsypał się w ciemnościach.

Powstał Nowy Wszechświat.

Rozprzestrzeniające się cząsteczki tańczyły w rytm rozpoczynającej się symfonii czasów.

Edmond Wells,

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

4. PRZYBYCIE

Lecę.

Czysty umysł, pokonuję przestrzeń z prędkością
mojej myśli.

Opuściłem Imperium Aniołów, ale dokąd lecę?

Unoszę się spokojnie.

Przedemną jakiś blask.

Ten blask fascynuje moją duszę. Czuję się jak motyl,
przyciągany światłem płomienia.

W gwiazdnej próżni zauważam samotną planetę.

Ma dwa słońca i trzy księżyce.

Moja dusza pokonuje jej atmosferę i czuję,
że zostałem wessany przez jej powierzchnię.

Spadam.

Niespodzianka: nie ma siły nośnej.

Wzywa mnie grawitacja.

W dole zbliża się ocean, przygotowując swą taflę
na moje przyjęcie.

Podczas spadania krzepnę. Moja skóra matowieje.

Najpierw stopy, potem nogi, dalej ręce i twarz.

W miejsce półprzejrystej powłoki

pojawia się różowa i nieprzezroczysta skóra.

Moje palce u stóp czują uderzenie.

Z wielkim trzaskiem rozbijam turkusowe lustro.

Jestem w wodzie.

Jest zimna, kleista, nieprzyjemna.

Nie mogę złapać tchu. Duszę się.

Co się dzieje? Potrzebuję... powietrza.

Walczę. Muszę koniecznie wypłynąć.

Słona woda szczypie w oczy. Zaciskam powieki.

Szamoczę się. Wreszcie wydostaję się na powierzchnię,

lykam ogromny haust powietrza i, co za ulga,

udaje mi się wyjść z wody.

Oddycham.

Początkowo odczuwam paniczny strach,

ale za chwilę uczucie to staje się prawie przyjemne.

Opróżniam płuca, by na nowo napełnić je powietrzem.

Wdech, wydech. Przypomina mi to pierwszy haust

powietrza podczas moich ostatnich narodzin

w ludzkim ciele. Powietrze, ów pierwotny narkotyk,

bez którego nie można się obyć.

Moje pęcherzyki płucne pęcznią.
Otwieram oczy i widzę niebo.
Chciałbym polecieć tam, wysoko,
lecz pozostaję przytłoczony własnym ciężarem.
Wokół mojej duszy czuję ciało i ta dusza teraz mi ciąży.
Czuję sztywność kości, wrażliwość skóry,
i wtedy pojawia się przerażająca myśl.
Nie jestem już aniołem. Czyżbym stał się „istotą ludzką”?

5. ENCYKLOPEDIA: NA POCZĄTKU (ciąg dalszy)

...Minęło zaledwie kilka sekund, a już niektóre cząsteczki zaczęły gromadzić się, ulegając działaniu trzeciej siły.

Siły „A”, force d' Association – siły Łączenia.

Cząsteczki Neutronów, reprezentujące siłę

Obojętną, połączyły się z naładowanymi dodatnio cząsteczkami Protonów, tworząc jądro.

Cząsteczki Elektronów, naładowane ujemnie, krążyły wokół jądra, zapewniając mu doskonałą równowagę.

Trzy siły wspólnie znalazły swoje miejsce oraz swoją odległość, tworząc bardziej złożoną jednostkę, pierwsze wyobrażenie siły Łączenia: Atom. Od tej chwili energia zaczęła przekształcać się w materię.

Był to pierwszy skok w ewolucji. Tymczasem materia marzyła, by przejść do wyższego stadium.

Tak powstało Życie. Życie było nowym doświadczeniem dla Wszechświata.

W swoim sercu zapisało ślady działania tworzących

je trzech sił (Division, Neutralite, Association), których pierwsze litery utworzyły: D.N.A.

Edmond Wells,
Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

6. PRZYOBLECZONY W CIAŁO

Jak trudno, będąc wcześniej czystym umysłem, stać się znowu istotą materialną.

Już zapomniałem, jakie to ciężkie.

Czuję, jak wewnątrz ciała wypełniają nerwy, naczynia, organy, w których pluska i bulgocze. Czuję, jak bije moje serce, ślina odświeża moje gardło. Przelykam. Ziewam tak szeroko, że czują to moje wszystkie nowe zęby. Potem kaszlę.

Badam moją szczękę. Dotykam się. Tak, posiadam ciało, tak jak wtedy, gdy byłem ludzką istotą na Ziemi. I znowu słyszę uszami, nie duszą.

Nie mogąc już latać, płynę. Pływanie, co za ciężki sposób przemieszczania się! Powolny i wyczerpujący.

Wreszcie w oddali widzę wyspę.

7. ENCYKLOPEDIA: NA POCZĄTKU (zakończenie)

...Ale Życie nie stało się końcowym doświadczeniem nowo powstałego wszechświata.

Samo Życie również marzyło o tym, by osiągnąć wyższe stadium. Zaczęło się więc rozmnazać, zmieniać, eksperymentując z kształtami, kolorami, temperaturą i zachowaniem. Aż do chwili, gdy dzięki poszukiwaniom znalazło tygiel idealny dla swej ewolucji.

Człowieka.

Osadzony na pionowej konstrukcji, złożonej z dwustu ośmiu kości, Człowiek był warstwą tłuszczu, siecią żyli mięśni i okrytych grubą, elastyczną skórą. W górnej części swego ciała miał Człowiek ponadto centralny układ nerwowy, połączony z receptorami wzroku, słuchu, dotyku, smaku i węchu.

Dzięki Człowiekowi Życie odkryło Inteligencję.

Człowiek wzrastał, rozmnazał się i żył wśród innych zwierząt oraz istot sobie podobnych.

Kochał je.

Panował nad nimi.

Zaniedbywał je.

Tymczasem Życie marzyło, by osiągnąć kolejne, wyższe stadium.

Wtedy rozpoczęło się nowe doświadczenie:

Przygoda Świadomości.

Nadal zasilane jtrzema pierwotnymi rodzajami energii:

Domination – Dominacją.

Neutralite – Obojętnością.

Amour – Miłością.

Edmond Wells,
Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

8. WYSPA

Docieram do piaszczystego brzegu. Wszystko mnie boli. Wszystkie kości. Wszystkie mięśnie. Wszystkie ścięgna. Upadam, wyczerpany długim pływaniem. Jest mi zimno, kaszlę. Podnoszę głowę i oglądam okolicę. Znajduję się na plaży o białym i delikatnym piasku, pokrytej gęstą mgłą, przez którą widać tylko pnie palm kokosowych. Słyszac uderzenia fal, domyślam się istnienia w oddali wysokiego brzegu, którego strome ściany zanurzają się w wodzie. Drzę, słaby i zagubiony. I znowu powraca to dręczące pytanie, które znam z mojego życia: „A tak właściwie... Co ja tutaj robię?”.

Nagle docierają do mnie zapachy morza i roślinności. Zapomniałem, że można odczuwać zapachy nosem. Otacza mnie tysiąc różnych woni. Letnie powietrze nasycone jest jodem, zapachami kwiatów, pyłków, trawy i mchu. A także orzechów kokosowych, wanilii i bananów. Dołącza do nich słodka nuta, być może lukrecji.

Otwieram oczy ze zdziwienia. Jestem na wyspie, na samotnej planecie. Na horyzoncie nie widać żadnego lądu. Czy oprócz roślin istnieje tu jakaś inna forma życia?

Odpowiedzi na to pytanie udziela mrówka, wspinająca się po mojej stopie. Jest sama. Biorę ją na palec i przysuwam do oka. Porusza czułkami, próbując wyczuć, co się dzieje, lecz wiem, że dostrzega tylko ogromny różowy kształt.

– Gdzie jesteśmy?

Jej czułki podnoszą się na dźwięk mojego głosu. Dla niej jestem ciepłą górą, której oddech oszałamia jej receptory węchu.

Kładę mrówkę z powrotem na piasku, a ona zmyka, biegnąc zygzakami. Mój mistrz, Edmond Wells specjalizował się w badaniu tych owadów. Może mógłby mnie nauczyć, w jaki sposób porozumiewać się z nimi. Ale jestem tu sam.

W tej chwili jakieś krzyki rozdierają powietrze. Krzyki ludzkie.

9. ENCYKLOPEDIA: W OBLICZU NIEZNANEGO

Tym, co najbardziej przeraża Człowieka, jest Nieznane. Skoro tylko owo Nieznane, choćby nawet okazało się wrogiem, uda mu się rozpoznać, Człowiek czuje się spokojny. Ale stan określany jako „nie wiedzieć” uruchamia działanie wyobraźni. Wówczas w każdym objawia się jego wewnętrzny zły duch, „naturalne zło”. Sądząc, że w ten sposób pokona ciemności, Człowiek stawia czoła fantasmagorycznym potworom, stworzonym w swojej własnej nieświadomości. Niemniej to właśnie w chwili zetknięcia z nieznanym zjawiskiem ludzki umysł wykazuje się najwyższymi umiejętnościami. Jest uważny. Bystry. Wykorzystując wszystkie zdolności sensoryczne, stara się zrozumieć, po to, by przejąć kontrolę nad strachem. Odkrywa w sobie umiejętności, których istnienia nawet nie podejrzewał. Nieznane podnieca go i fascynuje. Obawia się go, a jednocześnie pragnie je spotkać, aby móc sprawdzić, czy jego mózg potrafi znaleźć rozwiązania umożliwiające przystosowanie się. Dopóki dana rzecz nie jest nazwana, stanowi wyzwanie dla ludzkości.

Edmond Wells,
Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

10. PIERWSZE SPOTKANIE

Krzyk dobiega z wysokiego brzegu. Biegnę w tamtą stronę, zaniepokojony tym, co mogło go spowodować, a jednocześnie uspokoiony faktem obecności człowieka. Pędzę, wspina się na zbocze, aż zdyszany docieram na skalisty cypel.

Widzę tam leżące na brzuchu ciało. To mężczyzna, ubrany w długą białą togę. Zbliżam się, odwracam go. Na jego boku widać jeszcze świeże ślady oparzenia. Twarz poorana zmarszczkami, biała broda. Ten obraz intryguje mnie, postać jest mi znana. Widziałem ją już w książkach, słownikach, encyklopediach. I nagle – wiem: Juliusz Verne.

Muszę kilkakrotnie przełknąć ślinę, aby zwilżyła struny głosowe i umożliwiła mi wydobycie dźwięków.

– Pan jest...

Mówienie rani mi gardło. Mężczyzna, wodząc obłąkanym wzrokiem, gwałtownie chwytając moją rękę.

– PRZED WSZYSTKIM... nie należy iść... TAM, WYSOKO!

– Gdzie nie należy iść?

Unosi się z trudem i kieruje wskazujący palec w stronę czegoś, co poprzez mgłę jawi mi się jako niewyraźny szczyt.

– ...NIE IŚĆ TAM, WYSOKO!

Drży. Jego palce zaciskają się na moim nadgarstku. Nasze spojrzenia spotykają się, lecz za chwilę jego wzrok kieruje się w stronę położonego ponad moim ramieniem punktu. Z twarzy wyziera przerażająca ostateczność.

Odwracam się, lecz nie mogę odróżnić nic, poza palmami kokosowymi, na w pół spowitymi mglistą szatą, lekko kołyszącymi się na wietrze. Nagle, tak jakby wielkość niebezpieczeństwa na powrót napełniła go energią, podnosi się gwałtownie, biegnie w stronę urwiska, zamierzając skoczyć w przepaść. Rzucam się w pogoń za nim, chwytam jego dłoń niemal w tej samej chwili, gdy jego ciało traci równowagę.

Walczymy. Aby zmusić mnie, bym go puścił, gryzie moją rękę. Lecz trzymam mocno, a drugą ręką chwytam jego togę. Przygląda mi się przez chwilę, zaskoczony moją zawziętością, i uśmiecha się smutno. Biała tkanina rozdziera się nieubłaganie. Chcę chwycić mocniej, ale słyszę głuchy odgłos spadającego na mokry piasek ciała. Kawalek tkaniny zostaje w moich zaciśniętych palcach.

Tam, na dole, Juliusz Verne leży jak bezwładna marionetka.

Prostuję się powoli i przeczesuję wzrokiem otoczenie, które tak go przeraziło. Nie widzę nic, poza szeregiem pni, palm kołysanych wiatrem, utrzymującej się mgły i w oddali być może jakiejś góry.

Czyżby bujna wyobraźnia spletała mi figła?

Schodzę ostrożnie z urwiska, robi się coraz cieplej, powietrze staje się ciężkie. Kiedy docieram na plażę, widzę zdziwiony, że ciało pisarza zniknęło. Pozostał tylko odcisnięty ślad na piasku, obok którego zauważam świeże ślady końskich kopyt.

Trwając w zdumieniu, dostrzegam kolejną niezwykłą rzecz. Moją uwagę przyciągają dobiegające z góry uderzenia skrzydeł. Jakiś ptak wynurzył się z mgiełnego płaszcza i zniechęcony na wysokości mojej twarzy. Dopiero z bliska widzę, że ta skrzydlata istota nie jest ptakiem, lecz małańką, młodą dziewczyną z wielkimi skrzydłami motyla, których przedłużeniem są długie czarne wypustki, niebieskim pazim o metalicznym połysku.

– ...Ee... Dzień dobry – mówię.

Patrzy na mnie figlarnie, kręcąc głową ze zdziwienia. Ma duże zielone oczy, piegi i długie rude włosy, związane splecioną trawą. Trzepocząc skrzydłami, lata wokół moich uszu, przyglądając mi się tak, jakby nigdy przedtem nie widziała kogoś podobnego.

Uśmiecha się do mnie, a ja odwzajemniam jej uśmiech.

– Ee... hm... czy pani rozumie moją mowę?

Dziewczyna-motyl otwiera usta i wysuwa delikatny, ostry język w kolorze karminowej czerwieni, przypominający długą wstążkę.

Delikatnie potrząsa płomienną fryzurą, ale kiedy chcę zbliżyć palce do jej twarzy, ucieka, trzepocząc skrzydłami.

Biegnę za nią, potykam się o wystające kamienie i rozkładam jak długi. Ostre cięcie rozrywa mi rękę w przegubie.

Przejmujący ból.

Zupełnie inny niż ten, który palił moje oczy w zetknięciu ze słoną wodą, czy też ten, który torturował moje pozbawione powietrza płuca. Krwawię.

Zdziwiony patrzę na ciemnoczerwoną krew, perlącą się na mojej bladej, różowej skórze. Zapomniałem, jak bolesne jest... odczuwać ból. Myślę o tych wszystkich chwilach, w których moje ciało cierpiało, gdy byłem ludzką istotą. Wrośnięte paznokcie, próchnica zębów, pleśniawki, zapalenie nerwów, reumatyzm... Jak mogłem znieść tyle nieszczęść? Zapewne tylko dlatego, że nie wiedziałem wtedy o istnieniu życia bez żadnego cierpienia. Ale teraz, gdy poznałem radość bycia czystym umysłem, ból jest dla mnie nie do zniesienia.

Dziewczyna-motyl znikła, odfruwając w kierunku wysokich drzew, majaczących niewyraźnie we mgle.

W jakim więc wyładowałem świecie?

11. ENCYKLOPEDIA: A GDYBYŚMY BYLI SAMI WE WSZECHŚWIECIE?

Pewnego dnia naszła mnie ta dziwna myśl: „A gdybyśmy byli sami we wszechświecie?”. Nawet najwięksi wśród nas sceptycy utrzymują, że istnieją pozaziemskie ludy oraz że jeśli nie uda się nam, ludzkości ziemskiej, jeśli poniesiemy klęskę, to gdzieś tam, być może bardzo daleko, inne inteligentne istoty odniosą zwycięstwo. I to jest uspokajające... Lecz jeśli bylibyśmy sami? Naprawdę sami? Gdyby w nieskończonej przestrzeni nie było żadnej innej żyjącej oraz inteligentnej istoty? Gdyby wszystkie planety były jak te, które można obserwować w systemie słonecznym... zbyt zimne lub zbyt gorące, zbudowane z gazowej magmy lub skalistych aglomeratów? Gdyby ziemskie doświadczenie okazało się tylko ciągiem przypadków i tak nadzwyczajnych zbiegów okoliczności, że nie mogłyby nigdzie indziej mieć miejsca? Jeśli byłby to tylko jedyny i niepowtarzalny cud? Znaczyłyby to, że jeśli nam się nie uda, jeśli zniszczymy naszą planetę (a od niedawna możemy to zrobić bronią jądrową, zanieczyszczeniem środowiska itd.), nie pozostanie już nic. Być może po nas „the game is over”, bez możliwości rozegrania kolejnej partii. Może jesteśmy ostatnią szansą. Zatem nasz błąd byłby ogromny. Idea, że istoty pozaziemskie nie istnieją, wprowadza więcej zamieszania niż wiara w ich istnienie... Zdziwiająca. A jednocześnie jakąż odpowiedzialność. Może właśnie takie jest najbardziej przewrotne i najstarsze przesłanie: „Może jesteśmy sami we wszechświecie i, jeśli nam się nie uda, już nigdzie nic nie będzie istnieć”.

Edmond Wells,
Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

12. SPOTKANIA

Muszę odnaleźć dziewczynę-motyła. Zagłębiam się w coraz gęstszy las, pełen palm kokosowych i wrzosów. Nagle zatrzymuje mnie dobiegający z pobliza szmer. W porozrywanej miejscami mgłę zauważam istotę z ludzkim tułowiem i korpusem konia.

Stworzenie ma skrzyżowane ramiona, uparty wyraz twarzy, czarna grzywa na karku przypomina szal, rozwiewany podmuchami wiatru. Człowiek-koń zbliża się powoli, otwierając ramiona, tak jakby chciał mnie objąć. Cofam się gwałtownie. Z jego nozdrzy wydobywa się para, unosi się, rżąc i uderzając dwoma pięściami w swoją końską pierś. Emanuje niesłychaną mocą, jednocześnie ludzką i zwierzęcą. Kiedy zaczyna uderzać kopytem w ziemię jak byk gotujący się do ataku, uciekam, co sił w nogach. Ale ciężki galop staje się coraz bliższy. Chwyta mnie. Obejmują mnie dwie owłosione ręce. Człowiek-koń podnosi mnie, przyciska do swojego tułowia i zabiera ze sobą. Nie wzruszają go ani moje krzyki, ani rozpaczliwe uderzenia piętami. Przechodzi w galop. Przyczepiony do niego, wisząc zaledwie dziesięć centymetrów nad ziemią, czuję, jak paprocie chłostają moje kostki.

Przemierzamy wspólnie lasy palm kokosowych, aż docieramy do dużej polany, od której odchodzi wznosząca się do góry ścieżka. Ruszamy nią. Galopujemy długo. Mijamy kolejne lasy, równiny, niewielkie jeziora, których brzegi porastają drzewa o dziwacznie powykrzywianych pniach.

Na końcu ścieżki rozpościera się szeroka równina. W jej środku wznosi się jakby wielkie białe miasto, opasane kwadratem marmurowych, wysokich na kilka metrów murów. Z dwu stron równinę zamykają wzgórza, czyniąc ją niewidoczną. Tylko podstawa leżącej naprzeciw góry wynurza się z mgły.

W bieli grubych murów brama miejska odcina się złotym łukiem. Jej boki zdobią dwie masywne kolumny, jedna czarna, druga biała. To tutaj kończy się nasza droga.

Człowiek-koń stawia mnie na ziemi i przytrzymując za rękę, kilkakrotnie uderza kołatką w odrzwia. Kilka chwil później brama otwiera się powoli. Na progu staje brzuchaty brodac z białej todze. Ma ponad dwa metry wzrostu, jego głowę wieńczy korona z liści winorośli. Tym razem bez skrzydeł motyla i bez końskich kopyt. Pomijając wzrost giganta, człowiek wydaje się normalny.

Patrzy na mnie podejrzliwie.

– Jest pan „tym, na którego czekamy”? – pyta.

Czuję ulgę, widząc przed sobą istotę, która mówi i z którą mogę się porozumieć.

Olbrzym dodaje rozbawionym tonem:

– W każdym razie mogę stwierdzić, że jest pan... – spuszcza wzrok – nagi.

Pospiesznie zakrywam dłońmi narządy płciowe. Człowiek-koń śmieje się do rozpuku, podobnie jak dziewczyna-motył, która pojawiła się przed chwilą. Jeśli nawet ci dwoje nie potrafią mówić, to przynajmniej rozumieją mowę.

– Nie wymagamy tu „stroju wyjściowego”, ale nie jest to również klub naturystów.

Wyciąga z torby tunikę i togę, obie białego koloru, i uczy, jak mam się w to ubrać. Owinąć dwukrotnie prześcieradło wokół ciała, następnie przerzucić połę nad ramieniem.

– Gdzie ja jestem?

– W miejscu Ostatcznego Wtajemniczenia. Mamy zwyczaj nazywać to miejsce „Aeden”.

– A miasto?

– To jego stolica. Mamy zwyczaj nazywać je Olimpią. A jak pan się nazywa? To znaczy, jak się pan nazywał w czasach, gdy miał pan jeszcze nazwisko?

To prawda. Zanim zostałem aniołem, byłem śmiertelnikiem.

Pinson. Michael Pinson. Francuz. Płci męskiej. Ojciec rodziny. Zmarły wskutek katastrofy boeinga, który spadł na jego dom.

– Michael Pinson.

Olbrzym zaznacza odpowiednią kratkę na swojej liście.

– Michael Pinson? Bardzo dobrze. Willa numer 142 857.

– Chciałbym się najpierw dowiedzieć, co tutaj robię.

– Jest pan uczniem. Przybył pan tu, by nauczyć się najtrudniejszego zawodu.

Widząc, że nie rozumiem, wyjaśnia:

– Niełatwo być aniołem, prawda? A więc proszę sobie wyobrazić, że może być jeszcze trudniej. Zadanie wymagające zdolności, taktu, kreatywności, inteligencji, subtelności, intuicji... (Olbrzym wydychuje więcej powietrza, niż jest to potrzebne do artykułowania dźwięków). Bóg. Jest pan w Królestwie Bogów.

Oczywiście brałem pod uwagę istnienie jednostek wyższego rzędu niż anioły, lecz nigdy nie śmiałybym marzyć o tym, że pewnego dnia stanę się... bogiem.

– Naturalnie tego trzeba się nauczyć. Na razie jest pan tylko bogiem-ucznikiem – precyzuje mój rozmówca.

Zatem nie stałem się na powrót człowiekiem, jak to sobie wyobrażałem, przywdziewając moją cielesną powłokę. Kiedyś tłumaczył mi Edmond Wells, że „Elohim” – imię oznaczające w języku hebrajskim Boga – w rzeczywistości jest w liczbie mnogiej. Paradoks pierwszej religii monoteistycznej: używa liczby mnogiej, by nazwać swojego jedyne boga.

– A pan?

– Zazwyczaj nazywają mnie Dionizosem. Niektórzy zupełnie niesłusznie twierdzą, że jestem bogiem zabaw i pijatyk, winorośli i orgii. To pomyłki i nieprawda. Ja jestem bogiem wolności. To prawda, że w potocznych wyobrażeniach wolność jest zawsze podejrzana i łatwo utożsamiana z rozpustą. Jestem bardzo dawnym bogiem i głoszę wolność wyrażania tego wszystkiego, co w nas najlepsze. Jeśli uchodzę przy tym za rozpustnika, trudno.

Wzdycha, chwytając winogrono i wkłada do ust.

– Dziś moja kolej na przyjmowanie nowych uczniów. Jestem bowiem także nauczycielem w Szkole Bogów, inaczej mówiąc, bogiem-mistrzem.

Olbrzymi bóg-mistrz w koronie z winnej latorośli, unosząca się dziewczyna-motył, człowiek-koń niecierpliwie przebierający kopytami... Gdzie ja właściwie spadłem?

– Byłem świadkiem zbrodni tam, nad urwiskiem.

Dionizos przypatruje mi się uważnie, z życzliwością, nie wykazując zbytniego zainteresowania tą informacją.

– Czy może pan określić, kim była ofiara? – pyta.

– Sądzę, że chodzi o Juliusza Verne’a.

– Juliusza Verne’a? – powtarza, spoglądając ponownie na listę. Juliusz Verne... Ach, tak. Dziewiętnastowieczny pisarz, autor powieści science-fiction. Za wcześniej, o wiele za wcześniej... Poza tym za bardzo ciekawski. Musi pan wiedzieć, że ciekawscy ludzie często miewają problemy.

– Problemy?

– Niech więc pan nie będzie zbyt ciekawski. Wiem, że przy takiej liczbie uczniów, jaka jest w tym roczniku, trudno nam będzie wszystkich dopilnować. Tymczasem proszę zadowolnić się dotarciem do pańskiego osiedla, a dokładniej – do pańskiej willi. Tam poczuje się pan jak w domu. Jakże dawno nigdzie nie czułem się „jak w domu”.

– Noce w Aedenie są chłodne, poranki także. Radzę, by poszedł pan się rozlokować. Willa 142

857. Cherubinka chętnie pana zaprowadzi. To niedaleko, lecz jeśli jest pan zmęczony, może pan dosiąść centaury.

„Cherubinka” czyli dziewczyna-motyl, „centaur” czyli człowiek-koń – te wszystkie krzyżówki człowieka ze zwierzęciem to chimery. Tylko chimery. Przypomina mi to Wyspę doktora Moreau, gdzie szalony naukowiec skrzyżował ludzi ze zwierzętami.

– Wolę pójść sam. Gdzie to jest?

– Musi pan iść szeroką aleją, przejść przez główny plac, następnie skręcić w trzecią ulicę w lewo, ulicę Drzew Oliwnych. Bez problemu znajdzie pan numer 142 857. Proszę odpocząć, ale pozostać w gotowości. Kiedy usłyszy pan trzy długie uderzenia dzwonu, proszę przyjść na główny plac.

Zakładam sandały, które podaje mi Dionizos. Tak obuty i przyodziany w moją nieskazitelnie białą togę, przekraczam okazałą bramę Olimpii.

13. ENCYKLOPEDIA: NIEBIAŃSKIE JERUZALEM

Fragment z *Apokalipsy św. Jana*. „Zabrał mnie na wysoką górę. I pokazał mi wielkie miasto, „Niebiańskie Jeruzalem”. Otoczone wysokim murem z dwunastoma bramami. Przed każdą z bram stał anioł, dwunastu aniołów, a na każdej bramie wypisane było imię jednego z dwunastu pokoleń synów Izraela...”.

„Miasto zostało zbudowane w kształcie czworoboku, takiej samej długości i szerokości...”.

„Wniosą tam chwałę i dobre imię narodów. I nie wejdzie do niego nic nieczystego, ani nikt z tych, którzy popełniają czyny podłe i kłamstwo”.

Edmond Wells,
Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

14. MIASTO BŁOGOSŁAWIONYCH

Miasto bogów jaśnieje przed moimi oczarowanymi oczyma.

Szeroka, wysadzana cyprysami droga przecina miasto niczym jasna linia.

Idę główną aleją Olimpi.

Leżące po obu jej stronach pagórki i doliny przystrojone są monumentalnymi gmachami, prawdopodobnie zbudowanymi przez tytanów. Płatanina rzek, przez które przerucono drewniane mosty, wije się, wreszcie znaleź ujęcie w jeziorach, których taflę porastają nenufary w kolorze malwy. Na południowej stronie widzę strome zbocza, a na nich szerokie tarasy najeżone bambusami, krzakami róż i palmami. Można powiedzieć, że pijany architekt narysował miasto takim, jakim widział je w stanie zamroczenia alkoholowego: ciąg terenów leżących na różnych wysokościach, zamkniętych wysokimi murami.

Różnobarwny tłum wypełnia aleje, ulice i uliczki. Młodzi mężczyźni i młode kobiety podobnie jak ja ubrani są w białe togę; prawdopodobnie też są uczniami Szkoły Bogów. Nie zwracają na mnie uwagi.

Młoda kobieta w żółtej todzie spaceruje z trzygłowym psem o wyglądzie jamnika, rodzajem cerbera. Są też centaury, satyry, cherubiny.

Rozróżniam „samce” i „samice”. Motyle o wyglądzie chłopców. Są też centaury skrywające wypukłość biustu pod swymi długimi włosami-grzywami.

Idę i odkrywam kolejne elementy krajobrazu. Place targowe, na których ludzie i dziwne stwory rozmawiają ze sobą, porozumiewając się za pomocą gestów. Domki z białego kamienia pokryte czerwoną dachówką, z korynckimi kolumnami, rzeźbionymi balustradami, fontannami, z których tryska błyszcząca woda w kolorze miedzi, wylewana przez kamienne trytony.

Letnie powietrze pachnie pyłkami kwiatów i świeżo skoszoną trawą. Wydaje mi się, że dostrzegam pola, gdzie uprawia się zboża, a obok nich zagony warzyw. Kilka zwierząt roślinożernych – zupełnie normalnych: kozy, barany, krowy, podobnych do tych, które spotyka się na Ziemi – skubie trawę, z obojętnością odnosząc się do wspaniałości krajobrazu.

Za sosnami widać nowe wille. Wszystkie jednopiętrowe.

Na końcu alei znajduje się duży, okrągły plac z sadzawką, pośrodku której, na niewielkiej wysepce rośnie wiekowe drzewo.

Podchodząc bliżej, dostrzegam, że pełne majestatu drzewo to jabłoń. Jej owoce są złotego koloru. Czyżby była to jabłoń z Ogrodów Edenu, drzewo Poznania Dobra i Zła, które przyczyniło się do opuszczenia raju przez Adama i Ewę? Jej kora pomarszczyła się przez tysiące lat, jej korzenie, sięgające brzegów tej szczególnej wyspy, skręcają się tak, by ominąć skały. Jej gałęzie zanurzają się w niebie i rozpościerają szeroko, wychodząc poza otaczającą wyspę sadzawkę, a nawet poza opasujący sadzawkę murek. Jej cień pada niemal na cały główny plac.

Ponownie przychodzi mi na myśl fragmenty Apokalipsy św. Jana: „Na placu, pośrodku miasta stało Drzewo Życia... a liście Drzewa Życia służą do leczenia narodów”.

Od głównego placu odchodzą prostopadle cztery szerokie aleje. Tablice kierunkowe wskazują:

na wschód: POLA ELIZEJSKIE

na północ: AMFITEATR IMEGARON

na zachód: PLAŻA

Żadna tabliczka nie mówi, co jest na południu. Lekki powiew chłodzi mój kark. Odwracam się i widzę lecącą cichutko za mną rudowłosą cherubinkę z filuterną miną.

– Czego ode mnie chcesz? Jak masz na imię?

Chimera kicha, a ja podaję jej kawałek togi, aby mogła wytrzeć nos.

– No dobrze. Ponieważ nie chcesz mi nic powiedzieć, zatem dla mnie będziesz... smarkaczką. Rąbiąc drwa jest się drwalem, czytając – czytelnikiem, więc smarkając staje się...

Smarkaczka porusza się gwałtownie, wyraźnie zła, że się z niej wyśmiewam. Wysuwa swój cienki motyli język, krzywi się i przewraca oczami. Naśladuję ją, wysuwam język, następnie ruszam ponownie w drogę, przestając się nią interesować.

Stwierdzam, że o ile wszystkie aleje biegną prosto, to wszystkie ulice są zakrzywione i wiją się wokół głównego placu. Przed domami widzę ogrody pełne nieznanymi mi drzew, których kwiaty podobne są do orchidei, a ich zapach przypomina drzewo sandałowe i goździki.

Numer 142 875 na ulicy Drzew Oliwnych okazuje się białą pokrytą czerwoną dachówką willą, osłoniętą płotem z cyprysów. Nie ma bramy ani murka, wszystko jest otwarte. Żwirowa ścieżka prowadzi do drzwi, w których brak zamka. Leczącej za mną cherubince daję do zrozumienia, że jestem „u siebie” i chcę zostać sam. Kiedy zamykam jej drzwi przed nosem, ma rozszluszczoną minę. Trudno.

Zauważam drewnianą zasuwkę umożliwiającą zamknięcie drzwi i oddycham z ulgą. Nychmiast czuję się szczęśliwy z powodu przebywania w miejscu, gdzie nic nie może mi przeszkodzić. Już dawno mi się to nie zdarzyło. „U siebie”. Rozglądam się. Przestronny pokój służy za salon. Na środku króluje czerwona kanapa i niski drewniany stolik. Na białej ścianie powieszono płaski ekran telewizora.

Z boku stoi biblioteczka. Znajdujące się w niej książki proponują mi wyłącznie czyste, dziewicze strony.

Telewizor bez pilota.

Książki bez tekstu.

Zbrodnia bez śledztwa.

Na prawo od biblioteczki stoi fotel i biurko z licznymi szufladami. Na blacie – ptasie pióro zanurzone w kałamarzu. Czyżbym miał zapełnić własnoręcznie te puste stronicę?

W końcu trzeba przyznać, że moje przygody warte są opowiedzenia, o tym jestem przekonany, a ponadto, jak każdy, chciałbym zostawić po sobie jakiś ślad. Ale od czego zacząć? „Dlaczego nie od litery A? – podpowiada mi wewnętrzny głos. – Byłoby to logiczne”. Zatem „A”. Siadam przy biurku i piszę.

„A... a czy ja mam prawo to wszystko opisać? Nawet teraz, z perspektywy czasu, trudno mi uwierzyć, że ja, Michael Pinson, uczestniczyłem w tak wspaniałej eposie i...”

Zastygam z piórem w rękę. Byłem nie tylko Michałem Pinsonem. W Raju odkryłem, że jako istota ludzka w ciągu trzech tysięcy lat przeszedłem różne wcielenia. Byłem myśliwym, rolnikiem, gospodynią domową, rzemieślnikiem, żebrakiem. Byłem mężczyzną, byłem kobietą. Zaznałem dostatku i biedy, dobrego zdrowia i choroby, władzy i poddaństwa. Większość moich istnień była banalna... Niemniej jednak około dziesięciu wcieleń było interesujących. Biała niewolnica w egipskim seraju, rozmówiana w astronomii; druid uzdrawiający ziołami z lasu Broceliande; żołnierz grający na dudach w saksońskiej Anglii; doskonale władający mieczem samuraj w cesarstwie japońskim; tancerka francuskiego kankana w Paryżu 1830 roku, tańcząca dla niezliczonych kochanków; lekarz, pionier aseptyki chirurgicznej w carskim Sankt Petersburgu...

W większości przypadków każde z tych szczególnych wcieleń źle się skończyło. Druid, będący świadkiem rzezi i zdeglustowany zachowaniem swych współbraci, postanowił odebrać sobie życie. Tancerka popełniła samobójstwo wskutek miłosnego zawodu. Rosyjski lekarz zmarł na gruźlicę. Niemniej, przechodząc z jednego wcielenia do drugiego, w końcu się poprawiłem.

W moim ostatnim życiu byłem Michałem Pinsonem i to jego wygląd zachowałem dzisiaj.

Podczas ostatniego wcielenia przyjaźniłem się z Raulem Razorbackiem, który wciągnął mnie w wielką przygodę. Już jako ludzie dorośli i dwaj naukowcy zjednoczyliśmy naszą wiedzę – moją z zakresu medycyny i jego z dziedziny biologii, aby spróbować doświadczenia, które połączyłoby naukę z życiem duchowym: podróży pozacieleśnych w poszukiwaniu kontynentu umarłych. Nazwaliśmy to „tanatonautyką”, z greckiego *thanatos* – śmierć i *nautis* – badacze. My, tanatonauci, zbudowaliśmy wspólnie tanatodromy, z których mogliśmy wzbić się w przestworza. Cierpliwie przyswajaliśmy sobie techniki opuszczania ciała i wzlatywania dusz w zaświaty. Walczyliśmy o to, by jako pierwsi dotrzeć do Raju, jeszcze przed duchowymi świętymi religii. Pokonaliśmy, jedną po drugiej, siedem bram kontynentu umarłych, z determinacją stawiając czoła każdemu nowemu, nieznanemu terytorium. Być tanatonaucą znaczyło być pionierem, ale także uprawiać niebezpieczny zawód. Stopniowo odkrywałem tysiądetnie tajemnice, zarezerwowane wyłącznie dla wtajemniczonych. Powiedziałem na ten temat dużo więcej, niż ludzkość była w stanie przyjąć.

Samolot spadający na mój salon położył kres życiu Michaela Pinsona. Wezwano mnie do nieba.

Tam, jako Pinson, zostałem oceniony i osądzony za wszystkie dobre i złe uczynki, których dopuściłem się podczas tej ostatniej ludzkiej egzystencji. Na szczęście w czasie procesu miałem prawo do wyjątkowego adwokata: pisarza Emila Zoli, mojego anioła stróża. Dzięki niemu wyszedłem z tego cało i sądziłem, że na zawsze zostałem zwolniony z obowiązku odradzania się jako śmiertelnik.

Stałem się czystym duchem. Aniołem. Będąc aniołem, dostałem pod opiekę trzech ludzi, którym z kolei ja miałem pomóc wydostać się z cyklu reinkarnacji. Pamiętam tych trzech „klientów”: Igor Czeków, rosyjski żołnierz; Venus Sheridan, amerykańska modelka i aktorka; Jacques Nemrod, francuski pisarz.

Ale niełatwo jest pomagać ludziom. Edmond Wells, mój mentor w dziedzinie nauki o aniołach, zwykł mówić: „Ludzie bardziej starają się zmniejszyć swoje nieszczęście, niż zbudować szczęście”. To on nauczył mnie, jak oddziaływać na nich pięcioma sposobami: za pomocą snów, intuicji, znaków, mediów i kotów. Tak właśnie uratowałem jednego z moich klientów, Jacques’a Nemroda, dając mu możliwość wyjścia, jeśli tylko będzie chciał, z cyklu reinkarnacji. Co do mnie, miałem prawo opuścić Imperium Aniołów i przejść na wyższy poziom.

A obecnie, proszę, jestem w... „Aedenie”. Byłem śmiertelnikiem, byłem aniołem. Kim zostanę teraz?

„Bogiem-uczniem” – powiedział Dionizos.

Odkładałem pióro do kałamarza i udaję się dalej oglądać moją willę. Na prawo od salonu odkrywam pokój umeblowany szerokim łóżem z baldachimem. W szafie czeka na mnie około dwudziestu tunik oraz białych tog, identycznych jak ta, w którą jestem ubrany. Przedłużenie sypialni stanowi łazienka. Muszla, wanna, umywalka, wszystko w marmurze, z połączoną armaturą. Flakon z szarym proszkiem pachnie lawendą. Puszczona z kranu woda tworzy kremową pianę. Rozbieram się i zanurzam w rozkoszą.

Zamykam powieki. Słucham mojego serca, które robi...

...Puk, puk.

Drgnąłem. Znowu smarkaczka? Słyszę ponowne pukanie. Wstaję, by ją przegonić. Idąc, chlapię na podłogę. Jedną ręką przytrzymuję ręcznik wokół bioder, drugą chwytam szczotkę do mycia pleców i tak uzbrojony otwieram drzwi.

Ale istota za progiem to nie chimera. Stoi przede mną, uśmiechając się, Edmond Wells, mój mistrz wiedzy anielskiej:

– Powiedziałeś mi „do widzenia”.

– Powiedział mi pan „z bogiem” – bąkam.

– Rzeczywiście. „Z ... bogiem” to również znaczy „u bogów”. I jak mi się wydaje, właśnie tu jesteśmy.

Ściskamy się w długim powitaniu.

Wreszcie odsuwam się, pozwalając mu wejść. Edmond Wells siada wygodnie na czerwonej kanapie w salonie i, jak zwykle nie bawiąc się w długie wstępy, podaje mi informację:

– Ten rocznik jest wyjątkowo liczny. W przeszłości brakowało „im” uczniów, więc tym razem zaplanowali wszystko na szerszą skalę. Mnie też pozwolili przybyć.

Zagadkowy wygląd, spiczaste uszy, trójkątna twarz. Edmond Wells wcale się nie zmienił. Nadal robi na mnie wielkie wrażenie. W swojej ostatniej ludzkiej postaci był entomologiem, specjalistą od mrówek. Lecz jego ulubionym zajęciem było zawsze gromadzenie wiadomości oraz tworzenie mostów łączących istoty z definicji niezdołne do porozumiewania się ze sobą. Chodziło oczywiście o mrówki i ludzi, ale potem także o anioly i istoty ludzkie.

– Moja willa jest niedaleko twojej, mieszkam na ulicy Drzew Oliwnych w willi 142 851 – powiedział to tak, jakbyśmy byli kolegami spędzającymi wspólnie wakacje. Ja tymczasem szybko ubrałem tunikę, togę i sandały.

On zwraca się do mnie na „ty”, lecz mnie nie stać na taką poufalość, używam więc formy „pan”.

– Tutaj dzieją się dziwne rzeczy – mówię szeptem. – Kiedy wylądowałem na plaży, spotkałem Juliusza Verne’a. Zmarł niemal na moich rękach. Rozległa rana w lewym boku. Zamordowany. A Dionizos zapewnił mnie tak po prostu, że widocznie musiał mieć problemy, bo przybył za wcześniej i okazał się zbyt... ciekawy.

– Juliusz Verne zawsze był pionierem – przyznaje Edmond Wells, na którym ta tajemnicza zbrodnia robi nie większe wrażenie niż na Dionizosie.

– Zdążył tylko mnie przestrzec, abym nie szedł na górę Olimp. Tak jakby było tam coś przerażającego.

Edmond Wells zdaje się wątpić. Tymczasem nasze spojrzenia kierują się w stronę okna, za którym w oddali majaczy zarys góry, nadal okrytej płaszczem chmur.

– Wszystko tu jest takie dziwne – mówię z naciskiem.

– Powiedz raczej „takie niezwykle”.

– A te książki? Wszystkie kartki są puste.

Mój mistrz uśmiecha się szeroko:

– A więc to my mamy je zapełnić. Będę miał okazję dalej pisać moje dzieło, moją *Encyklopedię Wiedzy Relatywnej i Absolutnej*. I będą to już tylko informacje o ludziach lub zwierzętach, ale bezpośrednio o bogach.

Z przewieszanej na skórzanym pasku sakwy wyjmuję książkę na pierwszy rzut oka podobną do moich, choć zdaje się, że jest już trochę zapisana.

Gładzi jej brzegi.

- To, co teraz przeżyjemy, nie pójdzie w zapomnienie. Zanotowałem z pamięci fragmenty tekstów, które wydają mi się najbardziej ważne, i uzupełnię je tym, co tu odkryjemy.

- Ale dlaczego pan...

- Możesz mi mówić per „ty”. Nie jestem już twoim nauczycielem, jestem bogiem-ucznikiem, podobnie jak ty. Jesteśmy sobie równi.

- Dlaczego ty... Nie, przykro mi, to się nie uda, wolę mówić na pan... Dlaczego nadal prowadzi pan to poszukiwanie wiedzy?

Jest zdziwiony, że nie potrafisz zmienić naszych relacji. Ale nie nalega.

- Być może dlatego, że w dzieciństwie wstydzilem się swojej niewiedzy. To był prawdziwy wstyd. Pewnego dnia, gdy nie umiałem wyrecytować na pamięć wiersza, nauczyciel powiedział mi: „Jesteś pusty”. Od tamtego czasu mam potrzebę napełniania się. Nie wierszami, lecz informacjami. W wieku trzynastu lat zacząłem gromadzić całe zeszyty obrazów, naukowych informacji i własnych przemyśleń. (Uśmiechnął się na to wspomnienie). Wycinałem z gazet zdjęcia nagich aktorek i klejałem do mojej książki obok wzorów matematycznych. Po to, bym miał ochotę ponownie ją otworzyć. Nigdy nie przestałem zapełniać tej księgi. Jak wiesz, nawet wtedy, gdy byłem w Imperium Aniołów, pragnąłem nadal zajmować się Encyklopedią, udzielając natchnienia jednemu z ludzi. Tu będę mógł kontynuować moje poszukiwania Wiedzy Relatywnej i Absolutnej.

- Piąty tom *Encyklopedii*?

- Oficjalnie piąty, ale napisałem też „nieoficjalne” i ukryłem je w różnych miejscach.

- *Encyklopedie Wiedzy Relatywnej i Absolutnej* ukryte na Ziemi?

- Oczywiście. Moje małe skarby do odkrycia kiedyś przez tych, którzy będą mieli wystarczająco dużo cierpliwości, aby ich szukać. Ale na razie zaczynam ten.

Patrzę na księgę. Na okładce Edmond Wells wykaligrafował pięknie: ENCYKLOPEDIA WIEDZY RELATYWNEJ I ABSOLUTNEJ, TOM V

Podaje mi książkę.

- Napisałem ją, ponieważ spotykani ludzie dostarczali mi ogromnej wiedzy. Ale kiedy chciałem ją przekazać dalej, aby wiedza ta nadal żyła, spostrzegłem, iż niewielu zainteresowanych jest takim prezentem. Ofiarować można tylko tym, którzy są gotowi nasz dar przyjąć. Zostawiłem więc swój rękopis. Jak list w butelce wrzuconej do morza. Niech go znajdą ci, którzy będą w stanie go docenić, nawet gdybym miał nigdy ich nie spotkać.

Otwieram księgę. W pierwszym rozdziale czytam: *Na początku*. W następnym *W obliczu Nieznanego*, *A gdybyśmy byli sami we wszechświecie*, *Niebiańskie Jeruzalem...* Ostatni rozdział nosi tytuł *Symbolika cyfr*.

- Znowu to samo? Już pan o tym pisał w czterech pozostałych tomach.

Encyklopedysta nie daje się zbić z tropu.

- To klucz do wszystkiego. Symbolika cyfr. Muszę ją sobie przypomnieć i uzupełnić, bo to ona stanowi najprostszą drogę do zrozumienia sensu ewolucji wszechświata. Pamiętasz, Michael...

16. ENCYKLOPEDIA: SYMBOLIKA CYFR

Historia świadomości przebiega zgodnie z symboliką cyfr stworzoną przed trzema tysiącami lat przez Indian.

Linia krzywa oznacza miłość.

Krzyż oznacza próbę.

Linia pozioma oznacza przywiązanie.

Zbadajmy ich rysunki.

„1”. Minerale. Typowa linia pionowa. Żadnego przywiązania, miłości, próby. Minerale nie mają świadomości. Jest po prostu pierwszym stadium materii.

„2”. Roślina. Linia pozioma zakrzywiona w górnej części. Roślina połączona jest z ziemią poprzez poziomą kreskę, symbolizującą korzenie uniemożliwiające jej poruszanie się. Roślina kocha niebo i zwraca do niego swe liście oraz kwiaty, by zgrupować światło.

„3”. Zwierzę. Dwie krzywe. Zwierzę kocha ziemię i kocha niebo, ale nie jest przywiązane ani do jednego, ani do drugiego. Jest wyłącznie emocjami. Strachem, pragnieniem... Dwie krzywe to jak dwa pyski. Ten, który gryzie, i ten, który całuje.

„4”. Człowiek. Krzyż. Stoi na rozdrożu, pomiędzy „3” i „5”. „4” to chwila próby. Albo ulegnie ewolucji i stanie się inteligentny, albo powróci do stadium „3”, stając się znów zwierzęciem.

„5”. Człowiek rozumny. Odwrócona „2”. Linia pozioma w górnej części połączony jest z niebem, krzywa u dołu wskazuje na miłość do ziemi. Jest mądry. Wyszedł poza swą zwierzęcą naturę. Nabral dystansu do wydarzeń i już nie reaguje instynktownie ani emocjonalnie. Pokonał swój strach i pragnienie. Kocha swoją planetę i pobratymców, przyglądając im się z daleka.

„6”. Anioł. Oświecona dusza, wolna od konieczności odradzania się w ciełe. Wydostała się z cyklu reinkarnacji i jest już wyłącznie czystym duchem, a więc nie odczuwa bólu i nie musi zaspokajać podstawowych potrzeb. Anioł jest krzywą miłości, spiralą, która zaczyna się w sercu, potem schodzi na ziemię, by pomóc ludziom, a następnie idzie do góry, by osiągnąć wyższy wymiar.

„7”. Bóg. A przynajmniej „bóg-uczeń”. Anioł, który wznosząc się, dotyka wyższego wymiaru. Podobnie jak „5”, ma kreskę, która łączy go z niebem. Ale zamiast krzywej miłości, która prowadziła go ku dołowi, ma linię prostą. Jego działania obejmują dolny świat.

„7” jest też krzyżem, jak odwrócona cyfra „4”. Jest to więc próba, rozdroże. Aby móc wspinać się wyżej, musi coraz więcej osiągać.

Edmond Wells,

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej
(powtórzenie z tomu IV)

17. PIERWSZA UROCZYSTOŚĆ W AMFITEATRZE

A co byłoby powyżej siódemki? Liczba „8”?

Słychać dźwięk dzwonu. Trzy długie uderzenia. Spiesznie zdążamy na główny plac z jego wiekowym drzewem. Inni uczniowie Szkoły Bogów, ubrani w białe togi, idą przed nami. Są w różnym wieku, bez wątplenia w tym, który zapisało ich ostatnie ziemskie istnienie. Spoglądamy na siebie zdziwieni, że jest nas tak wielu, próbując odgadnąć, co jest w nas takiego szerególnego, że byliśmy godni znaleźć się tutaj.

Młoda dziewczyna w szafranowej tocie pokazuje nam, abyśmy ustawili się w kolejce.

– To Hora – szepcze Edmond Wells.

– Czy to pora? Nie wiem, nie mam zegarka.

Mój mistrz uśmiecha się.

– Nie rozumiałeś. To jest Hora, czyli grecka półbogini. Tak się je nazywa.

– Ile ich jest?

– Tylko trzy. Eunomia – Hora Praworządności, Dike – Hora Sprawiedliwości i Ejrene – Hora Pokoju. Wszystkie są półboginiami, córkami Temidy – bogini praw, i Zeusa – króla bogów.

Biorąc pod uwagę sposób, w jaki Hora ustawia nas szybko w szeregu, sądzę, że to musi być pierwsza z nich. Eunomia... W języku greckim przedrostek „eu” oznacza „dobry”, jak w wyrazie „eufonia”, czyli „dobre brzmienie”, dobry stan, a w przypadku naszej Hory – dobre imię.

Uczniowie przedstawiają się po kolei, a Eunomia zaznacza ich na liście obecności i wskazuje, dokąd mają się kierować. Gdy wymieniam moje nazwisko, Hora przygląda mi się z uwagą. Czyżby zastanawiała się, czy jestem „tym, na kogo czekają”?

Jednak zadawała się wskazaniem mi alei Północnej, prowadzącej do Amfiteatru.

A tam, przy wejściu, nowe zbiegowisko. Kolejna Hora, bez wątplenia jest to Dike, także sprawdza na liście nazwiska. Przechodząc, zaglądam jej przez ramię i widzę, że nazwisko Juliusza Verne’a zostało przekreślone, a w jego miejsce wpisano... Edmond Wells. Czy to znaczy, że mój nauczyciel niespodziewanie zastąpił zamordowanego pisarza?

Mówię „Pinson” i w zamian otrzymuję pudełko. Zaciekawiony szybko je otwieram. W środku jest krzyż wielkości dłoni. U góry ma pałąk z przezroczystego szkła, jest też łańcuszek do zawieszenia na szyi. Pod spodem znajdują trzy przyciski, każdy z wygrawerowaną literą.

– To jest ankh – mówi Edmond Wells. – „Berło bogów”.

Berło bogów... Odwracam je i rozpoznaję numer: „142 857”, taki jak numer mojej willi.

Nie oddalając się od mojego mistrza i przyjaciela, wchodzę do Amfiteatru. Miejsca dla widzów, tworzące okrąg, centralnie położona scena, wszystko to przypomina zwyczajny antyczny amfiteatr. Wokół w niewielkich grupkach rozmawiają ze sobą zaniepokojeni uczniowie.

– Tak jakbyśmy znaleźli się we śnie z czasów dzieciństwa – mówię.

Mój przyjaciel wysuwa inną hipotezę.

– ...Albo w książce. Tak jakby ktoś napisał książkę, której akcja dzieje się w takiej scenarii. Wystarczy, by czytelnik pochylił się nad jej stronami, a książka ożyje. Z nami w środku.

Wzruszam ramionami, niezbyt przekonany, lecz on kontynuuje niewzruszony.

– Jakiś pisarz pochłonie mitologię grecką, by ją potem urzeczywistnić i sprawić, abyśmy my w niej żyli. Moim zdaniem „wszystko zaczyna się od powieści i na niej się kończy”.

Podchwytuję jego myśl.

– To znaczy, że pisarz obserwuje nas jako swoich bohaterów. Lecz czy napisał już całą historię? Czy też zaczął od końca albo odkrywa wątek razem z nami, istotami, które sam stworzył?

Patrzy na mnie, na wpół uśmiechnięty, na wpół rozbawiony.

Młoda dziewczyna w żółtej todzie oraz koronie z kwiatów i owoców pokazuje, byśmy stanęli z boku, umożliwiając wejście kolejnym osobom.

– Trzecia Hora?

– Nie, zdaje mi się, że to inny rodzaj półbogini: Pora Roku.

Stoi tak blisko, że czuję jej zapach. Jest w nim konwalia i lilia. Jeśli to Pora Roku, musi być Wiosną. Podziwiam jej wielkie złote oczy, liane włosy i smukłe dłonie. Odruchowo chciałbym ją dotknąć, lecz Edmond Wells powstrzymuje mnie.

Przyglądam się szkolnym kolegom rozproszonym na widowni. Nie brakuje sławnych ludzi. Wydaje mi się, że rozpoznaję w tym tłumie kilka osób. Jest malarz Henri de Toulouse-Lautrec, powieściopisarz Gustave Flaubert, jest Etienne de Montgolfier, jeden z braci, pionierów lotów balonem, mistrz ceramiki Bernard Palissy, malarz impresjonista Claude Monet, lotnik Clement Ader, rzeźbiarz Auguste Rodin. Są też kobiety: aktorka tragiczna Sarah Bernhardt, rzeźbiarka Camille Claudel, fizyk Maria Curie, aktorka Simone Signoret, tancerka-szpieg Mata Hari.

Edmond Wells, człowiek światowy, podchodzi do tej ostatniej.

– Dzień dobry, jestem Edmond Wells, a to mój przyjaciel Michael Pinson. Czy nie jest pani przypadkiem Matą Hari?

Młoda brunetka potakuje. Spoglądamy na siebie, nie wiedząc, co powiedzieć.

Powoli zapada zmrok, a my takim samym powolnym ruchem gromadzimy się wzdłuż trybun. Na niebie pojawia się nie jeden, lecz trzy księżycy, układając się w kształcie trójkąta. Szczyt Olimpu nadal zanurzony jest we mgle.

Głośno wypowiadam dręczące mnie pytanie:

– A więc co jest na górze?

Pierwszy odpowiada mi Vincent van Gogh:

– Szarość zmieszana z kolorem pomarańczowym i niebieskim o brązowozłocistych refleksach.

Mata Hari podpowiada:

– Tajemnica.

Georges Méliès wzbogaca wypowiedź:

– Magia.

Gustave Eiffel dodaje półgłosem:

– Architekt Wszechświata.

Simone Signoret dorzuca:

– Producent filmowy.

Maria Curie mówi z rozmarzeniem:

– Ostatni Pierwiastek.

Sarah Bernhardt waha się:

– Jesteśmy w Olimpi. Może to jest... Zeus?

Przerywa nam jakiś głos.

Odwracamy się. Widzimy niewysokiego człowieczka o płowych włosach, w okrągłych okularach i z czarną brodą.

– Tam, w górze nie ma zupełnie nic. Ani Zeusa, ani Architekta, ani magii... Nic. Tylko śnieg, a wokół mgła. Jak to w górach.

Gdy z ogromną pewnością wypowiada te słowa, nagle na szczycie zapala się światło i zaczyna migotać jak sygnał z latarni morskiej, wysyłany we mgle.

– Widział pan to? – pyta Méliès.

– Tak – odpowiada brodacz. – Widziałem światło. Zwyczajne światło. To „oni” włączyli na

szczytce reflektor, po to, by wpłynąć na naszą wyobraźnię, a wy patrzycie jak ćmy zafascynowane światłem lampy. To tylko scenografia i gra.

– Taki pan kategoryczny. Kim pan jest? – pyta, kokietując go, Sarah Bernhardt.

Mężczyzna zgina się w pół:

– Pierre Joseph Proudhon, do usług.

– Proudhon? Teoretyk anarchizmu? – dopytuje się Edmond Wells.

– We własnej osobie.

Słyszałem o tym prowokatorze, nie wiedząc, do kogo jest podobny. No tak, do Karola Marksa. W tamtych czasach bez wąpienia modne były brody i długie włosy. Ma wysokie, gładkie czolo, włosy związane w koński ogon.

– Proudhon: ateista, anarchista, nihilista, dumny z tego, kim jest – dodaje.

– Ale przecież przeszedł pan reinkarnację... – mówi Sarah Bernhardt.

– No. Chociaż w nią nie wierzyłem.

– I stał się pan aniołem?

– No. Chociaż nie wierzyłem w anioły.

– A teraz jest pan uczniem Szkoły Bogów?

– No. I teraz będę „bogiem ateistów” – ogłasza Proudhon, wyraźnie zadowolony z tej definicji. – Proszę powiedzieć szczerze: wierzy pani w tę całą Szkołę Bogów? Wyobraża pani sobie, że zrobimy maturę z Demiurgii?

Nowy uczeń włącza się do dyskusji. Mężczyzna z wyraźnym zezem zbieżnym, którego skutki próbuje opanować.

– Tam, w górze – wykrzykuje – jest na pewno coś bardzo silnego i bardzo pięknego! My jesteście tylko bogami-uczniami, maleńkimi bożkami. On jest Wielkim Bogiem.

– Co pan ma na myśli? – pytam.

– Mam na myśli coś, co nas przewyższa mocą, majestatem, świadomością, wszystkim – mówię z ekstazą.

Nowy uczeń nazywa się Lucien Dupres i twierdzi, że w swoim ziemskim życiu był okulistą. Sam widział podwójnie, lecz innym pomagał widzieć wyraźnie. Aż wreszcie zrozumiał, że prawdziwie widzieć można tylko przez wiarę.

– No pewnie, może pan pleść te bzdury – oświadcza Proudhon. – Ja nie boję się głośno wołać: „Ani Boga, ani mistrza!”.

Pomruk dezaprobaty rozchodzi się wzdłuż rzędów, w których siedzą uczniowie.

Anarchista mówi dalej:

– Ja jestem jak święty Tomasz. Wierzę tylko w to, co widzę. A widzę ludzi zebranych na wyspie, którzy rozkoszują się imieniem boga, mimo że tyle religii zabroniło używać tego słowa. Bóg tu, bóg tam. Mówicie, że jesteście ludźmi wierzącymi, a tak naprawdę jesteście zgrają bluźnierców. Zresztą, co to takiego bóg? Czy posiadamy jakąś szczególną władzę? Ja tylko mogę stwierdzić, że straciłem atrybuty anioła. Przedtem latałem i przenikałem przez materię. Dziś jestem głodny, chce mi się pić i wystroilił mnie w togę, która mnie gryzie.

Ma rację. Mnie też przeszkadza ta szorstka tkanina, a na sam dźwięk słowa „głód”, żołądek kurczy się i wzywa pomocy.

Pierre Joseph Proudhon mówi dalej:

– Mówię wam, że cała ta tekturowa dekoracja, ta otoczona dymem góra, to jedna wielka bajda.

W tej samej chwili rozlega się krótki, stłumiony dźwięk.

Widzimy centaury uderzającego dwoma pałeczkami w zawieszony na brzuchu ogromny bęben.

Za nim drugi centaur, uderzający w tym samym rytmie. Dalej trzeci i cała procesja złożona z dwudziestu centaurów walących ze wszystkich sił w bębny.

Zbliżają się, idą najpierw wzdłuż ścian Amfiteatru, potem zajmują miejsca wokół nas, otaczają nas kołem i już nikt się nie rusza, wszyscy pozostajemy na swoich miejscach. Dźwięk bębnowi zdaje się coraz głośniejszy. Jest ich około setki, bębnią, bębnią bez przerwy. Rytm roznosi się po całym moim ciele, jest w skroniach, w klatce piersiowej, w rękach i nogach. Czuję każdą z moich na nowo odzyskanych kości, każdy element szkieletu.

Zdaje się, jakby centaury prowadziły coś w rodzaju drgającego dialogu. Jedni improwizują partie solowe, będące jednocześnie rodzajem wezwania, na które pozostali odpowiadają tym samym motywem.

Nagle rżenie przerywa procesję.

Na idącym stępa koniu, siedząc po damsku w siodle, wjeżdża jakaś kobieta. Ubrana w srebrną togę, w hełmie na głowie, wymachuje włócznią. Na jej ramieniu siedzi sowa.

Wśród niezwyklej ciszy, jaka zapadła, kobieta wjeżdża na środek areny. Zdaje się, że ma prawie dwa metry wzrostu. Jak Dionizos. Zapewne jak wszyscy bogowie-nauczyciele.

Mówi, wyraźnie akcentując każdy wyraz:

– Jesteście naprawdę bardzo licznym rocznikiem. A jeszcze nie wszyscy uczniowie przybyli. Jest was prawie stu, pozostali dołączą wieczorem. Nigdy nie mieliśmy tylu uczniów. W sumie będzie was w szkole stu czterdziestu czterech.

– Dwanaście razy dwanaście – szepcze mi do ucha Edmond Wells. – Jak stu czterdziestu czterech potomków Adama i Ewy, stu czterdziestu czterech pierwszych ludzi...

Kobieta uderza włócznią w ziemię, jakby chciała przywrócić spokój w rozgadanej klasie.

– Za każdym razem wybieramy uczniów spośród aniołów pochodzących od istot śmiertelnych z tego samego kraju i kultury. Unikamy w ten sposób nacjonalizmu, podlegającego do tworzenia odrębnych ugrupowań. W tym roku postawiliśmy na byłych Francuzów.

Bogini przebiega wzrokiem po zebranych w Amfiteatrze. Nikt się nie rusza. Nawet Proudhon siedzi cicho. Lekko zeskakuje z wierzchowca.

– Będziecie tu – kontynuuje – „bogami ludów”, tak jak gdzie indziej są „pasterze stad”. Tu nauczycie się, jak być dobrymi pasterzami.

Kiedy tak spaceruje po arenie, sowa opuszcza jej ramię i wlatuje nad nasze głowy.

– Musicie wiedzieć, że czekają was dwa semestry, podczas których dwunastu bogów-mistrzów zajmie się waszą edukacją. Oto ich lista:

1. Hefajstos – bóg kowali.

2. Posejdon – bóg mórz.

3. Ares – bóg wojny.

4. Hermes – bóg wędrowców.

5. Demeter – bogini rolnictwa.

6. Afrodyta – bogini miłości.

W drugim semestrze zajęcia będą prowadzić:

7. Hera – bogini rodzin.

8. Hestia – bogini ogniska domowego.

9. Apollo – bóg sztuk.

10. Artemida – bogini łowów.

11. Dionizos – bóg uroczystości, którego już znacie.

Na koniec dodam, że również ja stanę na katedrze:

12. Atena – bogini mądrości.

Nie wiem dlaczego, ale z tych wszystkich imion tylko jedno zapadło mi w pamięci: Afrodyta,

bogini miłości... Wymieniła to imię, a ja odniosłem dziwne wrażenie, że je znam. Jakby ta osoba należała do mojej rodziny z przeszłości. Lub z przyszłości.

Bogini w hełmie na głowie robi jeszcze kilka kroków i ciągnie dalej:

– Do dwunastu bogów-mistrzów dołączą bogowie pomocniczy. W pierwszym semestrze będą to: Syzyf, Prometeusz i Herakles. W drugim spotkacie się z Orfeuszem, Edypem oraz Ikarzem. Dołączy do nich Kronos, bóg czasu, a podczas kursu wstępnego, jeśli uznacie to za przydatne, Hermafrodyta, który wspomże was psychicznie i będzie cały czas do waszej dyspozycji.

Na widowni ponownie rozlega się gwar, ale to jeszcze nie wszystko, co Atena ma nam do powiedzenia. Ponownie uderza włócznią w ziemię.

– Dodam jeszcze, że jak to ma miejsce w każdej wspólnocie, jesteście zobowiązani przestrzegać ustalonych reguł:

1. Nie przebywać poza murami Olimpii po usłyszeniu dwunastu uderzeń dzwonu, wybijających północ.

2. Nie używać przemocy wobec mieszkańców wyspy, czy to wobec boga, chimery czy też innego ucznia.

3. Nigdy nie opuszczać zajęć.

4. Zawsze nosić swój ankh, ów przedmiot przypominający biżuterię, który każdy z was otrzymał w szkatułce. Musicie zawsze mieć go na szyi. To jest wasz identyfikator. Będzie wam również potrzebny do pracy.

Kolejne szmery przebiegają między rzędami. Atena, świadoma zdziwienia wywołanego jej słowami, wyjaśnia:

– Pamiętajcie o tym, że poza murami Olimpii nie jesteście bezpieczni. Na wyspie czyha pełno niebezpieczeństw, których nie jesteście w stanie nawet sobie wyobrazić.

Hałas, zamiast słabnąć, jeszcze się wzmacnia.

– Poza tym – dodaje podnosząc głos – mamy tu osobę gotową poskromić wasze turystyczne zapędy. To diabeł we własnej osobie.

Wymawiając to słowo, drży ze strachu.

Po jej słowach następuje prawdziwy harmider, któremu włócznia nie jest już w stanie zapobiec, dlatego centaury zaczynają walić w bębny, próbując nas uciszyć. Każdy ma własną wizję diabła. Cichną uderzenia. Atena kończy:

– Pierwsze zajęcia jutro. Bóg Kronos, odpowiedzialny za czas, będzie na was czekał na lekcji o. Powtarzam raz jeszcze: zależy mi, aby zajęcia odbywały się w ciszy, spokoju umysłu i ogólnej pogodzie ducha.

W tej chwili dobiega nas krzyk konającego.

18. ENCYKLOPEDIA: KRZYK

Często jest tak, że życie zaczyna i kończy się krzykiem. W czasach starożytnych Greków rozpoczynający bitwę żołnierze wznosili okrzyki wojenne, by dodać sobie odwagi. Germańscy rycerze krzyczeli tak, że na echo ich głosów konie nieprzyjacielskiej armii stawały dęba. Tradycja celtycka wspomina Hopera Noza, nocnego stróża, którego nawoływania wiodły wędrowców w zastawione na nich pułapki. Krzyk biblijnego Rubena, syna Jakuba, miał moc tak wielką, że ten, kto go usłyszał, umierał ze strachu.

Edmond Wells,
Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

19. PIERWSZE OFICJALNE ZABÓJSTWO

Krzyk brzmi jeszcze długo, potem nagle cichnie.

Spoglądamy po sobie zaniepokojeni. Zdaje się, że hałas dobiegał spoza Amfiteatru. Sowa bogini Ateny kieruje się w tamtą stronę, a pędzące centaury są już poza areną. Wszyscy wybiegamy na zewnątrz. Zbity tłum gromadzi się wokół centaurów otaczających miejsce, w którym znajduje się ofiara. Ledwie ją widzę. Leży na ziemi, ze skrzyżowanymi ramionami. Dziura na wysokości serca jest tak szeroka, że widać przez nią ziemię. Ciało wokół rany jest poparzone, zupełnie jak u Juliusza Verne'a.

Czuję, że cały drżę. Będąc aniołem, wierzyłem, że na zawsze pozbywam się strachu przed śmiercią. Przybywając tu, obleczony w ciało, odnajduję to dawne uczucie. Czyli znów stałem się śmiertelny. Mogę nie tylko cierpieć, ale także umrzeć.

Dlaczego bogowie odrzucili przywilej aniołów?

Jest już ciemno. Jeden z uczniów zbliża pochodnię do wykrzywionej przerażeniem twarzy zabitego, oświetlając jednocześnie osłupiałych widzów.

– Kto to jest? – pytam.

– Nazywał się Debussy, Claude Debussy – mówi szeptem jakiś meloman.

Twórca *Popołudnia fauna* był jednym z nas i umarł, zanim zdążyłem go poznać.

– Kto to zrobił? – dopytuje się ktoś inny.

– Diabeł... – sugeruje mistyk, Lucien Dupres.

– Ciekawe, czemu nie wasz słynny Wieki Bóg? – ironizuje Proudhon. – Skoro uważacie go za boga sprawiedliwości, czemu od czasu do czasu nie miałby karać swych owieczek? Skoro w niego wierzący, pogódźcie się z tym, że was karci.

Zaniepokojona Atena kręci głową. Jej sowa krąży nad nami, jakby miała za chwilę wskazać domniemanego zabójcę.

– Winny jest pośród was – twierdzi bogini. – Jakiś bóg-uczeń... bogobójca.

Bogobójca – to słowo robi wrażenie.

– Kto po raz ostatni widział ofiarę? – pyta Atena.

Dwa centaury kładą ciało kompozytora na noszach. Przykrywają go kocem, a mnie się nagle wydaje, że ofiara jeszcze się porusza. Przecieram oczy ze zdumienia. To chyba jakiś odruch bezwarunkowy lub halucynacja.

– To nie jest pierwsza zbrodnia. Wcześniej zabito Juliusza Verne'a – mówię cicho.

– Kto to powiedział? – wykrzykuje Atena, której nie podejrzewałem o taki dobry słuch.

Kryję się za czyjąś głową. Sowa wzbija się w powietrze i lata nad naszymi głowami, przyglądając nam się z bliska. Kiedy zbliża się do mnie, czuję pulsowanie poruszanego jej skrzydłami powietrza.

– Krew w królestwie bogów... Bogobójca z pewnością jest jednym z członków tego rocznika.

Jej twarz tężeje.

– Znajdę go i ukarzę.

– 144 minus 1, jest nas więc już tylko 143 – zauważa Proudhon, najwyraźniej równie mało wzruszony zbrodnią, jak i groźbą kary.

Tymczasem ja, ogarnięty niepokojem, kurczowo ściskam zawieszony na szyi ankh.

20. ENCYKLOPEDIA: ANKH

Ankh, nazywany też zaokrąglonym krzyżem, był w starożytnym Egipcie symbolem boskim i królewskim. Swym kształtem przypomina literę „T”, nad którą umieszczono pierścień. Nazywano go również „Węzłem Izidy”, bowiem Egipcjanie w pierścieniu dopatrywali się symbolu drzewa życia, utożsamianego z Izydą. Ankh przypomina, że boskość osiąga się w drodze rozplątywania kolejnych węzłów; jest to symboliczny akt, oznaczający w rzeczywistości „rozwiązywanie” etapów rozwoju duszy. Faraon Echneton, jak większość kapłanów Słońca, przedstawiony jest z ankh trzymanym w dłoniach. Podczas uroczystości pogrzebowych ów szczególnie krzyż służył jako klucz otwierający życie wieczne i jednocześnie zamykający obszary życia dostępne wyłącznie kapłanom. Czasami znak zaokrąglonego krzyża rysowano na czole, umieszczając go pomiędzy oczami. Symbolizował on obowiązek dotrzymania tajemnicy przez nowego kapłana. Ten, kto zna tajemnice życia po śmierci, nie może wyjawić ich nikomu, a jeśli to uczyni, zostanie ukarany utratą pamięci.

Wyznawcy religii koptyjskiej utożsamiali ankh z kluczem do wieczności.

W hinduizmie zaokrąglony krzyż to symbol dwóch aspektów seksualnych, umieszczonych w dwupłciowej istocie.

Edmond Wells,
Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

21. NIEBIESKI LAS

– Nie sądzi pan, że właśnie popełniamy straszne głupstwo?

Edmond Wells i ja pokonujemy wschodnią ścianę murów Olimpi, używając w tym celu sznurów oraz związanych prześcieradeł.

– Dowiemy się tylko wtedy, gdy to zrobimy – odpowiada. Schodzimy powoli.

– Juliusz Verne powiedział mi: „Absolutnie nie należy tam iść” – mamrocze.

Moje wahanie denerwuje mistrza.

– Czego ty właściwie chcesz, Michael? Żebyśmy siedzieli z założonymi rękami, zastanawiając się, co jest na szczycie góry?

W tym odważnym człowieku, który namawia mnie do złamania zakazu, nie poznaję Edmonda Wellsa, uczącego mnie niegdyś przestrzegania wszystkich praw w Imperium Aniołów.

Gdy docieramy wreszcie na dół murów miejskich, od trzymania sznura ręce pieką mnie żywym ogniem. Szybko chowamy związane prześcieradła w akacjowych zaroślach.

Z miejsca, w którym jesteśmy, widać już tylko dwa księżycy, a góra robi jeszcze większe wrażenie.

Olimp...

Brodzimy w wysokiej trawie, kierując się na wschód.

Zbocze robi się coraz bardziej strome, a łąka ustępuje miejsca coraz liczniejszym krzewom, które w końcu przechodzą w gęsty las. Tu stok staje się łagodniejszy, a nasz marsz wśród drzew nabiera tempa.

Chwilę przed zmierzchem niebo staje się ognście czerwone.

Nagle słyszymy hałas. Kładziemy się w paprociach. Widzimy zbliżającą się powoli postać. Biała toga. Znaczący uczeń. Chcę wstać i go zawołać, lecz Edmond Wells chwyta mnie za rękaw i daje znak, byśmy pozostali w ukryciu. Nie rozumiem, po co ta ostrożność, gdy nagle widzę lecącą nad wędrowcem cherubinkę, która za chwilę kieruje się do miasta. Kilka sekund później dostrzegamy pędzącego galopem centaury, który chwyta naszego śmiałka.

– Cherubinki pilnują, centaury łapią – mruczy Edmond.

Człowiek-koń zabiera naszego towarzysza na południe.

– Co z nim zrobią? – pytam zaniepokojony.

Edmond Wells trwa w bezruchu, gdy tymczasem człowiek-koń znika w oddali. Mistrz przeczesuje wzrokiem okolice, by upewnić się, że nie ma tam ani cherubinki, ani żadnego innego centaury.

Zatem czyniąc kolejne odejmowanie, jak mówił Proudhon, jest nas już nie 143, lecz 143 minus jeden, czyli 142.

Ruszamy ponownie w drogę, skradając się pomiędzy drzewami i pilnując, czy niczego nie ma w górze. Jesteśmy tak czujni, że potrafilibyśmy usłyszeć nawet najmniejszy hałas, lecz ciszę zakłóca tylko szum liści. Zrywa się zachodni wiatr. Wieje coraz silniej, targając gałęziami drzew i zrywając liście.

Widzę, jak w oddali cherubinka stara się wzbicić do góry, aż wreszcie poddaje się i ucieka przed wichurą. Przypuszczam, że te skrzydlate dziewczuszki mają swoje własne miasteczko. Może to duże ptasie gniazdo? Już sobie wyobrażam, jak maleńkie dziewczęta-motyle wylegują się rozkosznie w gnieździe wyścielonym mchem, porostem i gałązkami.

Dudnienie kopyt. Znowu centaur przeczesuje okolice, bez wątplenia w poszukiwaniu kolejnych przestępców. Wciąga nozdrzami powietrze, a my kryjemy się w rowie na tyle, na ile jest to możliwe. Rozwiana wiatrem grzywa chłoscze mu twarz. Staje dęba, by lepiej widzieć.

Oparty na tylnych kopytach, przykładając dłoń ponad oczami, tworząc z niej daszek. Następnie chwytając długą gałąź i uderza nią w zarośla, jakby chciał wypłoszyć ewentualnych intruzów. Podmuchy wiatru stają się coraz słabsze, a wraz z nimi znika jego nieufność i on także odchodzi do miasta.

Wreszcie wydostajemy się z rowu. Wiatr powoli cichnie. Nie mogę opanować szczykania zębów.

– Zimno ci? – pyta Edmond Wells.

– Nie.

– Boisz się?

Nie odpowiadam.

– Boisz się bogobójcy? – nalega Edmond.

– Nie.

– A więc diabła?

– Też nie.

– No to o co chodzi? Że cię złapie centaur?

– Myślałem o... Afrodycie.

Edmond Wells serdecznie klepie mnie po ramieniu.

– Tylko nie fantazuj.

– Dionizos powiedział, że jesteśmy w miejscu Ostatecznego Wtajemniczenia. Więc to normalne, że spotykamy to, co najlepsze i to, co najgorsze, że odczuwamy największy strach i największe pragnienie. Diabeł i bogini miłości...

– Oj, Michael, jak zawsze dajesz się porwać swojej wyobraźni. I już zdażyłeś zakochać się w kobiecie, której nawet jeszcze nie spotkałeś. Moc słów, prawda? „Bogini miłości”. Już samo wymawianie tych słów sprawia ci przyjemność...

Las wznosi się coraz bardziej stromo. Czerwień nieba przechodzi w kolor malwy, dalej w szary, a w końcu staje się granatowe. Zamglony szczyt trójkątnej góry znowu wysyła świetlny sygnał, jakby chciał rzucić nam wyzwanie.

Ciemność staje się coraz głębsza. Nie widzę nawet własnych stóp. Przychodzi mi na myśl, że kiedy na dole dwanaście uderzeń dzwonu wybije północ, lepiej będzie dać sobie spokój.

Wszystko niknie w ciemności. Nagle wśród paproci dostrzegam niewielkie światełko. Robaczek świętojański. Cały rój świetlików zrywa się do lotu, tworząc świetlistą chmurę, rozciągającą się na wysokości naszych oczu.

Edmond Wells chwytając jednego z fosforyzujących owadów i umieszcza go w zagłębieniu dłoni. Świetlik nie ucieka, wręcz przeciwnie, zaczyna świecić z jeszcze większą mocą. Specjalista od mrówek bardzo delikatnie podaje mi drugiego świetlika, który teraz trzepocze skrzydełkami w mojej dłoni. Zdziwiony zastanawiam się, jak takie maleńkie stworzenie może wytwarzać tak wielką jasność. Moje źrenice powoli przyzwyczajają się do ciemności, ale świetlik jest niemal tak skuteczny jak latarka.

Wspomagani przez robaczki świętojańskie, ruszamy dalej. Nagle kolejne światła rozcinają mrok. Ponownie kryjemy się w zaroślach, skąd obserwujemy zadziwiającą scenę: widzimy bogów-uczniów, którzy idąc, wytwarzają światło błyskawic. Używają do tego swoich ankch, wywołujących pioruny. Teraz rozumiem, dlaczego Atena z taką pewnością twierdziła, że śmierć Claude'a Debussy'ego spowodował jeden z uczniów. Jego ciało wokół rany było zwęglone. Zaokrąglony krzyż, krzyż życia, i owszem, ale również krzyż śmierci.

Wędrowcy zauważyli nas. Zgasili swoje ankch, a my położyliśmy światełki na ziemi. Chociaż nie widzimy się nawzajem, jesteśmy świadomi, że znajdujemy się w odległości pięćdziesięciu metrów od siebie.

- Kim jesteście? – pytam pierwszy.
- A wy? – odpowiada kobiecy głos.
- Wy pierwsi – nakazuje męski głos.

Rozmowa głuchych.

- Spotkajmy się w pół drogi – mówię z opanowaniem.
- Zgoda. Na trzy. Raz... dwa... trzy...

Nikt się nie rusza. Scena przypomina mi fragment Encyklopedii Wellsa, dotyczący paradoksu więźnia, który nie jest w stanie zaufać w pełni swoim współnikom i woli na nich donieść, niż ryzykować, że to oni doniosą na niego. Ale w tej sytuacji jest coś, co mi nie daje spokoju. Ten męski głos... Chyba go znam.

- ...Raoul? – pytam z niedowierzaniem.
- MICHAEL!

Biegniemy do siebie w ciemności, po omacku, wreszcie, nieprzytomni ze szczęścia, padamy sobie w ramiona. Raoul, Raoul Razorback. Mój najlepszy przyjaciel. Raoul, małomówny chłopak spotkany na cmentarzu Pere-Lachaise w Paryżu. Ten, który zaraził mnie swą pasją zdobywania obcych rozumowi obszarów. To z nim, u jego boku, przekraczałem kolejne granice poznania świata umarłych. Raoul, prawdziwy wynalazca tanatonautyki, nieustraszony odkrywca zaświatów. Wymachuje swoim ankh, a następnie kieruje go w stronę ziemi. W blasku światła widać jego wydłużoną, chudą twarz, moją także.

- Michael, jak zwykle, gdzie ja, tam i ty!

Nadal ścisza mnie swoimi długimi rękoma. Za nim widzę dwie inne postaci. Przecieram oczy. Freddy Meyer, niewidomy rabin, który otworzył przed nami tajemnice kabaly. Freddy, okrągła twarz, dobroduszny wygląd, pionier grupowych lotów, z warkoczami ze srebrnych sznurków, ten, który drobnym żartem potrafił rozładować nastrój w najbardziej napawającej grozą sytuacji.

- Wszechświat jest naprawdę mały! – wykrzykuje. – Nie można nawet zmienić planety, by nie wpaść na przyjaciół...

Blaskiem swojego ankh oświetla ziemię i dzięki temu mogę widzieć jego twarz.

Zatem ten, który na Ziemi był niewidomy, odzyskał wzrok. Obok, przytulona do niego, stoi Marilyn Monroe. Ziemski symbol seksu, Marilyn Monroe, w świecie aniołów została towarzyszką rabina.

- To dlatego, że nic tak nie łączy, jak humor – potwierdza.

W swojej obcisłej todze gwiazda wygląda jeszcze bardziej uwodzicielsko niż zazwyczaj. Przygarniam ją w uścisku.

- O, proszę – mówi Freddy – ledwie wrócił do ludzkiej postaci, a już każdy pretekst jest dobry, by obmacywać moją żonę...

- Atena mówiła, że są tu wyłącznie Francuzi. Ale ty, Marilyn, o ile dobrze pamiętam, jesteś Amerykanką...

Freddy tłumaczy, że wychodząc za niego, mogła wybrać jedno obywatelstwo. Aby móc z nim pozostać, wybrała bycie Francuzką, na co zgodziła się niebiańska administracja. Moim zdaniem, władzom Olimpii musiało bardzo zależeć na obecności alzackiego rabina wśród tegorocznych uczniów, skoro zgodziły się na to nagięcie przepisów. A może pojęcie narodowości jest tu traktowane bardzo szeroko, bo przecież Mata Hari i Vincent van Gogh, chociaż zmarli we Francji, pochodzili jednak z Holandii...

Aktorka nadal robi ogromne wrażenie. Zadarty nosek, niebieskie oczy ocienione długimi, wypięłgnowanymi rzęsami, mleczna cera. Siła miesza się ze słabością, łagodność ze smutkiem. Wszystko to wzrusza mnie i rozczula.

Również Edmond Wells wychodzi z ciemności. Pomiędzy Raoulem i moim mistrzem istniała zawsze swego rodzaju nieufność, ale dziś wydaje się, że wzajemne żale poszły w zapomnienie.

- Z miłością do szpady, z humorem do tarczy! - woła Marilyn, przypominając nasze niedydysyjne zawołanie.

Zgodnym chórem, nie przejmując się cherubinkami ani centaurami, powtarzamy nasze dawne hasło:

- Z miłością do szpady, z humorem do tarczy!

Chwytamy się za dłonie. Znów jesteśmy razem i dobrze nam z tym. Wraca tyle wspólnych wspomnień.

Kiedy byliśmy aniołami, wędrowaliśmy razem w kosmosie, poszukując planety zamieszkiwanej przez inteligentne istoty, a znaleźliśmy Czerwoną Planetę.

Wspólnie wypowiedzieliśmy wojnę upadłym aniołom i wygraliśmy ją „z miłością do szpady, z humorem do tarczy”.

- Kiedy wyruszyliśmy odkrywać kontynent umarłych, byliśmy tanatonautami - mówi Freddy Meyer. - Podczas odkrywania Imperium Aniołów byliśmy angelonautami. Teraz, gdy poznajemy królestwo bogów, przydałaby się nowa nazwa.

- Teonauci, z greckiego *theo* - bóg, gdyż będziemy eksploratorami boskości - powiedziałem.

- Niech będą teonauci - zgadzają się moi przyjaciele.

Raoul pokazuje, jak mam się posługiwać swoim ankh. Aby wytworzyć światło, należy przestawić kółko w pozycję D, a następnie nacisnąć na nie. Świecąc pod stopy zauważam, że moi towarzysze są pobrudzeni ziemią.

- Kopaliśmy tunel pod murem miasta, w miejscu, gdzie zarośla maskują wyjście - tłumaczy rabin. - Było nas troje, więc szło szybko.

- Chodźmy dalej razem - proponuje Edmond Wells.

Tak więc już w piątkę wspinamy się wśród drzew. Przekraczamy potoki, podążamy ścieżkami. Kiedy mijamy kolejne zarośla, naszym oczom ukazuje się niezwykle widok.

Jest to dolina przecięta turkusową rzeką, szeroką na kilkadziesiąt metrów, lśniąca i błyszcząca w ciemności jak ogromny, oświetlony od wewnątrz basen. Woda nie jest przejrzysta, ale miejscami widać nocoświatliki, wodną odmianę robaczków świętojańskich. To one oświetlają wodę.

Nigdy nie widziałem tak intensywnie niebieskiej barwy.

I. DZIEŁO W KOLORZE NIEBIESKIM

22. NIEBIESKA RZKA

Niebieski.

Długo patrzymy w nurt rzeki. Świetliki wirują na powierzchni, jak plama światła na dziwnym obrazie.

Wiatr ustał. Żadnego centaury w zasięgu wzroku. Pewnie poszły spać. Ciekawe, jak one śpią? Czy tak jak konie, na stojąco, ze zwieszoną głową, czy może leżąc na boku, jak ludzie?

Z dołu dobiega dźwięk dzwonu, którego pojedyncze uderzenie oznajmia, że wybiła pierwsza w nocy gdy, ku naszemu ogromnemu zdziwieniu, na horyzoncie pojawia się intensywne światło. Jego snop, o wiele silniejszy od tego, który oświetla czasami szczyt Olimpu, przenika przez chmury. To tak jakby o pierwszej w nocy wstawał świt. Już wiem, to drugie słońce rozpoczyna swoją zmianę. Nie wschodzi tak wysoko, jak jego poprzednik i od razu staje się czerwone.

Nasze świetliki, już bezużyteczne, znikają. Turkusowa rzeka na tle beżowego piasku i gęstej zieleni lasu nabiera fioletkorożowej barwy.

Idziemy wzdłuż brzegu, szukając brodu, gdy nagle zagradza, nam drogę hałaśliwy wodospad, przypominając Marilyn Monroe plan filmowy *Niagary*. Nie przedostaniemy się. Niżej, w dole rzeki nurt jest nadal silny, lecz wydaje się mniej zdolny do tego, by nas porwać. Ryzykować przepłynięcie wpraw, czy szukać dalej?

Dźwięk cichych kroków przerywa nasze rozmyślenia. Pospiesznie chowamy się w zaroślach. To samotny bóg-uczeń idzie w naszą stronę.

Raoul zrywa się nagle:

– Ojcze!

Francis Razorback wydaje się mniej poruszony tym nieoczekiwanym spotkaniem.

– Co ty tu robisz, Raoul?

– A co, sądziłeś, ojcze, że nie jestem zdolny zostać bogiem?

Z jego togi wypada książka. Raoul spieszy, by ją podnieść.

Francis Razorback, autor napisanego w ziemskim życiu dzieła *Śmierć, rzeczywistość nieznaną* wyjaśnia, że przebywając w tym świecie, pisze *Mitologię*. Po przybyciu do Olimpu zanotował całą szeroką wiedzę z dziedziny greckiej filozofii i mitologii, którą posiadał w swym ostatnim ziemskim życiu. Liczy, że w czasie pobytu na wyspie uda mu się stopniowo zapełnić sto pustych stron swojej księgi.

Edmond Wells, wyraźnie zainteresowany tymi słowami, dodaje, że też nadal pisze swoją Encyklopedię. Byłby zachwycony, mogąc w niej umieścić wiedzę Francisza Razorbacka z zakresu mitologii, która z pewnością jest o wiele dokładniejsza od tej, jaką on posiada.

Słyszając to, Francis Razorback gwałtownie się cofa.

– Ktoś inny miałby korzystać z owoców moich badań? To byłoby zbyt proste! Niech każdy tworzy własne dzieło, zdążając własną drogą.

– Uważam, że wiedza nie jest niczyją własnością – twierdzi mój mistrz. – Każdy może z niej korzystać. O ile pamiętam, mitologię grecką znamy głównie dzięki Hezjodowi. Sami nie wymyśliliśmy nic nowego, nic nie stworzyliśmy, ograniczając się wyłącznie do zebrania wiedzy, która istniała przed nami.

Jego rozmówca milczy, niezbyt przekonany.

– Panie Razorback, to nie pan wymyślił mitologię grecką, tak samo jak ja nie jestem twórcą fizyki kwantowej. Żadna z tych dziedzin nie jest naszą własnością. Nasze dzieła to tylko przekazniki. Jesteśmy jak wstążki, którymi związane są kwiaty tworzące bukiet.

Twarz Francisza Razorbacka staje się purpurowa.

– Kiedy byłem śmiertelny, nie zgadzałem się, by ktokolwiek używał mojej szczoteczki do zębów, czy też jadł z mojego talerza. Dlaczego, zostawszy bogiem, miałbym to zmieniać? Tworząc niepotrzebne mieszanki, sprawiamy, że wszystko staje się rozwodnione i zwietrzałe. Proszę zatem zatrzymać pański „bukiet”, a ja zachowam swój.

– Ależ, ojcze... – oponuje nieśmiało Raoul.

– Zamilcz, synu, ty się na tym nie znasz – ucina krótko Francis Razorback.

– Ale...

– Mój biedny Raoulu. Jak zwykle biadolisz. Jak zwykle narzekasz. Cała matka. Biedaczka, tak jak ty, przez całe życie pozostawała w moim cieniu, a kiedy odszedłem, okazało się, że nie potraficie żyć waszym własnym życiem.

– Ależ, ojcze... przecież to ty nas opuściłeś!

Razorback prostuje się, mierząc syna wzrokiem, a ten kuli się, jak przed ciosem.

– Znikając z waszego życia, zmusiłem was do odkrywania własnych talentów. Nie używany mięsień zanika. Odwaga jest właśnie takim mięśniem, podobnie jak niezależność i ambicja.

Raoul usiłuje usprawiedliwić się:

– Ojcze, powiedziałeś mi przecież: „Bądź mi posłuszny, bądź wolny”. Te dwa zwroty wykluczają się.

– Obserwowałem cię z zaświatów i spostrzegłem, że nadal jesteś maruderem, zamiast iść naprzód.

– Jak możesz tak mówić, ojcze? – protestuje Raoul. – Stworzyłem tanatonautykę. Odkryłem Czerwoną Planetę.

– Bez przesady – kontynuuje ojciec. – Zawsze w czyimś towarzystwie. I to w czyim, pytam? Ludzi bardziej od ciebie niezdecydowanych i lękliwych. Sam działałbyś szybciej i dotarł o wiele dalej. Bez nich byłbyś prawdziwym bohaterem.

– Martwym bohaterem – wzdycha Raoul.

Ojciec wzrusza ramionami.

Nie bierzemy udziału w tym pojedynku, choć w pewnym momencie dostrzegam w spojrzeniu przyjaciela ten błysk, który niegdyś tak bardzo mnie zaniepokoił.

– Twoja odwaga, poświęcenie. Udowodniłeś je, ojcze... popełniając samobójstwo – twierdzi Raoul.

– Świetnie – podniesionym głosem odpowiada ojciec. – Przecież ja popełniłem samobójstwo po to, by móc odkrywać nowe obszary. Obszary śmierci. Aby wskazać wam drogę. Narażony na nieustanne próby. Drwiąc z bogów. Kuszając los. Ty zaś zawsze ważyłeś wszystkie za i przeciw, mnożąc wątpliwości, nim zaczęłaś działać.

Wypowiedziawszy te słowa, z miną człowieka znudzonego całą tą gadaniną, Francis Razorback rozbiera się nagle, kładzie tunikę, togę i książkę na kępie paproci, a sam, nagi, wskakuje do wody, obojętny na zimno i wartki nurt. Oddala się, płynąc doskonałym kraulem. Będąc już na środku rzeki, odwraca się do nas, wołając:

– Widzisz, mój synu, znowu bawisz się w marudera, znowu czekasz na innych, zamiast sam podjąć decyzję! W życiu jest tak, że najpierw trzeba się zaangażować, a potem dopiero szukać odpowiedzi, po co!

Już szykujemy się, by pójść śladem najodważniejszego z nas, gdy nagle Marilyn nas powstrzymuje. Z wodnej tafli wynurzają się jakieś stworzenia. Kobiety-ryby. Mają tułów

kobiety, lecz ich biodra przechodzą w długi rybi ogon, zaopatrzony w pletwy. Ich niebieskie łuski lśnią metalicznym blaskiem, mieniając się jak cekiny.

– Ojcie, uważaj! – krzyczy Raoul.

Ale były nauczyciel nie słyszy go. Płynie już bardzo szybko. Kiedy zauważy niebezpieczeństwo, jest za późno. Na próżno zwiększa tempo, nie starcza mu czasu, by dotrzeć do drugiego brzegu. Rzeczne stwory łapią go za łydki i wciągają pod wodę. Raoul chce się rzucić na pomoc, lecz rabin Freddy Meyer powstrzymuje go, chwytając silnie dłoń.

– Zostaw mnie! – krzyczy Raoul, próbując się oswobodzić.

Widzę, że Freddy nie zdoła go długo utrzymać. Czuję, że muszę coś zrobić. Biorę kamień i uderzam przyjaciela w głowę. Nie po to dopiero co odnalazłem, żeby go znowu stracić. Przez chwilę spogląda na mnie zdziwiony, wreszcie pada na piasek jak długi.

Jego ojciec raz jeszcze uderza ręką w wodzie, po czym znika.

Jeden z centaurów, z pewnością zaalarmowany naszymi krzykami, zbliża się galopem. Razem z Freddyem chwytamy Raoula za stopy i ciągniemy w zarośla. Centaur podbiega do naszych śladów, pochyla się nad nimi, wacha, grubą gałęzią przeczesuje pobliskie krzewy, aż w końcu oddala się.

Syreny wynurzają z wody swoje piękne twarze, intonując melodyjny śpiew, mający nas zwabić.

– Tej nocy nic już nie zdziałamy – mówi Edmond Wells, marszcząc czoło.

Ledwie udaje mi się zabrać książkę zatytułowaną *Mitologia*.

23. MITOLOGIA: GENEZA GRECKA

Na początku był Chaos.

Nic go nie zapowiadało. Pojawił się tak zwyczajnie, bez kształtu, bez hałasu, bez wybuchu, za to nieskończenie wielki. Minęły tysiące sennych lat, nim całkiem niespodziewanie z Chaosu wyłoniła się Gaja – Ziemia.

Gaja była płodna i urodziła jajo, z którego wydobył się Eros, potęgą miłości. Bezcielesny bóg krążył we wszechświecie niewidoczny, niedotykalny, roznosząc wszędzie swą miłosną moc. Chaosowi spodobało się tworzenie bogów. Dlatego nie zatrzymał się w pół drogi, lecz stworzył Ereb – Ciemność oraz Nyks czyli Noc. Ci dwoje, połączeni w miłosnym związku, wydali na świat Eter – Powietrze, które wzniosło się nad światem, oraz Hemare, czyli Światło, oświetlające wszechświat. Tymczasem Ciemność i Noc nie umiały żyć w zgodzie. Uważały swoje dzieci za dziwne i szybko je porzuciły. Po narodzinach Eter i Światła, Ciemność i Noc uciekły, a kiedy decydowały się powrócić, odchodziły inni. Gaja zaś rodziła nadal.

Tak przyszedł na świat Uranos – Niebo, które zajęło pozycję nad jej głową, oraz Urea – Góry, umieszczone u jej boku, a także Pontos – Woda, płynąca po jej ciele. Czwarte dziecko, Tartar – podziemny świat jaskiń, pozostał w łonie matki. Niebo, morze, góry, świat podziemny, wszystko to sprawiło, że Gaja stała się jednocześnie boginią oraz planetą doskonałą. Ale ciągle była bardzo płodna, a panteon jej bóstw nadal się zapelniał. Ze swoim pierwszym synem, Uranosem, spłodzili dwunastu Tytanów, trzech Cyklopów oraz trzech Hekatonchejrów, sturękich olbrzymów o pięćdziesięciu głowach.

Jednak kiedy Uranos zrozumiał, że jest tylko zabawką w rękach matki, odmówił bycia ojcem, znienawidził i uwięził Tytanów oraz Cyklopów w podziemnym świecie – Tartarze. Rozwścieczona Gaja ukuła ostry sierp i dała go swoim dzieciom, dręczącym ją z podziemia, aby odzyskały wolność, zabijając obłąkanego ojca.

Zbyt mocno jednak obawiały się swego rodzica, aby ośmielić się działać. Wołały gasnąć z zamknięte w więzieniu, niż narazić się na gniew Nieba. Tylko Kronos, najmłodszy z Tytanów, podjął się tego zadania. Kiedy Uranos próbował wziąć Gaję siłą, Kronos ugodził ojca sierpem i wykastrował, wrzucając jego męskość do morza. Uranos, wyjąc z bólu, oddalił się od Ziemi i nigdy już nie powrócił. Przerazony zbrodnią popełnioną przez syna, rzucił na niego klątwę: „Ten, który ośmielił się podnieść rękę na swego ojca, sam zginie z rąk własnego syna”. Tak więc Uranos – Niebo i Gaja – Ziemia, dawszy życie wielu dzieciom i przeżywszy wiele złych chwil, rozstali się na zawsze. I wtedy nastąpił rządządy Kronosa – boga czasu.

Edmond Wells,

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej

(według Francisca Razorbacka, zainspirowanego dziełem Hezjoda, 700 r. przed Chrystusem)

24. ŚMIERTELNICY. ROK 0

Osuwam się na fotel w mojej willi. Jestem wyczerpany. Co za noc! Powrót, dzięki tunelowi wydrążonemu pod murami przez moich przyjaciół, okazał się o wiele łatwiejszy niż droga w tamtą stronę. Jednakże musieliśmy nieść ciągle nieprzytomnego Raoula.

Dzięki numerowi wygrawerowanemu na jego ankh wiedziałem, gdzie mieszka. Willa 103 683. Położyliśmy go do łóżka. Choć jutro piękny guz przyrozdobi mu skroń, nadal będzie wśród nas, zamiast na dnie niebieskiej rzeki.

Zamykam oczy. Kolejne odczucie ogarnia moje ciało. Zmęczenie. Pałą mnie wszystkie mięśnie. Serce mocno wali. Jestem spocony, a tunika lepi mi się do ciała. Poza tym jestem głodny. Głodny i spragniony. Jestem wyczerpany, lecz zbyt zdenerwowany, by zasnąć. Nie słyszałem bicia dzwonu, ale sądzę, że jest druga w nocy.

Tak jest. Słysząc dwa uderzenia. Koniecznie muszę odpocząć. Zajęcia zaczynają się o ósmej. Wydaje mi się, że kiedy byłem człowiekiem, potrzebowałem przynajmniej sześć godzin snu, by zregenerować siły.

Zmieniam pozycję, odwracam się i zatrzymuję wzrok na zaokrąglonym krzyżu, wiszącym na szyi. Jest piękny. Zupełnie przypadkowo naciskam na przycisk oznaczony literą D. Ankh wysła promień, tworzący niejedną linię, lecz jaskrawą wiązkę białego światła, skierowaną w jeden cel. Cała ta mnogość błysków w rezultacie niszczy krzesło.

Oto czym jest ankh, kiedy nie produkuje światła. Straszna broń. Obracając guzik D, spostrzegam, że można w ten sposób redukować lub zwiększać moc błyskawicy. Im mocniej przekręcę, tym bardziej światło przypomina promień lasera. A do czego służy litera A? Obracam i naciskam. Nic. To może przycisk N? Spodziewam się różnych katastrof, ale nie tego, że zobaczę włączony ekran telewizora.

A więc w moim ankh znajduje się pilot, którego tak szukałem. A co dają w Tele Olimpia? Niska kobieta o skośnych oczach, której towarzyszą dwie pielęgniarki i mężczyzna, właśnie rodzi dziecko. Kobieta zaciska zęby i nie wydaje z siebie żadnego krzyku. Pielęgniarki także milczą. Wszystko toczy się w atmosferze skupienia. Cyfra z boku ekranu wskazuje na kanał: 1. Obracam krążek, by przełączyć na dwójkę. Znowu poród. Tym razem otyła blondynka. Mniej światła, ale więcej ludzi. Jakiś błąd, cherlawy mężczyzna o spojrzeniu bretońskiego spaniela, z całą pewnością mąż, ściska dłoń rodzącej, pozwalając jej miażdżyć swoją. Od czasu do czasu stara się pochylić, aby zobaczyć, co tam się dzieje, ale szybko unosi się z powrotem, przerażony. Kobieta dyszy jak szczeniak i łaje wszystkich, zdaje się po grecku. Tlum pielęgniarek i młodych lekarzy uwija się wokół niej. W głębi sali widać całą rodzinę. Głos przyszłej mamy dominuje nad zgromadzonymi. Kobieta wydaje polecenia i głośno krytykuje wszystkich przedstawicieli służby zdrowia.

Trzeci kanał. Tutaj poród odbywa się nie w szpitalu, lecz w drewnianej chatce, zbudowanej wśród drzew typowych dla afrykańskiego pejzażu. Rodzącej towarzyszą tylko kobiety. Akuszerka ubrana jest w świąteczną sukienkę, a zaplecione na jej głowie warkoczyki tworzą najbardziej niezwykle wzory. Stojące wokół dziewczynki nuć melodię, której rytm wybijają tam-tam. Niewielka grupa zebranych w ogrodzie ludzi podchwytuje pieśń.

Czwarty kanał brak. Po obejrzeniu trzech pierwszych doszedłem do wniosku, że w Olimpii telewizja nadaje tylko sceny porodów. Chyba, że trafiłem na wydanie specjalne, poświęcone „narodzinom na świecie”.

Wracam na „jedynekę”. Wątpła istotka płacze cichutko. Jedna pielęgniarka zakłada jej na małą rączkę bransoletkę z danymi dziecka, potem wstrzykuje coś w ramię. Druga

wprowadza do noska rurkę, podtrzymywaną kawałkiem plastra.

Na „dwójce” duże, grube niemowlę fika nóżkami i wrzeszczy, ku radości zgromadzonej rodziny. Każdy podchodzi, by ucałować dziecko, podczas gdy uzbrojona w nieostre nożyczki pielęgniarka męczy się z pępowiną.

Noworodek z kanału trzeciego leży na rękach akuszerki, która pokazuje go przez okno zgromadzonym w ogrodzie ludziom. Na nowo podejmują pieśń, którą na swym posłaniu nuci także matka.

Wiedziony jakimś przeczuciem, otwieram szeroko oczy. Trzy narodziny. Dobry Boże. Przecież to moi byli klienci, trzy dusze, którymi zajmowałem się jako anioł. Afrykańskie dziecko to z pewnością Venus Sheridan, amerykańska gwiazda, która w nowym życiu będzie poszukiwała swych korzeni. Mały Grek to chyba Igor, mój rosyjski żołnierz. Z wierności dla języków używających cyrylicy postanowił ponownie narodzić się na ziemi helleńskiej. Ten, którego nienawidziła własna matka, zapraśnie takiej, która będzie go uwielbiać, gdyż widząc, jak gruba kobieta okrywa go ognistymi pocałunkami, nie mam wątpliwości, że udało mu się pokonać klątwę mówiącą, że przez dziesięć kolejnych cykli reinkarnacji własna matka będzie chciała go zniszczyć. Wreszcie dziecko azjatyckie to Jacques, mój pisarz. Zafascynowany Orientem, tym razem znalazł się właśnie tam. Stwierdzam szybko, że fakt wyzwolenia Jacques’a z konieczności kolejnych narodzin nie sprawił, że zapragnął zostać aniołem. Wołał wrócić na Ziemię jako bodhisattwa, jedna z obudzonych dusz, które wybierają powrót na Ziemię, by móc oddziaływać na bliźnich.

Wszystkie noworodki mają pomarszczone buźki małych staruszków. *Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej* mówi prawdę, twierdząc, że w pierwszych sekundach po narodzinach przybysz ma jeszcze cechy fizjonomii starca, którym był w ostatnim stadium swojej poprzedniej reinkarnacji. Pozostają mu też okruchy wspomnień, póki palec anioła stróża nie wyrzeźbi pod jego nosem bruzdy zapomnienia. Anielski pocałunek niepamięci.

Mała dziewczynka, starsza siostra afrykańskiego noworodka, podchodzi do dziecka, szepcząc mu na ucho słowa, które wprawiają mnie w zakłopotanie: „Nie zapomnij, tylko nie zapomnij tego wszystkiego, co zdarzyło się przedtem. Nie zapomnij, a kiedy już będziesz umiał mówić, opowiedz to mnie, która wszystko zapomniałam”.

25. MITOLOGIA: KRONOS

Pozbywszy się swego ojca, Uranosa, którego wykastrował, Kronos zasiadł na jego tronie. Oddalony od Ziemi Uran os tylko czasami manifestował swą obecność, spuszczać na nią deszcz. Natomiast Gaja, matka Ziemia, znalazła sobie innego kochanka wśród własnego potomstwa, wybierającym razem Pontosa – Wodę. Z ich związku narodziły się liczne istoty wodne. Także Tytani nie stronili od kazirodczych związków ze swoimi siostrami. Okeanos, najstarszy z nich, splodził z Tetydą trzy tysiące córek, które stały się źródłami, strumieniami i rzekami. Nyks związała się jednocześnie z Hipnosem – snem, Tanatosem – śmiercią, Eris – niezgodą, Nemezis – gniewem.

Kronos z kolei poślubił swą siostrę Reę, a z ich związku narodzili się Hestia, Hera, Demeter, Hades i Posejdon. Pamiętając o klątwie ojca, który przepowiedział mu, że także własne dzieci pozabawią go tronu, Kronos połykał je wszystkie zaraz po urodzeniu.

Bojąca nad zębą potomstwa Rea ukryła się na Krecie, by uchronić swą szóstą latorośl, Zeusa. Za radą swojej matki Gai uciekła się do podstępny. Zamiast noworodka, dała Kronosowi kamień zawinięty w pieluszki. A na aiwny rodzic n atychmiaszt go połknął.

Uratowany dzięki temu fortelowi Zeus rósł ukryty w jaskini, rozpieszczany przez Nimfy, które, ilekroć zakwilił, uciszały go swoim śpiewem, by krzyki lub płacz dziecka nie dotarły do uszu Kronosa. Tymczasem Zeus osiągnął wiek męski. Pewnego dnia podał ojcu do picia kuszący napój alkoholowy, dodawszy do niego uprzednio silny środek wymiotny. Podstęp się udał. Kronos zwrócił nie tylko zawinięty w pieluszki kamień, lecz także pięcioro starszych dzieci. A nim odzyskał siły, Zeus, Hestia, Demeter, Posejdon i Hades schronili się na szczycie góry Olimp. Chcąc się zemścić, Kronos wezwał na pomoc swych braci i siostry – Tytanów. Rozszalała się prawdziwa wojna Nieśmiertelnych starego i nowego pokolenia. Początkowo Tytani odnosili zwycięstwo, lecz jeden z nich, niejaki Prometeusz, przeszedł na stronę Zeusa, nie szczędząc mu swych rad. Kazał mu wezwać jednookich Cyklopów i sturękich Hekatonchejrów. Wszyscy okazali się wspaniałymi sprzymierzeńcami. Zeusowi podarowali grzmot, błyskawicę i pioruny, Posejdonowi trójząb, a Hadesowi niewidzialny hełm ciemności. Walka trwała aż do całkowitego zwycięstwa bogów olimpijskich. Pokonanych Tytanów strącono w otchłań Tartaru. Tylko ojciec Kronos zyskał przywilej banicji i został zesłany na Wyspę Błogosławionych.

Edmond Wells,

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej

(według Francisca Razorbacka, zainspirowanego dziełem Hezjoda, 700 r. przed Chrystusem)

26. SOBOTA: ZAJĘCIA KRONOSA

Ósma. Słysząc dźwięk dzwonu. Zasnąłem przed włączonym telewizorem, w pobrudzonej błotem todze. Biorę przysznic, ubieram się.

Jest sobota, dzień Saturna, rzymskiego odpowiednika greckiego boga Kronosa.

Śniadania nie widać. Ulice Olimpij są puste, gdzieś snuje się jeszcze warstwa mgły. Wilgotne od porannej rosy rośliny wydzielają ostrą woń. Kilkoro zagubionych centaurów, satyrów i nimf wygląda, jakby mieli ciężką noc. Trochę mi zimno w tej cienkiej todze. Grupa uczniów czeka już pod jabłonią, przystępując z zimna. Pierwszego dnia najwyraźniej byłam tak zaaferowany słynnymi zmarłymi, że nie zauważyłem przyjaciół z Imperium Aniołów. Raoul też nie spostrzegł w Amfiteatrze swojego ojca... Tym razem szybko odnajduję moich teonautów. Są wszyscy, z wyjątkiem Raoula.

– Gdzie jest Raoul? – pytam.

Marilyn i Freddy nie wiedzą. Edmond Wells twierdzi, że dołączy do nas z resztą klasy. To prawda, widzimy nadbiegających ze wszystkich stron spóźnialskich.

Atmosfera przywodzi na myśl rozpoczęcie roku szkolnego z mojego ziemskiego dzieciństwa, gdy czekaliśmy przed szkołą, zastanawiając się, jacy będą nasi nauczyciele.

W końcu pojawia się Raoul z opatrunkiem na głowie. Staje z dala od nas, nawet nie odpowiada na moje powitanie. Ostentacyjnie zaczyna rozmawiać z jakimiś nieznajomymi.

– Mam dość tego czekania – mówi Marilyn. – Jest mi zimno, mam gęsią skórkę.

Chcąc ją rozgrzać, Freddy obejmuje ją ramieniem, a ona wtula się w niego. Podchodzi do nas Mata Hari.

– Wygląda na to, że jest mniej uczniów. Zabrakło dwóch kolejnych. Jest nas więc już tylko 140.

– Zabijają nas, mordują jednego po drugim! – wykrzykuje Proudnon. – To nie szkoła, to rzeźnia! Najpierw Debussy, potem inni, my będziemy następn!

– Co się stało z dwoma pozostałymi? – dopytuje się zezowaty uczeń, Lucien Dupres.

– Pewnie zginęli w lesie – odpowiadam wymijająco.

– Sądzi pan, że ryzykowali nocną eskapadę? – pyta ze zdziwieniem.

– Może próbują powrócić do Imperium Aniołów? – sugeruję.

– Atena mówiła, że za bogobójstwo grozi wyjątkowo surowa kara – przypomina Marilyn.

Olimpijscy bogowie zawsze wydawali mi się barbarzyńscy. Nasz dzisiejszy profesor, Kronos, zjadał swoje własne dzieci.

Hora Eunomia w swej nieskazitelnej szafranowej todze prosi, byśmy poszli za nią Południową Aleją.

Podążamy długim szeregiem. Korzystam z okazji, by odnaleźć Raoula.

– Uderzyłem cię po to, by cię uratować. Wiedziałem, że chcesz pomóc ojcu, ale twoje poświęcenie nic by już nie dało.

Patrzy na mnie twardym wzrokiem i czuję, że jest za wcześnie na pojednanie i wybaczenie.

Pałac Kronosa mieści się z prawej strony alei. Obok stoi dzwonnica, toteż budowla kojarzy się z kościołem. Zresztą, to jej dzwony biją jak oszalałe, przypominając o rozpoczynającym się semestrze.

Drzwi są szeroko otwarte i Hora Eunomia zachęca nas, byśmy zajęli miejsca na drewnianych ławkach, ustawionych naprzeciw podestowi, na którym stoi biurko z dwoma otworami u dołu i szufladą. Obok biurka umieszczono metrowej wysokości kieliszek do jajek. Z tyłu czarna tablica oczekuje nauczyciela.

Raoul stara się uisnąć z dala ode mnie.

Przyglądam się otoczeniu. Na licznych półkach ściennych, w ogromnym nieładzie stoi cały asortyment budzików, zegarków na rękę, zegarów ściennych, z kukułką, piaskowych, słonecznych, klepsydr. Są okazy warte fortunę, są też skromniejsze, z bakelitu lub plastikowe. Słychać różnorodne tik-tak.

Czekamy cierpliwie, porozumiewając się szeptem aż do chwili, gdy w głębi sali otwierają się drzwi i wchodzi dwumetrowy starzec, o twarzy naznaczonej nerwowymi tikami.

Gdy tylko się pojawia, zegary milkną. Pokasłuje, zasłaniając usta dłonią. Zapada zupełna cisza.

– W Olimpii bardzo lubimy zagadki – mówi na wstępie. – Więc proponuję wam następującą:

Pożera wszystko,
Ptaki, zwierzęta, drzewa, kwiaty,
Pogryzie żelazo, ugryzie stal,
Twarde skały w proch zamienia,
Uśmierca królów, niszczy miasta,
I spłaszcza szczyty najwyższych gór.
Kto to taki?

Spogląda na nas w milczeniu, następnie siada zrezygnowany.

– Macie jakiś pomysł?

Nie słychać żadnego dźwięku. Rzuca więc jakby z westchnieniem:

– To czas.

Wstaje i pisze na tablicy „Kronos”.

– Jestem Kronos, bóg czasu.

Jego szaty nie mają w sobie nic z dostojności. Ciemnoniebieska toga, chociaż przyozdobiona gwiazdami przywodzącymi na myśl niebo, jest w wielu miejscach podziurawiona i smutnie wisi na ramionach olbrzyma.

– Jestem waszym pierwszym nauczycielem, ale nie pierwszym mistrzem – wyjaśnia. – Jestem mistrzem zero. Nauczę was zarówno tworzyć czas, jak i go zdobywać. Musicie wiedzieć, że narodziłem się wcześniej niż wszyscy inni bogowie oraz, że jestem ojcem Zeusa.

W tej chwili przychodzi mi na myśl to wszystko, o czym czytałem w dziele Francisa Razorbacka. A więc, o ile dobrze rozumiem, to jest... bóg, najmłodszy z Tytanów, ten, który odciął jądra swojemu ojcu po to, aby objąć jego dziedzictwo. A następnie zabił swoje dzieci, by te nie postąpiły podobnie wobec niego.

– Punkt pierwszy. Zapoznacie się z narzędziami, które posłużą wam do pracy.

„Narzędzia boskie” – pisze na tablicy, jednocześnie zadając pytanie:

– Kto mi przypomni, jakimi pięcioma środkami dysponowaliście, będąc aniołami?

Podnosi się kilka rąk. Kronos wskazuje na brunetkę z dolkiem w brodzie, która wymienia posłusznie:

1) Sny.

2) Intuicja.

3) Znaki.

4) Medium.

5) Koty.

– Bardzo dobrze, panienko. Nadal będziecie mogli z nich korzystać, ale oprócz tego macie jedno dodatkowe narzędzie, właściwe bogom. Wasz ankh.

Wyjmuje z togi zaokrąglony krzyż, o wiele większy od naszych.

– Przyjrzyjmy mu się wspólnie. Widzicie tu trzy czarne przyciski, opatrzone białymi literami D, N, A. Ja opowiem wam tylko o „D”. „D” uruchamia pioruny. „D” dzieli, tnie, niszczy, rozkłada. W oddziaływaniu na wasze ludy przycisk ten umożliwi zsyłanie burzy, palenie i zabijanie. Używać z rozmysłem. „D” może zabijać nawet w Olimpii. Dlatego nie wolno wam kierować ankh w stronę innych uczniów, bogów-nauczycieli, chimer czy jakiegokolwiek innej żywej istoty.

Jeżeli umyślnie wykorzystacie ankh w złych zamiarach, zostaniecie ukarani. Wiem, iż miał już miejsce taki wypadek, że jeden uczeń zabił drugiego.

– Wcześniej czy później, bogobójca zostanie wykryty – dodaje z zimnym wyrazem twarzy, a ja odnoszę wrażenie, że wymawiając te słowa, w szczególny sposób wpatruje się we mnie i drzę na całym ciele, on zaś mówi dalej, tym razem patrząc na całą klasę:

– Pamiętajcie, by przed zajęciami naładować baterie. W swoich pokojach znajdziecie niewielkie gniazdko. Trzeba w nie włożyć ankh. Dla tych, którzy umarli niedawno, dodam, że działa to podobnie, jak w przypadku telefonu komórkowego.

Mówiąc to, chwytą za wiszący z prawej strony sznurek.

Rozlega się dźwięk dzwonka i jakiś inny starzec-wielkolud wchodzi do klasy, dysząc pod ciężarem owiniętej w brezent ogromnej kuli trzymetrowej średnicy, która ledwie mieści się w drzwiach.

– Nie tak szybko – stęka z wysiłku. – Już nie mogę.

– Przedstawiam państwu Atlasa. By mu dodać odwagi, proszę o oklaski.

Klaszczemy.

Świszczący oddech, ciężki krok. Podchodzi do wielkiego kieliszka do jajek i raczej zrzuca, niż kładzie swoją kulę, a następnie wyciera chustką spocone czoło.

– Pewnie nie macie pojęcia, ile to waży.

– Odpocznij chwilę – lituje się Kronos. – To ci pomoże.

– Nie pomoże. Mam dość pracy w takich warunkach. Nikt nie zdaje sobie sprawy, jak uciążliwe jest moje zadanie. Potrzebny mi jakiś pomocnik albo przynajmniej wózek.

– Porozmawiamy później – odpowiada uprzejmie Kronos. – To nie czas ani miejsce na tego rodzaju dyskusje.

Skinąwszy uczniom głową, Atlas wychodzi, powłócząc nogami. Dźwięk jego oddechu zdaje się być głośniejszy niż hałas dobywający się z kuźni.

Z powagą w głosie Kronos wraca do przerwanych zajęć.

– Być bogiem to przejść z mikrokosmosu do makrokosmosu. Jako anioły pracowaliście w sposób rzemieślniczy, tylko dla trzech śmiertelników, zajmując się nimi od dnia ich narodzin aż do śmierci, czyli przez okres zwykle nie przekraczający jednego wieku. Obecnie wasze boskie zadanie dotyczyć będzie tysięcy, a nawet milionów osób, których losy będziecie śledzić przez tysiąclecia.

Cały zamieniam się w słuch, chłonąc każde jego słowo.

Kronos zdejmuje brezent i naszym oczom ukazuje się szklana kula. W środku widać planetę. Wygląda jak zawieszona w próżni, a jej powierzchnia delikatnie dotyka ścian kuli.

– Podejdźcie tu.

Kiedy stajemy wokół, Kronos sprawia, że zapada ciemność, co pozwala nam lepiej widzieć planetę, świecącą swym własnym światłem.

– Wasze ankh posiadają ucho, w środku którego znajduje się lupa. Przyłóżcie ją do szklanej ściany i obracając guzik oznaczony literą „N”, którego używaliście już do zmiany programów w telewizji, spójrzcie z bliska na interesujący was region.

Podnoszę rękę.

- A do czego służy przycisk „A”?

Kronos ignoruje moje pytanie i każe nam wypróbować nowe narzędzie. Stajemy na krzesłach, by znaleźć się na wysokości zaznaczonego w szklanej kuli równika i przytykamy oko do ankh-lupy, by przyjrzeć się powierzchni planety.

- Czy ten świat rzeczywiście znajduje się tutaj, w środku szklanego globu? - pyta Georges Méliès.

- Dobrze pytanie, lecz odpowiedź brzmi „nie”. Ta kula to tylko ekran, a to, co widzicie w środku, to wyłącznie przestrzenne odwzorowanie powierzchni planety. Swego rodzaju hologram.

- W jaki sposób kula jest oświetlona? - pyta kolejny uczeń.

- Odbija światło własnego słońca. Przy czym, ponieważ to wszystko, co tu ujrzyście, dzieje się naprawdę, wszystko, co zrobicie, także będzie miało bezpośrednie działanie.

- Gdzie w rzeczywistości znajduje się ta planeta? - pyta Gustave Eiffel.

- Gdzieś w kosmosie. Nie musicie tego wiedzieć. Jej umiejscowienie nie ma żadnego znaczenia dla waszej dalszej pracy.

Dzięki lupie widzę na powierzchni planety wielki, czarny ocean, poprzecinany nitkami białej piany. Wylaniają się z niego kontynenty o nieregularnych brzegach. Na lądzie są plaże, równiny, lasy, łańcuchy górskie, niektóre pokryte śniegiem, doliny, obszary pustynne i rzeki. Ustawiając zoom za pomocą przycisku „N”, mogę rozróżnić osady, wsie i miasta, a nawet ulice i domy. Prawdziwy świat w miniaturze.

Ponownie obracam pokrętko „N” i pojawiają się stada zwierząt oraz pola, korki na drogach i maleńcy ludzie poruszający się po miejskich arteriach. Miasta wyglądają jak żywe istoty, oddychające i wydzielające dymy, migoczące tysiącami światełek.

Ale brakuje głosu. Kronos najwyraźniej o tym wie, gdyż rozdaje nam słuchawki i wyjaśnia, jak je podłączyć do naszych ankh. O ile dobrze rozumiem, działają one na zasadzie mikroanteny. Teraz słyszę, co się dzieje tam, gdzie skieruję moją lupę.

Wylawiam spośród tłumu dwoje maleńkich ludzi. Chyba gdzieś musi być zamontowany automatyczny translator, bo od razu rozumiem, to co mówią. Skarżą się na „pokręconą” pogodę. Kawalek dalej zgromadzeni w świątyni skarżą się, że „bogowie ich opuścili”.

Zachwyceni przenosimy nasze lupy w kolejne miejsca. Przypominam sobie, jak w czasach, gdy byłem aniołem, śledziłem, co przydarza się powierzoną mi śmiertelnikom. Jak reżyser filmu, zmieniam kąt widzenia, wykorzystując wszystkie możliwe pola.

Niektórzy uczniowie wspinają się na palce, by móc obejrzeć półkulę północną; inni, przykucnięci, oglądają południowe tereny. Z naszymi słuchawkami i ankh przypominamy lekarzy osłuchujących ogromną, żywą brodawkę.

Drwimy z nieprzejrzyistości murów, możemy przechodzić przez dachy, zaglądać do domów i poznawać tajemnice żyjących tam ludzi. Strefa cienia to noc. Jedni śpią, pochrapując, inni uprawiają miłość. Niektórzy nie mogą spać, więc wychodzą na balkon zapalić papierosa, podlewając przy okazji pelargonie. Gdzieś tam włączone są jeszcze telewizory.

W innym miejscu już ranek. Maleńcy ludzie wstają, myją się, ubierają, szybko wypijają poranną kawę. Niektórzy szykują się do szkoły. Dorośli spieszą się, by zdążyć do fabryki lub biura.

Jakież ruch na zatłoczonych ulicach! Kierowcy trąbią, stojąc w ulicznych korkach, piesi przepychają się w podziemiach metra. Czas mija i wszystko zaczyna się tak, jakby biegło w odwrotnym kierunku. Światła w oknach zapalają się w tej samej chwili, co na ulicach. Włączają się telewizory.

O tej porze nadają wiadomości. Zobaczę, co mówią dziennikarze. W jakimś górskim regionie

widąc ludzi wymachujących bronią. Krzyczą, biegną, walczą, strzelają do siebie, wyją z bólu, umierają.

Dla bogów wojna jest niewątpliwie spektaklem wartym zobaczenia, gdyż większość z nas trzyma lupy skierowane na pole bitwy. Obserwujemy walczące strony, nie wiedząc, kto z kim i dlaczego walczy. Niektórzy uczniowie zakładają się, że wygrają wojownicy w ciemnozielonych mundurach, którzy zdają się być zręczniejsi od tych w jasnozielonych. Ale śmierć uderza także w miasta. Widzę ludzi oglądających w kinie romantyczną komedię, gdy nagle budynek wybuchu. Krzycząc z przerażenia, rozbiegają się na wszystkie strony. Wyją syreny ambulansów. Na chodnikach i na ulicy leżą porozrywane ciała. Przerażeni mężczyźni i kobiety płaczą, jęczą, załamują ręce.

Dalej widzę, jak ratownicy zabierają ciała, ulica jest posprzątana, życie toczy się dalej, ludzie wracają do swoich zajęć. Postępują podobnie jak mrówki, kiedy dziecko nadeśnie na mrowisko.

Podskakujemy, słysząc dźwięk dzwonka. Kronos zapala światło. Przecieramy oczy, jakby wyrwano nas z głębokiego snu. Przez chwilę wydawało nam się, że jesteśmy tam, z nimi. Odkładamy lupy i zdejmujemy słuchawki.

– Nie pozwólcie, by wywierały na was wrażenie ludzkie działania – radzi nam bóg czasu. – Musicie zrozumieć istotę tych ludzi, ich aspiracje, nadzieje, nie zaś... gesty.

Spod kieliszka do jajek Kronos wyjmuje szeroki, ciężki i bardzo złożony zegar.

– Czy ktoś pomyślał, by sprawdzić kalendarz tej planety? Ta sama brunetka, która wymieniała pięć środków działania stosowanych przez anioły, po raz kolejny podnosi rękę.

– Mają teraz rok 2035 – mówi.

– Rok 2035 „ich” ery – precyzuje Kronos. – Tak naprawdę ludzie ci żyją piętnaście miliardów lat od wielkiego wybuchu, pięć miliardów od powstania ich planety, trzy miliony lat od narodzin ich pierwszego człowieka oraz sześć tysięcy lat od powstania ich pierwszego miasta. Ale by pokaz był bardziej klarowny, zostawimy ich obliczenia.

Kronos przekręca mechanizm zegara i liczba 2035 pojawia się na umieszczonym w jego górnej części ekranie.

– To miejsce przypominało trochę naszą Ziemię – szepcze jeden z uczniów.

Mistrz przytakuje.

– Nie istnieje tysiąc sposobów tworzenia świata ani zamieszkujących go istot. Jednak to nie była wasza Ziemia – słyszymy i oddychamy z ulgą.

– Czy zauważyliście jakieś różnice?

Odpowiedzi padają jedna po drugiej.

– Ubrania. Noszą dziwne ubrania.

– Żywność. Jedzą dziwne rzeczy, zupełnie mi nieznane.

– Religie. Ich symbole religijne nie są znane na Ziemi, a ich świątynie zupełnie nie przypominają naszych.

– Planeta ma siedem, a nie sześć kontynentów. I mają inny kształt.

– Ich samochody są szersze.

Słyszac każdą odpowiedź, Kronos kiwa potakująco głową. A potem dodaje:

– Ta planeta jest również większa od Ziemi, a pory roku są wyraźniejsze: upalne lata i srogie zimy... Zamieszkuje ją osiem miliardów osób – mówi, zapisując liczbę na tablicy.

– My, bogowie, nadajemy każdej planecie własną nazwę. To „Ziemia 17”. Ziemia, ze względu na grawitację, meteorologię, chemię, które są takie same, jak tam, skąd pochodzicie. 17, ponieważ pracowało nad nią już 17 roczników.

– Jak w takim razie nazywa się nasza Ziemia? – pyta Edmond Wells.

– „Ziemia 1”.

W tym momencie ogarnia nas wszystkich uczucie dumy z faktu przynależności do pierwszej Ziemi, pierwotnej planety, której wszystkie inne są tylko bladą kopią. Kronos potwierdza:

– „Ziemia 17” to tylko erzac waszej „Ziemi 1”. Stworzyliśmy ją specjalnie na ćwiczenia dla bogów. To taka planeta „brudnopis”, a więc, jak wszystkie brudnopisy, służy do prób i doświadczeń...

Czuję, że ten pomysł działa na mnie podniecająco.

– Pokażę wam coś, czego nie potrafi zrobić żaden inny nauczyciel.

Z dumnym uśmiechem zegarmistrza zadowolonego ze zbudowanego prototypu, umieszcza swój dziwny zegar pod ostrym światłem, padającym z zawieszonej pod sufitem lampy. Naszym oczom ukazuje się cały system kółek zębatych i gładkich, przeplatających się z rurkami wypełnionymi kolorową cieczą. Pośrodku tej mechanicznej płataniny znajduje się szeroka, okrągła tarcza i dwie wskazówki. Nad wszystkim góruje cyfrowy ekran, na którym wyświetla się napis: „rok 2035”.

Kronos ostrożnie otwiera szybę chroniącą tarczę i jednym palcem popycha do przodu dużą wskazówkę. Ukradkowe spojrzenie na „Ziemię 17” pozwala mi stwierdzić, że tamtejsze samochody przekształcają się w bolidy, a ludzie poruszają się bardzo szybko.

Ponownie bierzemy nasze ankh, by obejrzeć skutki doświadczenia na planecie. Wygląda, jakby migotała... Światło, ciemność, dzień, noc następują po sobie z ogromną szybkością, gdy tymczasem na ekranie widzimy zmieniające się liczby: 2036, 2037, 2038, 2039...

Stwierdziwszy, że czas nie płynie wystarczająco szybko, Kronos zastępuje dużą wskazówkę małą i już nie lata, a całe dziesięciolecia przesuwać się przed naszymi oczami. „Ziemia 17” jakby znieruchomiała, jej światła już nie migoczą. Powstają budynki, by za chwile zniknąć, ustępując miejsca innym, jeszcze wyższym. Serpentyne dróg stają się coraz szersze i wielopasmowe. Na niebie przemieszczą się statki powietrzne różnych kształtów.

A potem miasta przestają się rozrastać, statki powietrzne pojawiają się coraz rzadziej, aż całkiem znikają, autostrady zamieniają się w ścieżki...

2060, 2070, 2080, 2090... Chciałbym, aby Kronos zatrzymał tę karuzelę, bym mógł zrozumieć, dlaczego wszystko stanęło, ale on kontynuuje swój szalony bieg.

2120, 2150, 2180, 2190. Wreszcie, zatrzymuje się na roku 2222.

– A teraz patrzcie – zachęca – patrzcie, co stało się z tą planetą w ciągu dwóch wieków.

Ponownie gasi światło. Wkładamy słuchawki.

Nie ma już zadymionych i oświetlonych miast. Nie ma samochodów. W nocy nie widać światła. Zostało tylko kilka wędrownych plemion, uzbrojonych we włócznie i strzały.

27. ENCYKLOPEDIA: TRZY KROKI W PRZÓD, DWA KROKI W TYŁ

Cywilizacje rodzą się, dorastają i umierają, jak wszystkie żywe organizmy. Mają swój własny rytm: trzy kroki w przód, dwa kroki w tył. Oddychają. Przeżywają okres egzaltacji, kiedy wszystko zdaje się krążyć w spirali szlachetności: większy komfort, więcej wolności, mniej pracy, lepsza jakość życia, mniej niebezpieczeństw. To chwila inspiracji. Trzy kroki w przód. A potem, po osiągnięciu pewnego poziomu, rozkwit ustaje i krzywa zaczyna opadać. Pojawia się zamieszanie, a następnie strach, wywołujące przemoc i chaos. Dwa kroki w tył. Zazwyczaj bywa tak, że ta faza również osiąga swój kres, by znów powrócić do fazy in spiracji. Ileż jednak straconego czasu... Tak właśnie powstało, rosło, kwitło i rozwijało się Cesarstwo Rzymskie, we wszystkich dziedzinach wyprzedzając inne cywilizacje: w systemach prawnych, kulturze, technologii... A potem widzieliśmy, jak się psuje, staje się tyranem, by wreszcie upaść, opanowane przez Barbarzyńców. I trzeba było czekać na średniowiecze, aby ludzkość podjęła dzieło, przerwane przez Rzymian w czasach ich świetności. Nadszedł kres nawet najlepiej rządzonych i najbardziej przewidujących cywilizacji, tak jakby ich upadek był nieuchronny.

Edmond Wells,
Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

28. CZAS ZAPISANY NA BRUDNO

Zniszczone pola. Zrujnowane krajobrazy. Podmyte drogi, zarosnięte przez ciernie. Splądrowane budynki, w których ukrywają się nieliczni ludzie, gotowi zabić dla najmniejszej ilości pożywienia. Bandy dzikich dzieciaków, walczące o marne jądło z dobrze zorganizowanymi stadami psów. Ocalali z wojen żołnierze, którzy atakują nielicznych wędrowców, poszukiwaczy wyimaginowanych, lepszych horyzontów, a potem lupią ich i zabijają.

W 2222 roku na „Ziemi 17” ludzkość zapomniała, co to jest moralność i medycyna. Epidemie dziesiątkują tych, którym udało się przeżyć. Nie ma telewizji, radia, globalnego przekazu. Miejsce cywilizacji zajęła wściekła przemoc i absolutne dobro jednostki. Przyklejony do lupy, przebiegam wzrokiem przez wszystkie siedem kontynentów, szukając czegoś, co zapowiadałoby odnowę.

Moja wytrwałość zostaje nagrodzona: w gęstym lesie widzę polanę, na której jakieś plemię wydaje się tworzyć wioskę. Chaty na palach, zwrócone ku sobie, ustawione są w półkołu. Płonące na środku placu wielkie ognisko ogrzewa zgromadzonych przy nim ludzi. Ich włosy z wetkniętymi weń ptasimi piórami lśnią od zwierzęcego loju.

Powrót do prehistorii...

Tymczasem w jednym z kącików placu jakiś starzec zwraca się do słuchających go z uwagą dzieci i tak, razem z nimi, dowiaduję się historii upadku ich świata w wersji, jaką przekazał mu ojciec, jemu zaś inny przodek-gawędziarz.

„Niegdyś – opowiada – ludzie potrafili latać. Mogli rozmawiać ze sobą na odległość. I to na całej planecie. Podróżowali, przemieszczając się w specjalnych kapsułach. Posiadali maszyny, które myślały lepiej i szybciej. Potrafili nawet tworzyć światło bez użycia ognia. Niegdyś... setki narodów żyły w pokoju dzięki swojej «demokratycznej» cywilizacji. Ale potem niewielka grupka państw, w których rękach były surowce naturalne, zaczęła likwidować «demokratyczne» wartości i zastępować je religią opartą na Zakazie. Nawróceni wybierali spośród siebie przedstawicieli, którym nadawano miano «Zakazywaczy». Ci zaś dawali o sobie znać, mordując wyznawców innych kultów, paląc ich świątynie, następnie zabijając swoich własnych zwolenników i oczywiście tych, którzy byli im przeciwni. Podkładali bomby wszędzie tam, gdzie gromadzili się wierni idei demokracji, powodując niezliczone ofiary. Demokraci, nie wiedząc, jak reagować na bezduszną przemoc, nie zaprzeczając przy tym własnych wartości, początkowo przymykali oczy, potem usiłowali schlebiać Zakazywaczom, proponując im różne przywileje. Ci ostatni w ich postawie widzieli tylko oznakę słabości, a więc mnożyli akty przemocy. Im więcej krzywd wyrządzali Zakazywacze, tym bardziej demokraci szukali usprawiedliwienia ich postępów, znajdowali wytłumaczenie i oskarżali siebie, że to oni sami sprokowali takie zachowania.

Pewni siebie i przekonani o słuszności swoich poglądów Zakazywacze wyznawali proste zasady, co różniło ich od demokratów i wiernych innych religii. Tym samym zdobywali nad nimi przewagę. Podczas gdy jedni żyli w zwątpieniu i złożoności swoich poglądów, drudzy powolutku zakazywali swoim kobietom kształcić się oraz pracować i zmuszali je, by zostawały w domu, zajmując się kuchnią i dziećmi. Demokraci, przekonani, że w świecie rządzonej przez naukę, logikę i technologię, na obskurantyzm nie ma miejsca, wierzyli, że prędzej czy później musi on zginąć. Ale on trwał. Zaś ruch Zakazywaczy rozwijał się i rósł w siłę, znajdując swych wyznawców wśród przeciwników postępu. Najpierw tych, którzy uważając się za pokrzywdzonych, sądzili, że to będzie ich zemsta, by wreszcie zarazić intelektualistów, znajdujących w przemocy i prostocie formy nowy pomysł na przyszłość.

Updłone demokratyczne społeczeństwa na kolanach, jedno po drugim poddawały się jarzmu

wyznawców nowej religii. Dalekie od tego, by stawić im czoła, spierały się, jak powstrzymać zarazę. I nie znalazły sposobu. Podczas gdy dogorywały ostatnie punkty oporu, nad wszystkim zapanał terror. Obowiązywało jedynie prawo Zakazywaczy. A ludzie nawracali się, by zapewnić sobie spokój lub uratować życie. Przyjęli nowe zasady wiary. Kobiety były posłuszne mężczyznom, którzy nad nimi panowali i posiadali wszelkie prawa. Nikt już nie śmiał wyrażać swoich poglądów, nikt nie kształcił się w innej dziedzinie niż religia, nikt już nie śmiał posiadać własnych przekonań. Zmuszano wszystkich do ciągłej modlitwy o wyznaczonych porach. Ci, którzy próbowali się wyłamać, padali ofiarą sąsiedzkich donosów.

– Dlaczego tak się działo? – zapytało jedno z dzieci.

– Demokraci stawiali pytania, Zakazywacze dawali odpowiedzi. Kiedy okazało się, że obszary demokratyczne to kilka regionów wielkości chusteczki do nosa, nieustannie nękanych przez zamachowców-fanatyków, wtedy wreszcie ukazał się prawdziwy przywódca Zakazywaczy. Nie był to jeden z prezentowanych wszędzie dowódców terrorystycznych, lecz oficjalny przywódca najbogatszego państwa, dysponującego największymi zasobami surowców naturalnych. Człowiek nieustannie głoszący swoje poparcie dla demokracji. W systemie zakazów bycie dwulicowym uważano za wojenny fortel.

Ów przywódca ogłosił, że jest najwyższym autorytetem religijnym i narzucił całemu światu swoją dyktaturę. Zaraz też stworzył hierarchię wodzów oraz ich zastępców, podlegających tylko jemu. Policja polityczna i religijna egzekwowały przestrzeganie prawa. Podczas gdy społeczeństwu broniono najmniejszej przyjemności, on sam, jego rodzina i bliscy opylali w dostatki, żyli w rozpuście i wyuzdaniu, korzystając z wszelkich bogactw. I niczego sobie nie zabraniając.

– I nadal mogli latać, przemieszczać się, nie używając koni oraz wytwarzać światło bez pomocy ognia? – zapytało jedno z plemiennych dzieci.

Starzec przepłukał sobie gardło i podjął na nowo:

– Zakazywacze prześladowali naukowców oraz inżynierów, gdyż obawiali się wynalezienia nowych sposobów stawiania oporu. Każdy, kto kojarzył się z intelektualistą, zostawał poddany śmiertelnym torturom, tak by nikt nie rozpowszechniał teorii z definicji uznawanych za wywrotowe.

Zakazywacze palili dzieła naukowe, niszczyli dzieła sztuki, których nie byli autorami. Lekarzy, z natury swojej będących zwolennikami demokracji, uznano za czarnoksiężników i skazano na śmierć, a epidemie znów zaczęły zbierać obfite żniwo. Po zakazie edukacji kobiet, stosowania technologii i medycyny, przyszła kolej na podróże, telewizję, książki. Nawet ptakom zabroniono śpiewać, uważając, że ich trzask może być konkurencją dla wezwań na modlitwę... Zakazywacze ponownie spisali historię, czyniąc to według własnego uznania. Zlikwidowali wszelkie rozrywki, z wyjątkiem obowiązkowych publicznych egzekucji, odbywających się na stadionach. Wszędzie panował strach.

– Zatem, jak to się stało, że my przeżyliśmy? – zapytało kolejne dziecko.

– Tyran wreszcie zmarł ze starości. Jego śmierć wzniciła gwałtowne walki pomiędzy żądnymi sukcesji synami. Nie było już wielkiej armii ani jednolitej policji religijnej. Teokratyczne państwo rozpadło się na kawałki. Niegdyśiejsi oficerowie przeobrazili się w dowódców wojskowych. Tu i ówdzie niezależne bandy przemocą znaczyły swoją obecność. Regułą stała się zasada: zabić, aby samemu nie zostać zabitym. Wobec tego prawa silniejszego niektórzy ludzie zdecydowali się uciec z miast i znaleźć schronienie w lasach, z dala od ataków żołnierzy, fanatyków oraz zbójców. Tak było w przypadku naszych przodków. I dzięki temu dziś jesteśmy tutaj, a ja mogę opowiedzieć wam tę historię, która jest również waszą.

– Ile dałbym za to, by móc wziąć książkę do ręki – mówi dziecko. – Nauczyć się, w jaki

sposób człowiek szybował po niebie jak ptaki, móc rozmawiać na odległość lub mieć światło bez ognia”.

Nie wierzę własnym uszom.

Inni bogowie-uczniowie, podobnie jak ja, na różne sposoby dowiedzieli się o wydarzeniach, które miały miejsce pomiędzy rokiem 2035 a 2222. Spoglądamy na siebie z niedowierzaniem. Zatem tak łatwo sprowadzić rozwiniętą cywilizację do jej punktu wyjścia?

- Dlaczego, waszym zdaniem, ta planeta upadła? – zadaje pytanie Kronos.

- Z powodu religijnej dyktatury tyrana – sugeruje ktoś.

- To tylko objaw. Od przyszłych bogów oczekuję głębszego spojrzenia na sprawę.

- Demokraci byli przekonani, że ich zasady są silniejsze od fanatyzmu religijnego, a kiedy się ocknęli, było za późno. Nie docenili przeciwnika.

- To już lepiej.

- Zbyt przyzwyczajeni do życia w komforcie, demokraci stali się leniwi i nie mieli ochoty walczyć.

- Nieźle.

Naraz każdy chciał podać swoją własną teorię, zaczęliśmy więc mówić jeden przez drugiego. Kronos nakazał gestem, byśmy zabierali głos po kolei. Edmond Wells pierwszy podniósł rękę:

- Istniała zbyt duża rozbieżność pomiędzy elitą intelektualną a większością społeczeństwa.

Elita rozwijała się coraz szybciej, podczas gdy większość społeczeństwa nie miała zielonego pojęcia nawet o tym, jak działają stosowane na co dzień urządzenia. A co daje podnoszenie sufitu, gdy zarywa się podłoga?

- Niepokoił ich własny sukces. Ponieważ był niezrozumiały. Natomiast klęska zawiodła ich do świata, który był znany, a to działało na nich uspokajająco. Do świata przeszłości – mówi Sarah Bernhardt.

- Wszystko rozegrało się tak, jakby źli uczniowie pozbyli się dobrych, aby spokojnie móc pozostać w gronie przeciętnych – rozwija myśl Gustave Eiffel.

- Powoli tracili wolność myśli, odchodzili od postępu, wszechności wiedzy, równości płci, oddając swój los w ręce najbardziej zacofanych i cynicznych, a wszystko to w imię... tolerancji! – zwraca uwagę Wolter.

- Odeszli zbyt daleko od natury – mówi Rousseau.

- Zatracili poczucie piękna – proponuje van Gogh.

- Oparli się na technologii. Sądzili, że nauka jest silniejsza niż religia – sugeruje Saint-Exupéry.

- Byli nieufni wobec nauki, a ufni wobec religii – uściśla Etienne de Montgolfier.

- Może dlatego, że religia jest niezaprzeczalna, a nauka zawsze poddawana była w wątpliwość.

- To kompletni krety... I mają, na co zasłużyli – oznajmia Joseph Proudhon.

- Nie możesz tak mówić – odparowuje Wolter. – Przecież próbowali osiągnąć sukces.

- Ale... nie udało im się – twierdzi anarchista. – Religia to pułapka na głupców. Czego tu mamy dowód.

- Nie możesz wrzucać wszystkich religii do tego samego wora. Są przecież takie, które wychwalają przemoc, czyniąc z niej mistyczny akt, a to pozwala na wprowadzenie terroru – mówi Lucien Dupres.

- Teraz, gdy „Ziemia 17” wróciła na „start”, będziecie mieli okazję wypróbować wasze umiejętności w dziedzinie boskiej improwizacji – zawiadamia Kronos.

Zgodnie z regułami gry, bóg czasu każe wybrać każdemu z nas jedną spośród włączających się tu i tam ludzkich wspólnot, którą następnie będzie poddawał ewolucji.

Zabieramy się do pracy. Za pomocą snów, pioruna, mediów, staramy się wpłynąć na szamanów, czarowników, kapłanów lub artystów, by przez nich wyrzucić wpływ na życie codzienne pozabawionych dziedzictwa społeczeństw. Dzięki przyciskowi „D” interweniuje w konflikty, rażąc piorunem przeciwników wybranego przez nas plemienia. Staramy się zainspirować najbardziej kreatywnych wynalazkami technicznymi, naukowymi lub artystycznymi. Co nie jest łatwe. Ludzie, budząc się, zapominają swoje sny, nasze znaki interpretują na opak. Osoby będące medium rozumieją tylko, to co chcą. Chwilami denerwują się tą ich niepojętnością.

Jednak powoli „poganie” nabierają świadomości mojego istnienia, zaczynają mnie czcić, a ja zsyłam im trochę moich zasad.

Nasze boskie objawienie najpierw zaskakuje, potem przeraża, następnie fascynuje. Na „Ziemi 17” powstają nowe religie. Zło naprawia zło. Moi przyjaciele także mają ludy będące ich wyznawcami. Marilyn jest wzruszona swoimi czcicielami. Nawet w czasach największej sławy nie doznała takiej czci ze strony swoich wielbicieli.

Edmond Wells nic nie mówi, obserwując ludzi, tak jak kiedyś obserwował mrówki.

Kronos chodzi pomiędzy uczniami i od czasu do czasu pochyła się nad któryś z nas, by zobaczyć, jak idzie praca. Jego poorana zmarszczkami twarz pozostaje nieprzenikniona i nie możemy zgadnąć, czy to co robimy, podoba mu się, czy nie. Maria Curie denerwuje się ruchliwością swojego ludu. Sarah Bernhardt bawi się gafami popełnianymi przez jej plemię. Edith Piaf podśpiewuje, wiodąc swoją horde. Twarz Maty Hari przybrała nieodgadniony wyraz twarzy madonny.

Po dwugodzinnym ćwiczeniu naszych możliwości, bóg czasu uderza w dzwon, a następnie każe nam ocenić pracę naszych kolegów. Większość ma takie same wyniki jak ja, może z wyjątkiem Luciena Dupresa, którego wspólnocie udało się osiągnąć postęp. Lucien porozumiewa się z nimi poprzez spożycie egzotycznych grzybów. Jego ludzie, zamieszkali na wyspie, ukryci przed sąsiadami-lupieżcami, prowadzą życie podobne do wspólnot hipisów w latach 70. Są pogodni i mają pacyfistyczne poglądy. Wyznają wolność obyczajów i uczestniczą wspólnie we wszystkich zajęciach.

W swoim karnecie Kronos notuje spostrzeżenia i pyta, jakie są nasze pierwsze odczucia.

– Jeśli ich zbyt przestraszymy, staną się mistykami – zauważa jeden z bogów-uczniów.

– Jeśli pozwolimy im działać, będą mnożyć głupstwa w dosłownym tego słowa znaczeniu, a to znaczy, że zachowują się zupełnie tak, jak zwierzęta – z żalem mówi inny.

– Jeśli przestaną obawiać się kary, nie będą przestrzegać żadnych zasad.

– Jak sądzicie, dlaczego tak się dzieje? – zadaje pytanie nasz nauczyciel.

Każdy ma własną opinię na ten temat:

– Jest w nich swego rodzaju naturalny pęd ku śmierci i destrukcji. Bez kar i policji nie potrafia szanować innych – mówi jakaś dziewczyna.

Z każdej strony padają odpowiedzi.

– Może dlatego, że tak naprawdę nic nie rozumieją.

– Ponieważ wzajemnie się nie kochają.

– Ponieważ nie podoba im się globalny projekt dotyczący ich gatunku.

– Ponieważ tego nie widzą.

– Ponieważ nie potrafią sobie tego wyobrazić.

– Ponieważ żyją w ciągłym strachu – mówię. Kronos obraca się w moją stronę.

– Proszę rozwinąć swoją myśl.

Zastanawiam się.

– Strach ich oślepia i uniemożliwia im długofalowe spojrzenie na swoją egzystencję.

Edmond Wells kręci głową.

– Boją się, ponieważ ewolucja ich świadomości była za mała w chwili, gdy technologia wystartowała w sposób wykładniczy. Dysponowali nadzwyczajnymi narzędziami, lecz ich dusza znajdowała się jeszcze na poziomie 3. Dlatego powrócili do technologii dostosowanej do poziomu ich duszy. Podstawowa technologia dla podstawowych dusz.

Większość uczniów zgadza się z tą opinią.

Kronos również zdaje się być zadowolony z odpowiedzi.

– Chwileczkę, chwileczkę – zabiera głos Lucien Dupres. – Tacy są niektórzy. Ale nie wszyscy. Na przykład członkowie mojej społeczności pozbyli się uczucia strachu i kierują się w stronę miłości. Zatem przekroczyli 3, są na poziomie 4, a idą ku 5.

– To dlatego, że jest ich niewiele – twierdzi jego sąsiad.

– Zostało ich około dwustu lub trzystu z ludzkości liczącej niegdyś dwanaście miliardów, zredukowanej z woli szalonego duchowego przywódcy do trzech miliardów. Ale to dobry początek. Poza tym to, co niewielka grupa zdeterminowanych ludzi zdołała zniszczyć siłą swej pokrętej religii, inni będą mogli odbudować dzięki swojemu życiu duchowemu.

– Tak, ale ich nowa religia, to my – ironizuje Proudhon. – Religię, którą sami wymyślili, zastępujemy inną, którą im narzucamy. I jaka jest w tym różnica?

– Nie mówiłem o religii, lecz o duchowości.

– Dla mnie to jest dokładnie to samo.

– A dla mnie coś zupełnie przeciwnego. Religia to narzucony wszystkim sposób myślenia, duchowość to rozwinięta zdolność postrzegania tego, co może istnieć „poza mną” – mówi Lucien Dupres. – I w przypadku każdego człowieka jest ona inna.

– A więc twój słynny Wielki Pan Bóg, który według ciebie mieszka tam, w górze, to raczej religia czy duchowość?

Wybuchają kolejne dyskusje. Kronos ponownie uderza w dzwon.

– Czas rozpocząć nowe ćwiczenie. To co zostało zrobione w nasze imię, w nasze imię zostanie zburzone – tłumaczy bóg czasu, głaszcząc swoją brodę. – Już czas, by nasz boski gniew spadł na tę „planetę-brudnopis”.

Wszystkie zegary i zegarki pokazują godzinę 19.00. Zapadający na zewnątrz zmrok zaczyna wnikać do naszej klasy.

– No dobrze. Ustawcie wasze ankh, przekręcając do oporu guzik „D”.

– Ależ to będzie ludobójstwo! – wykrzykuje Lucien Dupres.

Kronos poświęca chwilę, by przemówić do rozsądku podżegaczowi.

– Doświadczenie, które wykonałeś, miało charakter mniejszościowy. Abyś ty mógł odnieść ów niewielki sukces, dotyczący kilkuset osób, miliardy ludzi odczuwają cierpienie i to cierpienie trzeba im skrócić.

– Przecież moja wspólnota udowodniła, że można ich uratować. Mój „mały” sukces, jak pan go nazywa, może okazać się zaraźliwy – stwierdza Lucien Dupres.

– Twój sukces dowodzi, że jesteś dość zręcznym bogiem i jestem pewien, że w Wielkiej Grze dokonasz cudów.

– W Wielkiej Grze?

– Grze, w której biorą udział bogowie-uczniowie. Grze Y.

– Ja wcale nie chcę pańskiej Gry Y, ja chcę dalej kierować życiem mojej wspólnoty. Niech pan spojrzaj, jacy są szczęśliwi. Mają swoją wieś, pracują, nie ma między nimi sporów, tworzą sztukę, śpiewają...

– To tylko kropla czystej wody w skażonym oceanie. Teraz trzeba zmienić wanienkę – niecierpliwi się Kronos.

– A nie można by umieścić ich z boku, w jakiejś probówce? – mówię ot, tak sobie.

– Ze starego nie tworzy się nowego. Ci ludzie, do których tak się przywiązałeś dlatego tylko, że zaczęliście ich poznawać, mają zakorzenione złe nawyki, będące następstwem milionów lat błędów i przemocy. Weszli na wyższy poziom, a potem z niego spadli. Ich poziom świadomości jest taki jak naszych ludów z okresu Starożytności. Mentalność niewolników. Z nich nie uda się już nic wydobyć. To nawet nie są „ukończeni” ludzie. W skali świadomości wszyscy są na poziomie 3,1. Słyszycie? 3,1 – podczas gdy wy jesteście na 7! To są... zwierzęta.

– Nawet zwierzęta są godne tego, aby żyć – mówi Edmond Wells.

– Zamiast przypisywać im zalety, przypomnijcie sobie ich wady. Nie widzieliście stosowanych przez nich tortur, popełnianych niesprawiedliwości, ich fanatyzmu, tchórzostwa i wreszcie ich dzikości? Nie zrozumieliście tego, z jaką łatwością skłonna do uproszczeń i pełna przemocy religia zdołała bez szczególnego oporu zaważnąć całą planetę? To co raz miało miejsce, znów się powtórzy. Przykro mi, drogi Lucienie, lecz ci ludzie są straceni...

Kilku uczniów wydaje pomruk aprobaty. Kronos korzysta z tego, by wbić gwóźdź do końca.

– Waszym zadaniem jest zakończyć życie ludzkości znajdującej się w stanie agonii. Ludzkość ta wiele przeżyła. W jej kalendarzu jest rok 2222, lecz w rzeczywistości liczy ona trzy miliony lat. Cierpi na reumatyzm i nowotwory. Jestem pewien, że gdyby potrafiła mówić, błagałaby o skrócenie swoich cierpień... To nie zbrodnia, to eutanazja.

Lucien nie jest ani trochę przekonany.

– Jeśli na tym polega bycie bogiem, to wolę dać sobie spokój.

Odwraca się w naszą stronę.

– A wy też powinniście się sprzeciwić. Nie rozumiecie, że zostaniecie zmuszeni do zrobienia czegoś niegodnego? Bierze się planetę, bawi się nią, a potem ją niszczy. Tak jakby rozgniatało się... insekty!

Grymas niezadowolenia zdobi twarz Edmonda Wellsa, lecz nie reaguje, tylko spuszcza wzrok. Lucien wdrapuje się na stół.

– Ej, chłopaki! Obudzcie się, na litość boską! Nie rozumiecie, co tu się dzieje?

Nikt się nie rusza. Trzeba przyznać, że nie jesteśmy zadowoleni z naszych ludzkich wspólnot. Tylko Lucien Dupres zdołał dokonać ewolucji swojego plemienia. Tylko on ma coś do stracenia. Nawet moje leśne plemię trapią przewlekłe kłopoty zdrowotne, którym nie potrafię zaradzić. Czerwonka. Na próżno żują liście o znieczulających właściwościach. Nic to nie daje. Myślę, że w ich wodzie jest za dużo ameby. Lucien atakuje nas wszystkich po kolei:

– A ty, Rousseau, i ty, Saint-Exupéry, i Méliès, i ty, Edith Piaf... Edmondzie Wellsie i ty, Raoulu, i ty, Michaelu, i ty, Mato Hari, i ty, Gustave’ie Eifflu... pozwolicie umrzeć całemu światu? Spuszczamy wzrok. Nikt nie reaguje.

– A więc dobrze, zrozumiałem.

Lucien schodzi ze stołu i w stronę drzwi kieruje się w stronę drzwi.

– Zostań – rzuca Marilyn Monroe.

– Nie widzę powodu, dla którego nadal chciałbym być bogiem-ucznikiem – mówi Lucien, nawet się nie odwracając.

– Możesz pomagać ludziom. Może nie tym, ale innym, tym, których dostaniemy później – szepcze Sarah Bernhardt w chwili, gdy Lucien przechodzi koło niej.

– Po to, by ich potem zabić? Piękna sprawa. Mam taką samą władzę, jak... hodowca świń w swojej rzeźni.

Lucien odpycha dłonie przyjaciół próbujących go zatrzymać i nadal idzie w kierunku drzwi, gdy tymczasem Kronos nie czyni żadnego gestu, nie mówi ani słowa, aby go zatrzymać. Dopiero po wyjściu byłego okulisty mamrocze:

– Biedny chłopak. Nie zdaje sobie sprawy, ile traci. W każdym roczniku są zbyt wrażliwe dusze, które nie potrafią znieść szoku. Zatem im szybciej odejdą, tym lepiej. Czy są jeszcze jakieś delikatne dusze, które chcą odejść z gry? Mogą się teraz zgłosić.

Żadnej reakcji.

Kronos odwraca się od drzwi.

– A teraz moja ulubiona chwila – obwieszcza.

Wciąga powietrze, zaraz potem głośno pryca, następnie przybiera skupiony wyraz twarzy, jakby przygotowywał się do posmakowania delikatnej potrawy.

– Ognia!

Proudhon strzela pierwszy. Ogromna góra lodowa odrywa się od bieguna południowego i w jednej chwili ulega stopieniu. Po chwili wahania biorę mój ankh, nastawiam go i kieruję we właściwą stronę. Początkowo ze zdziwieniem zauważamy, że kiedy ktoś z nas strzela tutaj, uderzenia padają tam.

Następnie jak oszalali rzucamy się na lodowiec. Zauważam, że burzenie sprawia mi przyjemność, może nawet większą niż budowanie. Czujemy naszą moc. Jesteśmy bogami.

Topnienie lodu na biegunach powoduje podniesienie poziomu oceanów. Gigantyczne fale tsunami rozbijają się o brzegi, uderzają w pobliskie wsie, zatapiają wielkie połacie ziemi, niszczą urwiska, pochłaniają całe doliny, szczyty gór zamieniają w wyspy, by je następnie zatopić. Po upływie kilku minut nie ma już skrawka planety, który nie byłby zalany wodą.

W chwili, gdy Kronos rzuca komendę: „Wstrzymać ogień”, w miejscu, gdzie istniało siedem kontynentów, jest tylko wielki, czarny ocean pokryty spienionymi grzbietami fal. Jedynie wierzchołek najwyższej góry wystaje ponad wodą.

Niewielkie grupki cudownie ocalałych zwierząt i ludzi czepiają się pływających przedmiotów. Nastawiając bieguny mojego ankh, zauważam coś w rodzaju Arki Noego. A więc ludzie znaleźli sposób, by przeżyć. Godny podziwu upór.

– Skróćcie ich cierpienia – rozkazuje Kronos.

Ustawiając nasze ankh w ten sposób, aby ich uderzenia okazały się celne, strzelamy do pływających celów.

I już nie widać żadnych ludzi. Tylko ptaki krążą w powietrzu, a nie znalazłszy miejsca, gdzie mogłyby usiąść, wpadają wyczerpane do wody, w której rządzą tylko prawa morskiego świata.

Ogrzewając bieguny, wytworzyliśmy przy okazji coś w rodzaju chmury, która teraz okrywa planetę, przesłaniając niebo. Promienie słońca nie docierają do jej powierzchni i gwałtownie spada temperatura. Tak bardzo, że po chwili woda zamarza.

Giną ryby, uwięzione w zastygającej wodzie. I już niebawem „Ziemia 17” staje się lodową planetą. Jej powierzchnia wygląda jak ogromne lodowisko. Nie istnieje już najmniejsza forma życia, ani ludzka, ani zwierzęca czy roślinna.

To kres istnienia „Ziemi 17”. Pozostała tylko idealnie gładką perłą, lśniąca swym własnym blaskiem.

Białe jajo unoszące się w kosmosie.

29. ENCYKLOPEDIA: KOSMICZNE JAJO

Wszystko zaczyna się od jajka i na jajku kończy. W większości mitologii jajko jest symbolem świtu i zmierzchu. Według najstarszej egipskiej kosmogonii, świat powstaje z kosmicznego jaja, w którym zamknięte jest słońce oraz zarodki życia.

Według adeptów orfizmu, Kronos – krwiożerczy czas – i Faeton – czarnoskrzydła noc – znieśli w ciemnościach srebrne jajo, w którego górnej części mieściło się niebo, a w dolnej ziemia. Z jaja narodził się Fanes – bóg objawiciel, przybierający postać brzęczącej pszczoły.

Według wierzeń Hindusów, wszechświat pozbawiony był wszelkiej istoty, póki nie przybrał kształtu jaja, którego skorupka stanowiła granicę między czymś a niczym: Hiranyagarbha. Gdy po upływie roku kosmiczne jajo pękło, wewnętrzna błona przekształciła się w chmury, żyłki zamieniły się w rzeki, a wypełniający jajo płyn stał się oceanem.

Według Chińczyków, z chaosu wyłoniło się jajo, które pękło, uwalniając Ziemię – Yin i Niebo – Yang. Według wierzeń mieszkańców Polinezji, źródłem stworzenia było jajo zawierające Te-tumu – fundament i Te-papa – skałę. Kiedy jajo pękło, pojawiły się trzy nakładające się na siebie platformy, na których Te-tumu i Te-papa stworzyli człowieka, zwierzęta i roślinność.

Kabała twierdzi, że wszechświat powstał z jaja, które rozpadło się na 288 części.

Jajo zajmuje centralne miejsce w kosmogonii japońskiej, fińskiej, słowiańskiej oraz fenickiej. Symbol płodności dla wielu ludów, dla innych stało się symbolem śmierci, dlatego ludy te spożywają jajka na znak żałoby. Są też wkładane do grobu zmarłego, aby dostarczyły mu sił potrzebnych w podróży w zaświaty.

Edmond Wells,

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

30. SMAK JAJKA

Jajka. Dostajemy do zjedzenia surowe jajka w drewnianych kieliszkach. Za pomocą łyżeczki lekko uderzamy w górną część skorupki, a następnie delikatnie zdejmujemy rozbite kawałki, uważając, aby nie wpadły do środka.

Siedzimy na długich ławkach w Megaronie, w północnej części miasta. Ten duży okrągły budynek został wzniesiony z przeznaczeniem na stołówkę dla bogów-uczniów.

Siadamy przy stołach z akacjowego drewna, przykrytych obrusami z białej bawełny, na których czekają na nas ułożone w piramidy jajka. Ponieważ jest ciepło, drzwi są szeroko otwarte. Raoul nadal nas unika.

Zagłębiam łyżeczkę w żółtku i kieruję do ust. Wreszcie skosztuję prawdziwego jedzenia. Już tak dawno mi się to nie zdarzyło. Cóż za uczucie! Czuję smak jajka na języku, na podniebieniu. Odróżniam białko od żółtka. Słone, słodkie, cierpkie i delikatne, wszystko razem. Tysiące kubków smakowych budzą się zdziwione. Po wzroku, dotyku, słuchu i węchu przyszła kolej na ponowne odkrycie kolejnego zmysłu: smaku.

Płynne jajko jak strumień rozlewa się w moim gardle. Czuję jeszcze, jak przesuwa się w przełyku, a potem odczucie znika.

Jeść. Połykać ten biały i złotożółty potok... Pycha. Pochłaniam jedno jajko za drugim.

– W Holandii – mówi Mata Hari – w moim rodzinnym miasteczku Leeuwarden zwyczaj nakazywał rzucić jajkiem z dachu nowo wybudowanego domu. Tam, gdzie jajko spadło, zakopywano je, wierząc, że właśnie w to miejsce uderzy piorun. Oczywiście cała sztuka polegała na tym, aby rzucić jak najdalej, gdyż to odsuwało niebezpieczeństwo.

Edmond Wells dotyka jajka palcami.

– Nie myślałem dotąd, że przed stadium 1 – minerałem, istnieje jeszcze stadium 0. Jajko. Krzywa miłości, lecz doskonale zamknięta...

Na białym obrusie rysuje palcem kształt zera.

– Stąd wszystko wychodzi i tu powraca – potwierdza Gustave Eiffel. – Jajko, zero. Krzywa zamknięta.

Jajko przypomina mi „Ziemię 17”, zamarznąłą planetę. Znowu widzę ostatnich jej mieszkańców rozpaczliwie uderzających rękami o wodę, wyobrażam sobie, jak walczą w zamarzającym oceanie. Czuję mdłości. Nie mogę. Biegnę zwymiotować w krzakach. Mówię cicho do pomagającego mi Edmonda:

– Może jednak Lucien miał rację...

– Nie, on się mylił. Podać się do dymisji, to jak oddać mecz walkowerem. Dopóki gramy, możemy próbować zmienić bieg rzeczy. Ale jeśli odejdziemy z gry, wszystko tracimy.

Wracamy do stołu, przy którym pogrążeni w dyskusji uczniowie wołają udawać, że nie zauważyli mojej słabości.

– Co się stanie z Lucieniem? – niepokoje się Marilyn.

Rzeczywiście, nie ma go z nami przy stole. Na próżno też rozglądam się wokół. Nie siedzi gdzie indziej.

– Jeżeli Lucien poszedł na górę, może go złapać centaur – przewiduje Edmond Wells.

– Albo diabeł – dodaje inny bóg-uczeń.

To słowo wywołuje w nas dreszcze, jakby lodowaty powiew przebiegł wśród zebranych.

Wtedy pojawia się Dionizos i oznajmia, że po kolacji odbędzie się uroczystość żałobna za ludzkość z „Ziemi 17”. Mamy się przebrać i założyć nowe togi. Spotykamy się w Amfiteatrze.

Nie mogę wyrzucić z pamięci obrazu ludzkich „stad”, zatopionych naszymi rękami.

31. ENCYKLOPEDIA: ŚMIERĆ

We wróżbiarskiej grze, tarocie marsylskim, śmierć-odrodzenie symbolizują trzynaste arkana, arkana bez nazwy. Widzimy tam kościotrupa koszącego czarne pole. Jego prawa stopa jest zagłębiona w ziemi, lewą zaś opiera na głowie kobiety. Wokół trzy ręce, jedna stopa i dwie białe kości. Z prawej strony uśmiecha się głowa w koronie. Z ziemi wychodzą żółte i niebieskie pędy. Ta karta nawiązuje do symboliki V.I.T.R.I.O.L.: *Visita Interiorem Terrae Reclificando Invenies Operae Lapidem*. „Zejdź do wnętrza Ziemi; destylując, znajdziesz kamień filozoficzny”. Trzeba więc używać kosi, by poprawić, ściąć, to co wystaje, tak aby młode pędy mogły odrodzić się z czarnej ziemi.

To karta największej transmutacji. I dlatego budzi strach. Mówi też o przerwaniu gry.

Dwanaście poprzednich arkanów traktuje się jako Małe Arkana. A począwszy od trzynastej, wszystkie następne należą do Wielkich Arkanów. Kolejne karty ozdobione są obrazem nieba, aniołów lub niebiańskich symboli. Tu działa wyższy wymiar. Wszystkie wtajemniczenia muszą prowadzić przez fazę śmierci-odrodzenia. W sensie ezoterycznym śmierć oznacza głęboką zmianę, która dokonuje się w człowieku podczas procesu jego wtajemniczenia. Jeżeli będąc istotą niedoskonałą, nie umrze, nie będzie mógł ponownie się narodzić.

Edmond Wells,
Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

32. ŻAŁOBA

Czuję gorycz w ustach. Znowu myślę o Juliuszu Vernie. „Przybył za wcześnie” – powiedział Dionizos. Za wcześnie, żeby co zobaczyć? Kulisy przed spektaklem?...

Tu się dzieją dziwne rzeczy.

Hory i Pory Roku witają nas w Amfiteatrze. Gromadzimy się w jego centralnym punkcie.

Tak jak poprzednio, otaczają nas wyposażone w swoje bębny centaury. Dołączają do nich kolejne, grając na myśliwskich rogach, których dźwięk brzmi bardzo poważnie. Melodia, którą intonują, to prawdziwa melopeja, rozdzierająca melodia, która przechodzi w żalobną pieśń w chwili, gdy Atlas kładzie przed nami swoją szklaną kulę, gładkie jajo, które stało się zmarłą „Ziemią 17”.

Wstaje Dionizos.

– Umarł świat. Pomyślmy wspólnie o rzeszach ludzi, którzy zrobili wszystko, co mogli, ale i tak nie udało im się przetrwać.

Wykonuje gest oznaczający wewnętrzne skupienie.

– Tu spoczywa ludzkość, której się nie udało. Obejmuje szklaną kulę. Kronos nie czyni żadnego komentarza. Kilku uczniów wygląda na zmieszanych.

Rytm bębnowy staje się szybszy, a rogi myśliwskie brzmią już mniej smutno. Rozpoczyna się zabawa i bogowie-uczniowie dzielą się na kilka grup.

Pasjonaci podboju nieba mają w swych szeregach Clementa Adera – pioniera awiacji, jednego z braci Montgolfierów – pioniera lotów balonem, pilota wojennego Antoine'a de Saint-Exupéry'ego, fotografika Nadara, robiącego zdjęcia z lotu ptaka. Amator rejsów po oceanie, baron-pirat Robert Surcouf rozmawia z markizem de Lafayette.

Wśród artystów znaleźć można malarzy, rzeźbiarzy i aktorów. Jest Henri Matisse, Auguste Rodin, najwyraźniej pogodzony z Camille Claudel, Bernard Palissy, Simone Signoret oraz Sarah Bernhardt. Osobną grupkę tworzą pisarze: Francois Rabelais, Michel de Montaigne, Marcel Proust, Jean de la Fontaine. Ja natomiast cieszę się z towarzystwa moich przyjaciół teonautów: Freddy'ego Meyera, Marilyn Monroe i Edmonda Wellsa. Raoul jest gdzieś tam, ciągle nadąsany. Niektórzy uczniowie, jak Gustave Eiffel, Mata Hari, Georges Méliès, Joseph Proudhon, Edith Piaf wolą zostać sami. Lecz we wszystkich grupach wrze ta sama dyskusja. Każdy usiłuje zrozumieć prawa rządzące naszym nowym światem. Mata Hari, snując różne domysły, odważnie wychodzi na środek areny.

Jednym ruchem zdejmuje ograniczającą jej ruchy togę i ubrana tylko w tunikę, zaczyna lubieżnie kręcić biodrami w tańcu o orientalnym charakterze. Jej ręce kreślą koła, nogi zginają się, piękna twarz jest pełna dostojeństwa, a w spojrzeniu widać tajemnicę. Rozumiem, dlaczego ta kobieta potrafiła oczarować tylu mężczyzn.

Wiruje wokół kuli w doczesnymi szczątkami „Ziemi 17”, tak jakby chciała ją obudzić. W gładkim szkle odbijają się trzy księżycy Olimpii, a krąg ich bladego światła dopełnia magię chwili. Teraz Mata Hari obraca się coraz szybciej. Rytm przyspiesza, jej ciało przywodzi na myśl wijącego się w gwałtownych ruchach węża. Otwieramy usta, wydając jedną, jedyną nutę, jednoczącą nas w ten sam głos: „Aaaaaaaaaaaaaach.....”. Klaszczemy w ręce, a centaury uderzają w skórę bębnową.

Tancerka nie ustaje, tańczy z zamkniętymi oczami. Moje serce wali w rytm bębnowy, moje usta skandują to samo, co tłum. Mata Hari wciąga nas w swój trans.

Nagle upada. Muzyka milknie. Patrzymy zaniepokojeni, lecz po chwili wstaje, uśmiechając się.

– Co za tancerka, co za wspaniała tancerka! – powtarza obok mnie Georges Méliès, klaszcząc z całych sił.

Nagle coś zupełnie innego odwraca naszą uwagę. Grupa bogów-mistrzów wchodzi do Amfiteatru. Dzięki wysokiemu wzrostowi i togom w krzykliwych kolorach, łatwo ich rozpoznać. Mieszają się z tłumem, potem znów stają razem. Czyjaś pełna wdzięku sylwetka jako ostatnia wślizguje się do Amfiteatru. Wiem, kim jest, chociaż nikt jej nam nie przedstawił.

To ona.

Ach, od tej chwili czas dzieli się na przed i po ujrzeniu Afrodyty. Piękna: ten przymiotnik to jednak za mało, bym mógł ją opisać. Jest samym wcieleniem Piękna.

Jej zgrabne nogi, od kostki po kolana obwiązane złotym rzemieniem sandałów, to pojawiają się, to znikają w fałdach szkarłatnej togi.

Kaskada złotych włosów opada na czerwoną tkaninę. Jej skóra jest delikatnie opalona. Naszyjniki z półszlachetnych i szlachetnych kamieni – ametystów, opali, rubinów, diamentów, granatów, turkusów i topazów – zdobiące jej długą szyję, dodają blasku szmaragdowym oczom. Wystające kości policzkowe nadają kształt gładkiej twarzy. Z delikatnych uszu zwisają kolczyki, których kolor doskonale współgra z barwą jej oczu.

Rogi myśliwskie i bębny podejmują spokojną muzykę. Jak echo odpowiadają im dzwony w pałacu Kronosa. Freddy Meyer i Marilyn Monroe otwierają bal, po nich kolejne niezwykle pary ruszają do tańca. Nie mogę oderwać oczu od Afrodyty, witającej się z przybyłymi bogami-mistrzami.

– Wszystko w porządku? – pyta Edmond Wells.

Mój mistrz spogląda na mnie zdziwiony, potrząsając głową, następnie kieruje się w stronę Afrodyty, która pochyła swe wspaniałe ciało, aby usłyszeć, co szepcze jej do ucha. Wydaje się rozbawiona, wreszcie spogląda w moją stronę.

Dobry Boże.

Patrzy na mnie!

Podchodzi do mnie. Odzywa się!

– Pański przyjaciel twierdzi, że jest pan zbyt nieśmiały, by mnie poprosić do tańca – dobiega mnie daleki głos z lekkim greckim akcentem.

Czuję blisko jej zapach.

Moja toga drży wskutek uderzeń serca. Powiniennem odpowiedzieć, ale zaschnięte usta odmawiają posłuszeństwa.

– Może chciałby pan zatańczyć? – podejmuje na nowo. Bierze mnie za rękę.

Kontakt z jej skórą sprawia, że czuję przebiegający przez ciało prąd i jak ślepiec daję się prowadzić na arenę. Tam bierze moją drugą rękę. Przewyższa mnie o głowę i musi się nachylić, abym usłyszał szeptane do mnie słowa:

– Czy jest pan... „tym, na którego czekamy”?

Chrząknęciem odblokowuję struny głosowe, wydobywając z siebie:

– Hm...

– Sfinks zapewnia, że „ten, na którego czekamy”, zna ODPOWIEDŹ.

– Hm... a jaka jest odpowiedź?

– Taka, jaką wymyślił Sfinks, aby rozpoznać „tego, na którego czekamy”.

– Czy to ta zagadka: „Kto ma cztery łapy rano, dwie w południe i trzy wieczorem?” Bo jeśli tak, to znam na nią odpowiedź. To człowiek. Kiedy jest dzieckiem, chodzi na czworakach, będąc dorosłym – na dwóch nogach, a jako starzec – na trzech, podpierając się laską.

Uśmiecha się do mnie życzliwie.

– Nie, to była zagadka dla bogów-uczniów sprzed trzech tysięcy lat. To prawda, nadawała

się na czasy Edypa, lecz od tej pory Sfinks wymyślił kolejne.

Przerywając taniec, szepcze mi treść zagadki, dzieląc każde słowo na sylaby. Czuję, jak ciepły, pachnący oddech muska moje ucho:

Lepsze niż Bóg.
Gorsze niż diabeł.
Mają to biedni.
Nie mają bogaci.
Jeśli zjesz, umrzesz.
Co to jest?

33. MITOLOGIA: MIESZKAŃCY OLIMPU

Po rządach boga Chaosu, a potem Kronosa, boga Czasu, nastąpiła era bogów olimpijskich. Zeus, nowy władca świata, podzielił funkcje i zaszczyty pomiędzy swych braci i siostry, stosownie do roli, jaką odegrali podczas wojny z Tytanami. Posejdon otrzymał morza, Hades – Królestwo Umarłych, Demeter – pola i zboża, Hestia – ogień, Hera – rodzinę itd. Dokonawszy podziału, urządził Zeus swój pałac na szczycie Olimpu i obwieścił, że tam właśnie odbywać się będą wszystkie spotkania bogów, podczas których ważyć się będą losy świata. Tymczasem Gaja, jego matka, zirytowana dominacją syna, wydała na świat Tyfona, straszliwego potwora o stu smoczycy głowach, ziejących ogniem. Był tak ogromny, że jego najmniejszy ruch powodował wichurę. Kiedy pojawił się na Olimpie, przerażeni bogowie zamienili się w zwierzęta i uciekli, chroniąc się na pustyni egipskiej. Został tylko Zeus, by sam stawić czoła Tyfonowi. Potwór pokonał króla bogów, wycinając mu nerwy i ścięgna, a następnie zabierając bezwładne ciało do groty. Tymczasem Hermes, młody bóg-szpieg, sprzyjający Olimpowi, nałożył kask Hadesa, stając się niewidzialnym, i w ten sposób uwolnił Zeusa. Odebrawszy potworowi ukradzione nerwy i ścięgna, oddał je Zeusowi, który mógł powrócić na Olimp. Tyfon chciał walczyć nadal, lecz tym razem Zeus ze szczytu swej góry uderzył w niego piorunem. Potwór oderwał wielki skalny blok, chcąc nim rzucić na Olimp, lecz Zeus, używszy błyskawicy, rozkruszył skałę na drobne części, które spadając, przygniotły Tyfona. Wtedy Zeus zakuł go w kajdany i wrzucił do wulkanicznego krateru Etny, gdzie czasami się budzi i na nowo zionie ogniem.

Edmond Wells,
Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej
(przy udziale Francisa Razorbacka, zainspirowanego
Teogonią Hezjoda, 700 r. przed Chrystusem)

34. W NIEBIESKIM LESIE

Kolejna nocna eskapada. Są wszyscy teonauci: Freddy Meyer, Marilyn, Edmond Wells i ja. Idzie z nami nawet Raoul, choć w pewnej odległości, bo nadal żywi do mnie urazę.

Edmond Wells podąża obok mnie:

– No i jak było z Afrodytą?

– Lepsze niż Bóg, gorsze niż diabeł... mają to biedni, nie mają bogaci, jeśli to zjesz, umrzesz.

Co to jest? Jest pan dobry w rozwiązywaniu zagadek, powinien pan więc rozwiązać tę, którą zadała mi bogini.

Zwalnia kroku.

– Odpowiedź pewnie jest prosta – mówi wreszcie mój mistrz. – Na razie jej nie znam, ale zastanowię się. Podoba mi się twoja zagadka.

Po dotarciu nad niebieską rzekę zaczynamy budować tratwę, by przepłynąć na drugi brzeg, nie dając się schwytać syrenom. Ścinamy trzciny i łączymy je za pomocą lian. Nasze ruchy są bardzo dokładne. Staramy się pracować niemal bezszelestnie.

– Nie masz w zapasie jakiegoś dowcipu? – pyta Edmond Freddy'ego, wiążąc liany.

Rabin grzebie w pamięci:

– Mam. To opowieść o facecie, który ugrzązł w ruchomych piaskach. Kiedy z pomocą docierają strażacy, jest zasypany po pas. „Nie zajmujcie się mną – mówi. – Jestem wierzący, Pan Bóg mnie uratuje”. Ziemia sięga mu do ramion, więc strażacy proponują, że rzucą mu linę. „Nie, nie – powtarza facet. – Nie jesteście mi potrzebni. Jestem wierzący, Pan Bóg mnie uratuje”. Strażacy, choć sceptyczni, nie mogą działać wbrew woli poszkodowanego. Po chwili wystaje mu już tylko głowa. Znowu chcą mu pomóc, a facet nadal swoje: „Nie, nie, jestem wierzący. Pan Bóg mnie uratuje”. Piasek dociera do brody, zasypuje nos, oczy, człowiek dusi się i umiera. Kiedy dociera do Raju, bierze Pana Boga na stronę i pyta: „Dlaczego mnie opuścili? Wierzyłem w ciebie, a ty nie zrobiłeś nic, aby mnie uratować”. „Nic nie zrobiłem, aby cię uratować?! – krzyczy Pan Bóg. – Co za niewdzięczność! A strażacy, których trzy razy do ciebie wysłałem?”.

Wspólny śmiech nas odpręża. Noc zdaje się mniej straszna. Raoul tymczasem przeczesał zarośla. Czyżby wierzył, że ojcu udało się umknąć syrenom i schronić w leśnej gęstwinie? Kiedyś znalazł go wiszącego w toalecie, z nie ukończoną książką u stóp. Po raz kolejny rodzic powiedział mu: „Chociaż po mojej śmierci pokaż, że jesteś mnie godny”. I znowu się okazało, że nie potrafi pójść w jego ślady. Rozumiem, czemu nas, a przede wszystkim mnie, obarcza odpowiedzialnością. Zostawiwszy Raoula, wiążemy dalej trzciny, gdy nagle dostrzegamy gryfa. Dziwne stworzenie ze skrzydłami nietoperza, orlim dziobem i ciałem lwa. Szybko dobywamy nasze ankh, gotowi strzelić i uciekać. Jednak zwierzę zdaje się nie żywić wobec nas wojennych zamiarów. I nie wydaje żadnego krzyku, mogącego zaalarmować centaury. W końcu w gęście przyjaźni kładzie swą głowę na mojej szyi i wtedy widzę, że stworzenie ma zęza. Tak jak Lucien Dupres! Czyżby to był on?

Ale gryf to niejedyna chimera, którą przyszło nam ujrzeć. Jedna z syren wynurza się z wody i wyciąga rękę w stronę Raoula, który cofa się przerażony. Chce mu coś powiedzieć, lecz z jej mięsistych warg wydobywa się tylko smutna pieśń. Zmieszany Raoul zastyga w bezruchu. Ogarnia mnie niejasne przeczucie, które za chwilę przeradza się w pewność. Skoro zezowaty gryf to kolejne wcielenie Luciena Dupresa, zatem zabiegająca o Raoula syrena może być nową postacią jego ojca, Francisca. To by znaczyło, że wyrzuceni lub ukarani uczniowie zostają zamienieni w chimery. A więc mamy wytłumaczenie...

Centaury, cherubinki, satyry, wszystkie te dziwne stworzenia to najprawdopodobniej byli

uczniowie, którym się nie udało. Stali się niemi. Pozostaje jedno pytanie: czy ich przemiana związana jest z miejscem, w którym się wtedy znajdowali? Lucien Dupres uciekł do lasu, więc stał się gryfem. Francis jest dziś syreną, ponieważ zginął w rzece. Także dawna osobowość odgrywa pewną rolę, ponieważ właśnie usiadł koło nas sympatyczny lirogon, wyśpiewując swe melodyjne trele. Claude Debussy? To dlatego centaury tak szybko zabierają ofiary. Nie chcą, żebyśmy widzieli ich metamorfozę i aby tajemnica wyszła na jaw.

Edmond Wells śmiało głaszcze lwią grzywę gryfa, który mu na to pozwala. Koło Raoula nadal zawodzi syrena.

Marilyn też zrozumiała:

– Raoul – woła – uściskaj tę syrenę! To twój ojciec.

Syrena potakująco kiwa głową. Raoul nieruchomieje, nie mogąc uwierzyć w to, co słyszy, potem zbliża się nieśmiało do kobiety-ryby, a ta wyciąga do niego ręce. Trudno mu zobaczyć swojego ojca w tej istocie o delikatnych kobiecych rysach, której długie, mokre włosy opadają aż na piersi... Jego ojciec, zamieniony w to dziwne stworzenie, bierze go za rękę i ciągnie w naszą stronę, aby pomógł w budowie statku.

– Ależ, ojczec...

Syreni śpiew nakazuje mu być posłusznym.

– Twój ojciec wie, co robi – mówi Freddy. – Jeśli chodzi o nas, nadal jesteś mile widziany.

– Wszyscy razem – przypomina Marilyn. – „Z miłością do szpady, z humorem do tarczy”.

Po krótkim wahaniu Raoul skanduje z nami to dawne zawołanie. Jego zachmurzona twarz rozjaśnia się. Ściskamy się. Jestem szczęśliwy, że odzyskałem przyjaciela.

Pod przyjaznym spojrzeniem gryfa, syreny i lirogonu praca idzie szybciej.

Kiedy o drugiej w nocy wstaje kolejne słońce, nasza łódka jest gotowa. Spuszczamy ją na wodę i po kolei zajmujemy w niej miejsca. Zamiast wiosł używamy długich gałęzi. Francis Razorback pomaga nam, popychając łódź silnymi rękami oraz masywną płetwą ogonową.

Czy pozostałe syreny śpią? Lekki prąd ściąga nas w prawą stronę. Lecz dzięki naszym wiosłom nie pozwalamy mu się porwać. Uderzając w fale, z uwagą obserwujemy mętną wodę.

Nagle z głębin wyłania się jakaś dłoń. Mam tylko tyle czasu, by krzyknąć:

– Uwaga!

I już zewsząd pojawiają się kobiece dłonie, wyrastając jak lilie wodne. Chwytają nasze wiosła, próbując nas wciągnąć pod wodę. Puszczamy gałęzie. Raoul wyjmuje ankh i ustawia przycisk D. Strzela w wodę, lecz na powierzchni nie ma już ani jednej rzecznej stwory.

Dwie syreny chwytają Francis Razorbacka i wciągają pod wodę, by nam nie pomagał.

Nagle czujemy jakiś ruch pod tratwą. Próbują nas przewrócić. Strzelamy z naszych ankh, lecz nie możemy ich osiągnąć.

W końcu rozkołysana tratwa przewraca się. Wpadamy do wody.

Tonę, ale udaje mi się wypłynąć. Patrzę, do którego brzegu mam szansę dotrzeć. Blżej jest ten, z którego wyruszyliśmy.

Moi towarzysze analizują to samo.

Syreny już zaczynają swoje polowanie.

Jedna z nich łapie mnie za piętę i ciągnie z całej siły. Moje ciało zanurza się. Walczę. Zostanę zamieniony w syrenę.

Nagle piorun uderza w trzymającą mnie rękę.

Syrena mnie puszcza.

Poza wodą działanie ankh jest skuteczne, więc siedzącej na drzewie Macie Hari udaje się dosięgnąć celu.

– Pospieszcie się! – woła.

Pioruny uderzają w ręce syren. Nie ranią ich, ale zaskoczone uderzeniami złowrogie stworzenia puszczają nas i uciekają z przeraźliwym krzykiem.

Ledwie zipiąc, dopływamy do brzegu. Tancerka podaje nam dłoń, pomagając wyjść z wody.

– Dziękuję – mówię.

– Nie ma za co – odpowiada. – Wasz pomysł był dobry, ale myślę, że aby dotrzeć na drugi brzeg, potrzeba czegoś bardziej stabilnego niż tratwa. Mam pomysł, lecz samej nie uda mi się go zrealizować. Czy mogę dołączyć do waszej grupy?

– Od tej chwili proszę się uważać za teonautkę – oświadcza Edmond Wells.

Ja jednak podejrzliwie spoglądam na Matę Hari. Jak długo nas śledziła? Na próżno usiłuję odgadnąć coś z jej twarzy. Nic nie mogę wyczytać w jej jasnym spojrzeniu.

35. ENCYKLOPEDIA: LUSTRO

W spojrzeniu innych szukamy najpierw naszego własnego odbicia.

Po raz pierwszy w spojrzeniu rodziców. Potem w spojrzeniu przyjaciół.

Potem zaczynamy szukać tego jedynego lustra. A to znaczy, że wyruszamy na poszukiwanie miłości, lecz tak naprawdę chodzi raczej o poszukiwanie własnej tożsamości. Miłość od pierwszego wejrzenia to jak odnalezienie „dobrego lustra”, bo widzimy w nim zadowalające odbicie nas samych. Wtedy próbujemy być w zasięgu wzroku drugiej osoby. I nastaje ta magiczna chwila, gdy dwa równoległe lustra wysyłają do siebie miłe obrazy. Zresztą, wystarczy postawić dwa lustra naprzeciw siebie, by zobaczyć, jak setki razy w nieskończonej perspektywie odbijają ten sam obraz. Podobnie odnalezienie „dobrego lustra” czyni z nas istoty złożone, otwierając przed nami nieskończone horyzonty.

Ale dwa lustra nie pozostają nieruchome. Zakochani rosną, dojrzewają, rozwijają się.

Początkowo stali naprzeciw siebie, lecz nawet jeśli ich czas biegnie równoległe, nie znaczy to, że poruszają się z tą samą prędkością i z dążają w tym samym kierunku. Bywa, że nie szukają już tego samego odbicia w lustrze. Wtedy pojawia się rozdarcie, chwila, w której drugie lustro nie stoi już naprzeciwko. To nie tylko koniec miłości, lecz także utrata własnego odbicia. Nie widzą się już w spojrzeniu drugiej osoby. Nie wiedzą już, kim są.

Edmond Wells,

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

36. STADIUM LUSTRA. 2 LATA

Myję ciało mydłem, chcąc pozbyć się oblepiającego mnie potu. Moje mięśnie są rozgrzane, krew w sercu pulsuje.

Dni mamy bardzo wypełnione. Wczoraj zbrodnia, spotkanie znajomych, święto, ekspedycja, znowu spotkanie... Dziś moje pierwsze kroki jako boga-ucznia, odkrywanie świata w miniaturze, unicestwienie tego świata, spotkanie z najpiękniejszą kobietą we wszechświecie, budowa tratwy, przepłynięcie niebieskiej rzeki, walka z syrenami!

Wreszcie wrócicie do domu.

Do mojej wanny.

Afrodyta...

Jej obraz zatarł w mojej pamięci wszystkie inne; zatarł też strach, ciekawość, ambicję, żeby spotkać Wielkiego Pana Boga.

Afrodyta...

„Lepsze niż Bóg i gorsze niż diabeł...”.

Nadal czuję w nozdrzach jej zapach, na skórze wspomnienie jej dotyku, w uszach delikatność jej oddechu.

„Lepsze niż Bóg...”. Co może być lepszego niż Bóg? Jakiś superBóg. Król bogów. Boża matka.

Muszę zanotować wszystkie hipotezy, bo nawet najmniejsza z nich może być początkiem rozwiązania. Wychodzę z wanny, wycieram się, biorę książkę o dziewiczych stronach i zapisuję wszystko, co pamiętam.

Nie myślę już o tym. Zająć się czymś innym.

Włączam telewizor. Kiedy jako istota śmiertelna żyłem na „Ziemi 1”, tylko to urządzenie pomagało mi przerwać płataninę myśli.

Zatem zobaczymy, co się dzieje z moimi trzema noworodkami po reinkarnacji.

Kanał 1: Mała Azjatka (która niegdyś była Francuzem, Jacques'em Nemrodem), jest już uroczym dwuletnim bobasem, a to znaczy, że jeden dzień w Olimpii odpowiada dwóm latom w tamtych świecie.

Nazywa się Eun Bi i mieszka w Japonii, ale nie w Tokio, tylko w małym, nowoczesnym miasteczku z wysokimi domami. Spożywa posiłek w towarzystwie rodziców. Nagle trąca niezdarnie szklankę, która przewraca się i tłucze. Rozgniewany ojciec daje dziecku klapsa i mała zaczyna płakać. Wtedy matka bierze dziewczynkę na ręce i aby ją ukarać, wsadza do wanny, z której nie może się sama wydostać, bo jest jeszcze zbyt mała. Jednak próbuje, ale w końcu poddaje się i skulona siada na dnie.

Właśnie wtedy zauważa lustro oparte o emaliowany brzeg wanny. Bierze je, spogląda i zaczyna jeszcze głośniej płakać. Wraca ojciec i gasi światło. Eun Bi nadal płacze. W jadalni matka robi ojcu wyrzuty, że jest dla dziecka zbyt surowy, ale on twierdzi, że „trzeba je nauczyć”. Rodzice kłócą się, następnie ojciec wychodzi do sypialni, trzaskając drzwiami.

Kanał 2: Chłopiec (który niegdyś był nieustraszonym rosyjskim żołnierzem) ma dziś na imię Theotime. On także właśnie coś je, jednak robi to bez apetytu. Mówi, że nie chce już więcej ryby w sosie z ryżem. Ale matka daje mu dokładkę twierdząc, że musi jeść, aby urosnąć. Cieszę się, że nowa matka nie znęca się nad nim, jak to bywało w jego poprzednich karmach. Nie tylko daje mu dużo jedzenia, ale gdy chłopiec je, obdarza go zamaszystymi pocałunkami. Ojciec czyta gazetę. Cała scena nie interesuje go. Przez okno widać niebieskie morze i niebo. Sceneria przypomina tę z Olimpii.

Matka przynosi lody i cukierki.

Najedzony Theotime odchodzi od stołu. Bierze plastikowy rewolwer i zaczyna strzelać na wszystkie strony strzałkami z gumową przyssawką (reminiscencja z życia Igora?). Nagle zauważyła lustro, podchodzi, składa się do strzału i celuje w samego siebie. Strzela.

Kanał 3: Mały Afrykańczyk, Kouassi Kouassi (który był niegdyś amerykańską top-modelką, Venus) właśnie skończył jeść. Grzebie w szafie i znajduje w niej lustro. Spogląda w nie z rozbawieniem. Wysuwa język, stroi miny i parska śmiechem. Starsza siostra przynosi mu mangustę, rodzaj dużego szczura. Głaszczą zwierzątko, a następnie wychodzą razem na dwór bawić się wspólnie z ośmioma pozostałymi braćmi w ciuciubabkę w pobliskich zaroślach.

Wzruszają mnie moi weterani. Poprzednie życie Venus musiało być dla niej zbyt powierzchowne, skoro zapragnęła powrotu do natury. Dlatego wybrała Afrykę i dżunglę. Jacques był zawsze rozmiłowany w Oriencie. Na pewno poprosił o zmianę płci, aby móc lepiej rozwinąć swoją „yin”. Natomiast Igor pragnął przeciwieństwa swojej poprzedniej matki, dlatego niegdyś bite dziecko dziś jest dzieckiem rozpieszczanym.

Każde z nich, obleczone w nowe ciało, musi poradzić sobie ze swoją karmiczną nerwicą. Przychodzą mi na myśl psychoanalitycy, którzy wierzą, że cofając się do okresu wczesnego dzieciństwa, można rozwiązać niepokoje duszy. Gdyby wiedzieli, że należy cofnąć się dużo dalej w przeszłość...

O wiele dalej.

„Nie należy wyobrażać sobie, że dusza tkwi w ciele, lecz dokładnie na odwrót, że to ciało tkwi w duszy” – przekonuje jedna z teorii Edmonda Wellsa. „Wielka jak górski szczyt dusza umieszczona jest w maleńkim jak skała ciele. Ciało przemija, dusza jest nieśmiertelna”.

Patrzę w moje lustro. Ile miałem lat w dniu mojej ostatniej śmierci? Zbliżałem się do czterdziestki. Miałem żonę, dzieci, byłem człowiekiem dojrzałym. Uważnie obserwuję twarz i stwierdzam, że coś się w niej zmieniło. Nie jest już pełna napięcia. Złagodniałem. Nie mam już kłopotów, pieniędzy, nie jestem mężem, nie płacę podatków, nie odpowiadam za rodzinę, nie mam problemów z samochodem, mieszkaniem, wakacjami, majątkiem. Brak tego wszystkiego spowodował, że pozbyłem się kilku zmarszczek. Dziś nic nie posiadam i, pozbywszy się tego ciężaru, czuję się lekko.

Historia z Afrodytą, zagadka, praca boga-uczni, wyprawa na szczyt góry zdają się dziecinną igraszką w porównaniu z tym, czemu musiałem nieustannie stawiać czoła na „Ziemi 1”.

Postanawiam pójść spać. Pamiętam, by przed zaśnięciem naładować ankh. Ciekawe, że w tym magicznym świecie nie mogli wymyślić takiego ankh, który sam by się ładował.

Wreszcie wsuwam się pod koldrę, ściskam poduszkę i opuszczam powieki, jak sklepikarz kratę sklepu przed jego zamknięciem.

Z kim to jutro mamy zajęcia? Ach, tak, Hefajstos. Bóg kowali. Nagła myśl przebiega mi przez głowę: a jeśli to wszystko tylko mi się śni?

Śniło mi się, że jestem teonautą. Śniło mi się, że jestem aniołem. Śni mi się, że jestem bogiem-uczniem.

Po przebudzeniu wrócę do normalnego życia, znów wezmę moją normalną, ciężką teczkę, ucałuję normalną rodzinę i zajmę się moją normalną pracą lekarza w miejscowym szpitalu.

Przypominam sobie ten straszny fragment Encyklopedii: „A gdyby Ziemia (Ziemia 1) była jedyną zamieszkaną planetą we wszechświecie...”. Przeczytawszy kiedyś to zdanie, nabrałem przekonania, że zawsze wierzyłem (trochę) w istoty pozaziemskie.

Tak naprawdę nawet najwięksi sceptycy i ateści wśród Ziemiaków jednak w coś wierzą. Po prostu dlatego, że sprawia im to przyjemność. I może właśnie te wierzenia są źródłem

powstania aniołów, bogów oraz istot pozaziemskich. Nawet jeżeli to wszystko jest nieprawdą.

„Rzeczywistość jest tym wszystkim, co istnieje nadal, choć przestaliśmy w to wierzyć”.

Jutro może być tak, że stanę twarzą w twarz z normalną rzeczywistością.

Przypomnę sobie sen o Imperium Aniołów oraz życiu w Olimpii i powiem: „Jaka szkoda, że to nie była prawda”.

Uznam, że nie istnieje reinkarnacja, nie ma aniołów ani boga. Ze to tylko wymysły, pomagające znieść pełne stresu życie. Rodzimy się z niczego. Nikt w górze nie czuwa nad nami i nie interesuje się naszym życiem. Jednym słowem, nie istnieje nic poza naszą rzeczywistością. A po śmierci już zupełnie nic. Tylko zjadane przez robaki mięso.

Tak, ten fantastyczny świat jest może tylko snem, a śpiąc, ryzykuję powrót do „normalnej rzeczywistości”. Zamykam oczy ciekaw, co stanie się jutro po przebudzeniu.

37. MITOLOGIA: HEFAJSTOS

Chcąc udowodnić Zeusowi, że może obejść się bez jego pomocy, bez uprzedniego aktu prokreacji wydała Hera na świat dziecko, Hefajstosa. Jego imię oznacza: „ten, który świeci w ciemności”. Zaraz po wydostaniu się z matczynego brzucha chłopiec okazał się mały i okropnie brzydki. Rozgniewany Zeus postanowił go zabić, zrzucając z niebios aż na wyspę Lemnos. Hefajstos przeżył, ale spadając złamał nogę i już do końca życia pozostał kulawy.

Przygarnęły go dwie Nereidy, Tetyda i Eurynome. Przez dwadzieścia dziewięć lat Hefajstos mieszkał w podmorskiej grocie, ucząc się zawodu kowala i czarnoksiężnika. (Warto zauważyć, że w krajach skandynawskich oraz w zachodniej Afryce również spotyka się mit o kalekim kowalu. Uważa się, że został okaleczony celowo, aby pozostał we wsi i nie mógł sprzymierzyć się z ewentualnymi wrogami).

Po ukończeniu przez niego nauki Hera sprowadziła syna na Olimp, ofiarowując mu najlepszą kuźnię, wyposażoną w dwadzieścia czynnych w dzień i w nocy miechów. Hefajstos wykonał wiele arcydzieł sztuki i przedmiotów magicznych. Został bogiem ognia, metalurgii oraz wulkanów. Ponieważ miał za złe matce, że tak późno sprowadziła go do siebie, postanowił się zemścić. Wykonał w kuźni złoty tron, a kiedy Hera na nim zasiadła, uwięziły ją magiczne więzy. By móc się uwolnić, musiała przyobiecać kulawemu synowi, że zostanie pełnoprawnym członkiem Olimpu. Od tej chwili Hefajstos służył swą pracą bogom. Dla bogiń wytwarzał biżuterię, dla bogów broń. Sporządził berło dla Zeusa, łuki i strzały dla Artemidy, włócznię dla Ateny.

Ulepił z gliny pierwszą kobietę, Pandorę. Wykonał też ze złota dwie kobiety-roboty, które miały pomagać mu w pracy. Dla Achilleasa zrobił tarczę, dzięki której zwyciężał w każdej walce. Kretański król Minos otrzymał od Hefajstosa metalowego robota Talosa. Miał tylko jedną żyłę, biegnącą od szyi do kostki (znana technika rzeźbiarska, umożliwiająca przepływanie wosku). Robot obchodził trzy razy dziennie wyspę, wrzucając do morza nieprzyjacielskie statki. Kiedy na Kretę napadli Sardyńczycy, Talos rzucił się do rozpalonego ogniska. Sam płonąc, chwycił kolejno wszystkich nieprzyjaciół i trzymał tak długo, póki ich ciała nie uległy zwęgleniu.

Pewnego dnia Hefajstos był świadkiem kłótni między Zeusem i Herą. Kiedy stanął w obronie matki, rozszłoszczony Zeus po raz wtóry rzucił go na wyspę Lemnos, łamiąc mu drugą nogę. Od tego czasu Hefajstos mógł się poruszać tylko z pomocą kul, lecz jego ramiona stały się jeszcze silniejsze, ułatwiając mu pracę kowala.

Edmond Wells,
Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V
(według Francisca Razorbacka, zainspirowanego
Teogonią Hezjoda, 700 r. przed Chrystusem)

38. NIEDZIELA: ZAJĘCIA HEFAJSTOSA

Budzę się i widzę rzeczywistość: „Olimp na samotnej planecie, zagubionej gdzieś w kosmosie”, lepszej niż „na Ziemi Paryż”.

Właściwie to będąc bogiem-ucznikiem, czuję się rozczarowany. O ile jednak prościej być śmiertelnikiem. Poza tym, jeśli się czegoś nie wie, można sobie wszystko wyobrazić, lecz jak się wie, cóż to za odpowiedzialność.

Co mi się śniło?... Ach, tak. Pamiętam. Śniło mi się, że byłem z rodziną na wakacjach. Wybraliśmy się samochodem i całe godziny staliśmy w korku, żeby wyjechać z Paryża przez Porte d'Orleans. Dzieci wrzeszczały, bo miały już dość siedzenia godzinami w zamknięciu. Gdy dotarliśmy na Lazurowe Wybrzeże, było bardzo ciepło. Stwierdziliśmy, że w wynajętym przez nas mieszkaniu cieknie kran i nie domykają się okna. Potem opalaliśmy się na zatłoczonej plaży, wśród ludzi pachnących kremem do opalania. Poszedłem wykąpać się w morskiej wodzie. Moja żona Róża dąsała się bez powodu. Znaleźliśmy restaurację, gdzie czekaliśmy całą wieczność, aż kelner zechce nas wrzeszcząc obsłużyć, by w końcu zjeść zimne mule z frytkami. Jednemu z dzieci zrobiło się niedobrze. Potem moja, nie wiadomo dlaczego, obrażona małżonka wyszła z restauracji, zostawiając mnie samego. Piłem gorzką kawę, czytając w gazecie o zamachach terrorystycznych.

Opieram się na łokciach. A więc tamto było snem. A to, co widzę teraz, jest „właściwą rzeczywistością”. Otwieram okno, oddycham głęboko i czuję jak pachnące lawendą powietrze wnika do moich płuc.

Jest niedziela, po łacinie *dies dominicus*, „dzień Pański”. Słońce pieści już Olimp, gdy słyszę dzwon Kronosa, przypominający nam, że jest ósma, a więc czas, żeby udać się na zajęcia, nasze pierwsze prawdziwe zajęcia, gdyż lekcja Kronosa była tylko wstępem.

Powłócząc nogami, idę do łazienki i zimną wodą zmywam z twarzy resztki snu.

Zakładam togi, tunikę, sandały i przez chwilę wdycham woń cyprysów z mojego ogrodu.

Szybkie śniadanie w Megaronie, składające się z surowych jajek. Marilyn i Simone Signoret zapomniały już, że kiedyś rywalizowały o miłość aktora i piosenkarza Yves'a Montanda. Rozmawiają ze sobą cicho, jak to aktorki.

– I wtedy mu powiedziałam: „My, kobiety, dysponujemy tylko dwoma rodzajami broni: tuszem do rzęs i łzami. Jednak nie możemy używać ich jednocześnie” – mówi Marilyn.

Obok dwaj filozofowie Oświecenia, Wolter i Rousseau, nie zapomnieli swoich dawnych sporów.

– Przyroda ma zawsze rację.

– Nie, to Człowiek ma zawsze rację.

– Ale człowiek jest częścią przyrody.

– Nieprawda, on ją przewyższa.

Malarze: Matisse, van Gogh i Toulouse-Lautrec jak zwykle zgromadzili się przy jednym stole. Podobnie jak Montgolfier, Ader, Saint-Exupéry i Nadar, miłośnicy aeronautyki. Baron Georges Eugene Haussmann oraz inżynier Eiffel rozmawiają o urbanistyce. Haussmann przyznaje, że nie jest zachwycony wieżą Eiffla, która jego zdaniem łamie pewne zasady. Za to Eiffel gratuluje Haussmannowi pomysłu ujednoczenia fasad budynków oraz stworzenia Wielkich Bulwarów.

– Wie pan, tak naprawdę to nie był wyłącznie mój pomysł. Po upadku Komuny Paryskiej dostałem polecenie, aby poszerzyć aleje, tak by w razie zamieszek można było strzelać do ludu z armat.

Zaizenowany Eiffel przelyka jajko.

Patrę na nich i zaczynam dostrzegać, że to nie partnerzy, lecz raczej konkurencja. Na początku było nas stu czterdziestu czterech. Ilu zostanie na końcu?

Ósma trzydzieści.

Idąc jeden za drugim, docieramy do bramy wschodniej, prowadzącej na Pola Elizejskie. Pilnują jej dwa olbrzymy. Skrzyżowane ramiona, twarde spojrzenie. Na rozkaz Pory Roku – Jesieni uruchamiają niesłychany system zamków, dając prawdziwy koncert szczękania i zgrzytania stali.

Za bramą ciągną się Pola Elizejskie, długa aleja wysadzana przyprószonymi białym kwiatem wiśniami. Na szmaragdowych trawnikach i różnobarwnych rabatkach krzątają się cherubinki. Podlewają rośliny, używając do tego miniaturowych konewek i okrągłymi nożyczkami obcinają suche liście. Wysokie mury oddzielają wstęgę Pól Elizejskich od reszty wyspy. Pilnują ich gryfy, uniemożliwiając wstęp intruzom lub ucieczkę.

Zatrzymujemy się przed wysokim na dwadzieścia metrów kryształem kwarcu. To pałac Hefajstosa. Kamień rzuca turkusowe i zielone refleksy. W środku wydrążono mieszkanie, którego drzwi z przezroczystego szkła są otwarte na oścież.

Wchodzimy i zauważamy całe półki wypełnione kolekcją wspaniałych minerałów. Każda próbka umieszczona jest na niewielkim cokole i opatrzona etykietką z naukową nazwą: agat, beryl, piryt, topaz, bursztyn, opal. W głębi sali dziesięć miechów podtrzymuje ogień w piecu, przywołującym na myśl wulkan.

Na środku umieszczono podium, biurko i ogromny kieliszek do jajek, w którym zmieściłby się człowiek. Pochylny nad warsztatem stary mężczyzna prostuje się na nasz widok, poprawiając turkusową togę, chronioną przez grubą skórzany fartuch w tym samym kolorze. Przy oku trzyma zegarmistrzowską lupę.

– Dobrze, dobrze. Siadajcie – mamrocze, wskazując na ławki.

Dwie kobiety-roboty, całe ze złota, pomagają starcowi usiąść w wózku inwalidzkim, który popychają w naszą stronę. Mężczyzna patrzy na nas. Jego pryszczata twarz jest poorana zmarszczkami. Kępki włosów wystają z nosa i uszu. Ręce atlety mają grubość łydek. Kiedy podnosi dłonie, by zdjąć lupę, gest ten sprawia, że zapada cisza.

Twarze stojących za nim kobiet-robotów mają piękne, greckie rysy. Gdyby nie szum hydraulicznych i mechanicznych kółek, zaznaczający każdy ich ruch, mogłyby uchodzić za kobiety z krwi i kości. Jednak coś w ich wyglądzie nie daje mi spokoju. Już wiem. Obie mają twarz Afrodyty.

W chwili, gdy Hefajstos wchodzi na podium, Raoul siada obok mnie, jakby chciał udowodnić, że nadszedł czas pojednania i po okresie nieporozumień nasze stosunki wracają do normy.

W progu staje Atlas, chwijając się pod ciężarem swojej kuli o trzymetrowej średnicy, którą umieszcza w kieliszku do jajek.

– Mam tego dość. Już nie mogę. Składam wypowiedzenie – mruczy.

– Co mówisz, Atlasie? – pyta oschle Hefajstos.

Obydwaj starcy patrzą na siebie wyzywająco. Atlas pierwszy spuszcza wzrok.

– Nic, nic – mruczy pod nosem.

Poskromiony olbrzym garbi się i wychodzi.

Hefajstos z trudem wstaje z fotela, bierze kule i opierając się na lewej ręce, prawą pisze na tablicy: „LEKCJA PIERWSZA – STWORZENIE ŚWIATA”. Zaraz potem opada na wózek, podsunięty przez mechaniczne służące.

– Jesteście już po zajęciach z Kronosem, zatem wiecie, jak posłużyć się waszymi ankh do „najgorszego”...

Kiedy to mówi, niewielki grymas przebiega przez jego twarz. Teraz podchodzi do kieliszka do jajek, zdejmując brezent i naszym oczom ukazuje się zamieniona w białą perłę „Ziemia 17”, zawieszona w szklanej kuli.

– Ze mną nauczycie się, jak ich używać do tego, co „najlepsze”. Umarł świat, niech żyje nowy świat.

Nie mogę oderwać wzroku od umieszczonego w szklanej kuli grobu w kształcie jajka. Ciągle pamiętam, że kiedyś na jego powierzchni żyli ludzie. I chociaż z pewnością ludzie ci popełnili wiele nietaktów, czy jednak zasłużyli sobie na to, by zostać zupełnie zniszczeni?

– Zbliżcie się i ustawcie swoje ankh na maksymalną moc.

Po chwili ciągnie dalej łagodnym głosem, jakby zwracał się do umarłej planety:

– Od ognia zginęłaś, ogień cię odrodzi. Stopimy tę lodową powłokę. Jesteście gotowi... a więc, bogowie-uczniowie, ognia!

Atakowane ze wszystkich stron przez pioruny jajko trzęsie się, zmieniając kształt. Kula wydaje się żywą istotą, która cierpi i drży, jakby pod wpływem przebiegających po niej skurczów. Nie zważając na ból, próbuje się obudzić.

Biała para unosi się nad topniejącym lodem. Białe jajko szarzeje. Potem powierzchnia staje się żółta, dalej pomarańczowa, wreszcie czerwona.

– Nie ustawajcie! – woła mistrz kowalski.

Popękana planeta wygląda jak zbyt przypieczone ciasto. Pojawiają się wulkany jak wielkie usta wołające głośno, nim wyplują swą pomarańczową ciecz. Strzelamy jeszcze raz i pomiędzy kraterami powstają wypalone obszary, najpierw brązowe, potem czarne, niemal zwęglone. Hefajstos ręką daje znak, że wystarczy. Następnie rysuje na tablicy koło, mówiąc przy tym:

– Planeta otoczona jest epidermą, swoją skorupą. Magma jest krwią, która krąży, wprawiana w ruch przez bijące serce planety. Potrzebna jest równowaga wewnętrzna i zewnętrzna.

„Homeostaza” – pisze na tablicy.

– Skorupa jest delikatna i wrażliwa i to dzięki niej świat uzyskuje równowagę wewnętrzną i zewnętrzną. Powierzchnia musi być gruba, ale nie za bardzo, w przeciwnym razie planeta będzie przygnieciona, a wewnętrzne ciśnienie zwielokrotni wybuchy wulkanów. Zapamiętajcie to określenie: „skóra mocna, ale elastyczna”.

Daje znak, byśmy strzelali dalej.

Pod naszym zmasowanym ostrzałem „Ziemia 17” smaży się dalej. Nabrzmiwa, dymi, pręży się. Płyty ślizgają się, odkrywając blizny z czerwonej magmy.

– W kotłach wytopionych wulkanów będziecie teraz mogli stworzyć pierwsze stadium materii: minerał.

Mistrz każe ustawić zoom naszych ankh tak, by otrzymać zbliżenie na poziomie atomu.

Nasze lupy zamieniają się w mikroskopy. W środku chaotycznej powierzchni zaczynają pojawiać się jądra i elektrony. Oddalone od swej planety księżyce, planety oddalone od swojego słońca.

Hefajstos kontynuuje wykład:

– W pierwotnym tyglu wszystkie elementy istnieją oddzielnie. Waszym zadaniem jest harmonijnie połączyć trzy elementarne siły: ujemny elektron, obojętny neutron i dodatni proton. W ten sposób uzyskacie pierwszą podstawową budowlę: atom. Uwaga, nie wystarczy połączyć składniki, trzeba jeszcze odpowiednio je rozmieścić. Każdy elektron musi zostać umieszczony na właściwej orbicie, bo inaczej się odcepi. Jeśli spojrzymy przez odpowiednio silny mikroskop na otaczającą nas materię, zobaczymy, że zbudowana jest głównie z próżni. To tylko ruch cząsteczek daje efekt materii. Tak więc przejdźmy do pierwszego ćwiczenia: produkcja wodoru.

Do tego prostego atomu wystarczy jedno jądro i jeden elektron.

Wodór to nasze pierwsze dzieło *ex nihilo*. Bez szczególnych kłopotów udaje się nam wszystkim.

– A teraz hel. Dwa elektrony i jeden proton.

Tu też bez problemu. Wtedy Hefajstos zachęca nas, byśmy wykazali się własną kreatywnością.

– Utworzycie samodzielnie atom, połączycie z innymi podobnymi do niego atomami, tworząc w ten sposób cząsteczki, a następnie materię. Niech każdy z was zbuduje najpiękniejszą atomową katedrę. Ja zaś wskażę trzy najlepsze prace.

Zanim zrozumiem, na czym to polega, błędzę po omacku pośród różnych kombinacji elektronów, jąder i atomów wyłonionych z żaru planety. Wreszcie uzyskuję półprzezroczysty kamień. Poleruję go, odejmując kolejne atomy. Zwiększam rozmiary jądra, dodaję kilka atomów na orbitach, likwiduję inne. Po kilku godzinach ciężkiej pracy z zadowoleniem spoglądam na moją Pinsonitę, kryształ koloru indygo.

Czas minął. Hefajstos każe kończyć nasze ćwiczenia praktyczne i zaprasza, byśmy obejrzieli rezultaty prac kolegów. Raoul zbudował Raoulitę, półprzezroczysty zielony kamień podobny do szmaragdu, Edmond – Edmonditę, białoperłowy kamień z różowym połyskiem. Marilyn stworzyła Monroitę, złotożółty kamień, przypominający piryt, a Freddy prezentuje swoją Meyeritę, srebrną skałę połyskującą na niebiesko.

Wspomagany przez kobiety-roboty, bóg kowali przechodzi za każdym z nas, ogląda prace, kiwa głową, prosi o podanie nazwiska, zaznacza na liście i wreszcie wraca do swojego biurka. Wtedy ogłasza, że najładniejszą budowlą jest Saraita, dzieło Sary Bernhardt. Pokazuje kamień w kształcie gwiazdy, pokryty złotymi cekinami, z złotym i ciemnoczerwonym połyskiem. Całość przypomina jeżowca, a ja zastanawiam się, w jaki sposób udało jej się ułożyć atomy, żeby otrzymać taki kształt. Już utworzenie graniastosłupa lub wydłużonego kryształu wydaje mi się wyczynem, ale gwiazda...

– Proszę o brawa – mówi ekspert w dziedzinie złotnictwa. – Dziś to ona okazała się najlepsza.

Nie znam się na szlachetnych kamieniach, ale widzę, że w samym środku swojego kamienia w kształcie gwiazdy Sarah Bernhardt zdołała umieścić zdumiewający gwiazdny okruch.

– Zawsze lubiłam biżuterię – wyznaje.

Kobieta-robot wkłada na głowę laureatki wieniec laurowy, tymczasem Hefajstos szybko gasi ogólną radość, ogłaszając, że zgodnie z panującymi zasadami, najgorszy lub najgorsi uczniowie zostaną wyeliminowani.

– Christianie Poulinien, przegrał pan.

Nieszczęśnik starał się zbudować coś w rodzaju cząsteczki uranu, gromadząc na orbicie wokół jądra około stu elektronów. W efekcie powstała bardzo niestala cząsteczka. Jest tak bogata w elektrony i tak niestabilna, że mogłaby posłużyć jako paliwo do bomby atomowej.

– Okazał się pan najmniej zręcznym bogiem-uczniem. Jest pan wykluczony.

Christian Poulinien usiłuje protestować:

– Gdybym miał więcej czasu, zdążyłbym ustabilizować architekturę moich atomów i... Nie rozumiem, właśnie zastanawiałem się nad... – Odwraca się w naszą stronę. – Nie zostawiajcie mnie tak... Nie widzicie, że to, co dziś przydarzyło się mnie, może przydarzyć się także wam?

Nim ktoś z nas zdążył zareagować, do sali wszedł centaur i związał biedaka.

Hybryda zabrała Christiana Pouliniena, którego protesty szybko przestały docierać do naszych uszu. Dziwne, ale to zniknięcie nie wzbudziło we mnie niepokoju.

Raoul mamrocze:

– Policzmy: $140 - 1 = 139$.

Hefajstos staje ponownie przed „Ziemią 17” i wzięwszy swą lupę, dokładnie ogląda powierzchnię. Po chwili z pomocą piorunów dokonuje kilku poprawek i oznajmia:

– Obecnie planeta zawiera taką różnorodność minerałów, że może uzyskać równowagę.

Szuka czegoś w znajdującej się pod kieliszkiem do jajek szufladzie i wyjmuje zegar Kronosa, na którym nadal wyświetla się „Rok 2222”. Naciska na guzik, a wtedy cyfry zmieniają się, tworząc „Rok 0000”.

– Zatem mamy teraz nowy świat – oświadcza bóg kowali, zapisując na tablicy: „ZIEMIA 18”.

Za pomocą swojego ankh ogrzewa lekko powierzchnię, tak by utwardzić zewnętrzną powłokę, potem dorzuca miejscami niewielkie pokłady soli.

Czułem ukłucie w sercu, obserwując śmierć „Ziemi 17”, ginącej pod falami i lodem. Narodziny „Ziemi 18” tchnęły we mnie teraz nadzieję. Nowa ziemia podobna jest do ciasta czekoladowego, dopiero co wyjętego z pieca. Chrupiące ciasto, brązowe i okrągłe.

39. ENCYKLOPEDIA: PRZEPIS NA CIASTO CZEKOLADOWE

Składniki dla 6 osób: 250 g czarnej czekolady, 120 g masła, 75 g cukru, 6 jajek, 6 łyżek stołowych mąki, 3 łyżki stołowe wody. **Przygotowanie:** 15 minut. **Pieczenie:** 25 minut. Włożyć czekoladę do garnka, wlać wodę, całość ogrzewać na małym ogniu aż do uzyskania oleistej, aromatycznej masy. Dodawać masło, cukier, następnie mąkę, cały czas mieszając, żeby masa stała się jednorodna. Dodać po kolei żółtka.

Ubić białek sztywną pianę i delikatnie dodać do czekoladowej masy. Otrzymane ciasto przełożyć do wysmarowanej masłem formy. Piec około 25 minut w temperaturze 200°C (termostat 7). Cała sztuka polega na tym, aby spód był wypieczony, lecz środek miękki. Aby to uzyskać, należy doglądać ciasta oraz wyjmować od czasu do czasu z piekarnika pomiędzy 20 a 25 minutą pieczenia. Ciasto jest gotowe, jeśli środek nie jest już płynny, ale włożony czubek noża jest posmarowany czekoladą. Podawać ciepłe.

Edmond Wells,
Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

40. NARODZINY ŚWIATA

Sól. Minerał, który jest jadalny. Jaki mocny smak. Biorę jeszcze trochę. Kontynuujemy nasze smakowe doświadczenia. Dodaję tyle, aż czuję, jak sól drażni moje gardło, czyniąc obolałym podniebienie. Do soli przynoszą nam surowe jajka. W ten sposób podczas każdego posiłku lykamy również w dosłownym znaczeniu lekcję dnia.

Wracamy do Amfiteatru, gdzie świętujemy narodziny „Ziemi 18”.

Do głuchych uderzeń bębnow i wołej muzyki dołączył jeszcze jeden instrument, także związany z zajęciami u Hefajstosa: połączone w szereg miedziane dzwony o cylindrycznym kształcie, których metaliczny dźwięk naśladuje odgłosy dobiegające z kuźni.

Naprędce utworzone pary zaczynają taniec.

Połączone dłonie tworzą okrąg wokół królującej na środku areny „Ziemi 18”. Jej brązowe kontynenty i cała nowa planeta zdają się drgać w rytm muzyki.

Spoglądam, czy nie nadchodzi Afrodyta, lecz dziś nie towarzyszy nam żaden bóg-mistrz. Tak jakby zdecydowali, że powinniśmy sami nacieszyć się naszym nowym światem. Raoul sugeruje, żebyśmy skorzystali z okazji i wymknęli się na dwór, aby mieć więcej czasu na budowę nowej łodzi.

– Mogę pójść z wami? – pyta swoim niskim głosem Edith Piaf.

– Jest nas wystarczająco dużo...

– Będzie nam bardzo miło – Freddy Meyer przerywa mi w pół słowa, kiedy próbuję odrzucić propozycję śpiewaczki.

Tak więc w towarzystwie Maty Hari i Edith Piaf nasza grupa teonautów znika, aby za chwilę zagłębić się w wyżłobionym pod murami tunelu. Kilka minut później jesteśmy już w niebieskim lesie i kierujemy się w stronę rzeki.

Wiemy już, że tratwa nie wystarczy, by nas ochronić przed syrenami. Edmond Wells i Freddy Meyer starają się naszkicować plan prawdziwego statku. Obciążamy kadłub dużymi kamieniami, aby stał się bardziej stabilny. W ciszy wiążemy ze sobą trzciny. Edith Piaf wzmacnia więzy. Marilyn i ja ścinamy długie tyczki, które posłużą do odganiaania syren. Freddy staje dalej, majsterkując przy czymś, co znajduje się w jego torbie.

Powoli zmierzcha. Robaczki świętojańskie oświetlają mrok. Dołączają do nas lirogon i zezowaty gryf; obydwa próbują nam pomóc. Ale także inny niespodziewany gość składa nam wizytę. Jakieś dziecko-satyr pojawia się nagle nie wiadomo skąd i chwytą Marilyn za łydki. Nasza towarzyska odrzuca go jednym uderzeniem, lecz mały stwór czepia się jej togi. Kiedy wreszcie udaje jej się wyzwolić, satyr skacze na Edith Piaf, która także ucieka. Wtedy satyr zaciepa nas po kolei, ciągnie każdego z nas za togi, jakby chciał nam pokazać coś ważnego.

– Czego on chce? – zastanawia się Raoul.

Satyr przerywa swoje zaczepki i wymawia zupełnie wyraźnie:

– Czego on chce? Czego on chce? Czego on chce?

Oszołomieni odwracamy się w jego stronę.

– Umiesz mówić?

– Umiesz mówić. Umiesz mówić – papuguje satyr.

– On tylko powtarza, to co się do niego mówi – stwierdza Marilyn.

– On tylko powtarza, to co się do niego mówi, on tylko powtarza, to co się do niego mówi – odpowiada satyr.

– To nie satyr, to echo – mówię.

– To echo. To echo. To echo.

Wyjmuje fletnię Pana i wygrywa na niej trzy nuty, a wtedy jak na zawołanie pojawiają się inne satyry, kobiety i mężczyźni z nogami koziorożca.

– Sytuacja się komplikuje – wzdycha Freddy Meyer.

– Sytuacja się komplikuje, sytuacja się komplikuje – powtarza chór satyrów, a ich głosy brzmią jak pieśń drwali.

Ciągną nas za togi, jakby chciały, abyśmy gdzieś z nimi poszli, lecz opieramy się.

Przypominam sobie, że gdy byłem jeszcze śmiertelnikiem, jedno z moich dzieci chciało bawić się ze mną w taką zabawę, a ja się nią irytowałem. Znowu efekt lustra: „Mówię ci to, co ty mówisz mnie”. Podczas studiów medycznych dowiedziałem się, że osoba chora na echolalię nie może powstrzymać się od powtarzania ostatniego usłyszanego zdania, bez względu na to, kim byłby jej rozmówca.

Jeden z satyrów bierze lianę i zaczyna wiązać trzciny. Nie tylko więc mówią, to co my mówimy, ale i robią, to co my. Coraz lepiej.

– Myślę, że nam pomogą – mówi wzruszona Marilyn.

Już dwadzieścia satyrów naśladuje nasze ruchy.

– Nam pomogą, nam pomogą.

Już nie chcemy ich przeganiać. Zgadamy się na obecność satyrów przy nas.

Trudno byłoby nazwać naszą konstrukcję okrętem, ale ta nowa łódź wydaje się solidniejsza od poprzednich tratw.

Przed wejściem na pokład Freddy Meyer wyciąga z torby sznur i zawiązuje go wokół pnia drzewa. Nie zadajemy mu pytań. Rabin zawsze wie, co robi.

Wsiadamy po kolei i zanurzamy wiosła. Satyry popychają statek w stronę nurtu, ale nie zamierzają popłynąć z nami.

– Dziękujemy za pomoc! – wołam.

– Dziękujemy za pomoc. Dziękujemy za pomoc – skandują jednym głosem.

Początek drogi mija bez kłopotów. Trzepoczące skrzydełkami robaczki świętojańskie oświetlają dziób statku rozrywający wodną taflę. Woda jest mętna, lekko zmącona kilkoma falami. W tylnej części statku Freddy rozwija sznur. Na czarnym niebie świecą trzy księżyce.

Brak syren zadziwia mnie. Śpią o tej porze, czy też próbują usnąć naszą czujność? Odpowiedź przychodzi bardzo szybko. W powietrzu rozlegają się dźwięki smutnej melodii. Zaintonowana przez jedną syrenę, wkrótce rozbrzmiewa wieloma głosami. Kobiety-ryby wychodzą z wody, kładą się na wystających ponad powierzchnię kamieniach i spoglądają na nas z sympatią. Kaskady długich włosów spadają im na piersi. Wszystkie podejmują hipnotyczną melodię, być może tę samą, która niegdyś tak oczarowała marynarzy Ulissego podczas jego odysei. Francisa Razorbacka nie ma wśród nich. Bez wątpliwości zatrzymały go na dnie, aby nie mógł nam pomóc.

Śpiew staje się coraz silniejszy. Melodia wznosi się coraz bardziej, aż czujemy, jak wibrują nam bębni. Freddy pokazuje Edith Piaf, że teraz jej kolej wejść na scenę. I już po chwili jej donośny, silny głos, tak zadziwiający przy kruchej postaci śpiewaczki, rozbrzmiewa melodią „Legionisty”. Syreny milkną zaskoczone, że znalazł się ktoś zdolny odpowiedzieć śpiewem na ich śpiew. Jednak niebawem znów zaczynają swój koncert. Edith Piaf bierze głęboki oddech i jej głos wznosi się ponad głosami syren: „Był wysoki, piękny, pachniał rozgrzany piaskiem, mój legionista...”.

– Oby tylko ten hałas nie zaniepokoił centaurów – obawia się Mata Hari.

Najwyraźniej zrezygnowane syreny jedna po drugiej zanurzają się w rzece. Gratulujemy śpiewaczce, która za punkt honoru wzięła sobie dośpiewać piosenkę do ostatniej zwrotki. Ale chwila wytchnienia trwa krótko. Płyniemy szybciej, gdy nagle coś ciężkiego uczepia się naszych wiosł. To wracają syreny, znowu usiłując nas wyrzucić. Jednak statek jest stabilniejszy, niż

wygląda. Ledwie Marilyn zdążyła wyszeptać „Z miłością do szpady, z humorem do tarczy”, a już trzymamy w rękach ankh, celując do wszystkiego, co wynurza się z wody. Raoul uderza swoją tyczką, próbując zabić kilka rzecznych stworów, które uprowadziły jego ojca.

Wystraszone światłem błyskawic robaczki świętojańskie uciekają w popłochu. Już nie dziesiątki, ale setki rozwścieczonych syren atakują nasz statek. Niektóre posuwają się do tego, by wyjść niemal całkiem z wody i uderzać nas swymi ogonami. Chociaż nadal brzmi nasza artyleria, jednak czuję, że mam mokre dłonie. Śliskie łuski dotykają moich nóg, a mokre ciała opasują mi kostki. Paznokcie wbijają się w moje ręce i łydki. Ostre jak u mureny zęby chwytają mnie za nadgarstki.

Mata Hari walczy wręcz, prawdziwa kobieta przeciw kobiecie-rybie. Raoul znalazł się w niekorzystnej sytuacji. Jedna z syren wskoczyła mu na plecy i ciągnie go ze zdwojoną siłą. Mój przyjaciel skacze do wody. Rzucam wiosło i chwytam ankh, ciesząc się, że nie zapomniałem go naładować. Jednym uderzeniem trafiam w stworzenie, które właśnie chce chwycić Matę Hari. Drugim dosięgam przeciwniczkę Raoula i wciągam przyjaciela na pokład.

Nasza łódź już nie płynie, bo wszyscy bierzemy udział w bitwie. Straciliśmy wiosła, więc tylko ankh służy nam do obrony. Ale Freddy nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Wyjmuje z torby uzbrojony w jedną strzałę łuk. Przyczepia do niej drugi koniec swojego sznura. Celuje i wysyła strzałę w stronę najbliższego drzewa. Mamy zatem sznur łączący obydwą brzegi. Ciągnąc za linę, nabieramy prędkości. Jednocześnie dzielimy się zadaniami. Raoul, Mata Hari i ja staramy się robić jak najlepszy użytek z naszych ankh. Edmond, Freddy, Marilyn i Edith Piaf szybko przesuwają dłonie wzdłuż liny, chcąc jak najprędzej znaleźć się po drugiej stronie rzeki.

Syreny zrozumiały naszą taktykę i przyspuściły szturm. Atakują spod wody i z jej powierzchni, skacząc w powietrzu. Nasze ankh terkoczą jak karabiny maszynowe, gdy nagle mój przycisk „D” przestaje działać: wysiadła bateria.

Nie mam czasu na zastanowienie. Rzucam się do pomocy tym, którzy trzudzą się, ciągnąc linę. Wtem statek wywraca się. Płyniemy, jedną ręką trzymając się liny. Tak jak pozostali, walę nogami w wodę, aby odegnać wroga. Dysząc ze zmęczenia, docieramy do drugiego brzegu w chwili, kiedy kolejne słońce pojawia się na horyzoncie.

Jesteśmy przemoczeni, wyczerpani, ale nic nam się nie stało.

– Jak wrócimy, skoro nie mamy łodzi? – niepokoi się Edmond.

Freddy Meyer wskazuje na linę:

– Mamy to, a więc łódź nie jest nam już potrzebna.

Wchodzi na drzewo i przywiązuje do liny kawałek drewna.

– To urządzenie nazywa się tyrolką i jest używane przez alpinistów do pokonywania przepaści. Nam pozwoli wrócić na drugi brzeg. Będziemy przesuwac się ponad rzeką, a tym samym unikniemy syren.

Jednak wodne stwory pojęły, w jaki sposób zamierzamy wykorzystać linę, i skaczą, próbując ją złapać. Jedna z syren, naśladując morskie delfiny, robi przewrót w powietrzu i chwytą linę. Druga ją naśladuje i po chwili wisi uciepiona swej koleżanki. Dalej następna i następna. Obciążona tą płataniną syrenich ciał lina napręża się, a po chwili słyszymy, jak pod wpływem ciężaru pęka gałąź, do której jest przycepiona.

No to powrót będzie kłopotliwy.

– Trudno – stwierdza Raoul. – W końcu konkwistadorzy też palili swoje okręty, aby w chwili słabości nie poddać się i nie odpłynąć. Nie mamy wyboru. Nie pozostaje nam nic innego niż odwaga.

W tej samej chwili dobiega nas z daleka jakieś chrapliwe westchnienie.

– A... a gdybyśmy tak wrócili wplaw? – proponuje nieśmiało Edith Piaf.

41. ENCYKLOPEDIA: CZŁOWIEK SUPERŚWIETLNY

Według najbardziej awangardowych teorii rozumienia zjawiska świadomości, na pierwszy plan wysuwa się teoria profesora fizyki na wydziale medycyny w Poitiers, Regisa Dutheila. Podstawowa teza rozwinięta przez naukowca opiera się na pracach Feinberga. Jego zdaniem istnieją trzy światy, określone prędkością ruchu tworzących je elementów.

Świat pierwszy to świat „nieświatlny” – ten, w którym żyjemy, materialny świat posłuszny klasycznej fizyce opartej na prawie grawitacji Newtona. Świat ten składa się z bradionów, czyli cząsteczek, które poruszają się z prędkością mniejszą od prędkości światła.

Drugi świat jest „światlny”. Zbudowany jest z luksonów, czyli cząsteczek należących do bariery światła, zgodnie z teorią względności Einsteina.

Wreszcie istnieje czasoprzestrzeń „superświatlna”. Świat ów ma się składać z cząsteczek poruszających się z większą prędkością niż światło, nazywanych tachionami. Według Regisa Dutheila te trzy światy odpowiadają trzem poziomom świadomości człowieka. Poziomowi zmysłów, czyli postrzegania materii, poziomowi świadomości miejscowej, czyli myśli światłnej, a więc tej, która porusza się z prędkością światła, oraz poziomowi superświadomości, czyli myśli, która płynie szybciej, niż światło. Dutheil twierdzi, że stan superświadomości można osiągnąć poprzez sny, medytacje oraz niektóre narkotyki. Ale mówi on także o szerszym zjawisku: poznaniu. To dzięki prawdziwemu poznaniu praw rządzących wszechświatem nasza świadomość zwiększy swoją prędkość i dotrze do świata tachionów. Dutheil uważa, że „w superświatlnym wszechświecie żywa istota może znaleźć chwilowość pełną wszystkich tych wydarzeń, które tworzą życie”. Tym samym znikają takie pojęcia jak przeszłość, teraźniejszość czy przyszłość. Nawiązując do prac Davida Bohma, Dutheil twierdzi, że z chwilą śmierci nasza „superświatlna” świadomość osiągnie wyższy poziom energii: czasoprzestrzeń tachionów. Pod koniec swojego życia Regis Dutheil, wspólnie ze swoją córką Brigitte, ogłosił jeszcze bardziej odważną teorię, według której nie tylko przeszłość, teraźniejszość i przyszłość mogą być złączone w jednym tu i teraz, ale wszystkie nasze życia, dawne i przyszłe, dzieją się w tym samym czasie, co nasze życie aktualne, lecz w superświatlnym wymiarze.

Edmond Wells,
Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

42. BRZEG

Brzegi niebieskiej rzeki są zupełnie inne. Tu, z drugiej strony, ziemia jest czarna, kwiaty są czarne, tęcza jest czarna i liście mają czarny kolor.

– Może zaśpiewam coś dla dodania odwagi – proponuje Edith Piaf.

– Nie, dziękujemy.

Nagle aż podskakujemy z wrażenia, słysząc chrapliwy pomruk, który musi wydobywać się z czyichś ogromnych płuc. Ogarniają nas złe przeczucia.

– Co robimy? – pyta Marilyn.

– Lepiej wracajmy – sugeruje Edith Piaf.

W tym samym momencie dobiega mnie dolatujący znad głowy łopot skrzydeł. Moja smarkaczka.

– Uwaga, szpieg! – krzyczy Mata Hari, łapiąc cherubinkę i zamykając w dłoni jak w więzieniu.

– Trzeba ją zgnieść, bo inaczej nas wyda – mówi Edith Piaf.

– Nie można jej zabić – przypominam. – To chimera, więc jest nieśmiertelna.

– Ale możemy ją zamknąć w takim miejscu, z którego nie będzie mogła uciec – zauważa Raoul.

Chwyta moją smarkaczkę za skrzydła. Jej włosy są zupełnie potargane. Zaciska pięść, jakby chciała nam pogrozić, a z jej szeroko otwartych ust wydobywa się wrzask o niezwykle wysokich tonach.

– Może, podobnie jak niektóre zwierzęta, wydaje z siebie ultradźwięki, aby zaalarmować centaury – zastanawia się Mata Hari.

Za pomocą kawałka lnu wyrwanego ze swojej togi na wszelki wypadek knebluje cherubince usta. Ta, jeszcze bardziej oburzona, miota się na wszystkie strony, usiłując się uwolnić.

Muszę zareagować:

– Uwolnijcie ją. Ja ją znam.

Raoul, daleki od tego, by mnie posłuchać, przywiązuje do jej nogi nitkę, wyrwaną ze swojej togi.

Podczas próby wzbicia się w powietrze na twarzy cherubinki pojawia się grymas. Najwyraźniej przywiązana stopa sprawia jej ból.

– Sądzę, że ona wie, co znajduje się przed nami, a przyleciała tu po to, żeby nas ostrzec – mówię.

– Chyba, że się obawia, iż odkryjemy, to co się tam znajduje – odpowiada nadal nieufny Raoul.

Wzruszam ramionami i wyciągam zgięty palec. Smarkaczka siada na nim, jak na żerdzi. Wymiję knebel z jej ust.

– Nie można żyć w ciągłym strachu. Czasami trzeba podjąć ryzyko i zaufać.

Uroczą chimera z nadąsaną miną wskazuje głową nitkę, która nadal czyni z niej więźnia. Zdejmuje ją. Ku zdumieniu moich przyjaciół, smarkaczka nie odlatuje.

– Wiem, że nie potrafisz mówić, ale przecież nas rozumiesz. Powiedz, smarkaczko, czy chcesz nam pomóc? Potrzebujemy cię. Jeśli się zgadzasz, kiwnij głową.

Cherubinka potrząsa głową z góry na dół.

– Dobrze. Czy próbujesz nas ostrzec, byśmy nie szli dalej?

Przytakuje.

– Wiesz, że nie możemy wrócić.

Stworzenie daje jakieś znaki, wskazując na rzekę oraz linię.

– Wydaje się, że chce nam powiedzieć, iż mogłaby zaczepić linię z drugiej strony...

– Naprawdę sądzisz, że mogłaby to dla nas zrobić? – dziwi się Edith Piaf.

Lecz w tym samym momencie cherubinka zrywa się i odlatuje bez niczego...

– I tak ta lina jest za ciężka dla motyla – oświadcza wyrozumiale Marilyn.

– Czyli nie pozostaje nam nic innego, jak zaczekać tu na centaury – mówi Raoul. – Jesteśmy zgubieni.

– A dlaczego nie mielibyśmy iść dalej? – pyta Edmond Wells. – Skoro i tak jesteśmy straceni, to może chociaż dowiedzmy się, co jest przed nami.

Ponownie dobiega nas chrapliwy pomruk, a po nim odgłos ciężkich kroków, pod którymi trzęsie się ziemia.

– Może zaśpiewam, by przegnać strach – mówi Edith Piaf.

– Nie, nie, dziękujemy.

Czekamy na to, co ma nastąpić, gdy nagle uderzenia skrzydeł zwiastują nam ratunek. To wraca moja smarkaczka, a wraz z nią leci zezowaty gryf. Cherubinka pokazuje mu linię i kij. Skrzydlaty lew z orlim dziobem chwytając ją i już po chwili odlatuje na drugi brzeg rzeki, a następnie zaczepia linię dokładnie tak, jak prosiłem o to smarkaczkę. Zez utrudnia precyzję ruchów, lecz dzięki pomocy satyrów kij szybko zostaje wbity w ziemię na drugim brzegu rzeki. Freddy podnosi zaczep tak, by syreny nie mogły go dosięgnąć. Mocuje drewniany uchwyt wyposażony w sznurek, który następnie przywiązuje do drzewa, żeby ułatwić jego powrót.

– W porządku, tyrolka jest gotowa.

Rabin idzie pierwszy, chcąc upewnić się, że jego mechanizm dobrze działa. Delikatnie przeslizguje się nad niebieską wodą, poza zasięgiem wodnych stworów, które bezskutecznie próbują go złapać.

– To działa! – woła do nas z drugiego brzegu, jednocześnie mocując pewniej tyrolkę.

Marilyn Monroe ciągnie za sznurek, aby uchwyt powrócił. Następnie uczepia się go i po chwili dociera bezpiecznie do brzegu. Po niej próbuje szczęścia Mata Hari, dalej Edmond Wells, Edith Piaf, Raoul i na końcu ja.

W międzyczasie syreny zdążyły się zorganizować. Na środku rzeki wznosi się prawdziwa żywa kolumna, najwyraźniej czekając na spotkanie ze mną. Aby móc się wznieść, usiadły sobie na ramionach. Nagle czuję, że jedna z syren chwytając mnie za nogę.

Boję się, że ta urocza ryba wciągnie mnie pod wodę. Przeszkadza jej cherubinka, lądując na oczach wodnego stworzenia.

Ankh Raoula nadal działa i jeden celny strzał powoduje, że nieprzyjacielska ręka puszcza mnie.

Ja też chronię się na drugim brzegu.

– Dziękuję, Raoul.

Cherubinka robi nadąsaną minę, jakby chciała mi zwrócić uwagę, że ona także odegrała rolę w ratowaniu mojej osoby.

– Dziękuję ci, smarkaczko. Ledwie się z tego wykaraskaliśmy.

Słyszymy, jak satyry podejmują zgodnym chórem:

– Ledwie się z tego wykaraskaliśmy. Ledwie się z tego wykaraskaliśmy.

I ciągną nas za togi.

Rabin sprawdza stan swojej tyrolki.

– Następnym razem trzeba będzie zamocować linię wyżej, a wtedy wystarczy podnieść nogi, by nie dać się dosięgnąć syrenom – stwierdza ze spokojem.

– Jednak nie zostawiajmy liny w widocznym miejscu – radzi Edmond Wells. – Lepiej nie

przyciągać uwagi centaurów. Zwińmy ją.

Jestem przemoczony. Spoglądam na czarne listowie po drugiej stronie rzeki, skąd nadal dobiega nieprzyjazny ryk. Zwierzę wygląda na zawiedzione, że straciło szansę spotkania z nami. Na srogie pomruki nakłada się smutna pieśń syren, jakby chciały nas one pożegnać i wyrazić żal z powodu swojej porażki.

43. MITOLOGIA: SYRENY

Wyraz „syreny” oznacza „te, które przywiązują za pomocą liny”, gdyż ich śpiew doskonale nadaje się do usidlenia mężczyzn. Córki rzeki Acheloos i nimfy Kaliope mają kobiece ręce i tułów, który przechodzi w rybi ogon. Ich wygląd przypisuje się Afrodycie, która ukarała je w ten sposób za to, że nie chciały ofiarować jednemu z bogów swojego dziewictwa. Pieśniarki o czarodziejskich głosach zniewalają swym śpiewem marynarzy, którzy tracą orientację i zbaczają z kursu, następnie zaś toną, pożarci przez wodne stworzenia. Syreny mają różne imiona, lecz według legendy najślawniejsza z nich, Partenope, osiadła na mieliźnie przy brzegu Morza Tyrreńskiego, naprzeciw Capri, dając początek miastu Neapol. Zdaniem alchemików, syreny symbolizują połączenie siarki (ryba) i rtęci, dwóch pierwiastków biorących udział w tworzeniu wielkiego dzieła. Baśń Andersena *Mała Syrenka* opowiada w bardziej prozaiczny sposób o tym, jak to dla miłości do księcia syrena decyduje się zrzucić rybi ogon i zastąpić go nogami kobiety, aby móc zatańczyć. Historia jest wyraźną parabolą: ludzie usiłują wznieść się ponad zwierzęcą kondycję, po to, żeby móc przyjąć wertykalną postawę.

Edmond Wells,
Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V
(według Francisca Razorbaccka, zainspirowanego
Teogonią Hezjoda, 700 r. przed Chrystusem)

44. ŚMIERTELNICY. 4 LATA. PRÓBA WODY

Powrót do willi nr 142 857. Jestem głodny. Same jajka i sól nie są w stanie mnie nasycić po takim wysiłku fizycznym. Wolałbym teraz bardziej pożywne potrawy. Jutro zajęcia z Posejdonem, bogiem mórz. Może więc ryby będą daniem dnia. Bez jednego mrugnięcia zjadłbym nawet smażony ogon syreny.

Zagłębiając się w wannie. Każdego dnia i każdej nocy zadania okazują się coraz trudniejsze. Kiedy wracam późną nocą, czuję się wyczerpany i tak bardzo podekscytowany, że nijak nie mogę zasnąć, chociaż zaciskam mocno powieki.

Jakiś hałas za oknem stawia mnie na nogi. Otwieram oczy i owijam ręcznik wokół bioder. To smarkaczka puka w szybę. Zapraszam ją do środka i wracam do wanny. Przez chwilę waham się, czy pokazać się nago tej młodej dziewczynie, ale w końcu smarkaczka to cherubinka, a chimery nie muszą się wstydzić. Zresztą nie wiadomo, jakiej była kiedyś płci. Smarkaczka spokojnie siada na brzegu wanny, najwyraźniej daleka od podzielenia moich skrupułów.

– Jestem głodny, a ty nie? Czym się żywisz?

Próbując mi odpowiedzieć, cherubinka wyciąga motyli język i chwytając muchę, która nieszczęśliwie znalazła się w jego zasięgu. Dwa kłapnięcia szczęką i owad znika.

– Wiem, że nie lubisz, kiedy nazywam cię smarkaczka.

Cherubinka kiwa głową.

– Trudno, jednak nadal będę cię tak nazywał, bo uważam, że to określenie świetnie do ciebie pasuje.

Na znak protestu dziewczyna-motyl chłapie mi wodą z mydłem w oczy, ale cały czas się uśmiecha.

– Jestem przekonany, że znasz wszystkie tajemnice wyspy.

Kiedy zaczynam zadawać pytania, moja towarzysząca poważnieje.

– Odpowiadaj tak lub nie. Wiesz, co się znajduje na szczycie Olimpu?

Ani tak, ani nie, tylko zagadkowy wyraz twarzy.

– Czy mieszka tam wielki Pan Bóg, stojący ponad bogami-mistrzami?

Zastanawia się przez chwilę, następnie kiwa potakująco głową.

– Widziałas go?

Ruch oznaczający zaprzeczenie jest tak czytelny i powtarzany wielokrotnie, jakby chciała powiedzieć, że nikt nigdy nie widział Boga i nikt go nigdy nie ujrzy.

– A diabła?

Podobnie jak Atena, wzdryga się, słysząc to imię.

– A może przez przypadek umiesz rozwiązać zagadkę: „Co jest lepsze niż Bóg i gorsze niż diabeł?”.

Smarkaczka wznosi oczy ku niebu. Nie ma pojęcia. Więc próbuję z innej beczki:

– Wiesz, kim jest bogobójca?

Spogląda na mój ankh, następnie leci w kierunku gniazdko. Co ona chce mi powiedzieć? W końcu dochodzę do wniosku, że cherubinka radzi mi naładować broń, abym mógł jej użyć, gdyby zabójca bogów zabrał się za mnie.

– Sądzisz, że on chce wyeliminować wszystkich uczniów po kolei?

Wydaje się absolutnie o tym przekonana.

– A czy w poprzednich latach też zdarzały się podobne morderstwa?

Jej usta układają się w „nie”.

Decyduję się wyjść z wanny, nakładam szlafrok i umieszczam ankh w ładowarce.

Smarkaczka kiwa potakująco głową.

Zadaje kolejne pytanie:

– Znasz ludzi z „Ziemi 1”?

Zaprzecza.

– Zatem pozwól, że ci kilkoro przedstawię.

Na ekranie mojego telewizora już czteroletni Kouassi Kouassi baraszkuje w błotnistym stawie z bandą szczęśliwych dzieci. Chlapią na siebie i kolejno nurkują w błotnistej wodzie. Nieco dalej grupka kobiet robi pranie, od czasu do czasu rzucając okiem na bawiące się pociechy. Nikt nie wydaje się zaniepokojony, kiedy na horyzoncie pojawia się krokodyl i pod pływa do rozbawionych maluchów, które traktują go jak nowego towarzysza zabaw. Swymi małymi piąstkami uderzają w głowę zwierzęcia, wchodzą na niego, waląc nóżkami po bokach, drażnią, jak tylko potrafią. Wielki jaszczur otwiera szeroko paszczę i wydaje żaloszny pisk, który nie przeraża ani matek, ani ich dzieci.

– Dziwne, co? Tacy są właśnie ludzie z mojej planety – mówię. – Nawet ja taki byłem... może zresztą ty też.

Znowu zaprzecza i wtedy przychodzi mi na myśl, że może smarkaczka jest z rocznika, który przybył z takiej planety, o której nic nie wiem. Jak Czerwona Planeta, której istnienie odkryłem, kiedy jeszcze byłem aniołem.

Drugi kanał. Na plaży. Matka Theotime'a założyła mu na rączki poduszki do pływania, a na szyję koło w kształcie głowy kaczki. Dziecko bawi się, całe szczęśliwe. Nie boi się wody. Zresztą, podobnie jak jego ojciec, który pływa gdzieś tam, z dala od swojej rodziny. Matka trzyma chłopca, potem go puszcza. Chłopiec uderza pulchnymi nóżkami, przechyla się do przodu, wypija haust wody i zaczyna płakać. Dochodzę do wniosku, że pod wpływem zbyt opiekuńczej matki Igor stał się trochę niezdarny.

Na trzecim kanale matka Eun Bi trzyma płaczącą dziewczynkę przed sobą w basenie. Mała jest zielona ze strachu i wrzeszczy, zupełnie nie przejmując się otaczającymi ją ludźmi. Jest ich w basenie tylu, że poszczególne osoby dzielą od siebie kilkucentymetrowe odległości. Krzyki dziecka irytują kąpiących się. Matka wyciąga dziewczynkę na brzeg, daje lekkiego klapsa i wrzuca samą do basenu, sądząc, że dziecko będzie musiało sobie poradzić. Pozostawiona samej sobie dziewczynka walczy, dostaje się pod wodę, następnie wyciąga głowę, kaszląc i pluąc. Pływacy patrzą potępiająco już nie tylko na dziewczynkę, ale także na jej matkę, która nie chce uczyć dziecka pływania. W końcu wyciąga małą na brzeg, zawija drżącą z zimna w ręcznik, a następnie odchodzi na drugi koniec basenu.

Smarkaczka wytrzeszcza oczy ze zdziwienia.

Wyłączam telewizor i wyjaśniam:

– Ci ludzie byli kiedyś moimi klientami. Zajmowałem się nimi w poprzednim życiu... zresztą, może ty też byłaś kiedyś aniołem? A na pewno musiałaś być bogiem-uczniem...

Piękna cherubinka spogląda na mnie uważnie, potem odlatuje przez otwarte okno w łazience.

Widzę, jak zmienia się w nocnego motyla.

Staram się zebrać myśli. A więc kto jest jutro naszym nauczycielem?

45. MITOLOGIA: POSEJDON

Syn Kronosa i Rei, Posejdon, czyli „ten, który napęlnia wodą”, podobnie jak jego bracia został połknięty przez ojca, lecz Zeus przywrócił mu życie. Ponieważ byli braćmi, Posejdon został bogiem olimpijskim i otrzymał Królestwo Mórz. Władał morskimi falami, strumieniami, rozpętywał burze i powodował, że ze skał tryskały nowe źródła.

Walcząc u boku Zeusa, pokonał Tytanów i gigantów, ciskając w nich skałami oderwanymi przez fale oceanów z klifowych wybrzeży.

Kiedy władca Olimpu zrzucił z tronu swojego ojca, Kronosa, podarował Posejdonowi podwodny pałac na dnie Morza Egejskiego. Jednak to go nie zadowoliło. Wbił więc swój trójząb w ateński Akropol, w miejscu, gdzie jeszcze dziś zobaczyć można studnię ze słoną wodą. Ale to miejsce wybrała już sobie Atena, więc wściekły Posejdon zaatakował miasto. Zgodził się oszczędzić mu klęski, lecz Atena musiała zastąpić poświęcony swojemu kultowi system matriarchalny patriarchalnym. Ateńskie kobiety straciły prawo do głosowania, a dzieci nie mogły już nosić ich nazwisk. Nie spodobało się to Atenie i władca Olimpu musiał interweniować, żeby zapobiec bratobójczej wojnie.

Chociaż Posejdon poślubił jedną z Nereid, Amfitrytę, nie stronił od miłostek z boginiami i nimfami. Ponieważ stanął w obronie Afrodyty przyłapanej w objęciach Aresa, w podzięce bogini powiła mu dwóch synów, Rodosa i Herofilosa. Z Gają spłodził Anteusza, olbrzymiego potwora mieszkającego na Pustyni Libijskiej, gdzie pożerał lwy. Chcąc uwieść swoją siostrę, Demeter, która przemieniła się w kłacz, sam przybrał postać ogiera. Ich potomkiem był Arion, mówiący koń z nogami człowieka. Uwiódł także Meduzę, w dodatku w świątyni Ateny. Rozzłoszczona bogini wpadła w gniew, chwytając za włócznię, a następnie zabrała Meduzie całą jej urodę, zastępując jej piękną twarz kłębówiskiem węży. Jednak z tego związku narodził się skrzydlaty koń, Pegaz. Posejdon uchodził za ojca jeszcze innych potworów, takich jak Tryton, półczłowiek, półryba, a także Cyklop Polifem i olbrzym Orion.

Ponieważ Posejdon zawsze pragnął poszerzyć swe królestwo, zawiązał z Apollem spisek przeciw Zeusowi. Spisek został wykryty, a Posejdon i Apollo za karę musieli wznieść mury Troi dla króla Laomedona. Kiedy za wykonaną pracę nie otrzymali umówionej zapłaty, Posejdon posłał morskiego potwora, który spustoszył miasto.

Edmond Wells,
Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V
(według Francisca Razorbacka, zainspirowanego
Teogonią Hezjoda, 700 r. przed Chrystusem)

46. CZAS ROŚLINNOŚCI

Poniedziałek, dzień poświęcony Księżycowi. Lekcja Posejdona. Stojący na Polach Elizejskich pałac Posejdona wygląda z zewnątrz jak zbudowany na plaży efemeryczny zamek z piasku, czekający na kolejny przyływ. Wnętrze przypomina raczej magazyn rybaka, pełen łódek, sieci, muszli i amfor. Stojące wzdłuż ścian akwaria eksponują algi, anemony i połyskujące korale.

Nasz dzisiejszy nauczyciel to olbrzym z białą, przyciętą w kwadrat brodą. Nie rozstaje się ze swoim trójzębem, ciągnąc za sobą to hałaśliwe żelastwo. Nic miłego nie ma w jego wyglądzie. Patrzy na nas ze złością i wrzeszczy:

– Atlas!

Przybiega Atlas, na stojącym pośrodku sali podeście kładzie „Ziemię 18” i wychodzi bez zwykłych protestów.

Posejdon zbliża się do kuli jak śledczy szukający śladów na miejscu zbrodni, obserwując jej powierzchnię za pomocą przyłożonej do oka lupy swojego ankh, i grzmi:

– I wy to nazywacie światem!

Siedzimy cicho, skuleni w naszych ławkach.

– ...A ja twierdzę, że są planety, za których wygląd powinni wstydzić się ci, którzy je tworzyli – dodaje, uderzając trójzębem w biurko. – Od czasu, gdy jestem bogiem-mistrzem w Olimpii, nigdy, przenigdy nie widziałem tak nędznego świata. I dokąd chcecie pójść z tym nieszczęściem, co to nawet nie ma kształtu kuli?

Nauczyciel wstaje i spacerując przed podium, co chwilę celuje w nas trójzębem, albo szarpie z wściekłością brodę.

– Wszędzie pełno garbów. Nijak to ruszyć. Ej, ty tam, idź poszukać Kronosa.

Wskazany palcem uczeń biegnie bez słowa do domu mistrza i już po chwili wraca w towarzystwie jak zwykle zaniedbanego boga czasu.

– Prosiłeś, żebym przyszedł?

– Tak, ojcze. Widziałeś, jakie paskudztwo ma służyć temu nowemu rocznikowi jako wyjściowy model świata?

Kronos przykłada do oka zegarmistrzowską lupę, sprawdzając naszą pracę, a przez jego twarz to rusz przebiega kolejny grymas niezadowolenia.

– Wydaje mi się, że kiedy dałem im kosmiczne jajo, wszystko było bez zarzutu – mówi, niemal się usprawiedliwiając.

– Zatem to Hefajstos wszystko sknocił. Uczeń, proszę go tu do mnie przyprowadzić – grzmi bóg mórz.

Ten sam uczeń wybiega ponownie i zaraz wraca w towarzystwie boga kowali, u którego boku idą dwie kobiety-roboty, pilnując, by kaleki starzec nawet lekko nie stracił równowagi. Od razu pojmuję, że chodzi o problemy z „Ziemią 18” i używszy lupy swojego ankh, przygląda się naszej planecie.

– Ojej, wszystko w porządku... Po co być aż takim perfekcjonistą – gdera.

Rozgniewany Posejdon złości się jeszcze bardziej:

– Ach, tak? No to ja odmawiam pracy nad „Ziemią 18”. Radźcie sobie sami. Albo ją naprawicie, albo dostanie „Ziemię 19”, taką jaka być powinna.

Siedzimy cicho. Jeśli nauczyciele nie mogą się porozumieć, to nam, początkującym bogom-uczniom, z pewnością nie wypada się wtrącać.

– Jednak to nowa planeta – protestuje Hefajstos.

– Zacząć jeszcze raz to znaczy opóźnić program zajęć. A to niemożliwe. Musisz się

zadowolili tym niedoskonałym światem.

Ojciec i syn mierzą się wzrokiem. Posejdon pierwszy spuszcza oczy i wzdycha.

– Jednak, Hefajstosie, wyróżnij mi te garby.

Niezadowolony bóg złotników posłusznie robi użytek ze swojego ankh. Bóg czasu wspomaga jego wysiłki, przyspieszając zegar tak, aby wulkany, nad którymi tamten pracuje, szybciej stygły.

– Teraz twoja kolej. Nic więcej nie możemy dla ciebie zrobić – oznajmia Hefajstos, dając znak kobietom-robotom, żeby zaprowadziły go do wózka inwalidzkiego, który już pchają w jego stronę, wspomagane przez Kronosa, też pragnącego jak najszybciej stąd umknąć.

– Niedoskonały świat, będący w stadium minerału, nigdy nie zdoła przekształcić się w świat doskonały, na wyższym poziomie ewolucji – zrzędzi Posejdon po wyjściu kolegów. – Planeta jest jak żywa istota. Musi oddychać. Czy zastanawialiście się kiedyś, dlaczego na skórcie od chleba jest tyle pęknięć? To popatrzenie teraz na tę spaprana planetę.

Nastawiwszy swój trójząb na maksymalną moc, uderza piorunem, poprawiając jeszcze miejscami wygląd „Ziemi 18”, potem prostuje się, wyraźnie zmęczony.

Ostatnie płonące góry dogasają jak świeczki na urodzinowym torcie. Tylko obłoki białej pary unoszą się jeszcze nad nimi, kierując się ku niebu, gdzie zamieniają się w chmury. Te, łącząc się, tworzą atmosferę, która stopniowo osłania całą planetę swoim bawelnianym płaszczem.

– Kto uzyskał najlepszą ocenę na poprzednich zajęciach? – pyta bóg mórz, gasząc w sali światło.

Sarah Bernhardt podnosi rękę.

– A więc pani należy się zaszczyt wykonania strzału. Proszę strzelić w chmurę. Jedna niewielka błyskawica powinna wystarczyć.

Słynna aktorka jest wyraźnie zdziwiona poleceniem, jednak posłusznie bierze ankh, kierując go w warstwę chmur. Gdy tylko błyskawica dotyka „Ziemi 18”, jasne chmury zbijają się w grupy, po chwili stają się ciemne, szare, aż wreszcie zupełnie czarne. Słyszymy grzmoty nie pochodzące z naszych ankh. Z miejsca, w którym jesteśmy, widać tylko migoczące świetlicie białe punkty, tworzące pod spodem coś w rodzaju włókien łączących atmosferę z powierzchnią planety. Wtedy z czarnych chmur spada prawdziwy potok deszczu.

Skinieniem ręki Posejdon każe nam podejść do kuli i obejrzeć widowisko. Wszystkie szczeliny na powierzchni planety wypełniają się brunatną wodą. Głębokie szczeliny, oddzielające kontynenty, także stopniowo zapełnia woda. Zalane doliny zamieniają się w jeziora, które czasami występują z brzegów, przechodzą w rzeki lub dzielą się na strumienie.

Po chwili deszcz ustaje, jakby chmury wypłyły całą swoją zawartość. Czarne chmury z powrotem stają się szare, potem jasne, następnie półprzezroczyste, wreszcie znikają.

Przestrzeń pomiędzy atmosferą i powierzchnią planety zapełnia się powietrzem, woda nabiera granatowej barwy.

Posejdon zapala światło.

– I oto dotarliście do najbardziej interesującego momentu waszej nauki. Teraz właśnie stworzymy Życie.

Zapisuje na tablicy: „Stworzenie Życia”, a poniżej notuje:

o: punkt wyjścia. Kosmiczne jajo.

1: materia. Minerał.

2: życie. Rośliny.

Przychodzi mi na myśl *Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej* Edmonda Wellsa. „2” – roślina: linia pozioma połączona z ziemią za pomocą krzywej, Kochająca światło...

Posejdon pokazuje, jak mamy postępować. Wystarczy leciutko dotknąć piorunem nici DNA.

Precyzyjnymi uderzeniami tworzymy trwały program żywej istoty. Wygląda to tak, jak byśmy perforowali jedną z taśm, które kiedyś wykorzystywano w programach komputerowych. Posejdon dodaje, że stworzoną przez nas pamięć trzeba ochronić jądrem.

Możemy umieszczać w nici DNA wszystko, co tylko przyjdzie nam do głowy. Programujemy kolor, wielkość, kształt, smak, różne grubości skóry, twardość, wytrzymałość.

Niebywałe, co można zrobić, mając do dyspozycji tylko wodór, tlen, węgiel i azot, bowiem wszystko, co żyje, to tylko połączenie tych czterech atomów. Dalej program DNA działa już samodzielnie.

– Dla każdego z waszych dzieł – kontynuuje Posejdon – musicie znaleźć:

Sposób odżywiania się.

Sposób rozmnażania.

Szukajcie, wymyślajcie, znajdujcie rozwiązania. Dajcie się ponieść wyobraźni. Nie wahajcie się ożywić morskie głębiny, jaskinie, szczeliny, a nawet powierzchnie oceanów. Róbcie wszystko, co chcecie. Macie na to kilka godzin. Potem dostaniecie jeszcze czas na dokonanie korekty i dostosowanie stworzonego świata do warunków klimatycznych narzuconych wam przez siasiadło.

Zagłębiamy się w ciele komórek, jak mechanik z dłońmi umazanymi smarem. Grzebię w nitkach DNA, jakbym naprawiał silnik. Następnie porządkuję chromosomy w jądrach, tak jak włókna w worku. Początkowo wszystkie moje struktury rozpadają się. Osłonka komórki nie jest zbyt trwała albo też takie DNA jest niemożliwe.

Zauważam jednak powoli, jakie interakcje zachodzą w stworzonych kombinacjach, i otrzymuję najbardziej elementarną formę życia: kulistą bakterię, której ciało składa się z jednej komórki, zawierającej jądro oraz kod DNA.

Umiem już odpowiedzieć na pierwsze pytanie Posejdana: „w jaki sposób się odżywia?” – bakteria pochłania na drodze fotosyntezy światło oraz drobinki organicznych cząsteczek, pochodzących z próbek pozostawionych przez moich kolegów. Odpowiedź na drugie pytanie: „jak się rozmnaża?” jest bardzo prosta: przez partenogenezę. Dzieli się na dwie komórki, identyczne jak komórka macierzysta.

Kątem oka spoglądam na pracę stojącego obok mnie Freddy’ego Meyera.

Udało mu się już stworzyć istotę wielokomórkową, coś w rodzaju algi. Z kolei Raoul uzyskał wirus o prostej budowie, ale bardzo trwały i potrafiący odżywiać się i rozmnażać wewnątrz innych organizmów. Edmond Wells zbudował gąbkę, która żywi się nie tylko światłem, lecz także gazem. Dzięki systemowi filtrów, jego istocie nie przeszkadza tlen, który dotychczas dla każdej formy życia stanowił wyłącznie truciznę. Gąbka wykorzystuje tę energię, tworząc wypustki, za pomocą których może wydostać się na powierzchnię. Mata Hari też wybrała bardziej skomplikowaną drogę, wymyślając istnienie płci. Jej istoty nie rozmnażają się już przez podział, lecz łącząc się z innymi osobnikami, wskutek czego następuje wymieszanie ich kodów DNA.

– Nieźle.

– To nie było takie łatwe – przyznaje. – Najpierw musiałam przejść przez fazę kanibalizmu. Jeden osobnik zjadał drugiego, aby połączyć obie nici DNA. Wtedy zrozumiałam, że będzie lepiej, jeśli zrobię to w dwóch etapach: najpierw połączę dwie komórki w jedną istotę o podwójnym kodzie DNA, a potem stworzę trzecią, będącą połączeniem tych dwojga.

– Zatem $1 + 1 = 3$ – podsumowuje żartobliwie Edmond Wells.

W tej samej chwili czuję, że to matematyczne działanie ma w sobie ogromną siłę. $1 + 1 = 3$ zawiera więc w sobie tajemnicę ewolucji.

Krążąc pomiędzy nami, Posejdon sprawdza, jakie czynimy postępy. Zatrzymuje się dłużej

przy Macie Hari, kibicując jej poczynaniami. Pozostali uczniowie jak na komendę biegną zobaczyć ten rewolucyjny system, pozwalający wyjść z cyklu rozmnażania samoistnego do etapu łączenia się dwóch różnorodnych istot.

Budujemy i rozbieramy nasze budowle, ulepszamy powstające prototypy, tworząc coraz bardziej złożone istoty. Jest już plankton, rozwielitki, robaki. Niektórzy chcieliby pójść w stronę ryb, ale Posejdon ich wstrzymuje. Nic, co ma oczy, nic, co ma usta. Na razie nie należy oddalać się od świata roślin. Pozostajemy na poziomie 2.

Akceptujemy te ograniczenia. Moja „Pinsonetka” to różowy wodny kwiat, trochę wątlę, ale odporny. Łatwo się rozmnaża dzięki systemowi filtrów, podpatrzonych u Edmonda Wellsa oraz mechanizmowi płciowemu mojego własnego wynalazku, który wysyła gamety do wody. Jednym słowem, mój kwiat wykorzystuje wszystkie najnowsze wynalazki.

„Razorbasketka”, którą zbudował Raoul, jest wyposażonym w długie czułki anemonem. Edmond dopieszcza swoją „Wellsetkę”, ciemnoczerwoną algę, której wygląd przypomina sałatę. Roślina posiada system wypełnionych powietrzem kapsuł, które umożliwiają jej unoszenie się na powierzchni, dzięki czemu ma więcej tlenu i światła. Wzbudza to mój podziw, gdyż moja żyjąca w morskich głębinach „Pinsonetka” może korzystać wyłącznie z tlenu znajdującego się w wodzie oraz ze słabego światła, które przedostaje się przez zewnętrzna warstwę morza.

Mata Hari wymodelowała swoją „Hariettę” na prosty, czerwony kwiat przyczepiony do podłoża i kołysany przez fale. Co jakiś czas wypływa ze swego wnętrza gamety, które spotykając w wodzie inną gametę, łączą się z nią, tworząc nową roślinę. Tak więc w prymitywnym oceanie powstają kolejne rośliny, a ja zauważam, że nie są do siebie podobne i każda z nich zaczyna na własny sposób dostosowywać się do panujących warunków.

Dzieło Gustave’a Eiffla jest piękne i spektakularne. To rozrastający się koral, o strukturze w połowie mineralnej, w połowie roślinnej. Jego pomarańczowa kolorystyka kontrastuje z ciemnoniebieską wodą. Freddy Meyer wymyślił coś bardziej dyskretnego: delikatny mech w kolorze nieba. Doczepiony do skały, zabarwia ją na turkusowo. Krzew z miękkimi gałęziami, dzieło Sary Bernhardt, jest piękny, lecz zdaje się, że proces jego rozmnażania może okazać się bardzo trudny.

Wszędzie pełno roślin. Jest już ponad sto pięćdziesiąt gatunków, a wśród nich są i takie, które nie należą do żadnego z bogów-uczników. Być może powstały samoistnie. Posejdon radzi, abyśmy nie lekceważyli świata roślin, ponieważ dysponują one ogromną siłą, mimo że są nieruchome.

– Pamiętajcie, jak podczas ostatniego ziemskiego życia podziwialiście rośliny – mówi – a one wywierały wpływ na wasze życie? Kawa pobudza. Cukier z trzciny lub buraka cukrowego dostarcza energii, podobnie jak czekolada, bez której wielu z was nie potrafiło się obyć. Jest jeszcze herbata, tytoń. O tak, tytoń. Zwyczajny liść, a potrafi działać na cały organizm człowieka. Bierze udział w spalaniu tłuszczów, wpływa na sen, nastrój... Są też oczywiście rośliny stosowane jako narkotyki: liście koki, liście marihuany, mak, konopie... Zabawne, roślina, która rządzi człowiekiem. Co wy na to? Ileż cywilizacji uległo wypaczeniu z powodu roślin. Nigdy nie lekceważcie żadnej formy ewolucji, nawet jeśli na pierwszy rzut oka wyda wam się ona prymitywna. To może być pułapka.

Posejdon ciągnie swoją długą brodę, pochyla się, przygląda, stawia oceny, aż wreszcie ogłasza zwycięzcę. Tym razem wieńiec laurowy dostaje Bernard Palissy. Twórca ceramiki stworzył gęstą roślinę, która bardzo szybko wzrasta, żywiąc się wyłącznie światłem oraz związkami chemicznymi zawartymi w podłożu.

Tym razem przegrywa Vincent van Gogh. Malarz stworzył wodny kwiat z żółtozłotymi płatkami, przypominający jego słynne słoneczniki, lecz wyposażył go w mechanizm, który

wyłącznie jemu wydał się przydatny: system zmiany kolorów, w swym założeniu przeznaczony do maskowania rośliny, lecz szybko przez twórcę zmodyfikowany tak, aby jego „Goghietka” mogła bez powodu zmieniać tonację tylko po to, aby być piękniejszą.

– Estetyka stanowi w przyrodzie niepotrzebny luksus – ponuro komentuje Posejdon. – Na tym stadium rozwoju należy raczej myśleć o tym, co skuteczne.

Kilku malarzy w naszych szeregach szemrze z niezadowolenia, solidaryzując się z nieszczęsnym impresjonistą, podczas gdy van Gogh nie poddaje się, protestując głośno:

– Nie zgadzam się. Celem rozwoju nie jest wyłącznie skuteczne działanie, ale również, a może nawet w szczególności piękno. Moja „Goghietka” to nie pomyłka debiutanta. To dzieło jest wyrazem prawdziwej perfekcji i żałuję, że nie jest pan w stanie tego zrozumieć.

– Przykro mi, panie van Gogh – sucho odpowiada bóg mórz – to nie pan ustala zasady w Olimpii. By tu osiągnąć sukces, należy postępować zgodnie z wymaganiami nauczycieli, nie zaś tworzyć swoje własne prawa.

Van Gogh chwyta swój ankh, lecz jest już za późno. Do sali wbiega grupa centaurów z tarczami w rękach podobnymi do tych, jakie widziałem u policyjnych sił szybkiego reagowania. Malarz uderza piorunem, lecz są dobrze chronieni. Wtedy, w akcie rozpaczony, kieruje ankh w swoją stronę, celuje w ucho, strzela i upada. Ludzie-konie zabierają jego zwłoki. Cała scena nie trwa dłużej niż kilka sekund.

Odejmowanie: $139 - 1 = 138$.

Nikt nie powiedział ani słowa. Poddaliśmy się.

To zadziwiające, jak szybko przyjęliśmy „ich” reguły gry. Dla najlepszych wieniec laurowy, dla mniej dobrych – eliminacja. Jesteśmy już tylko banalną klasą, której uczniowie boją się egzaminów i tego, by nie zostali wyrzuceni.

47. ROSYJSKIE LALECZKI

Gdyby elektron posiadał świadomość, czy domyśliłby się tego, że stanowi część o wiele większej całości, zwanej atomem? Czy atom domyśliłby się, że należy do większej całości, czyli cząsteczki? I czy cząsteczka byłaby w stanie zrozumieć, że jest zamknięta w większej całości, na przykład w zębie? I dalej, czy ząb potrafiłby pojąć, że stanowi część ludzkiej jamy ustnej? A fortiori, być może elektron zdaje sobie sprawę z tego, że stanowi najmniejszy element ludzkiego ciała? Kiedy ktoś twierdzi, że wierzy w Boga, to tak, jakby przyznawał: „Ja, maleńki elektron, próbuję zrozumieć, czym jest cząsteczka”. Kiedy ktoś inny mówi, że jest ateistą, to tak, jakby zapewniał: „Ja, maleńki elektron, jestem pewien, że nie istnieje żaden wymiar większy od tego, który znam”. Ale co powiedzieliby ci wszyscy wierzący i ateści, gdyby wiedzieli, o ile świat jest szerszy i bardziej złożony od tego, jaki są w stanie sobie wyobrazić? Jak bardzo zburzyłoby to spokój elektronu, gdyby wiedział, że nie tylko jest zamknięty w atomach, cząsteczkach, zębach, ludziach, ale także, że człowiek stanowi część planety, systemu słonecznego, przestrzeni oraz czegoś o wiele bardziej rozległego, czego na dzień dzisiejszy nawet nie potrafimy nazwać. Tak, jakbyśmy stanowili jedną z rosyjskich lalczek – matryoszek.

Dlatego też pozwalam sobie twierdzić, że stworzona przez ludzi koncepcja boga może okazać się bardzo nietrwałą, kiedy przyjdzie im zetknąć się z nieskończoną złożonością tego, co może ich przewyższać.

Edmond Wells,
Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

48. OWOCE MORZA, JEŻOWCE I OSTRYGI

Pora Roku – Jesień przynosi nam algi, ostrygi, jeżowce i morskie anemony. Po soli i jajkach te dania wzbudzają nasz zachwyt. Wspaniale współgra ze sobą połączenie smaku jodu i roślin. Mam wrażenie, jakbym połykał kęs oceanu.

Nie testowaliśmy smaku stworzonych przez nas roślin i zastanawiam się, jaki smak ma moja Pinsonetka. Czy w ogóle jest jadalna?

Raoul usiadł obok mnie.

– Niewiele dotychczas rozmawialiśmy – mówi. – Co sądzisz o tym wszystkim?

Wyjmuję ostrygę z muszli i połykam, podczas gdy zamyślony Raoul drapie się po brodzie.

– Mam wrażenie, jakby to wszystko nie działo się naprawdę, jakbym stanowił jeden z elementów gry, którą ktoś kieruje, jak statysta ustawiany przez nieznanego reżysera. Gramy w filmie albo w jakimś reality show... Wszędzie śledzą nasze reakcje. I do tego ci olbrzymi bogowie, togi, chimery, ludzie-konie, dziewczyny-motyle, syreny, gryfy, satyry, cała ta sceneria jakby prosto ze świata Salvadora Dali... Kiedy byliśmy teonautami, cieszyłem się, unosząc kolejne kurtyny, za którymi tkwiły ukryte tajemnice. Wychodziliśmy poza systemy, medyczne archaizmy, religijne dogmaty, poglądy wszelkiego rodzaju nauczycieli. A tu... kto jest naszym prawdziwym wrogiem?

Raoul częstuje się owocami morza, które Hora właśnie postawiła przed nami. Precyzyjnie wkłada nóż i wyjmuje jeżowca, omijając jego kolce.

– ...Te lekcje, na których stawiają nam oceny, jakbyśmy byli dziećmi, marchewka w postaci wieńca laurowego dla najlepszych, usunięcie niepokornych... To mi się nie podoba. Nie noszę czuć się ograniczany. A my jesteśmy ograniczani: grawitacją, która przykleja nas do ziemi, murami miasta, morzem otaczającym wyspę Aeden i nią samą, zagubioną na dalekiej planecie.

– Każdego wieczoru lub prawie każdego bez problemu wychodzimy poza mury miasta – mówię.

Mój przyjaciel zdaje się powątpiewać.

– Nawet te ucieczki zdają się zbyt łatwe. Wszystko dzieje się tak, jakby stawiano przed nami kolejne przeszkody po to, abyśmy zrozumieli, że łamiemy reguły, podczas gdy...

– Co masz na myśli?

– Zastanawiam się, czy czasami nie tego się od nas oczekuje. Zauważyłeś, jak łatwo udało nam się pokonać rzekę? I jak zawsze w ostatniej chwili udaje nam się przypadkiem umknąć niebezpieczeństwu? Ostatnim razem nawet pomogły nam chimery... Nie sądzisz, że to podejrzanę? Wydaje mi się, że ktoś za tym stoi.

– Niewykluczone, ale kto?

Nożem do ostryg wskazuje na szczyt góry.

– Ten, kto pociąga za sznurki – Wielki Pan Bóg.

Na jego twarzy pojawia się grymas.

– Chyba, że sam diabeł.

Wiosna, widząc, że delectuję się smakiem, przynosi mi kolejną tacę.

– Do tego te wszystkie uroczę dziewczęta... – podejmuje na nowo Raoul. – Jakby producent filmowy zaprosił na casting modelki prosto z jakiejś agencji.

– A co, wołałbyś stare babska?

Mój przyjaciel wdycha głęboko.

– Nie mogę znieść roli zabawki. Wiesz, to mi przypomina *Więźnia*. Ten serial, w którym ludzie zostają uwięzieni w jakimś hotelu, a główny bohater powtarza: „nie jestem numerem”.

- A ja po przybyciu tutaj pomyślałem raczej o *Wyspie doktora Moreau*. Pamiętasz tego szalonego doktora, który prowadził doświadczenia nad ludzko-zwierzęcymi hybrydami?

Mówienie o kinie odpręża nas.

- Mnie to miejsce kojarzy się z *Polowaniem hrabiego Zaroffa* - mówi Marilyn Monroe. - Widzieliście ten film, w którym przybyli na wyspę nowi ludzie stają się dla tamtejszych myśliwych łowną zwierzyną?

- Albo *Highlander*... „na końcu zostaje tylko jeden”... - mówi Freddy Meyer, polykając niezbyt świeżo wyglądającą ostrygę.

Tak jak od początku twierdził Edmond Wells, wszyscy mamy wrażenie, że to, co się tu dzieje, to jedna wielka bujda. Nie zvariowaliśmy ani z powodu śmierci Claude'a Debussy'ego, ani van Gogha, czy innych. Jakbyśmy sami grali w filmie lub byli bohaterami jakiejś powieści. Ludzie umierają i już. Nas niebezpieczeństwo nie dotyczy, traktujemy je jak swego rodzaju suspens...

- Czytaliście *Tajemniczą wyspę* Juliusza Verne'a? - pytam.

W chwili, gdy zadają pytanie, czujemy nagły chłód.

- Ta książka nie ma nic wspólnego z naszą historią - mówi Marilyn Monroe. - O ile dobrze pamiętam, opowiada ona o grupie osób żyjących jak Robinson Crusoe.

- No i tam nie ma żadnego miasta.

- Ale jest kapitan Nemo, który ich śledzi z ukrycia... - mówię.

- Ja bym tu raczej nawiązał do *Władcy much* - mówi Proudhon. - Pamiętacie dzieci zebrane na wyspie? Trafiają tam same, bez dorosłych i muszą sobie radzić.

Rzeczywiście, przypominam sobie utwór Williama Goldinga, który tak bardzo mnie zbulwersował. Na koniec dzieci dzielą się na dwie grupy. Pierwsza to ci, którzy chcieli rozpalic ogień, aby zaalarmować przepływający statek. Druga składa się z tych, którzy ulegli rządóm samowładczego przywódcy. Najpierw chciał polować, potem prowadzić wojnę. Ustanowił hierarchię, następnie zasady inicjacji oraz system kar. Druga grupa stopniowo eliminowała pierwszą.

Przypominanie kolejnych filmów wprawia nas w nostalgię i rodzi tęsknotę za „Ziemią 1”. Nagle przychodzi mi na myśl pytanie, czy na innych planetach też są seriale i kultowe filmy. Prawdopodobnie tak.

- A co, twoim zdaniem, znajduje się w czarnym świecie?

Myślimy o Cerberze, Psie Baskervilleów, niektórzy przypominają Obcego. Dziwne, ale nadawanie temu potworowi nazw lub obrazów rodem z Hollywood sprawia, że zwierzę wydaje nam się mniej straszne.

- Pamiętam białego królika z filmu Monty Pythona *Święty Graal* i malutkiego królika, który skacze i dusi wszystkich, nim zdążą zareagować.

- Można też myśleć o istocie z Bagien, która wychodzi tylko w nocy - mówi Marilyn Monroe.

- Albo Drakuli.

W tym momencie rozlega się kolejny krzyk. Momentalnie wracamy do rzeczywistości. Milkniemy. Za chwilę kolejny, jeszcze straszniejszy krzyk.

To nie film.

Zrywamy się na równe nogi. Wybiegamy z Megaronu, kierując się w stronę, która wydaje nam się miejscem zagrożenia.

Wrzask dobiega z willi, której drzwi są na wół otwarte. Wchodzimy wszyscy. Wnętrze jest identyczne jak mojej willi. Na podłodze leży widelec, który prawdopodobnie posłużył do otwarcia z zewnątrz zasuw.

Najwyraźniej ktoś tu wtargnął.

Salon jest pusty.

Na ekranie telewizora jakieś dziecko gra w klasy. Rzucone kości tworzą cyfrę „7” i dziecko, skacząc na jednej nodze, dociera do kratki z numerem „7”, na której białą kredą napisano „Niebo”.

Idę dalej. W łazience znajduję Bernarda Palissy’ego. Jest w stanie agonii. Połowę twarzy ma zwęgloną od uderzenia pioruna. Jedno oko ma jeszcze szeroko otwarte, ale drży mu powieka. Jeszcze nie umarł, jeszcze udaje mu się wybelkotać:

– Bogobójca to...

Walczy, chcąc wymówić nazwisko, lecz nie udaje mu się, traci przytomność.

– Kto się ośmielił? Kto sobie na to pozwolił? – krzyczy Atena, przedzierając się przez tłum, by dotrzeć do ciała.

Podnosi kopią ubranie zmarłego w poszukiwaniu innych ran, podczas gdy jej sowa wzbija się w górę, sprawdzając okolicę. Obie niczego nie znajdują. Centaury przykrywają kocem zwłoki biednego Palissy’ego i wyganiają nas z domu.

Odejmowanie: $138 - 1 = 137$.

Atena gromadzi nas wszystkich na dworze.

– Jest tu ktoś, kto postanowił zadziwić sobie z bogów-mistrzów, rzucając im wyzwanie. Bogobójca pragnie, by w Olimpii zapanował taki chaos, jaki spotyka się na wielu planetach, a z nim śmierć i zniszczenie. Zaprawdę, powiadam wam ja, bogini sprawiedliwości, że to mu się nie uda. Zbrodnie zostaną ukarane, a kara posłuży za przykład.

W towarzystwie teonautów oddalam się od tego smutnego miejsca i nagle całe miasto wydaje się nam najeżone niezliczonymi pułapkami.

– Miał powiedzieć, miał mi podać nazwisko. Ale zdążyłem tylko usłyszeć „bogobójca to...”.

– Ciekawe, on czy ona?

– Bogobójca, a więc na przykład diabeł albo bóg czegoś tam.

– Chyba, że to „ona”.

Mata Hari rozgląda się wokół, szukając śladów.

– Na podłodze leżał widelec. Intruz użył go do podważenia zasuwki – zauważa Edmond Wells.

– Jeśli bogobójca jest w stanie wchodzić do domów, to już nikt nie może spać spokojnie. Drzwi zamykają się tylko na drewnianą zasuwkę.

– Należy podstawić pod drzwi krzesło. Jeśli się przewróci, obudzi nas hałas, nawet gdybyśmy zasnęli w wannie – mówi metodycznie Mata Hari.

Marilyn Monroe wygląda na wzburzoną.

– Na wyspie jest demon. Już nigdy nie będziemy mogli spać spokojnie.

Raoul Marszczy czoło w zamyśleniu:

– Jeśli Atena się nie myli, to bogobójca nie jest ani diabłem, ani demonem. To musi być któryś z uczniów. Zatem możemy się obronić, możemy walczyć i możemy go złapać. Nie jest taki, jak zamieszkujące wyspę potwory, których możliwości nie znamy.

Dołącza do nas Proudhon. Teraz on zabiera głos:

– No i wszyscy pomyliliśmy się co do scenariusza. Gramy raczej w *Dziesięciu małych Murzynkach* Agaty Christie. Będziemy tak znikać po kolei, aż zostanie tylko dwóch, dwóch, z których jeden będzie winny, a drugi nie.

– Oczywiście pan zmarł dużo wcześniej, zanim Agata Christie napisała swoje kryminały – stwierdzam ze zdziwieniem.

– To prawda, ale kiedy byłem aniołem, miałem wśród swoich klientów jej wydawcę i mogłem czytać jej powieści jeszcze przed publikacją.

Pomysł Proudhona wydaje mi się interesujący na tyle, że próbuję go rozwinąć.

– A więc, jak w przypadku każdego problemu, wysuńmy hipotezy. Jest nas już tylko stu trzydziestu siedmiu. Ja nie jestem zabójcą, podobnie jak Raoul, Marilyn, Freddy, Edmond, którzy byli ze mną, kiedy bogobójca zaatakował. Pozostaje więc tylko stu trzydziestu dwóch podejrzanych.

– Stu trzydziestu jeden. Ja też jestem poza podejrzeniem.

– Ma pan alibi? Ma pan świadków? – pyta nieufnie Raoul.

– Hola, hola! – krzyczy Proudhon. – Nie chodzi przecież o to, byśmy podejrzewali się nawzajem. Zostawmy prowadzenie śledztwa bogom-mistrzom. Oni dysponują środkami, których nam brak.

Głos zabiera Gustave Eiffel.

– Nie jesteśmy owieczkami prowadzonymi na rzeź. Sami potrafimy się obronić.

Mówiąc to, wyjmuje swój ankh, celując w wymagowanego wroga.

– Jeśli zobaczę bogobójcę, strzelę pierwszy.

– Jeśli zobaczę bogobójcę, będę krzyczeć – mówi Marilyn.

– Ależ kochanie, oni wszyscy krzyczeli – zauważa uprzejmie Freddy – i nic im to nie dało.

– Nawet jeśli zdecydujemy się pozostawić śledztwo bogom-mistrzom, to i tak możemy przecież zadać sobie kilka pytań – proponuje Raoul. – Po pierwsze, dlaczego celem zabójcy stał się Bernard Palissy?

Siadamy na szerokiej marmurowej ławce w kształcie podkowy. Kolejne odpowiedzi padają jedna po drugiej:

– Bo łatwiej napaść na kogoś, kto bierze samotnie kąpiel, niż na tych, którzy właśnie razem jedzą – stwierdza Marilyn.

– Ponieważ na ostatnich zajęciach Bernard Palissy okazał się najlepszym uczniem – przypomina Sarah Bernhardt.

Ta uwaga mąci nasz spokój. Czy to znaczy, że najlepsi zostaną zamordowani?

– Przecież ty też dostałaś wieniec laurowy, a, o ile mi wiadomo, nic ci się nie stało – mówi Georges Méliès.

– Nie chciałam wam o tym mówić, ale kiedy siedziałam przed telewizorem, oglądając moich podopiecznych z „Ziemi 1”, usłyszałam jakiś hałas w sypialni.

Robi artystyczną pauzę.

– Wzięłam więc ankh i poszłam zobaczyć, co się dzieje.

– I co?

– Okno było otwarte, a na podłodze zobaczyłam błotniste ślady.

Zapadła długa cisza.

Robi się ciemno, tylko u szczytu góry trzykrotnie miga niewielkie światełko. Jakby ktoś nadawał sygnał.

49. ENCYKLOPEDIA: TAJEMNICE

Wiele mistycznych nauk ukrywa swoje ezoteryczne obrzędy, przeznaczone wyłącznie dla wąskiego grona wtajemniczonych. Noszą one nazwę „Misteriów”. Najbardziej znane i najstarsze z nich to Misteria eleuzyjskie z VIII wieku przed Chrystusem. W ramach obrzędu inicjacji odbywały się rytualne kąpiele oczyszczające, post, wzywanie duchów i zjaw, sceny symbolizujące zejście zmarłych do Pieła, następnie ich powrót do świata jasności i zmartwychwstanie.

W Misteriach orfickich, związanych z kultem Dionizosa, obrzędy składały się z siedmiu części: 1. „Zdobycie świadomości”, 2. „Podjęcie decyzji”, 3. „Spożywanie rytualnych posiłków”, 4. „Zjednoczenie seksualne”, 5. „Próba”, 6. „Utożsamienie się z Dionizosem” i na koniec 7. „Wolność wyrażona przez taniec”. Obchodzone w Egipcie Misteria Izidy składały się z czterech prób związanych z czterema podstawowymi elementami. W próbie ziemi osoba poddawana inicjacji musiała przebyć ciemny labirynt, mając ze sobą tylko oliwną lampkę. Na końcu labiryntu znajdował się otwór jaskini, do której należało zejść po drabinie. Próba ognia wymagała przejścia po rozżarzonym żelazie, ułożonym w kształcie rombu w taki sposób, że można było postawić na nim tylko jedną stopę. Podczas próby wody pokonywano w nocy Nil, przy czym nie wolno było upuścić lampy. Próba powietrza wymagała stanięcia na zwodzonym moście, który następnie opuszczano, a poddawana inicjacji osoba zostawała zawieszona nad przepaścią. Po przejściu czterech prób kandydat do wtajemniczenia, po uprzednim zawiązaniu oczu, odpowiadał na zadawane pytania. Następnie zdejmowano mu zasłonę z oczu i kazano stanąć pomiędzy dwiema prostokątnymi kolumnami, gdzie otrzymywał nauki z zakresu fizyki, medycyny, anatomii oraz symboliki.

Edmond Wells,

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

50. WYPRAWA W CZARNYM ŚWIECIE

Gryf mocuje tyrolkę i już po chwili jeden za drugim prześlizgujemy się nad rzeką. Tym razem staram się trzymać nogi wysoko, aby żadna syrena nie złapała mnie za łydki.

Edith Piaf nie spytała, czy może iść z nami. Nie wiemy, czy to ze strachu przed potworem, czy może ze złości, że poprzednim razem nie pozwoliliśmy jej śpiewać.

Z drugiej strony niebieskiej rzeki rozciąga się czarny las. Podczas gdy dzwon na wieży pałacu Kronosa wybija jedenaście uderzeń, nasz niewielki zastęp rusza gęsiego, zagłębiając się w tę nową *terra incognita*. Kiedy cichnie dźwięk dzwonów, już tylko cichy syreni śpiew maści ciszę nocy, jakby chcąc nam przypomnieć piękno niebieskiej rzeki i niebieskiego lasu.

– Boicie się? – pyta szeptem Marilyn Monroe.

Edmond Wells wyjmuje ze swojego worka bez dna garść świetlików i przydziela po trzy każdemu członkowi ekspedycji. Ruszamy, prowadzeni przez dwoje najodważniejszych: Raoula i Matę Hari.

W czarnym lesie wszystkie kwiaty są ciemne, więc nie dziwi mnie, że niektóre nagietki mają płatki w kolorze antracytu. Drzewa o długich gałęziach przypominają straszne hinduskie bóstwa, których liczne ręce kołysze wiatr. Na wschodzie schowana w wiecznej mgłę góra skrywa swój tajemniczy wierzchołek, którego tak bardzo jestem ciekaw.

W mojej pamięci pojawia się obraz z przeszłości. Juliusz Verne.

„Nie należy iść tam, przede wszystkim nie należy iść tam do góry”... Poprzednim razem zostaliśmy sterroryzowani jakimś chrapliwym pomrukiem. Teraz odnoszę wrażenie, że nawet liście nie szeleszczą na wietrze. Żadnego dźwięku. Ta cisza wydaje się jeszcze bardziej przytłaczająca. Nawet najmniejszego brzęczenia owadów, uderzeń skrzydeł o gałęzie, żadnego królika ani łasicy uciekających spod naszych stóp. Tylko ta straszna cisza i ciemność nocy.

Zdążamy dalej w świat, który staje się coraz zimniejszy, cichszy i coraz bardziej czarny.

II. DZIEŁO W KOLORZE CZARNYM

51. W CZARNYM ŚWIECIE

Czarny.

Trzy księżycy schowały się za horyzontem, a gwiazdy są tak daleko, że prawie ich nie widać. Coraz wyższe i gęściejsze drzewa niemal zupełnie zasłaniają niebo.

Idąca przede mną Marilyn szczerka zębami.

Z oddali dobiega nas chrapliwy oddech.

Stajemy jak na komendę i wyjmujemy nasze ankh. Ja ustawiam swój na najwyższą moc. I nagle hałaśliwy oddech milknie, a my czujemy się tak, jakbyśmy obudzili potwora, który teraz umilkł, aby łatwiej było mu na nas zapolować.

– Może by tak zawrócić? – proponuje Marilyn.

Raoul przykłada palec do ust, nakazując jej milczenie. Przyjaciel kładzie na ziemi swoje trzy świetliki i jak zwiadowca, małymi kroczkami, idzie w kierunku nieznanego. Mata Hari depcze mu po piętach.

Freddy, Marilyn, Edmond i ja stajemy tak, aby każde z nas mogło obserwować inną stronę. Nastawiamy uszu.

Dzwon w dolinie wybija dwanaście uderzeń, oznaczających północ. Znowu słyszymy coś, co przypomina ryk lwa, zaraz potem zapada cisza.

Mam wrażenie, że potwór jest bardzo blisko.

Nagle dobiega nas odgłos ciężkich kroków. Rzucamy nasze świetliki i uciekamy w ciemności.

Niebieska rzeka zdaje się być granicą spokoju. Umocowana do wysokiego drzewa tyrolka jest na swoim miejscu. Marilyn chwytą pierwsza i po chwili łąduje bezpiecznie na drugim brzegu. Przepychamy się, aby złapać umocowaną na końcu liny rączkę. Ziemia i drzewa drżą pod ciężarem kroków, które z pewnością nie należą do człowieka. Teraz Freddy.

Edmond i ja nie mamy już dość czasu, aby zaczekać na naszą kolej. Nie mając wyboru, wspinamy się na drzewo i kierujemy w dół nasze ankh, zdecydowani nie poddać się bez walki. Ale żaden potwór nie zjawia się. Słyszemy tylko zmieniony przerażeniem głos:

– Uciekajcie! – krzyk Raoula dobiega gdzieś z lewej strony, a jego zrozpaczony ton przypomina głos Juliusza Verne'a.

– Wracajcie, szybko! – wrzeszczy równie przerażona Mata Hari.

– Jesteśmy na drzewie, chodźcie do nas – odpowiada Edmond jak najspokojniej.

Kiedy są już z nami, dysząc ze zmęczenia i drżąc ze strachu, pytam:

– Widzieliście go? Co to było?

Raoul nie odpowiada. Mata Hari również nie może wydobyć z siebie głosu. Podaję jej rączkę tyrolki, która nareszcie wróciła. Zdenerwowany Raoul idzie zaraz po niej. Nienawidzę być ostatni, ale oczywiście puszczam przede mną mojego mistrza, Edmonda Wellsa. I kiedy zostaję już sam, słyszę zbliżające się kroki.

52. STRACH

W 1949 roku Egas Moniz otrzymał Nagrodę Nobla w dziedzinie medycyny za pracę z zakresu lobotomii. Odkrył on, że usuwając płat czołowy, likwiduje się uczucie strachu. Jednak ten płat pełni także inną szczególną rolę: pozwala nam wizualizować to, co może wydarzyć się w przyszłości. Świadomość tego, co nastąpi, tworzy w nas uczucie lęku. Nasze myśli kierują się w stronę przeczuwanych nieszczęść i w ostatecznym rozrachunku uświadamiamy sobie, że pewnego dnia umrzemy. Dlatego Egas Moniz wysnuwa ostatecznie wniosek, że jeśli nie będziemy myśleć o przyszłości, to ograniczymy nasz strach.

Edmond Wells,
Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

53. OBÓZ PRZEJŚCIOWY

Jest coraz bliżej. Wstrząsany każdym kolejnym krokiem potwora zdaję sobie sprawę, że zwierzę musi być ogromne.

Pojmuję natychmiast, że nie ma sensu czekać na rączkę tyrolki oraz że potwór z łatwością dosięgnie gałęzi. Więc zeskakuję i chowam się za drzewem, po przeciwnej stronie niż ta, z której dobiegają niepokojące dźwięki. Potwór jest już blisko. Cofam się i biegnę. Byłe dalej od straszliwych kroków. Ale on zbliża się nadal. Pędzę przed siebie. Jednak zwierzę porusza się o wiele szybciej. Głuchy pomruk nie przeszkadza mu biec. Z rozpaczą rzucam się w gęste zarośla, raniąc się przy tym okropnie. Biegnę dalej, nie odwracając się. Przenikające przez listowie pierwsze blaski dnia wcale mi nie pomagają. Co chwilę dociera do mnie głuchy ryk bestii.

Palą mnie płuca, parzą podrapane cierniami ręce.

W oddali słyszę głosy przyjaciół. Wołają mnie. Nie wiem, jak długo już biegnę. Nagle wpadam w koleinę i po chwili czuję, że spadam ze zbocza, które zdaje się nie mieć końca. Lecę jak kulka, raniąc ciało o wszystkie rośliny, których próbuję się złapać. Moje spadanie kończy się w głębokim rowie. Zauważam, że drzewa są tu całkiem inne.

Potwór najwyraźniej zrezygnował z pościgu. Wstaję, otrzepuję ubranie, liżę rany, obserwując okolicę. Drugie słońce wschodzi po przeciwnej stronie góry. Tymczasem okazuje się, że o wiele łatwiej było się stoczyć po zboczu, niż na nie wspiąć. Decyduję się obejść górę, kierując się na południe.

Idę jak mogę najszybciej, lecz nagle spostrzegam, że ziemia robi się coraz bardziej miękka. Jestem podobny do człowieka z dowcipu, który opowiadał nam Freddy. Pochłaniany przez ruchome piaski, odrzucił pomoc strażaków, licząc na Pana Boga. Gdyby tak strażacy przyszli mnie uratować, ja z pewnością bym ich zachęcał, żeby oszczędzili mi cierpienia.

Powoli, nieubłaganie, jak sparalizowany, zapadam się w błoto. Krzyczę: „Pomocy!”, ale nawet potwór mnie nie słyszy.

Zanurzony po same pachy, nic nie mogę zrobić. Co za głupi koniec!

Czuję błoto w ustach, w nosie. Uduszę się. Już nic więcej się nie dowiem. Nie poznam rozwiązania zagadki Afrodyty.

Jak przez mgłę widzę nad moją głową przerażoną smarkaczkę. Ciągnie mnie za uszy, jakby wierzyła, że zdoła wydostać mnie z tego bagna.

Zamykam oczy. Jestem pod ziemią i czuję, że cały czas schodzę coraz niżej. Nagle! Czy to iluzja? Moje zastygłe stopy czują przestrzeń. Pod spodem jest pusto. Mogę już poruszać kolanami. Wreszcie całym ciałem spadam w podziemne zagłębienie i ląduję w rzece, której prąd mnie porywa, by po chwili wrzucić do rwącego potoku, który obraca mną jak żdźbłem słomy we wnętrzu swego wąskiego koryta. Próbuję się zatrzymać, ale nabrałem już zbyt dużej szybkości. Pędzę jak na ogromnej, niekończącej się zjeżdźalni. Mam wrażenie, że krajobraz zbliża się do mnie. Wreszcie kiszka znajduje ujście w otworze wysokiej groty. Wyrzucony przez strumień, spadam do lodowatej wody.

Płynę, chcąc wydostać się na powierzchnię, a świetliste białe ryby, wyglądem przypominające potwory z morskich głębin, przyglądają mi się zdziwione. Czuję ból w płucach. Wreszcie jestem na powierzchni. Chwytam ogromny haust powietrza i kaszlę, wypluwając dławiącą płuca wodę. Poruszam nogami, próbując utrzymać się na powierzchni. Udaje mi się wyjąć ankh. Strzelam. Błyskawica pozwala mi stwierdzić, że znajduję się w podziemnym jeziorze, na dnie dużej jaskini. Płynę w kierunku kamiennego brzegu, zdejmuję przemoczoną i brudną od błota togę, obmywam sandały. Kolejna błyskawica z ankh pokazuje mi boczne

przejście.

Podążam niekończącym się labiryntem. Wchodzę w kolejne tunele wydrążone bezpośrednio w ziemi, często kończące się w naturalnych jamach, stalaktytach i stalagmitach. Idę długo. Czasami sklepienie obniża się i muszę iść pochylony. Niekiedy jest wyżej. Czasem brnę na kolanach w błotnistej wodzie.

Nagle trafiam do sali, w której znajdują się krzesła, stoły oraz przedmioty z drewna. Na jednym z mebli stoi nawet świeczka, więc zapalam ją za pomocą ankh. Nie mam wątpliwości, że to kryjówka ludzi. Czyżby byli uczniowie znaleźli sobie jakiś przejściowy obóz? W kącie znajdują mapy i stos książek z czystymi kartkami, przypominającymi te, które są w mojej willi. Biorę jedną z nich. Jest zapelniona, napisana w nieznanym mi języku. Rysunki przedstawiają okręt na rzece i walkę z syrenami.

Na innym rysunku rozpoznaję górę, ktoś pocieniował jej szczyt, tak jakby rysownik chciał wyraźnie zaznaczyć: „Przede wszystkim nie iść tam, do góry”.

Są tu jeszcze buty, zwykle i trekkingowe, są liny, haki... ale wszystko pokryte grubą warstwą kurzu. Buty są dla mnie za małe. Moi poprzednicy mieli mniejsze stopy. W każdym razie dawno tu nikogo nie było.

Zabieram książki, mapy, sprzęt alpinistyczny i pomagając sobie świeczką, wybieram jeden z dwóch odchodzących z sali korytarzy.

I znowu jestem w skalistym labiryntcie. Idę długo.

Jestem zmarznięty, głodny i strasznie zmęczony. Mam dość tego błędzenia. Pozbywam się całego ciężkiego kramu książek i innych rzeczy, które chciałem zabrać do mojej willi.

Wreszcie docieram do miejsca, które jest mi znajome. To ta sama grota, w której wyładowałem na początku...

Jestem zrozpaczony. Już prawie chcę zaprzestać walki o przetrwanie. Trudno, nie będę pierwszym bogiem zamienionym w chimere. Przejdę reinkarnację, stając się hybrydą, na wpół człowiekiem, na wpół mrówką przemierzającą podziemny labirynt. Edmond Wells byłby ze mnie dumny.

W mitologii greckiej spotyka się takie chimery: Myrmidonów. Wybucham śmiechem rozpacz, który musi być pierwszym objawem szaleństwa.

Nagle pojawia się biały królik albinos. Przecieram oczy. Chyba mam halucynacje... To pewnie pod wpływem białego królika z filmu Monty Pythona... No, chyba że to zabawny królik z *Alicji w Krainie Czarów*. Mały gryzoń przygląda mi się czerwonymi oczkami, potem kicając, oddala się korytarzem, który już znam. Idę za nim, nie mam nic do stracenia. Dotarłszy do znanego mi skrzyżowania, królik skręca w lewo, podczas gdy ja poszedłem wtedy w prawo. Kolejny labirynt. Biały królik prowadzi mnie do wąskiego przejścia, zaśloniętego stalagmitem. Za nim znajduje się kolejne przejście. Ale nie, widzę wydrążone w skale stopnie naturalnych schodów. Wbiegam po nich. Zdaje się, że nigdy się nie skończy, ale ja nie czuję już zmęczenia.

Przypomina mi się fragment Encyklopedii. V.I.T.R.I.O.L. *Visita Interiorem Rectificando Invenies Operae Lapidem*. „Zejdź do wnętrza Ziemi; destylując, znajdziesz kamień filozoficzny”. Odrodzenie ze śmierci poprzez zejście pod ziemię...

Zszedłem. Teraz wychodzę. Wreszcie widzę jakiś blask. Światło brzasku rani moje oczy, przywykłe do panujących w katakumbach ciemności.

Biały królik nadstawia uszy, porusza pyszczkiem i przyspiesza. Idę za nim. Jestem nad niebieską rzeką, od strony czarnego lasu. Ale potwora tu nie ma. Królik podchodzi spokojnie do wodospadu, który na pierwszy rzut oka zdaje się być całkiem nie do przebycia. Zatrzymuję się i z uwagą śledzę okolicę, szukając przejścia na drugi brzeg. Moje wahania denerwują małego ssaka, który biega wokół mnie, chcąc, żebym szedł za nim. W końcu zniechęcony wchodzi sam

pod ścianę wody, pod którą znika, by pojawić się znowu, podskakując radośnie, po stronie niebieskiego lasu.

Przejdźcie pod wodospadem! Biegnę w tamtą stronę. To jeszcze lepszy sposób pokonania rzeki niż tyrolka.

Jestem uratowany.

Na drugim brzegu królik albinos znika, pomachawszy mi na pożegnanie uszami.

54. MITOLOGIA: ARES

Ares, syn Zeusa i Hery, jest bogiem wojny. Jego imię oznacza „Męskość”. Atrybutami Aresa były: miecz, sokół i pies. Posiadał niezwykle zmysł walki. Kpił z prawdziwych rzezi. Lubił być w samym sercu bitwy. Ares znany był ze swojej porywczosci i gwałtownego charakteru, przez który często wdawał się w spory z bogami olimpijskimi. Podczas oblężenia Troi zirytowana Atena zraniła go w gardło rzuconym kamieniem. Jednak Ares nie zawsze wygrywał w walce. Dwaj giganci, synowie Posejdona, przed którymi próbował uchronić Artemidę i Herę, uwięzili go na całe trzynaście miesięcy w wazie z brązu, z której został uwolniony dopiero dzięki interwencji Hermesa. Miłość pociągała Aresa nie mniej niż wojna, a jego miłosne przygody zazwyczaj źle się kończyły. Kiedy Afrodyta zabawiała się uwodzeniem go, jej mąż, Hefajstos, uwięził kochanków w metalowej sieci, którą rozwiesił nad łóżkiem żony. Następnie zawołał innych bogów, by wydać kochanków na pośmiewisko, zaś Ares nie mógł wrócić do Tracji, póki nie przyrzekł, że odpokutuje swój błąd. Jednak ze związku z Afrodytą narodziła się Harmonia, przyszła żona króla Teb, Kadmosa. Afrodyta okazała się nie mniej zazdrosna niż jej boski małżonek. Przyłapawszy Aresa z Aurorą, boginią jutrzeńki, skazała młodą dziewczynę na wieczne pożądanie i ciągle uprawianie fizycznej miłości. Syn Aresa i Kyreny, Diomedes, zostawszy królem Tracji, wsławił się okrutnym zwyczajem karmienia swoich koni ciałami obcych przybyszów.

Nimfa Aglauros powiła Aresowi córkę Alicipeę, którą porwał syn Posejdona, za co Ares zemścił się, zabijając napastnika. Wtedy przed sądem na górze Olimp odbył się pierwszy proces o morderstwo. Posejdon oskarżył Aresa o zabójstwo z premedytacją, lecz Ares tak dobrze przedstawił motyw zbrodni, że bogowie puścili go wolno.

Grecy nie lubili Aresa, przedkładając ponad niego inne, bardziej pokojowe bóstwa. Najbardziej obawiali się jego dwóch synów, Deimosa, czyli strachu, i Phobosa – terroru, towarzyszących mu w charakterze koniuszych.

Rzymianie kontynuowali kult Aresa, nadając mu imię Mars. Jego cechy można znaleźć także u gipskiego boga Anhura.

Edmond Wells,
Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V
(według Francisa Razorbacka, zainspirowanego
Teogonią Hezjoda, 700 r. przed Chrystusem)

55. WTOREK: ZAJĘCIA ARESA

Kiedy po krótkim nocnym odpoczynku pojawia się na śniadaniu w Megaronie, wszyscy przyjaciele zrywają się z miejsc zdziwieni.

– Michael, sądziliśmy że jesteś...

– Martwy?

Opowiadają, jeden przez drugiego, jak to nie zostawili mnie samego. Zauważywszy, że nie ma mnie z nimi, Raoul i Mata Hari przedostali się z powrotem na drugi brzeg niebieskiej rzeki, by pójść moim śladem. Kiedy ślady znikły w licznych koleinach, ciągnących się aż do czarnego lasu, zrezygnowani odszukali tyrolkę i wrócili do pozostałych.

– Co się z tobą działo? – pytają.

Nie mam ochoty opowiadać wszystkiego po kolei. Wolę nie wracać do historii podziemnej komnaty z pozostawionymi w niej przedmiotami. Również dla siebie zostawiam historię spotkania z białym królikiem. Polykając szybko ostrzygi i algi, podane nam na śniadanie, zdrażdam tylko, że odkryłem przejście pod ścianą wody.

Dzwon w pałacu Kronosa wybija ósmą trzydzieści, kładąc kres naszej rozmowie.

Mamy wtorek, dzień Marsa. Mars to rzymskie imię Aresa i to właśnie do siedziby boga wojny kierujemy nasze kroki.

Wchodzimy na Pola Elizejskie, mijamy dom Hefajstosa i Posejdona.

Pałac Aresa to warowny zamek, najeżony wieżami, strażniczymi wieżyczkami i machikułami.

Wejście prowadzi przez zwodzony most, przerzucony nad wypełnioną zielonkawą wodą fosą. W znajdującej się w środku zbrojowni widzimy wszystko to, co historia ludzkości zdołała wymyślić do zabijania i masakrowania. Niewielkie reflektory oświetlają zgromadzone tu maczugi, włócznie, topory, piki, halabardy, nunchaka, miecze, szable, muszkiety, karabiny, bomby, granaty, pociski. Każdą broń opatrzone tabliczką, określającą jej pochodzenie oraz datę produkcji.

Wchodzi Ares, ubrany w czarną togę. To dwumetrowy olbrzym z gęstym wąsem, czarnym zarostem, szeroko osadzonymi oczami. Bardzo muskularny. Na czole ma czarną opaskę. Towarzyszą mu sokół i labrador. Pies kładzie się u jego stóp, drapieżny ptak siada na górnej krawędzi tablicy.

Ares patrzy na nas z wysokości podium, następnie schodzi.

Staje przed naszą planetą, umieszczoną w kieliszku na jajko przez ciągle tak samo wykrzywionego z bólu Atlasa, który jednak tym razem starał się wejść dyskretnie i czym prędzej zniknąć bez słowa.

Patrząc przez lupę swojego ankh, Ares studiuje nasze dzieło.

– No tak, mogłem się tego spodziewać. Myśleliście tylko o estetyce, nie o przetrwaniu! Ani jednej rośliny z kolcami, żadnych narośli zawierających truciznę!

Cichy szmer przebiega wśród zebranych.

– Spokój! Co wy sobie myślicie? Że tworzenie świata to dzierganie koronek?

Położywszy broń na stole, odwraca się do tablicy i zapisuje:

- o. Kosmiczne jajo.
1. Stadium minerału.
2. Stadium roślin.
3. Stadium zwierząt.

Wyższy od nas o głowę bóg wojny wybucha gromkim śmiechem.

– Dwoje ust w cyfrze 3, pamiętacie? Usta, które gryzą, i usta, które całują. Zabijacie i kochacie, oto sekret dobrego życia. Cóż może być przyjemniejszego od jęków nieprzyjaciół, gdy zanurzasz sztylet w ich brzuchu? Chyba tylko jęki rozkoszy leżącej w twych ramionach kobiety.

Kilku uczniów płci męskiej potakuje uprzejmie, podczas gdy kobiety szepczą między sobą oburzone.

– Wiem – mówi dalej Ares z szyderczym uśmiechem – że uczono was dobrych manier. Jeśli moje was szokują, wiedźcie, że gwiżdżę na to. Uwielbiam rozróbę, nawet jeśli to ja zbieram cięgi. Kiedy półbóg Herakles dał mi po twarzy, pomyślałem: „Wreszcie znalazłem godnego siebie przeciwnika!”. Bierzcie ze mnie przykład. Nie bójcie się nikogo, nawet waszych mistrzów.

Patrzy na nas wyzywająco.

– Jeśli ktoś chciałby mnie zaatakować, zapraszam. Atakujący ma zawsze przewagę. Najpierw uderz, potem pytaj.

Chcąc wcielić słowo w czyn, znajduje wśród nas ucznia o postawie atlety i chwytą go za toę.

– Przyjacielu, chcesz się bić?

Zanim tamten zdołał odpowiedzieć, wymierza mu bezpardonowy cios w brzuch.

Zgięty wpół uczeń daje znaki, że nie chce.

– Szkoda – mówi bóg wojny, rzucając go na ziemię.

Wskazuje na ofiarę.

– Macie przykład przewagi ataku nad obroną. Tak jest zawsze. Najpierw uderzasz, a potem dopiero się zastanawiasz. Jeśli zaś przeciwnik okazuje się silniejszy... przepraszasz.

Odwraca się do ofiary i nachylony kilka centymetrów nad jego twarzą mówi drwiącym tonem, strzykając przy tym śliną:

– Przykro mi, stary, nie zrobiłem tego celowo. Sama ręka poszła.

W tej samej chwili uderza go ponownie, jeszcze silniej. Potem wyraźnie uradowany odwraca się do klasy i ciągnie dalej:

– Dzięki temu wyzbywacie się zahamowań, a ponadto szanują was inni. No dobrze... ludzie zawsze chcą wyglądać „uprzejmie”. A to wcale nie uprzejmość, to pretensjonalność. Wszystkie cywilizacje, które zajmowały się dzierganiem serwetek, pieczeniem ciastek i wyrabianiem garnków, zostały zniszczone przez maczugi, topory i strzały. A ci, którzy nie chcą tego zrozumieć, słono za to zapłacą. Nie żyjemy w świecie tchórzy. Jeśli kochacie znak krzyża, już teraz dajcie sobie spokój ze Szkołą Bogów.

Bóg wojny krąży wśród nas.

– Od czasu pomroki dziejów panuje nieustanna walka i nie chodzi tu o walkę dobra ze złem, jak twierdzą niektóre umysły, skłonne do zbytich uproszczeń. Chodzi o walkę... miecza z tarczą.

Spaceruje pomiędzy rzędami, wybijając rytm rapierem, i mówi dalej:

– Za każdym razem, kiedy powstaje gdzieś tam broń służąca zniszczeniu, zaraz obok tworzona jest broń mająca służyć do obrony. Strzała i zbroja, szarża kawalerii i włócznia, działo i fortyfikacje, karabin i kamizelka kuloodporna. Tak właśnie przebiega rozwój ludzkości. Wojna przyczyniła się do rozwoju technologii o wiele bardziej niż ludzka ciekawość, estetyka i potrzeba komfortu. Pierwowzorem pierwszej rakiety kosmicznej wystrzelonej z „Ziemi 1” był prototyp VI, skonstruowany, przypomnijcie sobie, tylko po to, aby zabić jak najwięcej niewinnych cywilów. I to właśnie otworzyło drogę do podboju kosmosu.

Milknie, przeczesuje palcami bujną czuprynę i mierzy nas wzrokiem z wysokości swoich dwóch metrów:

– Jeszcze jedno. Zdaje się, że jest między wami przestępca, bogobójca czyhający na życie

kolegów.

W rzędach zapada kompletna cisza. Zero jakiegokolwiek reakcji.

– Ja tam nie mam nic przeciwko niemu. Uważam, że wszystkie sposoby są dobre, aby wygrać w tej grze. Cel uświęca środki. Trzeba mieć tupet, ale też i wykazać się sprytem. To mi się podoba. Wiem, że pozostali bogowie-mistrzowie są oburzeni, lecz ja im mówię: „Czy nie na tym właśnie polega ewolucja?”. Twardy zwycięża miękkiego. Niszczyciel zwycięża dekwolnika. A więc brawa dla tego, kto eliminuje konkurencję. I nie liczcie na to, że ochroni was system lub administracja wyspy. Możecie się mocno zdziwić...

Potem dodaje zimno:

– Bogobójca powinien nawet wiedzieć, że ma tu popiecznika i jeśli chcecie pobawić się ze sobą w zabijanie, cały sprzęt w tej sali jest do waszej dyspozycji.

Powiedziawszy to, wybucha swoim nienaturalnym śmiechem.

– No dobrze, a teraz zainteresujemy się waszym światem. „Ziemią 18”. Zbudowaliście urokliwe akwarium, pełne anemonów i rozgwiazd. Piękna sceneria, nie przeczę, ale nadszedł czas, by wprowadzić do niej prawdziwych aktorów. Wyprodukujcie płetwy, usta i zęby. Ożywcie mi ten ocean. Podczas pracy postępujcie tak samo, jak w przypadku roślin. Tworzyście kod DNA i programujecie. Ale w tym przypadku wasz zakres działania jest znacznie szerszy. Puśćcie wodze waszej wyobraźni.

Ares siada w fotelu, a my zaczynamy tworzyć zwierzęta. Stwierdzam, że należy znaleźć koncepcję całego artystycznego dzieła. Rzeźbię kształt, maluję jego powierzchnię, poświęcam się zadaniom z dziedziny inżynierii, aby wymyślić oryginalne sposoby poruszania się. Nasz Mistrz zachęca, byśmy spróbowali wszystkiego, cokolwiek przyjdzie nam do głowy, dlatego powstają groteskowe, wielobarwne, półprzezroczyste potwory...

Na początku wszystkie nasze stworzenia podobne są do ryb.

Gustave Eiffel pierwszy wpada na pomysł, by wyposażyć swoje istoty w wieloczłonowy kręgosłup, tak aby posiadały sztywną oś.

Georges Méliès tworzy wyłupiaste, ruchome oczy, pozwalające widzieć zarówno z przodu, jak i z tyłu. Raoul Razorback pracuje nad płetwą umożliwiającą szybsze poruszanie się w wodzie. Mata Hari próbuje stworzyć skórę zdolną do wszelkiego rodzaju kamuflażu.

Porównujemy nasze prace, wymieniając uwagi, co w efekcie oburza dzisiejszego nauczyciela.

– Wydaje wam się, że jesteście na wakacjach? Sądzicie, że przyszlście tu po to, żeby zabawić się swoimi rzeźbami? Nie, moi drodzy, jesteśmy tu po to, żeby bić, napadać i niszczyć jedni drugich! Prawo dżungli rządzi również w kosmosie. Silny zwycięża słabego. Ostrze zagłębia się w płaskim. Nawet galaktyki zjadają się wzajemnie.

Uderza w stół płaską częścią swojego miecza o dwóch ostrzach.

– Koniec zabawy. Teraz macie stworzyć życie, biorąc pod uwagę nowy cel: „jeść, aby samemu nie zostać zjedzonym” lub, jeśli wolicie: „zabijać, żeby samemu nie zostać zabitym”.

I zapisuje ostatnie zdanie na tablicy. Wywraça oczami.

– Tak, tak, chłopaczki. Życie jest łatwe tylko wtedy, jeśli każdy zostanie w swoim spokojnym kącie oceanu. Ale jak dojdzie do walki, od razu widać, kto jak sobie radzi i komu udało się uprzędzić kłopoty.

Krąży pomiędzy rzędami.

– Celem jest przetrwanie. Jakim sposobem? Na to pytanie sami musicie sobie odpowiedzieć. Kara będzie oczywista. Teraz jest was 137. Trzeba więc będzie zebrać szumowiny. Będziecie walczyć między sobą. Przegraní odejdą z gry. To was zmusi do myślenia i może rozwinięcie wreszcie te wasze boskie mózdzki.

Staje naprzeciwko kuli.

– Mówiąc krótko, walczcie na śmierć i życie!
Wchodźcie pomiędzy nas, by przyglądać się pracy. Stojąc nadal przy „Ziemi 18”, dorzuca sztycherzo:

– Jakie to piękne! Ostatnie minuty świata, w którym panuje pokój!
Znowu zabieramy się do pracy. Każdy jak najlepiej potrafi. Nasze prototypy zmieniają się, dojrzewają, stają się trwalsze i bardziej złożone.

Marilyn Monroe tworzy meduzę o długich mackach, zakończonych całym mnóstwem maleńkich, zatrutych harpunów. Murena Georges'a Mélièsa ma dobry wzrok i pozostaje przyczajona w żałobach skalnych, obserwując, kto przepływa w pobliżu. Jeśli to zbyt twardy przeciwnik – chowa się w swojej dziurze, a jeśli widzi potencjalną zdobycz – rzuca się do ataku.

Raoul starannie przygotowuje wieloczęściową szczękę, wzmocnioną licznymi mięśniami. Staramy się przypomnieć sobie zwierzęta z „Ziemi 1”.

Niektórzy uczniowie wyposażają swoje stworzenia w skrzydła, dzięki którym będą mogły szybciej się poruszać, inni dodają szczypcy lub haki. Nasze ryby wyglądają jak samoloty bojowe. Na początku trochę ściągamy jedni od drugich, lecz stopniowo każdy z nas znajduje swoją własną drogę.

Zbudowana przez Raoula szczeka przekształca się w rodzaj dwuskrzydłej płaszczki w kształcie rombu, z długim, elastycznym ogonem, którego ostrym końcem tnie jak batem.

Edmond Wells formuje ławice małych rybek, przypominających sardynki. Cała grupa posiada zwiadowców. Ci z przodu informują o pojawiającej się zdobyczy, ci z tyłu ostrzegają przed niebezpieczeństwem. Jeśli mimo wszystko wrogowi uda się dotrzeć do ławicy, to w czasie potrzebnym mu na pożarcie kilku osobników pozostała część grupy zdąży uciec. Wygląda to tak, jakby ta rybia wspólnota tworzyła jedną, wielką, silną społeczność. Mój mistrz skorzystał z zasady: „w jedności siła”.

Mata Hari doprowadza do perfekcji swoją koncepcję kamuflażu. Jej podobne do kalmara zwierzę nie tylko dostosowuje swoje ubarwienie do koloru morskiego dna, ale jeszcze pluje czarną wydzieliną, odwracając w ten sposób uwagę wroga w przypadku, gdy ten odkrywa jego obecność.

Chociaż dopiero co stworzone, nasze zwierzęta próbują się nawzajem poznać, walczą ze sobą, zjadają jedne drugich. Utworzone na poprzednich zajęciach rośliny rozrastają się wokół, rozmnażają, dostarczając niezbędnego pożywienia naszym roślinożernym rybom pierwszej generacji. One zaś stanowią pożywienie dla nowych, mięsożernych ryb, które w zwierzęcym białku znajdują źródło kalorii, potrzebne im do przeprowadzania błyskawicznych ataków lub pełnych rozpachy odwrotów. Po drugim pokoleniu drapieżników następuje pokolenie trzecie, superdrapieżników.

Zwierzęta zaczynają porozumiewać się między sobą. Kalmary wymyśliły własny język i porozumiewają się dzięki fotolizie, to znaczy, chcąc zaalarmować jedne drugich lub wezwać pomoc, szybko zmieniają barwę.

Niebawem pojawia się czwarte, jeszcze bardziej drapieżne pokolenie.

I wtedy rozpoczyna się wielka podwodna bitwa.

Jej zewnętrzną oznaką są ogromne plamy na powierzchni oceanu „Ziemi 18”, powstałe w miejscach, gdzie gromadzą się martwe ryby, szybko pożerane przez rodzimych nekrofażgów. Moja sąsiadka z lewej strony, niejaka Beatrice Chaffanoux, najwyraźniej pamiętając rady Aresa, buduje ochronną tarczę. Tworzy pancerną rybę, podobną do żółwia, z miękkim ciałem złożonym jak sandwicz pomiędzy dwoma kościstymi płytkami.

Joseph Proudhon skupia się raczej na rybach szybkich, silnych i potrafiących polować. Jego prototyp, cały czas ulepszany, to rodzaj rekina. Jest uzbrojony w potężną szczękę i trzy rzędy

trójkątnych, ostrych jak brzytwy zębów. Nos pełni rolę czujnika ruchu. Zwierzę porusza się postrachem szybkością. Inne stworzenia boją się do niego zbliżyć i rekin szybko staje się postrachem podobnego świata.

Z pomysłu Proudhona najwyraźniej skorzystał mój sąsiad z prawej, który modeluje groźnie wyglądającą barakudę. Jakis uczeń za nim pracuje nad grubym węgorzem, który broni się, rażąc prądem.

Ryba-kłown Freddy'ego Meyera żyje w symbiozie z trującymi morskimi anemonami, które chronią ją przez intruzami. Rabin jako pierwszy wymyślił połączenie nie tylko dwóch gatunków, lecz dwóch zupełnie różnych form życia. Opierając się na tej samej zasadzie, jeden z uczniów umieszcza swoją rybę-pilota w pobliżu Proudhonowego rekina, aby prowadziła go do zdobyczy, wykorzystując regułę, że duży ochroni małego. Podlizywanie się możliwym zawsze było dobrym sposobem na przetrwanie.

W pierwotnym oceanie sylwetki zwierząt subtelnieją i stają się coraz wyrazistsze. Tam, gdzie „karoseria” wydaje się słaba, powstają ochronne chrząstki. Skóra staje się bardziej odporna, nic nie tracąc ze swej elastyczności.

Ares ponownie przyciąga naszą uwagę.

„Wszystko jest strategią” – notuje na tablicy.

– Niektórzy z was zaczynają rozumieć, jak wzmocnić swoje zwierzaki. Ale siła fizyczna oraz drapieżność też mają swoje granice. Istnieją inne sposoby zwyciężania. To będzie zadanie nowego pokolenia waszych prototypów.

Szukamy innych dróg niż drapieżność. I znajdujemy.

Strategie rozmnażania rekompensują czasami brak umiejętności walki. Jeśli dany okaz nie potrafi się obronić, zapewnia sobie zachowanie gatunku, składając ogromną ilość jajek albo też w przypadku niebezpieczeństwa jego samica chroni małe we własnej jamie gębowej, wypływając je potem. Robienie dzieci okazuje się dobrą metodą ataku, ponieważ niektóre duże ryby, mimo że dobrze uzbrojone, nie radzą sobie z chmarą narybku kradnącego im pożywienie lub jak pasożyty oblepiającego ciało.

Zainspirowany pomysłem mojego mistrza Edmonda Wellsa, ulepszam porozumiewanie się moich stworzeń, które żyją już w rodzinach i porozumiewają się za pomocą ultradźwięków. Rozglądam się wokół i widzę, że pomysł stworzenia grupy nie jest zbyt powszechny. Wręcz przeciwnie, ogromnym powodzeniem cieszy się kamuflaż, mimetyzm, wabik, szczęki, trucizna, zęby i szybkie parzenie się. Wkrótce każdy z bogów-uczniów określa terytorium, którego bronią swoimi płetwami i zębami jego stworzenia. I każdy wysyła zwiadowców, aby sprawdzili, na czym polega obrona przeciwnika.

Pozostawione sobie samym ryby poprzednich generacji nadal się rozmnażają. Ponieważ nie są wystarczająco doskonałe, odgrywają rolę zwierzyny łownej.

Ta konfrontacja budzi w nas oburzenie. Stojący obok mnie uczniowie widzą swoje stworzenia rozszarpane na strzępy. A wszystko przez brak właściwej, spójnej strategii.

Na powierzchni oceanu gromadzą się niezjedzone rybie trupy. Niektóre rozlatują się na kawałki i opadają na dno. Wtedy jeden z uczniów wpada na pomysł, aby stworzyć krabane-krofaga, który będzie się nimi żywił.

Krab okazuje się sukcesem. Nawet do tego stopnia, że próbuje atakować skorupy żółwi stworzonych przez Beatrice Chaffanoux, aż musi ona podwoić warstwę ochronną. Pokrywa panczer czymś w rodzaju gładkiej laki, do której nie mogą przyczepić się nawet najbardziej ostre szczypce.

Ares zachęca nas, dodaje odwagi, podżega do jeszcze bardziej zażartej walki. W pewnej chwili pojawia się zagrzewająca do boju muzyka, *Carmina burana*.

I oto wszyscy ze sobą walczą. Po pewnym czasie odnoszę wrażenie, że poszczególne gatunki stają się spokojniejsze. Już nikt nie próbuje podbijać obcych terytoriów i każdy potrafi obronić swoje.

Wtedy Ares decyduje zakończyć i podsumować naszą pracę.

Oznajmia, że najpierw przedstawi listę dwudziestu najlepszych, a potem powie, kto dzisiaj odpadł. Wstrzymujemy oddech.

Pierwsze miejsce: laurowy wieniec otrzymuje Proudhon za swojego rekina, absolutnego drapieżnika. Drugie miejsce: Georges Méliès i jego murena o nadrozwinętym zmyśle wzroku. Trzecie: Beatrice Chaffanoux ze swoim morskim żółwiem, którego pancerz jest tak mocny, że żaden przeciwnik nie zdoła nawet go zarysować. Wykorzystując tylko pomysł tarczy, udało jej się stworzyć doskonały prototyp. Kolejne miejsca zajmują Bruno Ballard i Freddy – jeden za swoją barakudę, drugi za błazenkę. Potem Mata Hari i jej kalmar oraz Marilyn ze swoimi meduzami. Raoula płaszczka manta zaraz potem. Wreszcie Ares wymienia mnie i moje delfiny, chociaż zarzuca moim prototypom, że są za mało wojownicze. Stworzony przeze mnie delfin ma, jego zdaniem, udany kształt, ale zły umysł. Bardziej lubi się bawić, niż walczyć.

– W tym stadium rozwoju zabawa to luksus, na który nie można sobie jeszcze pozwolić – mówi.

I na próżno próbuję się bronić, twierdząc, że zabawa to trening przed prawdziwą bitwą. Odpowiada mi, że najpierw trzeba myśleć o przetrwaniu.

Na końcu swojej listy Ares umieścił okazy nie potrafiące atakować ani skutecznie się bronić. Zbyt wolne rekiny, meduzy, których trucizna nie razi, zbyt miękkie kalmary, ośmiornice, którym płaczą się macki, źle porozumiewające się ze sobą sardynki lub pozbawione żywotności węgorze. Werdykt jest ostateczny. Nieudacznicy zostają wyeliminowani. 12 uczniów za jednym zamachem. Nowe odejmowanie: 137 – 12... Jest nas już tylko 125.

Jedyną sławną osobą wśród tej dwunastki jest Montaigne. Odwraca się w naszą stronę i, jak przystało na dobrego gracza, życzy nam powodzenia.

Na progu stają centaury, gotowe wypełnić swoje zadanie. Zabierają skazanych, a my gotujemy się do wyjścia, kiedy nagle Ares każe nam jeszcze pozostać.

– Zaczekajcie. Co wy sobie myślicie? Zajęcia jeszcze się nie skończyły. Wręcz przeciwnie, to dopiero początek. Zaraz po rybach zabierzecie się do zwierząt lądowych. Krótka przerwa na obiad i rozprostowanie nóg, a potem ruszamy dalej.

56. ENCYKLOPEDIA: PRZEMOC

Przed przybyciem ludzi z Zachodu północnoamerykańscy Indianie żyli w społeczności przestrzegającej norm. Przemoc istniała, to oczywiste, ale miała rytualny charakter. Przyrost naturalny nie był za wysoki, zatem nie potrzebowano wojen, które wchłonęłyby nadwyżkę demograficzną. Wewnątrz plemienia przemoc służyła do udowadniania odwagi poprzez stawianie czoła bólowi lub opuszczeniu.

Wojny plemiennne wybuchaly przewaznie z powodu konfliktow dotyczacych terytoriow łowieckich i rzadko zamieniały się w jatki i rzezie. Liczyła się umiejętność udowodnienia przeciwnikowi, że można posunąć się dalej, jeśli tylko będzie się chciało. Jednakże zazwyczaj uznawano dalszą przemoc za niepotrzebną.

Na początku podboju Dzikiego Zachodu Indianie walczyli z pionierami tylko uderzając dzidą w ramię. Dawali w ten sposób do zrozumienia, że jeśli będą chcieli, mogą ją wbić w ich ciało. Ale druga strona odpowiadała ogniem karabinów. A do niestosowania przemocy potrzeba co najmniej dwojga.

Edmond Wells,
Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

57. CZAS ZWIERZĄT

Żeby nie tracić czasu, jemy obiad w miejscu, gdzie mamy zajęcia. Pora Roku – Lato przynosi nam kosze z jedzeniem. Ewolucja naszego pożywienia trwa. Po owocach morza czas na surowe ryby. W menu znalazło się carpaccio z tuńczyka, makreli i dorsza. Jesteśmy wygłodniali. Surowa ryba przywraca nam siły, aby ponownie rozpocząć Grę. Zresztą, podczas gdy my zaspokajamy apetyt, odziany w czarną togę bóg wojny, trzymając w ręku ankh, wywołuje deszcze, dzięki którym pustynne kontynenty pokrywają się roślinnością. Żyjące poza oceanem rośliny mają więcej światła, więcej powietrza oraz pod dostatkiem mikroelementów, dzięki czemu mogą wzbogacać swój metabolizm.

Właśnie wycieramy usta, kiedy Ares przywołuje nas do porządku:

– Straciliście wystarczająco dużo czasu. Wracamy do pracy. Sprowadźcie mi tę zupełną rybą na ubitą ziemię.

Czy to z powodu chęci do udziału w Grze, czy z troski o posłuszeństwo nauczycielowi, w ciągu kilku kolejnych godzin wyciągamy nasze ryby z wody, a ich płetwy zamieniamy w niezdarne łapy. Szybko dostosowują swoje płuca do oddychania powietrzem i zaczynają rozmnażać się na kontynentach i archipelagach, przekształcając się w żaby, salamandry, małe jaszczurki, duże jaszczury, a następnie w... dinozaury.

I znowu na „Ziemi 18” trwają przygotowania do bitwy. Każdy pozostaje wierny swojemu własnemu stylowi. Freddy wydłuża swoją błazenkę, robiąc z niej coś w rodzaju długiego dyplodoka ze smukłą szyją. Zwierzę ma dwanaście metrów długości, ale wydaje się delikatne. Raoul, zachowując skrzydła swojej płaszczki, otrzymuje rodzaj pterodaktyla, latającą jaszczurkę z długą paszczą i małutkimi zębami. Jest pierwszym, którego okaz potrafi latać. To typowe dla mojego przyjaciela, pioniera teonautyki, zawsze gotowego wznieść się i z góry prowadzić obserwacje.

Bazując na pomysle swojego rekina, Proudhon majsterkuje przy dużym zwierzęciu o wąskich oczach i ogromnej szczęce z ostrymi zębami, podobnym do gatunku *Tyrannosaurus rex*. Naśladuje go Bruno Ballard, budując płaskiego krokodyla z podobnie uzbrojoną paszczą.

Jeśli chodzi o mnie, zajmuję się tworzeniem niewielkiego, mierzącego tylko półtora metra dinozaura, który może poruszać się na dwóch łapach. Ponownie zapisuję w jego genach zachowanie stadne, zarówno w przypadku obrony, jak i ataku, nawiązując tym samym do dobrych pomysłów mojego mistrza, Edmonda Wellsa. Mój prototyp, przypominający trochę *Stenonychosaurusa*, poluje w dwudziestoosobowych grupach. Wyposażam go w osobnicze ulepszenia: chowane pazury przy łapach, takie jak u kota.

Wokół mnie roi się od jaszczurek. Przypominają mi się plastikowe kolekcje wypełniające półki mojego biura w czasach, gdy wylansowano modę na bohaterów *Parku jurajskiego*. Jeszcze teraz pamiętam niektóre nazwy: iguanodon, brontozaur, ceratozaur, triceratops.

Ares pociąga wahadło umieszczonego pod kieliszkiem do jajek zegara i sprawia, że czas przyspiesza.

Musimy szybciej udoskonalać nasze prototypy.

Pterodaktyle Raoula stają się jeszcze smuklejsze i zaczynają przypominać archeopteryksy. Freddy eksperymentuje ze zwierzętami ciepłokrwistymi. Podczas gdy wszystkie inne uzależnione są od temperatury zewnętrznej, a kiedy owa temperatura spada, mają coraz większe kłopoty z poruszaniem się, zwierzęta Freddy'ego zachowują stałą ciepłotę ciała, pozostając aktywne bez względu na kaprysy pogody. Ponieważ jednak nie posiadają ani rogów, ani szczypec, ani też pancerza, zmuszone są ciągle uciekać i kryć się przed wrogiem. Nie wiem,

dlatego przyjaciel dokonał właśnie takiego wyboru, ale mnie jego zwierzęta z tymi pyszczkami przypominającymi ryjówki wydają się raczej dziwne. Chociaż jest świadomy tego, że może zostać wyeliminowany z gry, nadal odrzuca koncepcję jajka, wymyślając żyworość. Jego małe wychodzą bezpośrednio z brzucha matki, produkującej też mleko, którym je karmi. W ten sposób na „Ziemi 18” rodzą się pierwsze ssaki.

Edmond Wells, jak zwykle wierny idei społeczności, skłania się ku istotom najmniejszym i najliczniejszym, tworząc mrówkę. Widziałem już kilka innych gatunków owadów krążących na powierzchni ziemi i nad nią, takich jak ważki czy skarabeusze, ale jego owad jest małeńki, nie ma koloru, skrzydeł, jadu, żądła. Tym, co go wyróżnia, jest życie we wspólnocie, a nawet w bardzo licznych grupach. O ile jego lawice sardynek liczyły setki osobników, o tyle mrówki łączą się w tysiące, jeśli nie miliony. Jednak owady Edmonda, podobnie jak ssaki Freddy’ego, są być może zbyt wymyślne, jak na te czasy. Nie potrafią bowiem obronić się przed licznymi drapieżnikami, działającymi konsekwentniej i o wiele bardziej brutalnymi. Pozostali uczniowie też rozglądają się na boki, dlatego pojawia się coraz więcej zwierząt ryjących, zdolnych wnikać do mrówczych osiedli i pożerać ich mieszkańców.

Marilyn Monroe interesuje się owadami, a jej trująca meduza zamienia się w osę. Inna kobieta z naszej klasy, Natalie Caruso, tworzy pszczołę.

I znowu nastaje chwila walki, pojedynki naszych prototypów.

Nagle, zupełnie niespodziewanie Ares spuszcza na naszą planetę gęstą deszcz meteorytów.

Trzęsienia ziemi, erupcje wulkanów, uskoki tektoniczne. Trochę przypomina to koniec świata na „Ziemi 17”. Nic z tego nie rozumiemy. Czyżby koniec gry? – Dalej, przystosowujcie się! – krzyczy bóg wojny. Spadające na „Ziemie 18” meteoryty powodują wystąpienie kataklizmów. Pyły wulkaniczne zakrywają niebo i nie widać już słońca. Zapada wieczna noc. Jedyne płynące potokiem lawa świeci ognistym blaskiem, zalewając uwięzione na skalistych ostrogach dinozaury. Najszybciej jak możemy, staramy się przystosować nasze zwierzęta do panujących warunków. Beatrice Chaffanoux jeszcze bardziej wzmacnia pancerze swoich żółwi. Trudno zupełnie zmienić raz funkcjonujący system. Wielu uczniów kopiuje ryjówkę Freddy’ego Meyera. Futro i żyworość okazują się dobrym sposobem obrony w tym okresie burzliwej pogody. Owady Edmonda także cieszą się popularnością. Niewielki wzrost i twarda skóra dobrze znoszą pogodowe kaprysy.

Jestem świadkiem radykalnych zmian. Gustave Eiffel inwestuje w termity, które zlobią ziemię jeszcze głębiej niż mrówki. Bruno Ballard szuka pomocy w niebie. Zarzuca pomysł krokodyla, ściąga od Raoula pomysł archeopteryksa i tworzy mniejszego ptaka. Ja zaś zostawiam moje dwunożne istoty i podejmuję decyzję, która może wydawać się krokiem w tył: wracam do morza. Prawdę mówiąc, pod wodą moje delfiny znajdowały schronienie przed trzęsieniami ziemi i wybuchami wulkanów. Moje dinozaury stały się już ssakami, a więc wracają do oceanu jako ssaki morskie. Wdychają powietrze atmosferyczne i mogą przez długi czas wstrzymać oddech, co umożliwi im długie przebywanie pod wodą. Kompromis wydaje mi się do zaakceptowania. Jak tylko na powierzchni dzieje się coś złego, delfiny nurkują. Po tych wszystkich ziemskich potyczkach z westchnieniem ulgi odkrywam na nowo spokój środowiska wodnego, w którym można się poruszać w poziomie i w pionie. I jeszcze jedno: ponieważ pozostali uczniowie dali sobie spokój z morskimi zawodami, mam duże pole do działania, mogę rozwijać zabawy delfinów i udoskonalać ich sposób porozumiewania się.

Planeta od strony ziemi jest w stanie pełnego wrzenia. Kontynenty przemieszczają się, zderzają ze sobą, łączą. Także rośliny ulegają zmianom. Drzewiaste paprocie ustępują miejsca kwiatom i krzewom.

Po nieudanych próbach wzmocnienia i powiększenia swojego prototypu ssaka, tak aby mógł

przeżyć w warunkach aktualnego środowiska, Freddy Meyer dokonuje takiego samego wyboru jak ja. Wysłła ssaka pod wodę, gdzie staje się czymś w rodzaju wieloryba.

Kiedy na skorupę ziemską powraca spokój, okazuje się, że dinozaury wyginęły. Jedynymi pozostałościami minionej epoki są nieliczne krokodyle, żółwie, jaszczurki i warany. Za to niebo pełne jest ptaków, morze obfituje w ryby, mnożą się owady oraz małe ssaki, swym wyglądem przypominające ryjówki. To co duże, ciężkie i zimnokrwiste, nie jest modne na „Ziemi 18”. Przyszła moda na lekkie, zaradne, zwinne i ciepłokrwiste. Wysiłki, aby przystosować stworzenia do zesłanego przez Aresa deszczu meteorów, zupełnie nas wyczerpały, lecz bóg wojny nie przestaje zagrzewać nas do walki o przetrwanie.

– To jeszcze nie koniec. Przecież nie powiedziałem wam, że to koniec. Macie się przystosować! – krzyczy.

I znowu wszystko pędzi, biega za sobą, kryje się, zabija. Georges Méliès umieszcza oczy w części twarzowej, co umożliwiła jednej z jego ryjówek przekształcenie się w niewielkiego lemura. Mrużąc oczy, potrafi określić odległość od znajdujących się przed nim przedmiotów. Przy okazji Mélièsowi udaje się wynaleźć widzenie wypukłe. Sarah Bernhardt powołuje do życia lemura o pięciopalczastych dłoniach, zakończonych nie pazurami, lecz paznokciami.

Wszyscy uczniowie zmieniają wygląd swoich zwierząt. Pojawiają się lwy, pantery, orły, węże, wiewiórki... Najwyraźniej jesteśmy pod silnym wpływem zoologicznych wspomnień z „Ziemi 1”. Jednak nasze stworzenia różnią się od tamtych. Niektóre są nadzwyczaj oryginalne. Tygrysy z fluoryzującą skórą, słonie z wieloma trąbami, wodne skarabeusze, plamiste zebry. Spotykają się ze sobą, rzucają sobie wyzwania, walczą. Wewnątrz gatunków tworzą się przymierza. Jedne zwierzęta giną, inne ulegają mutacji po to, aby umknąć wrogom lub łatwiej chwycić zdobycz.

Okazuje się, że najbardziej agresywne wcale nie muszą najlepiej radzić sobie z przetrwaniem. Tak jak zapowiedział bóg wojny, powstają nowe sposoby ataku, a zaraz po nich jeszcze bardziej wyszukane metody obrony. Pazurom i zębom odpowiadają grube pancerze i zwinne łapy. Szybkość słabych odnosi triumf nad siłą ciężkich. Strategia polegająca na kamuflażu lub pułapce zapachowej okazuje się groźna nawet dla najsilniejszych drapieżników.

Fauna „Ziemi 18” jest coraz bardziej gęsta i zróżnicowana. Powstają nowe modele, próbne gatunki nie przestają się rozmnażać, mimo że ich bogowie przestali się nimi zajmować. Można nawet zobaczyć, jak dwa gatunki krzyżują się ze sobą, tworząc hybrydę, jakiej nikt dotąd nie widział.

Życie rozprzestrzenia się. Stworzenia z piórami, sierścią, łuskami, dziobem, szczypcami, pazurami. Wszelkich kolorów. Zapelniają wszystkie kontynenty. Zewsząd dochodzą ryki, wycie, chrząkanie, pohukiwanie, westchnienia, rżenie, krzyki agonii. Wszystko się rodzi, biega, kopuluje, walczy, zabija, trawi, ukrywa. Wszystkiemu przygląda się Ares, gładząc wąsa i marszcząc brwi. Od czasu do czasu pochyla się i za pomocą ankh obserwuje z bliska dany element, a następnie zapisuje coś w swoim notesie.

Po chwili sprawdza godzinę na zegarze czasu „Ziemi 18” i uderza w gong.

– Koniec. Oddajemy pracę.

Wstrzymując oddech, mierzymy wzrokiem nasze dzieła, by za chwilę, wpatrzeni w usta Aresa, czekać na werdykt. Ten pada szybko.

Wieniec laurowy i nasze brawa otrzymuje Raoul Razorback za swojego „orła”. Władca nieba, którego nikt nie jest w stanie niepokoić. Wszystko widzi. Swoim haczykowatym dziobem rozrywa ciało ofiary i grzebie w jej wnętrznościach. Jego silne szpony potrafią uderzyć jak miecz. Uwite w wysokich górach gniazdo chroni potomstwo przed znajdującym się na ziemi niebezpieczeństwem. Ares gratuluje mojemu przyjacielowi spójności tworzenia.

Drugie miejsce zajmuje Edmond Wells i jego mrówki. Udało mu się przedstawić siłę wielkiej grupy osobników, uchwycić ją i ukierunkować, tak żeby powstały całe piaskowe miasta.

Trzecia jest Beatrice Chaffanoux i jej żółw, solidne zwierzę, dobrze chronione swoim pancerzem.

Proudhon dostaje gratulacje za szczura. Łatwo przystosowujący się, bardzo agresywny. Ma ostre siekacze, jest szybki i potrafi się ukryć. Marilyn zbiera pochwały za osy z zatrutym żądłem, także umiejące budować ochronne siedziby. Potem Freddy za swojego wieloryba zaopatrzonego w system filtrowania kryła. Dalej Clement Ader za latającego skarabeusza z pancernymi pochwami na skrzydłach i niejaki Richard Silbert, który zaprojektował niezwykle szybką antylopę, Bruno Ballard ze swoim sokołem, a następnie ją z moim delfinem. Potem Toulouse-Lautrec, który stworzył kozę. Warto wymienić jeszcze kilka znanych osób oraz ich dzieła: Jean de la Fontaine – mewa, Edith Piaf – kogut, Jean-Jacques Rousseau – indor, Wolter – świstak, Auguste Rodin – byk, Nadar – nietoperz, Sarah Bernhardt – koń, Eric Satie – słowik, Mata Hari – wilk, Maria Curie – iguana, Camille Claudel – jeżowiec, Gustave Flaubert – bizon. Wśród dzieł nieznanymi osobami znaleźć można: śledzia, żabę, kreta, leminga, żyrafę.

Każda stworzona istota nawiązuje do osobowości stwórcy. Każdy ma swój totem.

A teraz przegrani, którzy zostaną wykluczeni z gry. Ares wskazuje na Marion Muller za jej nieudanego dodo z Madagaskaru, ptaka zbyt ciężkiego, aby latać i ze zbyt zakrzywionym dziobem, aby mógł polować. Ares tłumaczy, że każdy ptak musi posiadać odpowiedni stosunek masy do skrzydeł. Pingwiny znalazły się prawie na granicy, lecz ponieważ potrafią pływać, ich bóg zostaje oszczędzony.

Wchodzi centaur. Marion walczy, krzyczy, że wyrok jest niesprawiedliwy, ale centaur mocno trzyma młodą dziewczynę za biodra.

– Nie, chcę dalej grać. Chcę dalej grać – skamle.

Ares czyta dalej listę przegranych. Bóg słoni z kilkoma trąbami, bóg mamuta, tygrysa z fluoryzującą skórą, wodnych skarabeuszy, zwierzęcia z rodziny kotowatych o tak długich zębach, że nie może zamknąć pyska.

Ostatecznie wychodzi na to, że zwycięskie gatunki podobne są do tych, które istniały na „Ziemi 1”. Mówię więc sobie, że nie istnieje tysiąc sposobów tworzenia życia.

Odejmowanie: $125 - 6 = 119$.

Ares umieszcza swoją imponującą postać w fotelu:

– Jedna rada odnośnie dalszej części Gry Y. Odwagi, pamiętajcie, odwagi! Jest na to greckie określenie: *hubris*. *Houtspah* w języku jidysz. Po francusku: *tupet*. Na następnych zajęciach będziecie zajmować się ludźmi. Jeśli wybieriecie defensywę, pomyślcie o pancernych żółwiach Beatrice, jeśli wolicie postawę ofensywną, przypomnijcie sobie orła, którego stworzył Raoul, i jego panowanie na niebie. Ale, tak między nami, bądźcie oryginalni i odważni, inaczej czeka was śmierć.

Spoglądam na mój ankh. 142 857... Ta liczba nie wydaje mi się już przypadkowa. Wydaje mi się, że natknąłem się na nią w Encyklopedii.

58. ENCYKLOPEDIA: „142 857”

Weźmy tajemniczą liczbę, która powtarza się w wielu historiach.

Najpierw ją pomnożmy i zobaczmy, co z tego wyniknie.

$$142\ 857 \times 1 = 142\ 857$$

$$142\ 857 \times 2 = 285\ 714$$

$$142\ 857 \times 3 = 428\ 571$$

$$142\ 857 \times 4 = 571\ 428$$

$$142\ 857 \times 5 = 714\ 285$$

$$142\ 857 \times 6 = 857\ 142$$

$$\mathbf{A\ 142\ 857 \times 7?}$$

$$999\ 999!$$

Zaś dodając $142 + 857$, otrzymujemy 999 .

$142\ 857$ do kwadratu to 20408122449 . Liczba ta składa się z $20\ 408$ i $122\ 449$, które dodane do siebie dają... $142\ 857$.

Edmond Wells,
Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

59. SMAK KRWI

O dwudziestej jemy kolację.

Ewolucja potraw przebiega równolegle do naszych kolejnych doświadczeń. Cienkie plasterki carpaccio nie są już z ryby, lecz z mięsa zwierząt. Nigdy tego nie jadłem, w czasach, kiedy byłem człowiekiem. Z natury nie lubię smaku mięsa. A tutaj połykam surowy filet z kozy, żyrafy, hipopotama czy orla. Mój język wchłania czyste białko, nie zniekształcone żadnym kulinarnym procesem. Żadnego smażenia, żadnego sosu. Czapla jest gorzka, paw tusty, włókniste mięso bawołu wchodzi w zęby, zebra smakuje delikatnie, jeź jest gorzki, mewa brzydko pachnie. Jakoś nie zależy mi, aby posmakować śliników, węża, pajaków i nietoperza.

Początkowo prawie nie rozmawiamy, zajęci jedzeniem. Biorę dokładkę żyrafy, ostatecznie uznając, że jej mięso jest nawet niezłe. Tak jakbym rozpoznawał dawny smak lukrecji. Po jawkach, soli, algach i rybach, moja paleta smaku jeszcze się rozszerza.

Po napełnieniu żołądków rozwiązują nam się języki. Zaczynamy od wzajemnych oskarżeń, że chcieliśmy, aby nasze zwierzęta zwyciężyły w walce z tymi, które stworzyli nasi przyjaciele. Potem przychodzi niepokój. Co to takiego ta „Gra Y”, wspomniana przez Aresa, a wcześniej przez innych bogów-mistrzów?

– Po zawodach w tworzeniu zwierząt, bez wątpienia chodzić będzie o zawody w tworzeniu „ludzkich stad”, jak je nazwał Ares – twierdzi Edmond Wells, przypominając tym samym, że człowiek jest kolejnym logicznym stopniem ewolucji. Numerem 4.

– Bierze się małpy, stawia na dwóch nogach, aby miały wolne ręce i mogły wziąć w nie narzędzia? – dopytuje się Gustave Eiffel.

– A potem uczy się je polować? – pyta Marilyn.

– Trzeba także obniżyć ich struny głosowe, aby mogły nauczyć się mowy – marzy Freddy.

Spieszno nam do spotkania z doskonałą zabawką: *Homo sapiens sapiens*.

– Mając ludzi, zbuduję monumenty – mówi Gustave Eiffel.

– Mając ludzi, będę tworzył spektakle – mówi Georges Méliès.

– Mając ludzi, stworzę balet – mówi Mata Hari. – I piosenki – mówi Edith Piaf.

Już teraz chcielibyśmy zająć się istotami podobnymi do nas, być bogami wobec istot posiadających mózgi, które myślą, usta, które mówią, ręce, które pracują.

– Nauczę ich żyć bez bogów i mistrzów! – wykrzykuje Proudhon.

– A ja ich nauczę miłości – szepcze Marilyn. – Prawdziwej miłości, bez zdrady i kłamstw. Moi ludzie nie będą tracić czasu na kolejne miłosne przygody. Od razu będą umieli rozpoznać bratnią duszę.

Mata Hari nie zgadza się z nią.

– A po co? Przez całe swoje życie mieć tylko jednego partnera? Jakież to ograniczające. Niemniej wydaje mi się, że zarówno ty, jak i ja, mnożyliśmy na Ziemi nasze doświadczenia, czasami raniąc się przy tym, ale i ubogacając za każdym razem.

Marilyn nie ustępuje:

– Gdybym spotkała Freddy’ego, kiedy byłam nastolatką, zamiast czekać na spotkanie z nim, aż trafię do Raju, nie szukałabym już dalej. Jestem o tym przekonana.

Edmond Wells wygłąda na zamyślonego:

– Gdybym to ja tworzył ludzi, chciałbym, aby wszyscy mogli się zrozumieć. Wymyśliłbym język, który by nie dawał możliwości nieporozumień ani pomyłek. Dogłębnie poświęciłbym się porozumiewaniu między ludźmi.

– A moi ludzie – mówi Freddy – będą posiadali poczucie humoru. Codziennie już od rana ktoś

będzie opowiadał dowcipy, które przez resztę dnia będą bawiły pozostałych. Śmiech będzie dla moich ludzi drogą wiodącą do życia duchowego.

– A ty, Michael?

Dźwięk gongu zwalnia mnie od odpowiedzi, ale i tak wiem, że najważniejszym dla mnie zadaniem będzie zrozumienie samego siebie poprzez obserwację stworzonych przeze mnie ludzi. Prawdopodobnie przeprowadzę doświadczenia, żeby sprawdzić, jak zareagują w najbardziej tajemniczych sytuacjach, jakie zdarzyły się w moim życiu.

Wchodzą centaury ze swoimi bębnami i otaczają nas kołem. Nie słyszymy się już. Dochodzą inne instrumenty: kościane flety, gitary, których pudła rezonansowe wykonano ze skorupy pancernika. Młode półboginie grają na harfach o baranich strunach.

Boję się przyszłego losu boga ludzi. Czy stanę na wysokości zadania? Kiedy w moim ziemskim życiu straciłem narzeczoną, odchodząc podarowała mi drzewko bonsai z przyklepioną do niego karteczką. Było na niej serce przebite strzałą i napis: „Nie umiałeś zająć się mną, czy będziesz umiał zająć się tą rośliną?”. Podjąłem wyzwanie. Podlewałem moje bonsai, pielęgnowałem specjalnymi środkami, podsypywałem nawóz, spryskiwałem liście, gdy tylko zaczynały marnieć. A jednak wszystkie moje wysiłki spęły na niczym. Widziałem, jak roślina ginie w oczach i nic nie umiałem dla niej zrobić.

Nie więcej szczęścia spotkało mnie w kontaktach ze światem zwierząt. Kiedy jeszcze byłem chłopcem, często zdarzało się, że wszystkie rybki – gupiki w moim akwarium pływały do góry brzuchami, szybko zjadane przez swoich współbraci, zanim ci z kolei zdążyli zginąć. Pamiętam również hodowlę kijanek, które znajdowałem w rowie, niedaleko domu moich dziadków na wsi. Wkładałem je do słoików po dzemie i obserwowałem, jak rosną i zmieniają się w żaby, ale wystarczyła kilkudziesięciu eskapada z kuzynami, żeby woda wyparowała, a moje kijanki zdechły, kompletnie wysuszone.

Miałem też chomiki, początkowo samca i dwumiesięczną samiczkę. Po kilku dniach samiczka wydała na świat dwanaścioro małych, z których połowę pożarła. Pozostałe parzyły się ze sobą nawzajem. Brat z siostrą, syn z matką, córka z ojcem. Po kilku tygodniach w klatce znajdowało się około trzydzieści chomików, baraszkując i pożerając się wzajemnie i już nawet nie miałem odwagi zaglądać do jej wnętrza, tak było mi wstyd, że to ja stworzyłem podobny świat.

Kiedy miałem 12 lat, dostałem od mamy kota, którego też nie potrafiłem uszczęśliwić. Kociak biegał histerycznie po całym domu i uwielbiał załatwiać się na mojej poduszce. Poza tym nie znosił moich pieszczoł, a największą przyjemność sprawiało mu kładzenie się na klawiaturze komputera właśnie wtedy, gdy byłem pochłonięty pracą. Potem się uspokoił, przestał tyle biegać, ale spędzając dużo czasu na leżąc, zaczął tyć, gdyż jedyną jego czynnością było oglądanie telewizji. W końcu zdechł z nadmiaru cholesterolu w organizmie, a weterynarz zarzucił mi, że za mało się z nim bawiłem i dawałem za dużo jedzenia.

A czy później byłem dobrym ojcem dla moich dzieci? A jakim byłem aniołem dla moich podopiecznych?

Jakże ciężkim zadaniem jest odpowiedzialność za istoty, których życie od nas zależy! Ostatecznie nie jestem pewien, czy powinienem cieszyć się z mojego statusu boga.

60. ENCYKLOPEDIA: PRAWO PETERA

„W każdym systemie hierarchicznym pracownik dąży do podciągnięcia się do swojego poziomu niekompetencji”. To prawo ogłoszone zostało po raz pierwszy w 1969 roku przez J. Petera, który pragnął utworzyć nową dziedzinę wiedzy – „hierarchologię”, czyli naukę o niekompetencji w pracy. Zamierzał ją zgłębić, przeanalizować i sprawdzić, jaki jest poziom jej ekspansji w poszczególnych firmach. Wyniki obserwacji Petera były następujące: w każdej organizacji pracowniczej jest tak, że jeśli ktoś dobrze wykonuje swoje zadania, powierza mu się kolejne, jeszcze trudniejsze. Jeżeli i z tych się odpowiednio wywiąże, proponują mu awans. I tak dalej, aż do dnia, w którym otrzyma stanowisko powyżej swoich możliwości. Na którym pozostanie nieskończenie długo. „Zasada Petera” ma dwa logiczne skutki. Po pierwsze: w każdej firmie praca wykonywana jest tylko przez tych pracowników, którzy nie osiągnęli jeszcze swojego poziomu niekompetencji. Po drugie: wykwalifikowany i skuteczny w swym działaniu pracownik rzadko pozostaje przez dłuższy czas na swoim poziomie kompetencji. Zrobi wszystko, aby wspiąć się na poziom, na którym jego działania staną się zupełnie nieskuteczne.

Edmond Wells,
Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

61. ŚMIERTELNICY. 8 LAT. STRACH

Zaraz po przejściu pod wodospadem na drugi brzeg rzeki Mata Hari znajduje duże, głębokie ślady zwierzęcia, które musi być zarówno wielkie, jak i ciężkie. W ogarniających nas z wolna ciemnościach słyszymy dobiegający gdzieś z daleka chrapliwy oddech.

Drętwiejemy. Raoul stara się nas uspokoić.

– Myślę, że „on” śpi.

Starając się nie dotknąć rękami ani jednej gałązki, by nie narobić hałasu, wyjmuję ankh i kładzie palec na przycisku „D”.

Ja sądzę, że oddech jest zbyt nieregularny, jak na zwierzę w bezruchu, ale nic nie mówię, żeby dodatkowo nie straszyc przyjaciół. Podchodzi Marilyn i całkiem zwyczajnie bierze mnie za rękę, ściskając tak mocno, że prawie miażdży mi dłoń.

I już po chwili słyszymy, jak pod jego krokami drży ziemia i szeleszczą liście.

– „Z miłością do szpady, z humorem do tarczy” – skanduje Freddy Meyer.

Z nas wszystkich to Freddy posiada najlepszy zmysł orientacji. Ponieważ przez długi czas był niewidomy, ma świetnie rozwinięty słuch i węch. Z łatwością porusza się w ciemnościach.

Chwila ciszy, a potem znowu hałas, ale już nie przed nami, tylko gdzieś z lewej strony.

Czuję się zmęczony, tak bardzo zmęczony, że już gorzej być nie może. Słowa same wychodzą z moich ust:

– Przykro mi, drodzy przyjaciele. Jestem zbyt wyczerpany, żeby iść dalej. Za dużo dałem z siebie wczoraj. Wracam spać. Idźcie dalej beze mnie.

Bardziej domyślam się, niż widzę przynębenie na twarzach teonautów.

– Ale co ty, Michael... – kusi Marilyn, której rękę puszczam.

Wracam, uciekam biegnąc, zostawiam ich. Mijam wodospad i już jestem na spokojnym niebieskim terytorium. Niech stawiają czoła potworowi, jak umieją najlepiej. Tak, jak ja wczoraj. Teraz niech oni sobie radzą. Jutro mi opowiedzą, jak z tego wyszli.

Jeżeli rzeczywiście znajdujemy się w jakimś filmie lub powieści, to chyba właśnie stworzyłem nowy archetyp: bohatera, który porzuca wszystko w środku akcji...

W drodze powrotnej do willi trochę nękanym moim nagłym poczuciem wolności otrząsam z siebie kurz. Ale w końcu nie muszę przecież stawiać czoła tym wszystkim niebezpieczeństwom. Mam prawo odpocząć, jeśli będę miał na to ochotę, a poza tym, chciałbym zobaczyć, co się dzieje z moimi dawnymi klientami, których ostatnio nieco zaniedbałem.

Kiedy docieram do miasta, ulice Olimpij są puste, a w willi czeka na mnie smarkaczka. Biję skrzydełkami na powitanie, a kiedy włączam telewizor, siada obok mnie na kanapie.

– Interesują cię śmiertelnicy z „Ziemi 1”, prawda? No to zobaczymy, co mamy dziś wieczorem w programie.

Na boisku skoży Theotime'a w Iraklionie dzieci biją się z prawdziwą zawziętością. Wyznaczono role. Jest Achilles, Agamemnon, Hektor, Parys i Priam, a więc zaczyna się wojna trojańska. Ukryci w kępie drzew Grecy otaczają Trojan. Obydwa obozy napadają na siebie z niezwykłą zawziętością za każdym razem, gdy któraś z armii zbliży się do wrogiego obozu. Bardziej zdeterminowani i okrutni Grecy zdobywają w końcu trojański bastion, z którego uciekają w popłochu żołnierze. Biedny Theotime, któremu waga nie pozwala poruszać się zbyt szybko, z łatwością zostaje schwytany przez dzieciaki wykrzykujące: „Na śmierć, Hektorze, na śmierć!”. Czyjeś ręce rozdierają mu koszulę, zadając kolejne ciosy, jednak mojemu byłemu klientowi udaje się wydostać i uciec pod opiekę wychowawcy. Nie podnosząc głowy znad gazety, opiekun odpycha go z rozdrażnieniem:

– Mój biedaku, życie to dżungla. Każdy musi sam sobie radzić.

Smarkaczka brzęczy na znak protestu. Otoczony Theotime zasłania głowę rękoma. Na szczęście dzwonek kładzie kres jego męce, dając sygnał końca przerwy.

W domu mama Theotime'a z przerażeniem patrzy na jego ubranie, całe w strzępach. Zawstydzony chłopiec nie chce powiedzieć, co się stało, w obawie, by nie wydało się, że był tylko niezdolną do żadnej obrony ofiarą. W końcu chroni się w swoim pokoju, gdzie wreszcie może się do woli wyplakać.

Wobec tak wielkiej niesprawiedliwości smarkaczka brzęczy coraz głośniej. Tłumaczę jej, że taka jest karma mojego dawnego Igora, który jest prostą duszą, zmiażdżoną przez obraz swojej władczej matki. Czy będzie ona dobrotliwa, czy nieprzychylna, w ostatecznym rozrachunku niczego to nie zmienia.

Na drugim kanale, w prawdziwej afrykańskiej dżungli Kouassi Kouassi towarzyszy ojcu w polowaniu na lwa. Rodzic uczy go, jak stawić czoła zwierzęciu za pomocą oszczepu, a także jak uniknąć jego kłów i pazurów. Kouassi Kouassi zdaje się nie bać albo dobrze ukrywa strach. Jego pierś zdobią liczne naszyjniki oraz wisiory pełniące rolę talizmanów. Pomalowana twarz chłopca wygląda jak rytualna maska, zdolna ochronić go przed złymi duchami i zapewnić magiczną moc.

Lecz najwyraźniej lwy postanowiły dzisiaj nie opuszczać swoich jam. Myśliwi przemierzają sawannę we wszystkie strony, nie napotykając ani jednego drapieżnego kota, i martwią się, że wrócą z polowania z niczym. W czasie drogi ojciec opowiada synowi, jak straszna mogłaby być walka, i relacjonuje szczegółowo przebieg swojego pierwszego polowania. Kouassi Kouassi nasładowe każdy gest ojca, wydając głośne okrzyki. Dziecko pyta jednak, dlaczego nie ma lwów.

– Gdyby lwy miały swoich gawędziarzy – odpowiada ojciec – mogłyby nam powiedzieć, dlaczego wyginęły. Ale mają ich tylko ludzie i pewnego dnia jeden z nich opowie nowemu pokoleniu, dlaczego nas już nie ma.

Następnie ojciec z synem wracają do domu i zasiadają przed telewizorem, aby obejrzeć *Tarzana*, amerykański serial, który obydwaj lubią.

Eun Bi wzywa się na konsoli do gier, podłączonej do telewizora. Jest w domu, w swoim pokoju. Gra polega na poruszaniu się w trójwymiarowym świecie, przy użyciu broni oraz innych narzędzi umożliwiających pokonanie potworów lub przedostanie się przez wąwozy. Trzeba wspiąć się na zwierzęta, ślizgać na szynach... Dziewczynka jest zafascynowana grą. Stara się uniknąć strzał, biec w korytarzu, w którym wybuchają ogniste kule, unicestwić strażników strzegących drzwi. W pokoju obok rodzice znowu się kłócą, więc Eun Bi nastawia na cały regulator głośniki w swoich słuchawkach, żeby już nic nie słyszeć.

Zatopiona w wymyślanym świecie, zajęta rozcinaniem na pół okropnego potwora, nie wie, że z pokoju obok dobiega odgłos tłuczonych talerzy. Wreszcie otwiera skrzynię ze skarbem, a wtedy mały duszek zaprasza ją do przejścia na wyższy poziom gry. Tam od razu zostaje zaatakowana przez kolejnego potwora, który pożera ją swoimi wielkimi kłami, podczas gdy ekran robi się czerwony i pojawiają się na nim te złowróżbne słowa: „Game over”.

Eun Bi zdejmuje słuchawki, lecz ponieważ krzyki za ścianą nie cichną, szybko nakłada je z powrotem i wraca do gry w miejscu, w którym przerwała. „Straciłeś wszystkie życia. Czy chcesz ponownie rozpocząć grę z nowym życiem?” – pyta ekran. W tej samej chwili do pokoju wpada matka dziewczynki. Z purpurową twarzą wrzeszczy coś, czego mała Azjatka nie może usłyszeć. Dziewczyna wpada we wściekłość. Uderza córkę w policzek i stanowczym ruchem wyłącza komputer. Dziewczynka wstaje i, nie zauważając ironicznego spojrzenia swojego ojca, biegnie schronić się w toalecie. (Rozpoznając dawny zwyczaj z jej poprzedniego wcielenia – Jacques także traktował toaletę jako swoje sanktuarium, do którego nikt nie miał dostępu). Ale matka dobrze

zna tę manię. Staje przed drzwiami i szarpie za klamkę, nakazując dziewczynce wyjść. Eun Bi nie poddaje się woli matki, pewna swojego schronienia. Nieczuła na matczyne narzekania, zagłębia się w lekturze książki, opowiadającej historię księżniczki, która mieszka w baśniowym kraju.

Smarkaczka spogląda na mnie niepewnym wzrokiem.

– Chcesz mnie zapytać, dlaczego ludzie używają tyle przemocy wobec swoich dzieci? Nie wiem. Może rodzice mszczą się w ten sposób za razy, które sami dostali w dzieciństwie. I tak każde kolejne pokolenie odgrywa się na następnym... Chyba że przemoc jest nierozzerwalnie związana z gatunkiem. Pamiętam taką sprawę w Anglii: dwoje ośmioletnich dzieci złapało, a następnie zadało śmiertelne tortury trzylatkowi, którego nawet nie znali. Może to właśnie przemoc pozwoliła człekokształtnemu zwierzęciu pokonać wszystkie drapieżniki. A ponieważ dziś ich nie ma, człowiek zachowuje tradycję przemocy na swoim własnym gatunku.

Oznajmiam, że idę spać. Smarkaczka kiwa swoją piękną główką i bez żadnego marudzenia wylatuje przez otwarte okno.

Całkiem wyczerpany wyciągam się na łóżku. Musiałbym zapomnieć, jacy są ludzie, żeby znowu chcieć im pomagać! Nie ulega wątpliwości, że bogowie wyposażyli nasze pokoje w telewizory po to, byśmy mogli zobaczyć na własne oczy, do czego zdolni są nasi podopieczni. Tak naprawdę niewiele różnią się od zwierząt...

62. MITOLOGIA: HERMES

Zeus zgwałcił Maję, córkę tytana Atlasa, a z ich związku narodził się Hermes, utożsamiany z rzymskim Merkurym, którego imię znaczy „kolumna”.

W dniu narodzin matka włożyła syna do koszyka, a ledwie odwróciła się tyłem, chłopiec zabił żółwia i z jego skorupy oraz jelit jałówki skonstruował pierwszą lirę. Grą na niej uspił matkę.

Gdy tylko Hermes dorósł, natychmiast wyruszył w drogę. Dzięki talentowi złodziejaska pozabawił Posejdoną trójzębu, Aresa szpady, a Afrodytę magicznego pasa. Przywłaszczył sobie pięćdziesiąt białych wołów ze złotymi rogami, będących własnością Apollona.

Zachwycony dźwiękiem liry Apollo zgodził się pozostawić Hermesowi swoje stado w zamian za siedmiostrunowy instrument.

Od Pana, boga pasterzy z lesistej Arkadii, otrzymał fletnię, ofiarowując mu w zamian pasterską laskę z trzema białymi sznurkami.

Kiedy Apollo zaprowadził go do Zeusa, ujął ojca swoim talentem oratorskim i Zeus mianował go boskim posłańcem, jednak Hermes musiał obiecać, że nigdy już nie będzie kłamać. Dzięki swojemu sprytowi złożył taką obietnicę: „Nigdy nie posunę się do kłamstwa, ale być może czasami nie powiem całej prawdy”.

W swym okrągłym kapeluszu, symbolizującym wiszące nad górami chmury, ubrany w złote, uskrzydłone sandały, dzięki którym przemieszczał się tak szybko jak wiatr, i z kijem pasterskim w ręku, stał się bóstwem opiekuńczym dróg, skrzyżowań, targów, okrętów, podróży (w tym także dusz wędrujących w kierunku kontynentu umarłych), umów i własności prywatnej. Paradoksalnie uważano go także za boga złodziei. Zdobył też dar przepowiadania przyszłości.

Według legendy, to Hermes wymyślił alfabet. Wychodząc od pięciu samogłosek stworzonych przez Parki i jedenastu spółgłosek Palamedy, Hermes wymyślił pismo klinowe, opierając się na obserwacji żurawi lecących w trójkątnym szyku. Następnie kapłani Apollona dodali pozostałe spółgłoski oraz samogłoski, takie jak długie „o” oraz krótkie „e”, dzięki czemu każdej z siedmiu strun lutni Hermesa przypisana jest inna samogłoska.

Boski posłaniec miał też liczne przygody miłosne. Z jego związku z Afrodytą począł się Hermafrodyta, istota płci męskiej i żeńskiej jednocześnie, której imię powstało z połączenia imion rodziców. Z Chione spłodził Autolycosa, dziadka bohatera Odysei, Ulissesa. Kult Hermesa znany był w całej Grecji i na każdym skrzyżowaniu stawiano zwieńczone jego posągami słupki, wskazujące drogę. Na jego cześć Grecy składali ofiary z wołów, którym obcinano języki, stanowiące symbol boskiej elokwencji Hermesa.

Dużo później, jako bóg wszystkiego, co się porusza, został również bogiem magików, aktorów oraz bogiem oszustów. Egipskim odpowiednikiem Hermesa jest Tot, uważany za boga inteligencji.

Edmond Wells,

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V
(według Francisca Razorbaka, zainspirowanego
Teogonią Hezjoda, 700 r. przed Chrystusem)

63. ŚRODA: ZAJĘCIA HERMESA

W środę, dzień poświęcony Merkuremu, nasi greccy nauczyciele nadal prezentują nam się w porządku chronologicznym, zgodnym z ich łacińskim nazewnictwem. Dlatego właśnie przed bramą pałacu Hermesa w środę czekają uczniowie, nim wejdą do kolejnej sali, w której odbędą się zajęcia.

Chodzę pomiędzy rozmawiającymi ze sobą grupkami, pozdrawiam kilka znajomych osób, ale w końcu i tak muszę przyznać z sercem ściśniętym ze strachu, że żaden z moich przyjaciół teonautów nie stawił się na zajęcia. Co im się przydarzyło podczas spotkania z potworem w czarnym lesie? Jestem tak zaniepokojony, że po przekroczeniu progu srebrnej piramidy prawie nie zwracam uwagi na wystrój pałacu boga podróżników.

Sala, w której odbywają się zajęcia, pełna jest kartek pocztowych i przedmiotów przywiezionych z wypraw na nieznanne planety. W gablotach wystawione są przeróżne instrumenty muzyczne, przypominając o licznych umiejętnościach Hermesa.

– Dzień dobry, proszę zająć miejsce – miły głos dobiega gdzieś spod sufitu.

Podnosimy głowy. Nasz dzisiejszy nauczyciel unosi się nad nami, uderzając przyczepionymi do sandałów skrzydełkami. Powoli obniża się, wreszcie zajmuje miejsce przy biurku, ani na chwilę nie rozstając się ze swoim kapeluszem z okrągłym rondem oraz pasterską laską. Ma gładką i zadziwiająco młodą, piękną twarz.

– Razem ze mną docieracie do najbardziej interesującego stadium ewolucji – oznajmia. – Poznaliście już 1: minerał, 2: świat roślin, 3: świat zwierząt. Teraz zatem zwróćmy uwagę na 4... „Człowiek” – zapisuje na tablicy, a następnie bierze swój kij i w powietrzu kreśli nim kontury liczby.

– „4”. Człowiek to skrzyżowanie, krzyż, rozwidlenie. Dlatego właśnie to ja, bóg dróg, mówię wam o człowieku. Dlaczego istota ludzka jest skrzyżowaniem? Dlatego, że będąc wolnym, może iść do przodu lub... cofnąć się. Nie jest jak 3, zwierzę uzależnione od swoich emocji, strachu lub żądz. Jeśli chce, dzięki swojej inteligencji może je wszystkie pokonać, skierować w odpowiednią stronę, okiełznać.

Mówiąc to, Hermes raz chodzi, raz lewituje, przyglądając nam się z bliska lub obserwując z góry. Wreszcie klaszcze w dłonie i po chwili zjawia się Atlas ze swoją kulą ziemską.

– Niezbyt szybko ci się przypomniało – mruczy niezadowolony. – Już mówiłem twoim kolegom, że te warunki pracy są zupełnie nie do zniesienia...

– Dziękuję Atlasie – ucina Hermes, nawet nie patrząc na nieszczęśnika uginającego się pod ciężarem właśnie składanego w kieliszku do jajek jarzma. – Niedługo cię poproszę.

Ponieważ Atlas ani drgnie, Hermes posyła mu szeroki uśmiech, następnie gestem daje do zrozumienia, że by wyszedł. Atlas waha się, po czym zwraca się do Hermesa:

– Gdybyś nie pamiętał, przypominam ci, że jesteś mi winien szacunek. W końcu jestem twoim dziadkiem...

– Wiem o tym, ale teraz mam ważne zajęcia, to ich pierwsza lekcja z zabawkami w postaci ludzi.

– Mam gdzieś zabawki.

Hermes wydaje się zmęczony rozmową.

– No dobrze, czego chcesz? Podwyżki?

Patrzy na niego uważnie, cały czas się uśmiechając. Atlas pierwszy spuszcza wzrok, następnie wzdycha ciężko i wychodzi, manifestując swój niesmak.

– Na czym to skończyliśmy? Ach, tak. Właśnie w tej chwili rozpoczyna się Wielka Gra, Gra Y,

gra bogów. Każdy z was otrzyma szczep złożony ze stu czterdziestu czterech osobników należących do rządu naczelnych. W każdej grupie znajdzie się trzydziestu samców – przewodników, pięćdziesiąt płodnych samic, pozostałe osobniki to samce niedominujące, bezpłodne samice, dzieci i starcy. Początkowo wszyscy dysponujecie mniej więcej takimi samymi „pionkami”.

Znowu wznosi się pod sufit.

– Wasze ludzkie prototypy są prawie identyczne. Dwie ręce, dwie nogi, narząd wzroku umieszczony w części twarzowej, dłonie, paznokcie, struny głosowe, widoczna płeć. Nie wolno wam zmieniać ich kodu DNA. W każdym szczepie znajdziecie pewną liczbę osobników inteligentnych i głupich, dobrych i złych, zręcznych i niezręcznych. Wszelkie zmiany mogą być wyłącznie wynikiem edukacji, znaków, które zdołacie przekazać im we śnie, waszej zdolności wyboru dobrych mediów itd. Mówiąc bardziej prozaicznie, nie zapomnijcie wysłać ich na poszukiwanie źródeł wody pitnej, ponieważ bez wody ludzie zginą. Chronicie ich przed drapieżnikami. Myślę tu nie tylko o zwierzętach, ale także o ludach „przypadkowych”, które także istnieją na „Ziemi 18”.

Schodzi i okrąża naszą planetę.

– To ludzie, nad którymi nie czuwają żadni bogowie. Jednak potrafią być wierzący, ponieważ umieją stworzyć sobie wymyślonych bogów.

Przerywa, gdyż jakiś nagły hałas dobiega z tylnych rzędów. Odwracam się. Czuję ulgę widząc, jak do sali wchodzi moi teonaucci. Na policzkach Raoula widnieją ślady licznych zadrapań, Marilyn i Freddy mają togi w strzępach, Edmond lekko kuleje, a ciemna karnacja Maty Hari zmieniła się w białą, niemal zielonkawą.

– Nie sprawdziłem listy, ale wydawało mi się, że kilka osób jest nieobecnych. A więc są nasi spóźnialscy! Mam nadzieję, że chociaż nie spędziliście nocy poza miastem – mówi z ironią w głosie bóg podróźnych, dając do zrozumienia, że nie jest naiwny.

Po chwili przestaje się nimi interesować, a nowo przybyli bez słowa zajmują miejsca wśród nas. Przechodząc obok mnie, Raoul rzuca mi pełne wyrzutu spojrzenie.

„Totem” – notuje na tablicy Hermes i zaraz wyjaśnia:

– Weźcie sobie jakieś zwierzę jako totem. Wybierzcie według własnego uznania. Każde zwierzę ma swoje szczególne cechy, swój sposób zachowania lub integrowania się z naturą, które staną się inspiracją dla waszych ludzi.

Dając znaki, byśmy podeszli do kuli, w której pływa „Ziemia 18”, udziela nam kolejnych rad:

– Słuchajcie waszych ludzi, starajcie się ich zrozumieć, pomagajcie im. Oszczędnie używajcie piorunów. Unikajcie czynienia cudów. Cuda i mesjasze to narzędzia używane przez bogów mało zręcznych, niepotrafiących działać w dyskretny sposób.

Powiedział to z pogardą w głosie, jak kapitan żaglowca na wspomnienie łodzi motorowych.

– Do pracy. I przyłóżcie się tak, aby po upływie kilku wieków wasza ludzkość nie uległa samoumieszczeniu.

Powiedziawszy to, nasz nauczyciel z hollywoodzkim uśmiechem unosi się, by móc lepiej śledzić z góry wyniki naszej pracy.

64. ENCYKLOPEDIA: REWOLUCJA JAHWISTYCZNA

Sześć tysięcy lat temu na terenie dzisiejszej pustyni Synaj mało znany lud Kenitów odkrył metalurgię. A więc miedź. Była to wielka rewolucja, gdyż do uzyskiwania metalu potrzebne były ogromne piece z wysoką temperaturą. Kenici wynaleźli piece, stosując rozżarzone węgle, w które dęli miechami. W ten sposób pokonali barierę 1000°C, konieczną do wytopu metalu. Umiejąc uzyskać wysokie temperatury, odkryli szkło i emalię.

Kenici czcili górę Synaj i byli wyznawcami religii jahwistycznej, związanej z Jahwe, czyli Tchnieniem.

Przechodząc od kamienia – *lithos*, do miedzi – *chalcos* i odkrywając przy tym istnienie metali, Kenici dokonali Miedziowej Rewolucji. Topienie metalu jest pierwszym ludzkim aktem całkowitego przekształcenia materii.

Z Synaju Kenici przenieśli się na wybrzeże Morza Śródziemnego i utworzyli port w Tyrze, a następnie dotarli aż na Cypr, chcąc tam szukać cennych rud. Założyli także Sydon (obecnie Saïda) i tym samym dali początek cywilizacji, nazwanej dużo później fenicką.

Jahwiści nie używali miedzi do produkcji broni, lecz wytwarzali z niej misterne przedmioty, najprawdopodobniej o przeznaczeniu religijnym, w formie kiwających się figurek o niezrównanej jakości metalurgicznej. Zdaniem profesora Gerarda Amzallaga, który przez wiele lat badał życie Kenitów, ich bóg nie był bogiem władczym ani dominującym, był raczej bogiem – „katalizatorem”, mogącym tchnąć w ludzi i rzeczy siłę, dać im swoje „tchnienie” – „Jahuwa”, będące jak dźwięk miechów w kuźni. Taki opis stworzenia człowieka poprzez tchnienie Boga znajdujemy nieco później w Biblii, gdzie człowiek powstaje z ziemi (Adam) oraz tchnienia Boga.

Edmond Wells,

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

LUD ŻÓŁWI

Wiatr wiał nad doliną.

Napłynęły czarne chmury i nagle błyskawica przecięła niebo.

Na dole sto czterdzieści cztery ludzkie istoty siedziały przytulone do siebie, szczękając zębami.

Nie wiedzieli, skąd przybyli.

Nie wiedzieli, kim są.

Nie wiedzieli, dokąd zmierzają.

Żyli w strachu, głodzie i zimnie, a widok spadającej z nieba błyskawicy nie wpływał na nich uspokajająco.

Kolejny piorun uderzył bardzo blisko, a oni zerwali się i uciekli w przeciwnym kierunku. Wbiegli na znajdujące się z prawej strony zbocze góry, z którego kolejna błyskawica przegnała ich dalej na północ. Wreszcie zapadła noc. Postanowili wdrapać się na drzewo, by nie pożarzył ich pelzające drapieżniki. Wśród stu czterdziestu czterech osób była mała dziewczynka o czarnych oczach, mięsistych wargach i hebanowych włosach. Dziecko wcisnęło się między dwa grube konary i, podobnie jak pozostali, przytuliło do pnia drzewa.

Dziewczynka zamknęła oczy. Widać było, że głowa opada jej ze zmęczenia, tak że o mało sama nie spadła z gałęzi, jednak udało jej się złapać we śnie równowagę. Nadal miała zamknięte powieki, gdy nagle rozległ się dźwięk drapiących korę pazurów. Dziecko wiedziało, co znaczą te dźwięki. To leopard próbował w ciemnościach złapać kogoś z nich. Jak uniknąć takiej napaści? Jedyne, co można było zrobić, to starać się być jeszcze bardziej niewidocznym, mniej pachnieć, wstrzymać oddech. Tak, żeby leopard pomylił cię z owocem lub gęstwina liści.

Problem jednak polegał na tym, że leopard dobrze widzi w nocy, a ludzie nie. Dla kogo tym razem los okaże się niełaskawy? Wszyscy zamarli w oczekiwaniu, udając, że ich nie ma.

„Obym to tylko nie była ja, oby tylko nie ja” – powtarzała z nadzieją w sercu mała dziewczynka, z całej siły starając się powstrzymać szczękanie zębami, które zdradziłoby jej obecność. Słyszała, jak leopard wspina się po pniu i przechodzi obok, niemal się o nią ocierając. „Niech weźmie, kogo chce, byle nie mnie, nie mnie...”.

Kot wybrał jednego z jej wujów. Wbił kiel w tętnicę szyjną, a następnie zeskokczył na dół, zabierając go ze sobą, zanim jeszcze człowiek zdążył krzyknąć.

Skończyło się. Mrok, noc, wszystko wróciło do normy, jedynej zmianie uległo rozłożenie ciężaru na gałęziach, wskutek czego dziewczynka musiała zmienić pozycję.

Szaro. Ciemno. Dziecko wyłączało kolejne zmysły, aby znów móc pograć się we śnie, który przynosi zapomnienie. Staralo się oddalić od siebie powracający obraz biegnącego leoparda z ociekającym krwią pyskiem. Żadnych złych snów. Jutro będzie udawała, że o niczym nie pamięta. Księżyc ukrył się w chmurach. Czy jutro znowu zaświeci słońce?

Stu czterdziestu trzech ludzi, obudzonych przez błądą jeszcze jutrzeńkę, zeszło z drzewa, tak jakby nic się nie stało. Nikt nie wspominał o nieobecnym wuju. Jednak mała dziewczynka o czarnych oczach nie potrafiła w ciągu dnia zapomnieć nocnych lęków. Co wieczór bała się, że zginie podczas snu, rozszarpana na kawałki. Co wieczór wątpiła, czy następnego dnia wstanie słońce.

Rankiem maszerowali pod sklepieniem z chmur, a dziewczynka miała nadzieję, że wreszcie

zmarzają w bezpieczne miejsce. Lecz albo takie miejsce nie istniało, albo jej szczep dotarł do końca świata, nie znajdując po drodze bezpiecznej przystani.

Szli dalej. Po drodze minęli stado sępów, których obecność była dla wszystkich zrozumiała. Drapieżne ptaki, wielcy amatorzy padliny, zabierały się za to, co pozostało z wujka, którego leopard dociągnął aż tutaj. Czasami zdarzało się, że czekali, aż sępy skończą swój posiłek, by podzielić się z nimi resztkami, ale dziś woleli pójść swoją drogą, odwracając wzrok w drugą stronę.

Jako że nie potrafili liczyć, nie mogli wykonać tego przynębiającego odejmowania: 144 – 1.

Plemię zeszło ze wzgórza, wspięło się na kolejną, szło wśród drzew i wzdłuż potoku. Jeden ze zwiadowców dał sygnał, że z naprzeciwka nadchodzi inna grupa ludzi. Przywódca wpadł w panikę i kazał wszystkim ukryć się w wysokiej trawie. Mała dziewczynka przycupnęła, zamykając oczy. Pomyślała sobie, że jeśli ona nie będzie widzieć innych, oni także jej nie zobaczą. Długo czekali, aż ich przywódca wstanie na znak, że niebezpieczeństwo minęło i będzie można ponownie ruszyć w drogę. Wszyscy wiedzieli, że należy oddalić się od obcych.

Przyspieszyli więc kroku, idąc w kierunku przeciwnym do tego, w którym udali się intruzi. Byli już u kresu sił, kiedy przywódca zarządził postój. Mężczyźni poszli polować. Młodzież odpoczywała lub improwizowała zabawy.

Mała dziewczynka o czarnych oczach wolała bawić się sama w okolicy obozowiska. Zrobiwszy kilka kroków, potknęła się o duży kamień. Chciała go wziąć do rąk i odrzucić daleko. Ale kamień nie dał się podnieść, lecz wyslizgnął się i całym swoim ciężarem toczył się po trawie. Dziecko pobiegło za nim, wyprzedziło go i zagrodziło mu drogę. Kamień zatrzymał się, by następnie zmienić kierunek. Dziewczynka przyglądała się temu z rozbawieniem. Po raz pierwszy od długiego czasu uśmiech rozjaśnił jej twarz. To było takie zaskakujące. Nowe zdarzenie, które nie zdziwiło strachu! Czują, że znów wracają jej siły. Chwyliła kamień i zobaczyła, że pod spodem ruszają się małe łapy, a z przodu pojawia się głowa. Jakie świetne zwierzę.

Położony z powrotem na ziemi żółw schował głowę i łapy w pancerzu, zastygając w bezruchu. Mała dziewczynka przyglądała się zwierzęciu ze wszystkich stron. Polizała go, ugryzła, powąchała, podrapała. Uderzyła lekko, co mu najwyraźniej nie przeszkadzało. Rzuciła nim o ziemię, potem odrzuciła dalej, a znalazłszy go stwierdziła, że żółw pozostał nietknięty, ponieważ wszystkie miękkie części jego ciała były schowane w pancerzu.

„Teraz to on się boi” – myślała mała dziewczynka, szczęśliwa, że może narzucić komuś innemu to przykre uczucie, które ją nieustannie nękało.

Pozostawiany samemu sobie żółw ruszał ponownie w drogę. Wzięty do ręki, zamieniał się w kamień. „Boi się, ale ma ochronę” – mówiło do siebie dziecko. Było więc nad czym się zastanawiać. Zabrało zwierzątko do obozu i pokazało swojej matce, wyjaśniając na swój dziecięcy sposób, z niewinną miną, że zwierzę jest bardzo silne, ponieważ posiada pancerz, w którym może się schronić. Mama złapała żółwia, obejrzała go i nie widząc powodu, aby zajmować się okrągłym kamieniem, odrzuciła daleko, wśród szyderczych śmiechów starszych braci. Bo myśliwi byli już z powrotem. Znaleźli tułów zebry, porzucony przez lwy, potem hieny i sępy. Całość była zgniła i śmierdziała padliną, ale ludzie rzucili się łapczywie na mięso, tacy byli głodni.

Chwilę później członkowie szczepu położyli się na gołej ziemi i zasnęli. Podczas snu zaskoczyło ludzi stadko lwic. Teren był odkryty, w pobliżu żadnego drzewa. Ponieważ nieszczęście zwykle przychodziło nocą, mała dziewczynka bardziej się go domyślała, niż mogła je zobaczyć. Teraz widziała, jak dziesięć drapieżnych kotów rzuciło się na jej bliskich. Dziecko słyszało krzyki, czuło charakterystyczny zapach drapieżników, zmieszany odór ludzkiego

i zwierzęcego potu, zapach krwi – krwi jej szczepu. Próba ucieczki przyciągnęłaby tylko uwagę zwierząt. Dziewczynka przycisnęła do piersi jednego ze swoich małych braci, chcąc go ochronić, ale lwica podbiegła i wyrwała go z jej objęć... Dziewczynka przeżyła, lecz jej ramiona były puste.

Długo trwała walka i ucztą, nim wreszcie wśród zdziesiątkowanej społeczności zapanowała cisza. Dziewczynka wiedziała, że trzeba poczekać do rana, aby ocenić skalę nieszczęścia, które wydarzyło się w ciągu nocy. Śniła o czymś dziwnym. Wydawało jej się, że musi to zapamiętać, ale z chwilą przebudzenia wszystko zapomniała. Wiedziała tylko, że sen miał coś wspólnego z żółwiem, ale co dokładnie?

Lwice nie poskąpiły sobie kolacji. Dziewięciu mężczyzn i trzech młodych chłopców.

Dziewczynka myślała o minionych dniach i ogarniającym ją codziennie strachu. Próbowала wyobrazić sobie dni, które nadejdą, ale nie mogła, tak bardzo była pewna, że niedługo zginie. Na razie to, że żyje, zawdzięczała tylko szczęściu oraz ofierze swoich bliskich. Jak pozbyć się strachu?

„Weź przykład z żółwia. Tak jak on, schroń się w pancerzu” – szeptał jakiś głos w jej umyśle. Pancerz...

Lud wyruszył w dalszą drogę pod dowództwem nowego mężczyzny. Wiedziony intuicją, rozkazał iść zgodnie z ruchem słońca, kierując się na zachód. W końcu każdego ranka słońce wstawało razem z nimi, a potem wschodziło wysoko na niebo i zachodziło gdzieś tam, w oddali. Dlaczego więc nie mieliby iść za nim?

Myśliwi przynieśli z polowania tylko zdechłego ze starości gryzonia oraz garść jagód. Nie było czym napelnić brzuchów tych, którzy przeżyli.

Niebo pociemniało. Rozległ się grzmot. Zdawało się, że pioruny zagradzają im drogę na zachód, zmuszając, aby kierowali się na północny wschód. Skręcili, idąc w rzęsy deszczu. Kolejna noc zapowiadała nową próbę. Nagle przebiegająca przez krzewy błyskawica oświetliła zagłębienie w skale. Jaskinia.

Wtedy mała dziewczynka przypomniała sobie swój sen. Ochronny pancerz. Ukryć się w grocie-pancerzu.

Chwyła więc za rękę nowego przywódcę, starając się go przekonać i pewnie nic by nie wskórała, gdyby nie dobiegające z oddali ryki. Na ich dźwięk ludzie w popłochu, popychając się nawzajem, wbiegali do wnętrza jaskini. Pierwszym, co poczuli, była ulga: w jaskini mieli sucho, byli ukryci przed lwami i potopem. Nagle w głębi groty zobaczyli ogromny cień. Plemię schroniło się w legowisku niedźwiedzia. To dlatego lwy nie weszły za nimi.

Jeden z braci dziewczynki, potrafiący bardzo szybko biegać, zdecydował się spróbować szczęścia. Zaczął naigrawać się z wielkiego mieszkańca jaskini, po czym rzucił się do ucieczki, ścigany przez niedźwiedzia, którego nie podejrzewał o taką zręczność. W końcu zwierzę złapało go, udusiło i zjadło. Ale poświęcenie nie było daremne. Ta chwila przerwy wystarczyła ludziom, by zdążyli zasłonić kamieniami i gałęziami wejście do jaskini. Teraz jak żółwie mogli schronić się przed drapieżnikami. Na próżno niedźwiedź ryczał u wejścia do swojego byłego domu. Dzicy lokatorzy odpowiadali gradem kamieni, dając mu do zrozumienia, że czują się tu u siebie. Ostatecznie niedźwiedź zrezygnował i poszedł szukać innej groty, z której bez problemu wyrzucił jakieś słabsze od siebie zwierzę.

Ludzie wygrali. Mała dziewczynka drżała na całym ciele... A więc nie byli skazani na ciągłe przeżeganie.

W ciepłe jaskini czuli się bezpieczni. Zdecydowali więc, że nie będą bez końca błądzić po równinie, tylko zostaną tutaj.

Tutaj nie bali się już deszczu ani wiatru.

Tu mogli gromadzić pożywienie, nie obawiając się, że zostanie ukradzione przez małe ssaki

lub ptaki.

Nastroje uległy zmianie. Nawet o tym nie wiedząc, właśnie rozpoczęli osiadły tryb życia i to zmienilo wszystko. Mężczyźni wychodzili na polowania, nie obawiając się już, że podczas ich nieobecności ktoś zaatakuję ich kobiety i dzieci. Ponieważ nie musieli spieszyć się z powrotem, przynosili więcej mięsa i mogli wprowadzać nowe taktyki łowieckie.

Pozostające w jaskini kobiety zaczęły ze sobą rozmawiać. Ich mowa stawała się coraz bardziej rozwinięta. Do prostych informacji praktycznych dołączyły opisy, wymianę uczuć, niuansy, osobiste opinie. Komentowały postępowanie swoich mężczyzn, rozmawiały o najlepszych sposobach przechowywania oraz przygotowywania żywności. W chłodzie jaskini zaczęły uczyć dzieci. Jedna z kobiet wpadła na pomysł, żeby osłonić ciało skórą, tworząc w ten sposób pierwsze ubranie, które chroniło nie tylko przed zimnem, ale i ukąszeniami węży oraz podrapaniem przez rośliny. Jej towarzyszkom spodobało się dokładne rozcinanie ścięgien i oczyszczanie skór z sierści, a następnie łączenie ich za pomocą jelit, tak aby skóry przykrywały całe ich ciała oraz ciała ich bliskich. Tym samym odkryły właśnie, zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy, wstyd i erotyzm. To, co ukryte, pobudza wyobraźnię.

Pewnego dnia mała dziewczynka o czarnych oczach spostrzegła, że już bez strachu wpatruje się w horyzont. Biorąc przykład z żółwia, odkryła, jak żyć w spokoju i móc rozmawiać o czymś innym niż przetrwanie.

Po kilku tygodniach od ich zamieszkania w jaskini w stojące nieopodal drzewo uderzył piorun. Zamiast zapłonąć i zaraz zgasnąć, drzewo przekształciło się w czerwone węgielki oraz rozżarzone glownie. Początkowo widok ten przestraszył kobiety i dzieci, po chwili jednak zaciekawione zaczęły podchodzić do płonącego drzewa. Jedno z dzieci próbowało dotknąć żółtego światła przypominającego słońce i natychmiast krzyknęło ze złości. To „coś” gryzło.

Wszyscy cofnęli się, ale wiedzioną intuicją ciemnowłosa dziewczynka bez obaw wzięła płonąca gałąź. W ślad za nią poszedł ktoś z dorosłych, potem następny. Gałęzie paliły się, nie dotykając ogniem ludzi. Wystarczyło trzymać je czerwonym końcem od siebie, a one dawały ciepło i światło, nie stwarzając żadnego niebezpieczeństwa.

Jeden z mężczyzn spostrzegł, że ogień jest zaraźliwy. Jeśli do zapalonej gałęzi zbliżył gałązkę nietkniętą płomieniem, ona też zajmuje się ogniem, by wreszcie zamienić się w czarny proszek.

Przejęci jednocześnie strachem i fascynacją ludzie z plemienia poświęcili się nowym doświadczeniom. Kawalek drewna skierowany ku dołowi płonął szybciej. Ale wystarczył lekki powiew wiatru, aby go zgasić. Suche liście szybko się zapalały. Liście zielone ulegały zwęgleniu, wydzielając przy tym czarny dym. Piaskiem można było zgasić ogień.

Mała dziewczynka nabiła kawałek mięsa na czubek gałęzi i włożyła do ognia. Mięso z brązowego stało się czarne. Dziecko zaczęło, aż mięso wystygnie, spróbowało i stwierdziło, że jest dobre. Od tego czasu plemię spożywało ciepłe i gotowane posiłki.

Ogień pozwolił ludziom odegnać dzikie zwierzęta. Wreszcie mogli beztrudno łączyć się w pary i mieć więcej dzieci.

Po jakimś czasie jaskinia stała się zbyt mała, by pomieścić całą grupę. Opuścili ją więc i poszli na północ, szukać innej, większej, a kiedy ją znaleźli, za pomocą przyniesionych ze sobą gałęziopochodni wyrzucili z niej mieszkające tam niedźwiedzie.

Rozpalili wielki ogień, którym oświetlili swoje nowe miejsce zamieszkania. W głębi płynął strumień, mogli więc pić świeżą wodę, nie wychodząc z jaskini. Ale ciągłe palący się ogień dawał dużo dymu. Wszyscy zatem kaszleli i tarli oczy.

Zrozumieli wtedy, że muszą umieścić ognisko blisko progu, bo inaczej nie będą mogli oddychać.

Dziewczynka o czarnych oczach nie zapomniała, w jaki sposób pozbyli się strachu. Wzięła kawałek węgla i na ścianie jaskini nakreśliła rysunek. Pozostali podszli, obejrzeni jej dzieło, rozpoznali zwierzę i zdecydowali, że od tego dnia żółw będzie ich znakiem. Stali się szczepem ludzi-żółwi.

LUD SZCZURÓW

Wiatr wiał nad górami.

Napłynęły czarne chmury i nagle błyskawica przecięła niebo.

Na dole zebrały się sto czterdzieści cztery ludzkie istoty, a błyskawice oświetlały ich zdumione twarze.

Przywódca szczepu przestał nerwowo żuć liście. Nie mógł już znieść płaczu dzieci. Przybrał groźną postawę, jakby chciał walczyć z burzą. Kwiczał, uderzał pięściami w klatkę piersiową, napinał mięśnie ramion. Jego straszne wrzaski bez wątpienia przestraszyłyby każde zwierzę. To właśnie takimi krzykami narzucił swoją władzę młodym mężczyznom w szczepie. Skakał, pokazywał zęby, przebierał niecierpliwie nogami, jakby chciał rzucić niebu wyzwanie.

W samym środku tych czynności uderzył w niego piorun.

W mgnieniu oka z przywódcy plemienia pozostała tylko kupka dymiącego popiołu, na której środku leżało coś, co swym kształtem przypominało kręgosłup.

Wybuchła ogólna panika. Ludzie rozbiegli się na wszystkie strony, potem zgromadzili się na nowo, bowiem kontakt z innymi działał na nich uspokajająco. Jak najszybciej odejść z tego przekłętęgo miejsca. I poszli, skuleni, w strugach padającego deszczu.

Nagle zobaczyli jaskinię zamieszkaną nie przez zwierzęta, lecz przez ludzi. Woleli jednak uciec stamtąd i schronić się dalej, ściśnięci w jedną, zbitą masę.

Wśród stu czterdziestu trzech ocalałych z burzy Proudhon zauważył młodego mężczyznę, który nie należał do najsilniej zbudowanych członków plemienia, ale wydawało się, że posiada on swego rodzaju ciekawość świata. Jego duże ciemnoszare oczy, osadzone w szczupłej twarzy z wystającymi kośćmi policzkowymi, okolonej jasnobrązowymi włosami, czujnie śledziły, co dzieje się wokół. Podczas samotnej przechadzki w poszukiwaniu pożywienia zobaczył, jak jeden z piorunów uderzył w stojące na wzgórzu drzewo, które natychmiast zajęło się ogniem. Pierwszą reakcją człowieka była chęć ucieczki i dołączenia do pozostałych, ale po chwili postanowił z bliska przyjrzeć się temu spektaklowi. Ciekawość była silniejsza niż strach.

Młody mężczyzna wspiął się na szczyt wzgórza. Tam, tuż obok korzeni drzewa, czekał na niego niezwykły widok. Naprzeciw siebie stała setka czarnych i setka brązowych szczurów, szcząc z wściekłości. Szczury przeciw szczurom.

Młody mężczyzna o szarych oczach znieruchomiał. Dwaj przywódcy stad, ze zjezoną sierścią, gotowi do pojedynku, stali na tylnych łapach, chcąc w ten sposób wystraszyć przeciwnika. Zamiatali ziemię ogonem, nadymali się, by zrobić wrażenie, że są silniejsi. I nagle czarny szczur rzucił się na brązowego. Dwa gryzonie szczepiły się ze sobą, gryząc się aż do krwi. Walka trwała długo. Na koniec brązowy szczur wbił zęby w szyję przeciwnika. Trysnęła krew.

Dwa czarne szczury uciekły. Inne pozostały na miejscu z pochylonymi głowami i przednimi łapami opuszczonymi na znak poddaństwa. Wtedy brązowe szczury udusiły czarne, oszczędzając tylko płodne samice, które szybko poddały się woli zwycięzców.

Ostatnia zniewaga zwyciężonych: przywódca brązowych szczurów oddał moc na ciała martwych przeciwników i pożarł mózg zabitego przywódcy czarnego stada.

Taka przemoc wśród zwierząt zdumiała młodego mężczyznę o szarych oczach. Przypomniał

sobie, że często widział z daleka obce plemiona, ale na razie ludzie woleli się nawzajem unikać.

Podszedł do pola bitwy, wziął pozbawione mózgu ciało czarnego szczura i zdecydował, że na pamiątkę tej wojennej sceny zrobi z niego nakrycie głowy. W drodze powrotnej wiele myśli przebiegało mu przez głowę.

Na dole członkowie jego szczepu ssali kości jakiegoś szkieletu, którego już nawet padlinożercy nie chcieli tknąć. Znowu grzmiało.

Piorun uderzył zupełnie blisko nich i jedna z kobiet zaczęła wyć ze strachu. Młody człowiek złapał ją i mocno ugryzł.

Zaskoczona kobieta natychmiast się uspokoiła, ale on rzucił ją na ziemię i zaczął z całych sił okładać pięściami. To niecodzienne zachowanie zadziało na cały szczep. Wszyscy się uspokoiili. Widząc przemoc, zapomnieli o burzy.

Ogarnięty szałem młody człowiek postanowił zabić kobietę. Wiedzeni nieznanym instynktem mężczyźni spontanicznie wyrazili mu swe poddaństwo. Spuścili głowy i wypięli pośladki. Młody człowiek w nakryciu głowy z czarnego szczura wybrał jednego z nich, który wydawał się szczególnie uległy, i ugryzł go, żeby potwierdzić swoją władzę. Ofiara zawyla z bólu, a pozostali pochylili głowy na znak szacunku.

Młody człowiek właśnie stworzył zasadę „bezinteresownej przemocy jako metody przeniesienia”. Członkowie szczepu nie bali się już burzy, bali się jego. Szczurze zwłoki, które początkowo wydały im się śmieszne, teraz stanowiły dla nich symbol władzy.

Ale młody mężczyzna o szarych oczach nie zamierzał na tym poprzestać. Postanowił wykorzystać swoje odkrycia i wyrwać ludzi z sidła strachu.

Kiedy następnego dnia w oddali pojawił się inny lud, zamiast go zignorować, wydał rozkaz ataku.

Napadli z zaleńszym wyciem na zaskoczonych istnieniem tak dzikiego szczepu ludzi, którzy nawet nie pomyśleli, aby się bronić. I dla jednej, i dla drugiej strony to wszystko, co się działo, było zupełną „nowością”.

Młody człowiek stwierdził, że łatwiej jest atakować, niż się bronić. On sam nie brał udziału w ataku, robili to za niego inni mężczyźni. Im bardziej byli brutalni, tym szybciej poddawali się obcy.

Aż któregoś dnia podczas bitwy, jeden z mężczyzn należących do zaatakowanej grupy wyjął kij, na którego końcu umieszczono zaostzony kamień. Dzięki swojej broni zdołał zabić wielu przeciwników. Narzędzie wzbudziło wielkie zainteresowanie chłopaka o szarych oczach. Zaatakował mężczyznę od tyłu i zabrał mu broń. Następnie nakazał swoim wojownikom, żeby go nie dobijali.

Pod koniec bitwy ci, którzy przeżyli, woleli się poddać. Przywódca w nakryciu głowy z czarnego szczura wydał okrzyk zwycięstwa.

Jego ludzie krzyczeli razem z nim, a należące do ich szczepu kobiety pisały z radości.

Kilka młodych kobiet ze zwyciężonego ludu tłoczyło się wokół młodzieńca o szarych oczach, manifestując swą gotowość do pokrycia, lecz on był zajęty rozbijaniem czaszki wrogiego przywódcy, aby pożreć jego mózg.

Członkowie szczepu gestykulowali z przejęciem i radością. Postępując nadal zgodnie z tym, co widział na górze u brązowych szczurów, nakazał zgładzić obcych wojowników ocalałych z bitwy oraz ich stare kobiety, jednak zatrzymał kobiety mogące jeszcze mieć dzieci oraz mężczyznę od kija z zaostzonym kamieniem.

Zażądał od niego zdradzenia tajemnicy wyrobu narzędzia, a pokonany nauczył go, jak posługiwać się twardym kamieniem, by wyciosać inny, aż do otrzymania tnącego trójkąta... w kształcie szczurzego zęba. Następnie obcy pokazał, jak umocować ów kamień na kawałku

drewna, tak by powstał oszczep, a wtedy przywódca o szarych oczach nakazał wszystkim mężczyznom sporządzić sobie tak użyteczną broń. Zrozumiał, że atakowanie innych ludzi pozwoli mu nie tylko umocnić swoją władzę, zapewnić jedność grupy oraz mieć w posiadaniu atrakcyjne kobiety, ale także kontrolować rozwój techniki.

Ponieważ chodziło już o wojny między ludźmi, należało się do nich odpowiednio przygotować. Kobiety rodziły kolejne dzieci, by zapewnić szczepowi wojowników w następnych bitwach. Zachęteni tym mężczyźni łapczywie rzucali się na młode więźniarki.

Dzieci było coraz więcej, zatem należało je wyżywić. Jednak dzięki oszczepom mężczyźni polowali nawet na grubego zwierzca. Z padlinożerców stali się myśliwymi. W tym samym czasie ich przywódca nadal interesował się zachowaniem szczurów. Zauważył, że urządzają między sobą pojedynki, pozwalające na dokonanie wyboru najlepszych. Motywacją dla walczących było zdobycie najbardziej płodnych samic. Wkrótce pojedynki stały się podstawą edukacji młodych mężczyzn. Biorąc przykład ze szczurów, przywódca uczynił z nich rytuał, mający na celu również wyłonienie najsilniejszych oraz pozbycie się słabych.

Jednak młody człowiek o szarych oczach nigdy nie uczestniczył w wymyślonych przez siebie zabawach. Był historycznym przywódcą. Nie musiał udowadniać swojej siły. Jego ludzie ulepszyli ciosane kamienie, czyniąc je jeszcze ostrzejszymi i mocując na długich kijach. Z takimi oszczepami z łatwością zwyciężali kolejne zaatakowane przez siebie plemiona.

Przywódca spostrzegł, że szczury mają zwyczaj dawać do spróbowania jednemu ze stada nowego pożywienia, a następnie poddawać go kwarantannie przez czas tak długi, by można mieć pewność, że dana rzecz jest jadalna. Rozkazał więc podobnie czynić swoim ludziom, zwłaszcza ze zbieranymi przez nich grzybami i jagodami, dziwnym mięsem przynoszonym przez myśliwych, stojącymi kałużami wody. Jeden osobnik próbował, a jeśli przeżył, produkt uważano za jadalny. Ta technika pozwalała mu unikać zatrucia, ponieważ w przyrodzie toksyczność jest regułą, a jadalność wyjątkiem.

Mężczyźni i kobiety entuzjastycznie przyjęli nakaz rozmnażania się, dzieci było coraz więcej i przywódca zdecydował, że nadeszła chwila selekcji najsłabszych. Pierwszym etapem prowadzonych czystek były pojedynki, ale to nie wystarczało. W świecie szczurów nieustannie któryś któregoś wyzywał na pojedynek, a ci, którzy odmawiali podjęcia wyzwania, traktowani byli jako chorzy, wykluczano ich ze stada lub pożerano.

Taki sam zwyczaj zapanował w szczepie. Skazywano kobiety bezpłodne lub te, które rodziły za dużo dziewczynek. Starcy oraz osoby chorowite byli zabijani, gdy tylko nie mogli chodzić. Nie do pomyslenia było, aby opóźniali atak lub wpadli w ręce wroga. Najstarsi zaczęli więc ćwiczyć, żeby utrzymać formę.

Prowadzeni piorunami ludzie o szarych oczach kierowali się na północ, niszcząc po drodze wszystkie napotkane szczepy, gromadząc dziczyznę i sprowadzając kobiety do roli niewolnic. Pewnego dnia młody człowiek o szarych oczach, zjadając mózg zwyciężonego przywódcy, zdjął z głowy szczurzą skórę i wyciągnął przed sobą, pokazując ją członkom swojego plemienia. Wszyscy wiedzieli, że od tego dnia będzie ona łączącym ich znakiem.

Stali się szczepem ludzi-szczurów.

LUD DELFINÓW

Wiatr wiał nad plażą.

Czarne chmury zakryły niebo i nagle rozległ się grzmot.

Na dole zebrały się sto czterdzieści cztery ludzkie istoty.

Oświetlało je światło błyskawic.

Dzieci były przerażone. Pragnąc je uspokoić, matki iskały im wszy we włosach. Nawet jeśli nie udawało im się wytępić wszystkich insektów, samo uczucie pieczyoty przynosiło ulgę.

Zasnęli, kiedy przestało padać.

Rano stara kobieta wybrała się na spacer brzegiem morza. Nagle spostrzegła skaczącego nad wodą delfina. Spektakl nie był dla niej niczym nowym, ale zaskoczyło ją, że żyjące w wodzie zwierzę znajduje się tak blisko brzegu, niemal obok niej.

Jej lud wiedział, że morze jest źródłem niebezpieczeństw. Toteż rzadko zbliżali się do wody; żaden człowiek nie zamoczył nog powyżej kolan. Jednak miała wrażenie, że ten delfin ją wzywa.

Wiedziona jakimś dziwnym instynktem, słuchając nakazu nieznanego głosu, dobiegającego z jej wnętrza, zdecydowała się zrobić coś zupełnie niepojętego: weszła do wody. Aż zdrząła pod wpływem okropnego zimna i wilgoci.

Delfin przypłynął jej na spotkanie. Wydawał z siebie odgłosy przypominające klekot oraz wysokie dźwięki. Kobieta próbowała odpowiedzieć mu chrząkaniem i gwizdem. Tak porozumiewali się przez chwilę. Następnie zwierzę podpłynęło bliżej, a ona dotknęła jego pyszczka. Po chwili zwierzę odwróciło się, wyciągając do niej swoją płetwę. A więc tego chciał... Żeby stara kobieta dotknęła jego płetwy... Zawahała się w obawie, że ta większa od niej ryba ugryzie ją. Jęki delfina brzmiały jak zaproszenie. Instynktownie cofnęła się. Strach przed wodą był w niej mocno zakorzeniony. Dołączała się do niego obawa przed wszystkim, co inne i nieznanne...

„Wędz do wody i dotknij jego płetwy grzbietowej” – mówił głos w jej głowie. Nakaz brzmiał tak mocno, że niemal powodował ból. „Idź. Teraz”. Więc zrobiła to.

Płetwa była gładka, ale ciepła w dotyku.

Delfin ciągnął ją coraz głębiej w morze.

Stara kobieta poszła za nim. Woda sięgała jej do bioder, potem do brzucha, do szyi, i nagle spostrzegła, że podskakując i poruszając nogami, utrzymuje się na falach.

Cały ranek ćwiczyła nową umiejętność.

Pozostali obserwowali ją z dalekiego brzegu przekonani, że stara oszalała i w końcu zjedzą ją ryby. Tylko głowa wystawała ponad wodą, a oni nie słyszeli, że kobieta odpowiada delfinowi dźwiękami podobnymi do wydawanych przez niego. Jednak zauważyli, że wyglądają, jakby ze sobą rozmawiali.

Nagle delfin zanurkował, a kiedy wypłynął na powierzchnię, trzymał w pyszczku sardynkę. Podarował starej kobiecie pożywienie, tak jakby chciał pogratulować jej przełamania strachu przed wodą.

Kiedy wyszła na plażę ze świeżą rybą w ręku, pozostali już nie mówili, że jest szalona.

W ciągu następnych dni stu czterdziestu czterech żyjących na plaży ludzi nauczyło się pływać i łowić ryby, chociaż na razie potrafili łapać tylko te najwolniejsze. Stale towarzyszyły im delfiny, pokazując, jak mają postępować, i okazując się cierpliwymi instruktorami.

Ludzie zaczęli porozumiewać się ze sobą za pomocą mowy delfinów. Klekotali i gwizdali tak jak one. Dzieci radośnie baraszkowały w wodzie, pozwalając waleniom coraz dalej prowadzić się w morze.

Pewnego dnia na horyzoncie pojawił się inny ludzki szczep.

Wszyscy zebrali się na plaży, by stawić mu czoła.

Oby także zatrzymali się. Mężczyźni z jednego i drugiego ludu ustawili się na pierwszej linii, chcąc onieśmielić przeciwnika.

Stali tak, mierząc się wzrokiem, kiedy przed rząd mężczyzn wysunęła się stara kobieta, podeszła do nowo przybyłych i podała otwartą dłoń temu, który wydał jej się największy i najsilniejszy.

Początkowo przybysze nie zrozumieli gestu.

Zachowanie było całkiem nowe. Przywódca wrogiego plemienia zastanowił się przez chwilę, a potem także wyciągnął rękę.

Dwie otwarte dłonie zetknęły się ze sobą. Na twarzach pojawił się uśmiech. Dłonie połączyły się w uścisku. Stara kobieta wiedziała, że to zachowanie delfinów podsunęło jej taką myśl. To delfiny nauczyły ich, że przymierze lepsze jest od wojny.

Od tej chwili ona oraz jej bliscy tworzyli lud delfinów.

Kontakty z obcymi zaczęli od wspólnego jedzenia. Później próbowali porozumiewać się za pomocą gestów, onomatopei, a w krótkim czasie za pomocą wyrazów.

Lud Delfinów dowiedział się, że drugi szczep to lud Mrówek.

Obydwa plemiona długo poznawały się nawzajem. Lud Delfinów nauczył lud Mrówek pływania, łowienia ryb, mowy, zabawy, śpiewu oraz tego wszystkiego, czego sam nauczył się od delfinów.

Lud Mrówek nauczył lud Delfinów drążenia tuneli podobnych do tych, jakie budują mrówki. W ten sposób znajdowali schronienie przed wszystkimi zwierzętami. Tłumaczyli, że obserwując swoje ulubione owady, zrozumieli, iż nie należy zostawiać słabych, ale dawać im do wypełniania takie zadania, których nie chcą wypełniać ani kobiety, ani myśliwi. Ranni i kalecy zaczęli więc szybko wymyślać różne rodzaje zajęć, które pozwoliły im być przydatnymi grupie. Zajmowali się dziećmi oraz wytwarzali przedmioty, splatając ze sobą włókna roślin.

Jedno zachowanie mrówek bardzo zdziwiło szczep delfinów. Zwolennicy owadów praktykowali pocałunek w usta na znak darzenia się wzajemnym uczuciem. Sami bowiem zauważyli, że mrówki pocierają się antenkami, a potem liżą sobie pyszczki, najwyraźniej na znak łączącej ich zażyłości.

Wtedy lud Mrówek zaproponował ludowi Delfinów pocałunki w usta. Początkowo pluli z niesmakiem, ale po jakimś czasie ten sposób dotykania się uznali za przyjemny. Nawet zaczęli dotykać swoich języków, chociaż te pełne były śliny.

Już dwieście osiemdziesiąt osiem osób pomagało sobie wzajemnie. Razem zbudowali położoną na wzgórzu za plażą podziemną osadę, w której nie zalewały ich już codzienne przypływy.

Dopracowali wspólny język, w którym znalazły się wyrazy pochodzące z mowy mrówek i mowy delfinów. Nie trzeba było długo czekać, by mężczyźni i kobiety z obydwu szczepów zaczęły łączyć się w pary i niebawem na tym samym terytorium zamieszkiwały trzy grupy: szczep mrówek, szczep delfinów i szczep mieszańców.

Ci ostatni, ku ogólnemu zdumieniu, okazali się lepiej zbudowani niż dzieci pochodzące ze związków endogamicznych. Jednak wszyscy żyli zgodnie razem, kierując się zasadą: „w jedności siła”.

66. ENCYKLOPEDIA: MRÓWKI

Mrówki istnieją na Ziemi od stu milionów lat, człowiek najwyżej od trzech milionów. Od stu milionów lat mrówki budują coraz większe osady, aż do ogromnych stożków, mogących pomieścić miliony osobników.

Lecz jeśli przyjrzeć im się z bliska, na pierwszy rzut oka wydają nam się bardzo egzotyczne. Po pierwsze: mrówki są w większości pozbawione płci. Tylko nieznaczna część populacji rozmnaża się: księżniczki i książęta. Ci ostatni umierają z rozkoszy w chwili aktu godowego i już wkrótce w mrówczej osadzie nie ma żadnego samca. Potem pozostaje tylko jedna królowa, która znosi jajeczka. Informowana na bieżąco o potrzebach osady, dostarcza taką ilość osobników, na jaką jest społeczne zapotrzebowanie. Każdy więc rodzi się, by pełnić z góry określoną rolę. Nie ma tu bezrobocia, biedy, własności prywatnej, policji. Nie ma też hierarchii ani sił politycznych. To republika pomysłów. Każdy, bez względu na wiek i pełnioną funkcję, może zaproponować swój pomysł pozostałym mieszkańcom osady. W zależności od swojej wartości oraz dostarczanych informacji, zostanie on przyjęty lub nie. Mrówki zajmują się rolnictwem. Na terenie swojej osady uprawiają grzyby. Znają się na hodowli. Na różnych krzewach wypasają stada mszyc. Wyrabiają narzędzia, choćby takie jak igły, które pozwalają im zszywać ze sobą liście. Znają podstawy chemii, ponieważ do leczenia swoich larw używają zawartych w ślinie antybiotyków, natomiast kwasy wykorzystują do atakowania wrogów.

Jeśli chodzi o architekturę, w mrówczych osiedlach znaleźć można solarium, stodoły, królewską lożę, pieczarkarnie. Jednak błędem byłoby sadzić, że w mrowisku wszyscy pracują. Tak naprawdę jedna trzecia społeczeństwa leniuchuje, śpi i spaceruje dla przyjemności. Jedna trzecia wykonuje rzeczy zupełnie niepotrzebne, a nawet przeszkadzające pozostałym, jak na przykład budowa tunelu, który powoduje zawalenie się innego, zbudowanego wcześniej. Wreszcie ostatnia grupa naprawia błędy poprzedników, budując osadę i prawdziwie w niej gospodarząc. I w ogólnym rozrachunku wszystko działa, jak należy.

Mrówki prowadzą wojny, ale nie wszystkie biorą udział w walce. Za to wszystkie troszczą się o pomyślność osady. To dla nich ważniejsze niż pomyślność jednostki. Kiedy dana społeczność wyczerpie wszystkie okoliczne zasoby pożywienia, przenosi się w inne miejsce. Mieszkańcy migrują i gdzie indziej budują swoje miasto. W ten sposób pomiędzy mrowiskiem a przyrodą powstaje swego rodzaju równowaga, bowiem mrowisko niczego w przyrodzie nie niszczy, a wręcz przeciwnie – przyczynia się do wentylacji podłoża i cyrkulacji pyłków. Mrówki są przykładem zwierząt społecznych, którym się powiodło. Udało im się skolonizować praktycznie wszystkie biotopy, od pustyni po biegun północny. Przeżyły wybuch bomby atomowej w Hiroszynie i Nagasaki. Wydaje się, że żyją w zgodzie i doskonalej symbiozie z planetą.

Edmond Wells,
Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

67. BILANS HERMESA

Zapala się światło. Trzemy zmęczone oczy, podobnie jak Eun Bi, jeśli zbyt długo siedzi przed konsolą do gier.

Spektakl, w którym występują ludzie, jest bezsprzecznie o wiele bardziej pociągający niż ten, w którym widzieliśmy rośliny lub zwierzęta.

Hermes lewituje wokół „Ziemi 18”, interesując się każdym narodem. Radzi, abyśmy przyjrzelisi się innym plemionom żyjącym na całej planecie. Wśród moich bezpośrednich sąsiadów rozpoznałem lud Żółwi, kierowany przez Beatrice, lud Szczurów Proudhona oraz lud Mrówek Edmonda Wellsa. Dostrzegam, że na „Ziemi 18” jest więcej ludzkich plemion niż bogów-uczniów w naszej klasie. To właśnie powiedział nam wcześniej opiekun wędrowców: ludzkie plemiona żyjące bez bogów stanowią tło. Najwyraźniej jednak wcale nie powodzi im się gorzej niż naszym. Zauważam, że plemiona bez bogów, kierując się „własną intuicją”, dokonały bardziej pożytecznych odkryć niż te, na które wywieraliśmy wpływ poprzez sny oraz działania naszych mediów. To uczy pokory.

Podczas gdy inni pozostają z oczami utkwionymi w planecie, szepczę w stronę Edmonda:

– Co się wydarzyło wczoraj wieczorem na czarnym terytorium?

Pokazuje mi, że to nie miejsce ani czas na takie rozmowy. Wracam więc do obserwowania naszych embrionów ludzkich społeczności.

– Życie w jaskini wszystko zmieniło – zauważa Marilyn. – Od czasu, gdy plemię posiada schronienie, mężczyźni idą polować, kobiety pozostają przez długi czas przy ognisku i wszystkie dane ulegają zmianie. Już rozumiem, dlaczego mój ziemski małżonek, Joe Di Maggio nie potrafił znaleźć w lodówce kostki masła. Był mistrzem koszykówki i podczas treningów rozwinął szeroko swoje pole widzenia, nie umiając jednak skoncentrować się na jednym oddalonym celu.

Edmond zgadza się:

– Zamknięta w jaskini kobieta musi natomiast czuć jednocześnie, by nie zgasł ogień, żeby do środka nie dostały się zwierzęta i aby dzieci nie robiły głupstw. Zatem kobieta rozwija jednocześnie widzenie bliskie oraz dalekie.

– Ma też bogatsze od mężczyzny słownictwo, ponieważ rozmawia z koleżankami, podczas gdy oni milczą, aby nie splotać zwierzyny – mówi Mata Hari.

– Jednocześnie – uzupełnia Antoine de Saint-Exupéry – wiemy, że te obyczaje sprawiły, że mężczyzna posiada lepszy zmysł orientacji, niezbędny do polowania.

– Przebywając nieustannie ze sobą, kobiety wykształciły lepszy słuch oraz bardziej subtelną mowę uczuć.

Także inni bogowie-uczniowie włączają się do rozmowy.

– Rywalizacja o to, kto okaże się zręczniejszy na polowaniu, sprawiła, że mężczyźni lepiej radzą sobie z drobnymi naprawami domowymi i majsterkowaniem – mówi jeden.

– Opieka nad dziećmi nauczyła kobiety szacunku do życia, tymczasem podczas polowania mężczyźni smakowali radości zabijania – dodaje Simone Signoret.

Hermes każe nam się uciszyć. Skończył obserwowanie plemion. Nadszedł czas, by ogłosić zwycięzców.

– Zwycięzcą pierwszej części Gry Y ogłaszam Beatrice i jej lud Żółwi, który można by utożsamić z siłą N. Wynalazek schronienia przyczynił się do wynalezienia przez jej plemię osiadłego trybu życia. Wreszcie ludzkość widzi inną możliwość niż koczownictwo.

Wkłada na jej głowę złoty wieniec laurowy.

– Drugie miejsce: Proudhon i jego lud Szczurów. Stwarzając wojnę, nie tylko pozwolił

ludziom nie godzić się ze swoim losem, ale także nim kierować. Jego metoda selekcji wojowników okazała się skuteczna, podobnie jak polityka ekspansji demograficznej. Zaprezentował nam działanie siły D.

– Chwileczkę – protestuje oburzona Simone Signoret. – Proudhon morduje mężczyzn i starców. Bezwstydnie porywa cudze kobiety, które następnie są gwałcone i zmuszane do ciągłego rodzenia dzieci tylko po to, żeby szczyrom nie brakowało wojowników...

Boski mistrz przerywa jej oschle:

– Nie jesteśmy tu po to, żeby wydawać sądy lub moralizować. Wojna to taki sam sposób ekspansji, jak każdy inny. Zabijając sąsiednie ludy i zabierając ich płodne kobiety, naród Szczurów zapewnia sobie przetrwanie. Jednocześnie podczas każdej inwazji zyskuje od zwyciężonych kolejne technologie oraz odkrycia, co pozwala mu na rozwój nauk bez poświęcania się badaniom jako takim. Wreszcie stworzenie elity wojowników to gwarancja bezpieczeństwa. Cel uświęca środki.

Hałas wzmagą się. Najwyraźniej uczennice nie zgadzają się z taką wizją świata.

Hermes nie zadaje sobie nawet trudu, by odpowiedzieć, lecz wzywa Proudhona i wkłada mu na głowę srebrny wieniec. A potem mówi dalej:

– Trzecie i ostatnie miejsce, za przedstawienie siły A: Michael Pinson.

Podskoczyłem z wrażenia.

Jestem zadowolony, ale i zaskoczony, że znalazłem się w zwycięskiej trójce, chociaż mój lud reprezentuje zupełnie odmienne wartości od tych, których wyznawcą okazał się mój poprzednik.

Bóg wędrowców i złodziei wyjaśnia, że podoba mu się mój lud ze względu na jego otwarty stosunek do morza, przyjaźń z delfinami oraz przymierze z obcymi, którzy okazali się ludem Mrówek.

– Dlaczego zatem nie zająłem trzeciego miejsca ex aequo z Edmondem Wellsem? – pytam zdziwiony.

– Ponieważ to właśnie ty, Michael, lub przynajmniej ktoś z twojego plemienia pierwszy zaproponował przymierze, a Edmond tylko się na nie zgodził. To ty stworzyłeś koncepcję współpracy. Jest więc logiczne, że to ty zbierasz plony swojej inicjatywy.

Edmond Wells zajmuje ostatecznie czwarte miejsce.

Po nim znajduje się naród Pawi malarza Henriego Matisse'a, naród Wielorybów Freddy'ego Meyera, naród Jeleni George'a Clemenceau, naród Mew La Fontaine'a, naród Jeżowców Camille Claudel, naród Świń Francois'a Rabelais'go, naród Lwów Montgolfiera, naród Orłów Raoula, naród Os Marilyn.

Złoty laur dla Beatrice, srebrny dla Proudhona, brązowy dla mnie.

Hermes leci w stronę tablicy, a następnie notuje: „Połączenie, Obojętność, Dominacja” i zaraz tłumaczy:

– Każdy z trojga dzisiejszych zwycięzców bronił w swój sposób jednej z pierwotnych sił działających we wszechświecie. Razem z waszymi ludami mieliście okazję przekonać się, że tylko te trzy sposoby zachowania okazują się skuteczne.

I zapisuje białą kredą: „Z tobą” . „Przeciw tobie” . „Bez ciebie” .

Łamiemy sobie głowy, starając się znaleźć jakiś inny sposób zachowania, ale bezskutecznie.

– Te trzy rodzaje energii występują na poziomie atomu, tworząc lub niszcząc życie, i na poziomie gwiazd, tworząc i niszcząc systemy słoneczne, ale można je również odnaleźć w stosunkach międzyludzkich, czy to w skali mikrokosmicznej, dotyczącej dwojga ludzi, czy też makrokosmicznej, związanej z zetknięciem dwóch cywilizacji.

Znowu unosi się w powietrzu.

– Oto dlaczego nazywamy to Grą Y. Ponieważ na koniec każdej partii wylania się trzech

związców. A każdy z nich reprezentuje siłę Miłości, Dominacji i Obojętności – te trzy zaś tworzą trzy ramiona litery Y.

Wśród przegranych wymienia Hermes: naród Lemurów za niezdolność do walki. Dalej naród Pand, zbyt leniwy, żeby polować i w związku z tym pozbawiony białek, gdyż odżywia się wyłącznie bambusem. Naród Lemingów, tak uległy swojemu przywódcy, że jego członkowie nie potrafili przeciwstawić mu się nawet wtedy, gdy się mylił. Poza tym mieli okropny zwyczaj popełniania zbiorowych samobójstw. Do trzech wymienionych doszły jeszcze trzy inne ludy, pobite przez plemię Proudhona.

Odejmovanie: $119 - 10 = 109$.

– Nadal nie rozumiem, jak to się stało, że Proudhon z tymi swoimi godnymi pożałowania ludźmi-szczurami okazał się lepszy od Michaela i jego ludzi pacyfistów – buntuje się Marilyn Monroe.

Słodka buzia i ponętne kształty byłej gwiazdy działają nawet na bogów i Hermes chętnie podfruva do niej, aby udzielić dodatkowych wyjaśnień i prywatnej lekcji:

– Droga Marilyn, w świecie bogów, niech sobie pani dobrze wbije do głowy, nie istnieją dobrzy i źli. Jedyne, co się liczy, to skuteczność. Ale ponieważ wydaje się pani zasmucona, podam szczegółowo, jakimi kryteriami selekcji kierujemy się w Grze Y. Zresztą, ja także uważam je za słuszne. Proszę więc nadstawić swe urocze uszka i notować, jeśli to konieczne:

Pierwsze kryterium: zajęcie danego terytorium i sprawowanie nad nim kontroli.

Spójrzmy na liczby. Plemię Szczurów objęło kontrolę nad terytorium liczącym dziewięćdziesiąt kilometrów kwadratowych, lud Delfinów zajął tylko trzydzieści kilometrów i to razem z ludem Mrówek.

Drugie kryterium: demografia.

Prowadzona przez Szczury polityka promowania przyrostu naturalnego sprawiła, że plemię liczy pięćset trzydzieści cztery osoby, podczas gdy związek Delfinów z Mrówkami tylko czterysta jedenaście, a i tak powinienem podzielić tę liczbę przez dwa, bo przecież dotyczy dwóch różnych graczy. Dla nas, bogów, każde dziecko, nawet to poczęte wskutek gwałtu, jest takim samym dzieckiem. To są nowo narodzone ludzkie istoty i nie ma dla nas żadnego znaczenia, w jaki sposób zostały poczęte. Powtarzam raz jeszcze: my nie oceniamy, my stwierdzamy fakty.

Trzecie kryterium: posiadanie surowców.

Główne bogactwa naturalne w tej epoce to dzika zwierzyna oraz wszystko, co można nazbierać w lesie. Unicestwiając inne plemiona, lud Szczurów zagarnął dla siebie ich obfite w zwierzynę tereny oraz obszary, na których zbierali owoce i jagody. Według naszych obliczeń, szczury posiadają pięćdziesiąt sześć rodzajów zwierzyny łownej oraz jadalnych roślin, zaś związek Delfinów i Mrówek tylko trzydzieści pięć.

Czwarte kryterium: odkrycia naukowe.

Tutaj przewagę ma związek Delfinów i Mrówek. Szczury mają na swoim koncie osiem odkryć, a koalicja piętnaście. Ale znowu nie zapominajmy, że mamy tu do czynienia z połączeniem dwóch ludów.

– W takim razie, dlaczego nie otrzymaliśmy jakiegoś bonusu za to, że nasza koalicja okazała się sukcesem? – wchodzi mu w słowo Edmond Wells.

Fruwający bóg przygląda się uważnie mojemu mistrzowi i po chwili chętnie udziela mu odpowiedzi:

– Ponieważ relacje z innymi, drogi profesorze Wells, stanowią właśnie piąte kryterium. Chcę panu powiedzieć, że członkowie ludu Szczurów bardziej niż pan obawiają się spotkania z obcymi.

– Nie rozumiem.

– Siła pierwsza. W tym niepewnym czasie najlepszym sposobem umożliwiającym wybór takich związków, jakie wydają się dla danego ludu korzystne, jest posiadanie odpowiednio skutecznej broni.

Szóste kryterium: moralność i dobro społeczeństwa.

Wiem, że niektórym z was trudno przyjąć, że fakt zagarnięcia obcego terytorium zajmuje wśród kryteriów pierwsze miejsce, a dobro społeczne ostatnie. Ale nawet gdybyśmy odwrócili tę kolejność, szczury nadal pozostałyby na dobrym miejscu. Siła ich wojska zapewnia członkom plemienia pewnego rodzaju poczucie zadowolenia, a więc także dobro społeczne. Pod koniec gry ich społeczeństwo było najmniej zestresowane. Jak się dobrze zastanowić, naród Szczurów mógłby tu znaleźć się nawet przed narodem Żółwi, jednak chciałem docenić pomysł zamieszkania w jaskini, który stanowi ważną dla dalszych dziejów innowację.

To powiedziawszy, Hermes odlatuje w stronę mebla z szufladami, pewnie więc dyskusja skończona. Przez chwilę szuka czegoś w szufladach i wyjmuje z nich, nie wierzę własnym oczom, dużą niebieską księgę z wykaligrafowanym złotymi literami tytułem: *Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej*.

– Moja encyklopedia! – wykrzykuje mój przyjaciel, nie mniej zdumiony ode mnie.

– Doskonale – z rozbawieniem stwierdza nasz dzisiejszy nauczyciel. – W tej książce mamy wszystko. Także najlepsze wiadomości na temat zachowania szczurów oraz ich podobieństwa do ludzi. Mówiąc o ludziach, umieścił ich pan między szczurami a mrówkami, przypisując im posiadanie podstawowych szczurzych popędów, czyli skłonności do przemocy i egoizmu. Od mrówek przejęli zaś instynkt cywilizacyjnej solidarności.

Widzę, że mój przyjaciel Edmond Wells jest bardzo poruszony faktem czytania przez olimpijskich bogów jego książki, pisanej wyłącznie z myślą o śmiertelnikach.

– Chciałbym przeczytać fragment, który wielu z was już zna, dostarczający wiedzy istotnej do zrozumienia zachowań waszych ludzkich plemion.

68. ENCYKLOPEDIA: HIERARCHIA U SZCZURÓW

Didier Desor, naukowiec z laboratorium biologii behawioralnej uniwersytetu w Nancy, zamknął w jednej klatce sześć szczurów, chcąc zbadać ich zdolność do pływania. Jedyne wyjście z klatki prowadziło do basenu, który zwierzęta musiały pokonać, aby dostać się do pojemnika z jedzeniem. Szybko okazało się, że szczury nie rzuciły się wszystkie razem w kierunku jedzenia, lecz podzieliły się rolami. Byli wśród nich dwaj pływacy pozwalający się wykorzystywać, dwa szczury nie potrafiące pływać, ale wykorzystujące umiejętność innych, jeden samodzielny pływak oraz jeden szczur nie potrafiący pływać, traktowany przez pozostałych jak popychadło.

Dwaj pozwalający się wykorzystywać osobnicy nurkowali pod wodą i przynosili pożywienie. Po powrocie do klatki byli bici przez dwóch wyzyskiwaczy tak długo, aż wypuścili swoją zdobycz. Dopiero kiedy wyzyskiwacze zaspokoili głód, wyzyskiwani mogli posilić się tym, co pozostało. Wyzyskiwacze nigdy nie pływali. Bicie pływaków wystarczało, żeby mogli zaspokoić swój głód.

Niezależny pływak był dość dobrze zbudowany, więc przynosił jedzenie dla samego siebie i spokojnie je spożywał, przez nikogo nie zaczepiany. Natomiast nieudacznik nie potrafił pływać, ani wystraszyć wykorzystywanych, dlatego zadawała się tym, co pozostało po innych.

W kolejnych dwudziestu doświadczalnych klatkach zaobserwowano identyczny podział ról: dwóch wyzyskiwanych, dwóch wyzyskiwaczy, jeden niezależny i jeden nieudacznik. Aby lepiej zrozumieć mechanizm hierarchizacji, Didier Desor umieścił w jednej klatce sześciu wyzyskiwaczy. Walczyli ze sobą przez całą noc. Z nastaniem ranka w taki sam sposób podzieliли się rolami. Dwóch wyzyskiwaczy, dwóch wyzyskiwanych, jeden niezależny i jeden nieudacznik.

Jakie osobniki nie wchodziłyby w grę, ostateczny podział ról będzie zawsze taki sam. Doświadczenie przeprowadzono ponownie w dużo większej klatce, w której umieszczono dwieście osobników. Szczury walczyły ze sobą przez całą noc. Z nastaniem dnia znaleziono trzy zamęczone szczury, z których pozostałe zdarły skórę. Jaki z tego morał? Im większa społeczność, tym bardziej rośnie okrucieństwo wobec nieudaczników. Jednocześnie wyzyskiwacze z dużej klatki powołali do życia hierarchię zastępców, którzy strzegli ich władzy, dzięki czemu oni sami nawet nie musieli zadawać sobie trudu bez pośredniego terroryzowania wyzyskiwanych.

Naukowcy z Nancy kontynuowali eksperyment, poddając następnie analizie mózgi swoich doświadczalnych zwierzątek. Okazało się, że najbardziej zestresowani nie byli wcale nieudacznicy ani wyzyskiwani, lecz wyzyskiwacze. Bez wątplenia obawiali się utraty swojego uprzywilejowanego stanowiska oraz tego, że któregoś dnia sami musieliby pójść do pracy.

Edmond Wells,
Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej
(powtórzenie z tomu III)

69. TERYTORIUM I AGRESJA

Opisany przez Edmonda Wellsa eksperyment wprawia nas w zakłopotanie. Znaczy bowiem, że jaką byśmy nie poszli drogą, nasze starania i tak spełzną na niczym, bo taka właśnie jest natura żywych istot. Zawsze istnieje wśród nich podział na te same role: wyzyskiwaczy, wyzyskiwanych, niezależnych i nieudaczników.

Unoszący się przed nami i poruszający od czasu do czasu złotymi skrzydełkami Hermes potwierdza nasze myśli:

– Człowiek, podobnie jak szczur, jest zwierzęciem, w którego życiu ważną rolę odgrywa terytorium i hierarchia. „Terytorium” i „Hierarchia”, dwie podstawowe zasady, tak istotne do zrozumienia każdej ludzkiej społeczności.

Zaznaczyć swoje terytorium łowieckie, oznaczyć z czterech stron moczem terytorium, na którym dana społeczność może się rozmnażać, umiejscowić się pomiędzy zwierchnikiem i podwładnym, to rodzaje zachowań, które uspokajają i podnoszą na duchu.

Oczywiście później pojawiają się rozmowy o rozsądku, umiłowaniu wolności oraz stwierdzenia, że już się nie chce przywódców, ale jak spojrzeć na Historię, to jest dokładnie na odwrót. Ludzie lubią być niewolnikami i czczą swoich przywódców. A im bardziej się ich boją, tym bardziej czują się przez nich chronieni.

Bóg wędrowców i złodziei robi znak, jak bardzo mu przykro.

– Ale przecież są jeszcze niezależni! – broni się Georges Méliès.

Ach tak, tych kilku nieszczęśników, którzy uczepili się swoich zasad... To prawda, są tacy. Jednak wolność drogo ich kosztuje. Pracują więcej niż inni, muszą zdobywać swoje pożywienie i walczyć, aby nikt im tego nie odebrał. Nie podążają za resztą podzielonego na dominujących i zdominowanych społeczeństwa, są więc skazani na samotność, a nawet pograżają się w rozpacz. A ile potrzeba wyrzeczeń, aby móc znieść samotność tylko po to, żeby poczuć się wolnym.

Na twarzy Hermesa ponownie pojawia się rozczarowanie.

– Pan sam, panie Méliès, dobrze wie, co to znaczy być samotnym jeźdźcem. Zrzułował się pan, wymyślając triki i efekty specjalne. Nie zgadzał się pan na sprzedaż swojego kina, a potem z żalu spalił pan swoje cenne taśmy.

Już samo wspomnienie czasów pogardy powoduje wzburzenie Mélièsa. Zagryza wargi. Camille Claudel kładzie mu rękę na ramieniu w geście pocieszenia. Ona także zniszczyła swoje dzieła, ponieważ ludzie ich nie rozumieli.

– A nieudacznicy? – pyta Mata Hari. – Jaka jest ich rola?

– To jest klucz do równowagi społecznej. Ofiara prześlągalna. Kozioł ofiarny, który posłuży za zasłonę dla wszystkich oficjalnych występów. Przywódca dopuszcza się rzezi, gwałtu lub aktu niesprawiedliwości, a następnie, aby go nie niepokojono, wymyśla kozła ofiarnego i rzuca go na pożarcie opinii społecznej. Pani to wie najlepiej, bo sama posłużyła pani za kozła ofiarnego dla spisku uknutego przez dwa ośrodki szpiegowskie. Nieudacznicy stanowią swego rodzaju katharsis. Proudhon to dobrze rozumiał, poświęcając życie niewinnych na wspólny spektakl dla mas. W swoim ostatnim życiu chciał pan kierować ludźmi jak dużym stadem, prawda, panie Proudhon? Jak na kogoś, kto wyznaje dewizę „żadnego boga ni mistrza”, brzmi to co najmniej paradoksalnie.

Anarchista nie zgadza się z tą opinią. Wstaje i wykrzykuje:

– Trzeba wychowywać ludzi, aby ich nauczyć wolności!

– Przemocą? Aż do ich masowej zagłady? – pyta Hermes, który najwyraźniej ma dużą

wiedzę na temat każdego z nas.

Proudhon jest nieco zbity z tropu, ale najwyraźniej nie jest skłonny zrezygnować ze swoich przekonań.

– Jeśli trzeba zmusić ludzi do tego, aby byli wolni, trudno, z żalem, ale ich do tego zmuszę. Jeśli będą potrzebowali nauczycieli do tego, żeby nauczyć się żyć bez nauczycieli, znajdę ich.

– A jeśli będą potrzebowali bogów, żeby nauczyć się żyć bez bogów? – pyta słodko Hermes.
– Ach, panie Proudhon, pańskie opinie zachwycają mnie. Jest pan pierwszym anarchistą, który tworzy władzę.

Teoretyk anarchizmu siada zakłopotany. Trudno stawić czoła tak doświadczonemu nauczycielowi, który przebył tyle dróg.

– W przeszłości było nawet takie wyrażenie, którego używania zabraniali nie tylko anarchiści, ale także inni ekstremiści: „dyktatura proletariatu”. Ach, jak paradoksalne są to słowa... Dyktatura proletariatu...

– A co w tym takiego śmiesznego? – obrusza się Maria Curie, która w swoich czasach ziemskiego życia opowiadała się za partią komunistyczną, więc rozpoznała skandowane na wiecach hasło.

– To oznacza „tyranię wyzyskiwanych”, jeśli życzy sobie pani synonim. Jak zwykł mawiać jeden z waszych humorystów z „Ziemi 1”: Kapitalizm to wyzysk człowieka przez człowieka, a komunizm... na odwrót. Ale gdyby miała pani krótką pamięć, droga Mario Curie, to przypomnę pani pakt niemiecko-sowiecki. Wtedy ludzie sądzili, że przeciwieństwem komunizmu jest nazizm. A tu nagle lubudu! Hitler i Stalin ściskają sobie dłoń. I tak właśnie człowiek daje się zwieść pozorom. Tymczasem dla nas, bogów, krwiożerczy dyktator pozostaje dyktatorem, czy chowa się za czarnym, czerwonym, czy zielonym sztandarem. Jak tylko pojawiają się milicjanci z pałkami, a więzienia zapelniają się intelektualistami, wszystko jest jasne. I trzeba umieć dostrzegać „znaki”.

Dręczy mnie jedno pytanie:

– Czy to znaczy, że nasi ludzie na zawsze pozostaną podzieleni na takie same grupy jak społeczeństwo szczurów?

– Niekoniecznie – mówi Hermes. – Ale zachowanie podobne do szczurów jest ich naturalną skłonnością. Są zafascynowani przemocą. Hierarchiczność działa na nich uspokajająco. Jak tylko są za coś odpowiedzialni, zaraz się niepokoją. Jeśli zaś jakiś lider zwalnia ich z tej odpowiedzialności, od razu czują się spokojni. Wszelkie wasze wysiłki mające na celu zmianę tych skłonności mogą zakończyć się niepowodzeniem, ponieważ są niezgodne z ich naturą.

Opiekun wędrowców i złodziei staje między nami, pochyla się nad ciężką kulą „Ziemi 18” i nakrywa ją brezentem, zakrywając przed naszymi oczami dalszy ciąg przygód naszych ludów.

– Na razie na tej planecie nie ma narodów, nie ma królestw ani granic. Są tylko terytoria łowieckie, z których społeczności migrują, jeśli zasoby zwierzyzny łownej zostają wyczerpane. Rozwój technologii towarzyszy kolejnym inwazjom i przymierzom, przy czym pamiętajcie, że im ciaśniejsze terytorium, tym większa agresja. Podczas kolejnej części Gry Y starajcie się zbudować stolicę, która będzie promieniowała na całe terytorium.

Wraca Atlas, by znowu wziąć swoje brzemie. Kładzie je na barki, wzdychając ciężko, a jego westchnienia same mówią o tym, co sądzi o obowiązkach wnuka wobec dziadka,

Pojawiają się centaury i zabierają przegranych, którzy tym razem nie sprzeciwiają się.

Okres dziecięcy danej cywilizacji – oświadcza nasz dzisiejszy nauczyciel tytułem podsumowania – jest podobny do dzieciństwa człowieka. Wszystko rozgrywa się właśnie w tym stadium. Narody i ludzie będą potem w taki sam sposób reagować na rzeczy nowe i trudno będzie to zmienić.

70. MITOLOGIA: RASY LUDZKIE

Tak jak istniała kilka pokoleń bogów, tak samo pojawiło się pięć ras ludzkich. Pierwsi ludzie pochodzili od Gai, bogini Ziemi i pojawili się w Złotym Wieku. Za rządów Kronosa żyli w pokoju i szczęściu. Ziemia zaspokajała potrzeby swoich mieszkańców, ludzie nie znali pracy, chorób, starości, a ich śmierć przypominała zaapadnięcie w sen.

Symbolem tego okresu jest dziewczyna w koronie z kwiatów, trzymająca w ręku róg obfitości. Obok niej oliwne drzewo – symbol pokoju, na którym brzęczy rój pszczół. To była rasa Złotego Wieku, gdyż złoto symbolizowało słońce, ogień, dzień i męski początek.

Jako druga pojawiła się rasa Srebrnego Wieku. Bogowie olimpijscy stworzyli ją po upadku Kronosa i jego zamieszkaniu w Italii, gdzie zajmował się nauczaniem rolnictwa. W tym okresie ludzie byli egoistyczni i źli. Nie lubili bogów. Symbolem tego okresu jest kobieta z plugiem, trzymająca żdźbło zboża. Srebro związane jest z księżycem, zimnem, żyznością i początkiem żeńskim.

Zeus unicestwił srebrną rasę, by móc wprowadzić kolejną. Rasa Wieku Brązu składała się z libertynów, ludzi niesprawiedliwych i gwałtownych. Ich wojownicy wybili się nawzajem. Symbolem epoki stała się kobieta w pięknym stroju, hełmie na głowie, trzymająca tarczę. Poza tym brąz służył do wyrobu dzwonków ofiarnych.

Następnie Prometeusz stworzył Wiek Żelaza. Jego ludzie okazali się jeszcze gorsi. Spędzali czas na zastawianiu na siebie sidła, walkach i mordowaniu się nawzajem. Byli skąpi i małostkowi. Ponieważ nie uprawiali ziemi, stała się jałowa. Symbolem Wieku Żelaza jest groźnie wyglądająca kobieta z hełmem na wilczej głowie; w jednej ręce trzyma miecz, w drugiej tarczę. Wtedy Zeus postanowił unicestwić całą ludzkość, z wyjątkiem jednej pary „sprawiedliwych”: Deukaliona – syna Prometeusza i Pandory oraz Pyrry – córki Epimetei. A potem zesłał na Ziemię potop. Dziewięć dni i dziewięć nocy Deukalion i Pyrra spędzili w arce, a kiedy wody opadły, wyszli na brzeg, rzucili za siebie kamienie i tak powstała piąta rasa. Wśród ich potomków jest Hellen – przodek Hellenów, Doros – przodek Doryjczyków oraz Acheos – przodek Achajów.

Edmond Wells,
Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V
(według Francisca Razorbacka, zainspirowanego
Teogonią Hezjoda, 700 r. przed Chrystusem)

71. ONA TU JEST

Podczas kolacji czuję, że coś wisi w powietrzu. Oprócz znanych już grup lotników, pisarzy, czy ludzi kina, wokół nas, trojga zwycięzców pierwszej części Gry Y, utworzyły się kolejne. Proudhon, Beatrice i ja, wszyscy mamy swoje własne dwory. Wielbiciele Proudhona to w większości mężczyźni, a Beatrice – kobiety. Ja mam nadal u swego boku teonautów. To jednak nie przeskadza Raoulowi rzucić mi gorzkie słowa:

– Zostawiłeś nas wczoraj.

Marilyn chce uniknąć kłótni między swoimi przyjaciółmi. Próbuje więc zmienić temat, gratulując mi gry, jednak Freddy nie zwraca na to uwagi.

– Na szczęście uratowała nas Mata Hari – mówi.

– To nic wielkiego – łagodzi sytuację egzotyczna tancerka – ja lubię walczyć.

– A tak właściwie to co się stało?

Spoglądają na siebie wyraźnie niezadowoleni.

– Widzieliśmy go. Rzucił się na nas...

– Dokładnie wiesz, o czym mówimy, przecież on biegł za tobą – mruczy ze złością Raoul.

Nie mam odwagi powiedzieć im, że za bardzo się bałem, aby się odwrócić i go zobaczyć.

Marilyn nadal stara się zachować jedność grupy, dlatego zgadza się mi wytłumaczyć:

– To trzygłowe stworzenie. Ma głowę smoka, która zionie ogniem, głowę lwa z ostrymi kłami oraz głowę kozła z długimi rogami.

– W mitologii takie zwierzę nazywa się „wielką chimera”, co je wyróżnia od innych, zwanych „małymi chimeraami” – uzupełnia Edmond Wells.

Raoul zaciska pięści.

– Ledwie z tego wyszliśmy. Jego skóra jest tak gruba, że nawet nasze ankh nie są w stanie jej przebić.

– Do tego ta wielka chimera wydziela okropny zapach siarki – szepcze z obrzydzeniem Marilyn.

Nagle cichną, spoglądając na mnie w dziwny sposób. I wtedy po raz pierwszy czuję się wśród nich jak obcy. Teraz Freddy Meyer stara się rozluźnić atmosferę.

– To dziwne. Wszystkie dzieje się tak, jak to przepowiedział Hermes. W klasie powstały trzy grupy: D... N... A...

– Wydaje ci się – prychna Raoul. – Ja widzę tylko dwa obozy: z jednej strony zwycięzcy, z drugiej przegrani.

– Niemniej podoba mi się ta gra – mówię. – I lubię moich ludzi-delfinów...

– No tak – w głosie Raoula słychać nutę ironii. – Zaczynasz się do nich przywiązywać. A więc przypomnij sobie, co się stało z Lucieniem, który też oszalał na punkcie stworzonych przez siebie istot.

– A jednak mają wolną wolę – zauważa Mata Hari. – Moi ludzie-wilki nie rozumieją zsyłanych im znaków, snów ani przeblysków świadomości. Media pozostają głuche na moje wezwania. Widzą tylko to, co rodzi się w ich głowach. Jakby cierpieli na autyzm.

Naszą rozmowę przerywają Pory Roku, przynosząc kolację. Po jajku, soli, warzywach, owocach, nadszedł czas na pieczone mięso, dostarczające nowych doznań smakowych.

Włóknista i ciepła pieczona kuropatwa rozplywa mi się w ustach. Pyszności. Co za różnica w porównaniu z surową czapłą, nawet podaną w postaci carpaccio. Rozumiem już znaczenie ognia w rozwoju cywilizacji. Ciepłe mięso rozgrzewa mój przewód pokarmowy, co działa uspokajająco. Kilkakrotnie biorę dokładkę. Czuję, jak ciepły tłuszcz słodko spływa w moim

gardle.

Po pieczonej kuropatwie dostajemy ragout z hipopotama. Czuć dużą różnicę. Mięso ma bardziej wyrazisty smak, jest mniej kruche. Już nikt nie rozmawia, wszyscy kosztują nowych potraw.

Kiedy znowu zobaczę mój lud, skieruję piorun na ich ryby, żeby oni także poznali przyjemność jedzenia pieczonego mięsa.

Teraz Pory Roku stawiają na stołach potrawy, które służyły za pożywienie pierwszym ludziom: korzonki, owady, szarańcze, larwy termitów, królowe mrówek, chrząszcze, pająki...

– Czy to właśnie jedli nasi przodkowie? – pytam Jesień.

Kiwa potakująco głową.

– W Afryce ludzie nadal jedzą chrząszcze – zauważa Mata Hari. – To źródło białka.

Na moim talerzu pojawia się następne pieczone mięso. Nie od razu poznaję, co to jest. Dobre. Trochę włókniste... Może wieprzowina? Pierwsza zrywa się Marilyn, belkocząc z przerażenia:

– To jest... to jest... ludzkie mięso!

Ogarniają nas mdłości. Jak na komendę wypluwamy, to co mamy w ustach. Po chwili to samo robią siedzący przy innych stołach.

Pory Roku najwyraźniej dobrze się bawią, widząc naszą odrazę. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, znalazło się jednak w gronie uczniów kilkoro odważnych, którzy zamierzają pochłonąć całą zawartość talerza. Jest wśród nich Raoul. Mata Hari waha się, ale po chwili odmawia.

– To nie jest koszerne – stwierdza zwyczajnie Freddy.

Żeby zatrzeć makabryczny smak ciągle obecny na moich kubkach smakowych, opycham się wszelkimi stojącymi na stole warzywami: cebulą, czosnkiem, kapustą, ogórkami konserwowymi.

Dionizos ogłasza, że po posiłku jesteśmy zaproszeni na uroczystość z okazji powstania ludzkości stworzonej w Wielkiej Grze Y.

Do rozbrzmiewających w Amfiteatrze dźwięków tam-tamów, ksylofonów, harf i gitar dołącza jeszcze syreni śpiew. To centaury przetransportowały je aż tutaj w ogromnej ruchomej sadzawce.

Śledzę wzrok Raoula przebiegający kolejne rzędy wodnych stworzeń w poszukiwaniu swego ojca. Ale Francisca Razorbacka nie ma wśród nich. Edmond Wells szepcze mi do ucha:

– Wiesz, obserwując moją ławicę sardynek, zauważyłem coś bardzo niezwykłego. Kiedy płynąca na początku ryba zdobywa jakąś nową informację, zaraz dowiadują się o niej wszystkie inne.

– Chcesz powiedzieć, że przekazuje tę informację pozostałym?

– Początkowo tak właśnie myślałem, ale nie. Rzecz jest bardziej skomplikowana. W rzeczywistości dzieje się tak, że ryba płynąca na czele ławicy i ryba na końcu reagują jednocześnie. Tak jakby dana informacja rozchodziła się w tej samej chwili.

– Jakby to był jeden organizm?

– Tak. Są ze sobą „połączone”. Myślę, że takie samo zjawisko występuje u mrówek. Wyobrażasz sobie, co by było, gdybyśmy stworzyli połączoną w ten sposób ludzką wspólnotę?

– Czyli jeden człowiek dowiaduje się czegoś, a korzysta z tego cała ludzkość?

Zastanawiam się.

– Nie ma co marzyć... Do tego jeszcze daleka droga.

Muzyka nabiera orientального charakteru i ponownie Mata Hari wije się na scenie. Mam wrażenie, że każdego dnia uczestniczę w tej samej historii, codziennie wzbogacanej o jakiś niewielki dodatek: innego boga-mistrza, inny model zwierzęcia, inne pożywienie, inny

instrument.

Zmęczeni długą pracą nad swoimi ludami uczniowie wołają iść spać, pozostali objadają się owocami, żeby zapomnieć smak ludzkiego mięsa.

– Znalazł je pan? – odzywa się jakiś głos za moimi plecami.

Jej zapach. Odwracam się. Tak, to ona.

– Czy znalazłem...? Co miałem znaleźć?

– Rozwiązanie zagadki.

– Nie, nie znalazłem.

– Może więc nie jest pan „tym, na którego czekamy”.

Nagle oświeca mnie pewna myśl:

– Może to chodzi o dzieci? Kiedy przychodzą na świat, są lepsze niż Pan Bóg, a dorastając stają się gorsze niż diabeł. Biedni mają ich więcej, niż by chcieli. Bogaci często nie mogą ich mieć. A po zjedzeniu ich mięsa człowiek umiera, ponieważ kanibalizm powoduje zwyrodnienie komórek.

Patrzy na mnie uprzejmie.

– Nie, to nie to.

Przyglądam jej się. Dwa urocze dołeczki zdobią gładką twarz. Wdycham kwaskowy zapach skóry, zmieszany z lekką nutą karmelu... Wpatrzone we mnie oczy uśmiechają się.

– Zatańczy pan? – pyta.

– Oczywiście – odpowiadam, podczas gdy syreny podejmują spokojną melodię.

Bierze moją rękę.

Czuję, jak jej ukryte pod togą ciało dotyka mojego. W panującym półmroku tworzą się kolejne pary. Freddy obejmuje Marilyn, Raoul zaprasza do tańca Matę Hari.

– Widziałam partię Y – szepcze mi do ucha. – Podoba mi się pana styl gry.

Przełykam ślinę.

– Jednak przymierze stanowi najmniej naturalny sposób zachowania – ciągnie dalej moja amazonka. – Chwila, w której trzeba pokonać strach, aby móc stworzyć związek, jest bardzo ulotna.

Odnoszę wrażenie, że przysunęła się do mnie jeszcze trochę.

– Ta starsza kobieta, która pierwsza nauczyła się pływać... To był naprawdę dobry pomysł. Nie wiem, dlaczego bogowie-uczniowie wybierają zwykle bardzo młodych ludzi i to im powierzają rolę medium. Naprawdę dobrze rozegrał pan tę partię.

– Dziękuję.

– Proszę mi nie dziękować. Widziałam już tyle rodzących się i umierających ludów. Widziałam tyle obiecujących cywilizacji, które zginęły tylko dlatego, że w odpowiednim momencie nie potrafiły podać ręki obcym albo na odwrót, nie potrafiły ich zniszczyć, kiedy okazali się niebezpieczni.

Jestem tak oczarowany jej dotykiem, że ledwie udaje mi się podążyć za tym, co mówi.

– Ja... ja nie rozumiem – to jedyne, co z trudem udaje mi się wyjąkać.

– Ludzie z „Ziemi 18” to ciągle tylko ulepszone małpy.

– To... to nie są już naczelne.

– Nie powiedziałam naczelne, powiedziałam małpy. Małpy to zwierzęta żyjące w społeczności, które potrafią wspólnie przegonić lwy, a ich pojedynczy osobnicy, podobnie jak ludzie, są bardzo sympatyczni. Dopiero w grupie stają się dzikie i aroganckie. Im jest ich więcej, tym bardziej stają się agresywne. Dlatego właśnie próbuję panu wyjaśnić, że wyciąganie przyjacielskiej dłoni do każdego napotkanego plemienia jest być może uroczym pomysłem, jednak czasami ryzykownym. A wtedy pan przegra. Proszę przypomnieć sobie zachowanie ludzi-

szczurów.

– Co jest niebezpiecznego w proponowaniu przymierza zamiast walki?

– Widziałam już tyle zdradzonych ludów, przywódców, bogów... Najważniejsze to być silnym. Dopiero potem szlachetnym.

Mówi, ale już jej nie słyszę. Cały drzę. Czuję dotyk jej drobnych piersi. Czuję bicie jej serca, serca bogini miłości.

– Nie jest pan już aniołem. Nie ma pan już zatem moralnych obowiązków. Proszę nauczyć się być zupełnie wolnym. Wolność dla siebie i dla swojego ludu.

Zamykam oczy, by lepiej postrzegać jej głos i zapach. Nigdy nie czułem się tak dobrze, tak spokojnie jak przy niej, przy Afrodycie. Chciałbym opuścić moje ciało, żeby móc patrzeć, jak tańczymy przytuleni do siebie. Pomyślałbym wtedy, że ten Michael Pinson ma ogromne szczęście, mogąc trzymać w ramionach taką kobietę.

– Być wolnym niesie ze sobą rozliczne niebezpieczeństwa. Wie pan doskonale, jak reagują ludzie, których pozostawiono samym sobie. Dlaczego sądzi pan, że bogowie zachowują się lepiej?

– Mam... mam przyjaciół. Oni... oni będą moimi sprzymierzeńcami.

– Niech pan nie będzie naiwny, Michael. Tu nie ma pan żadnych przyjaciół. Wszyscy inni to konkurencja. Każdy walczy o swoje. Zwycięzca może być tylko jeden.

Wirujemy w coraz szybszym rytmie.

– Biedny Michael, cały problem w tym, że jest pan... zbyt grzeczny. I chciałby pan, żeby pokochała pana kobieta? Wszystko można wybaczyć mężczyźnie, oprócz tego.

Tańczymy, a ja marzę, żeby ta chwila pełnego szczęścia trwała wiecznie... Afrodyta odsuwa się lekko ode mnie, a ja zatapiam spojrzenie w jej turkusowych oczach, w których dostrzegam jakby mapę wyspy, na którą zostałem wysłany. Nie mam jednak czasu z niej czytać. Czuję, jak chwytą i przyciąga mnie otchłań jej źrenic.

– Proszę posłuchać. Pomogę panu.

– Rozwiązać zagadkę?

– Nie, lepiej prowadzić grę, a tym samym pańskie życie w Olimpi. Proszę uważnie posłuchać tych trzech rad:

- 1) Proszę nie wierzyć we wszystko, co pan słyszy. W każdej sytuacji proszę ufać wyłącznie swoim własnym zmysłom oraz intuicji.
- 2) Niech pan spróbuje zrozumieć, o jaką naprawdę grę chodzi.
- 3) Proszę nie ufać nikomu, a w szczególności swoim przyjaciołom oraz... mnie. (Dotyka ustami mojego ucha, przekazując mi szeptem ostatnią radę)... Nie idź dziś w nocy z twoimi przyjaciółmi na górę... Wmieszaj się w inną grupę. Niektórzy, na przykład fotograf Nadar, odkryli już drogi, które mogą cię zainteresować.

A więc bogowie-mistrzowie wiedzą o naszych nocnych eskapadach. Dlaczego zatem nas nie powstrzymali?

Nagle rozlega się krzyk.

Syreny przerywają swój śpiew. Orkiestra odkłada instrumenty. Już zrozumieliśmy, co się stało. Jesteśmy już do tego przyzwyczajeni.

Powstaje tylko jedno pytanie: kto jest następną ofiarą?

72. ENCYKLOPEDIA: TRZY UPOKORZENIA

Ludzkość doznała trzech upokorzeń.

Pierwsze upokorzenie: Mikołaj Kopernik odkrył, że Ziemia nie stanowi centrum wszechświata, lecz krąży wokół Słońca, a ono samo umieszczone jest w jakimś szerszym systemie.

Drugie upokorzenie: Karol Darwin ogłasza, że człowiek nie jest istotą stojącą ponad innymi, lecz tylko jednym ze zwierząt.

Trzecie upokorzenie: Zygmunt Freud oświadcza, że człowiek myli się, sądząc, że tworzy sztukę, podbija obce terytoria, rozwija naukę, opracowuje nowe systemy filozoficzne lub polityczne, kierując się jakimiś wyższymi ambicjami, podczas gdy tak naprawdę rządzi nim tylko pragnienie zdobycia partnera seksualnego.

Edmond Wells,
Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

73. BEATRICE ZAMORDOWANA

Ktoś podnosi rękę koło jednego z krzewów i zaraz wszyscy biegniemy w tamtą stronę. Na ziemi leży skulona dziewczyna. Jedno ramię ma czarne od strzału z ankh. Jęczy, wykrzywia twarz, dotyka dłonią rany, aż wreszcie jej oczy zastygają w ostatecznym bezruchu.

– Kto to był? – interesuje się Rabelais. Są już centaury. Mają nakrycie i nosze.

– Beatrice Chaffanoux – stwierdza ze smutkiem Proudhon. Odejmowanie: 109 – 1 = 108.

Zjawia się rozgniewana Atena. W ręku trzyma gotową do walki włócznię. Towarzyszy jej niespokojna sowa.

– Jeden z was musi być odpowiedzialny za ten podły czyn. Ten rocznik jest wyjątkowo trudny do upilnowania. Te wszystkie zbrodnie... Do tego kradzieże... Zginęły przedmioty należące do bogów-mistrzów. Zgłoszono brak naczyń kuchennych, przyrządów kowalskich, hełmów, lin.

Spuszczamy głowy.

– Już was ostrzegałam, że bogobójca zostanie ukarany w szczególny sposób. A więc powiem wam teraz, co zdecydowałam: zastąpi on Atlasa w dźwiganium kuli ziemskiej.

Nosić świat? Ale przecież my jesteśmy od niego niżsi i gorzej zbudowani.

Przebiega spojrzeniem po zebranych, potem nagle zatrzymuje wzrok na mnie:

– Ma pan jakieś alibi, panie Pinson?

– Ja... ja tańczyłem z Afrodytą.

Szukam jej wzrokiem, ale już jej tu nie ma. Biorę na świadków innych uczniów, którzy musieli widzieć, jak tańczy, ale spostrzegam tylko, jak odwracają ode mnie oczy. Chyba jednak nie sądzą, że mogłem zabić Beatrice?

– Hm... To pan kieruję ludem Delfinów, prawda? Ludem, który zajął miejsce za Żółwiami Beatrice Chaffanoux. To mógł być... motyw.

– Ja tego nie zrobiłem – mówię najpewniejszym tonem, na jaki mnie stać.

Widzę jak na jej schowanej pod hełmem twarzy pojawia się uśmiech.

– Zobaczymy, panie boże delfinów. Jeśli jednak pan myśli, że zabijanie to sposób, aby wygrać, obawiam się, że to nie wystarczy.

Przygląda mi się z okrucieństwem.

– Widziałam, jak pan gra i domyślałam się, jaki będzie ciąg dalszy. Sądzę, że zostanie pan szybko wyeliminowany. Nietrudno zauważyć, w jaki sposób dany bóg-uczeń wpływa na swój lud, jak działa niewielkimi ruchami lub mocnym uderzeniem. Pan jest zbyt...

Szuka odpowiedniego określenia. Co ona mi jeszcze powie? Zbyt... grzeczny?

– Zbyt kinematograficzny. Gra pan w taki sposób, żeby pana ludzie podobał się tym, którzy będą oglądać film. A my mamy gdzieś widzów... Liczą się tylko aktorzy. To oni żyją w filmie.

Nie czeka, aż zbiorę myśli i spróbuję jej odpowiedzieć. Jednym ruchem dosiada skrzydlatego konia – Pegaza i oddala się w niebo. Za nią leci sowa.

Centaury dają nam do zrozumienia, żebyśmy wrócili do naszych willi.

– Gdybym to ja musiał dźwigać kulę ziemską, nie przeszedłbym nawet stu metrów – wzdycha Gustave Eiffel. – Nigdy nie miałem siły ciężarowca. Atlas to olbrzym, przy którym wyglądamy jak karzelki.

Edmond Wells bardziej interesuje się zbrodnią niż ewentualną karą.

– Jest jednak zadziwiające, że Beatrice Chaffanoux została zamordowana właśnie wtedy, gdy znalazła się w gronie zwycięzców Gry Y.

– Jeżeli bogobójca atakuje zwycięzców, to ja będę kolejną ofiarą – mówi drwiąco Proudhon.

- A ja następną - stwierdzam.

- Bogowie wywierają na nas nacisk, a działania bogobójcy przyczyniają się do utrzymania ich presji - oświadcza Freddy.

- Sądzisz, że on nie istnieje, a wszystko zostało wymyślone przez „nich” po to, żeby nas bardziej zestresować?

- Ale przecież na własne oczy widzieliśmy ciała ofiar - zauważa Eiffel.

- Przede wszystkim widzieliśmy, jak centaury wynoszą je pod przykryciem - odpowiada Marilyn.

Proudhon podchodzi do mnie i rzuca:

- Michael, uważaj na swoje plemię, bo jeśli wejdzie mojemu w drogę, szanse na przymierze są nikłe.

- Nie martw się - mówi Raoul, obejmując mnie swoim długim ramieniem. - Moje orły cię ochronią. Dalej, chodź z nami. Idziemy znowu polować na wielką chimereę.

Nieruchomieję.

- Nie.

- Co nie?

Nie mogę mu powiedzieć, że Afrodyta kazała mi nie ufać przyjaciółom, zmienić grupę i raczej dołączyć do tej, której przewodzi Nadar. Dlatego rzucam:

- Dziś wieczór jeszcze jestem za bardzo zmęczony. Nie czuję się na siłach uczestniczyć w tej przygodzie.

- Nie chcesz już wiedzieć, co znajduje się na górze?

- W każdym razie nie dzisiejszej nocy.

- Jeśli dotrzemy tam bez ciebie, będziesz gorzko żałował.

- Trudno.

Spoglądam w stronę wierzchołka góry i za wieczną powłoką chmur nie dostrzegam tym razem nawet najmniejszego blasku.

74. ŚWIĘTA GÓRA

Wznosząca się nad ludzkim światem góra jest symbolem spotkania nieba i ziemi. Dla Sumerów przedstawiona w kształcie trójkąta góra Chouwen to miejsce, w którym z Kosmicznego Jaja wylęgło się dziesięć tysięcy pierwszych istot. Hebrajczycy twierdzą, że na górze Synaj Mojżesz otrzymał od Boga tablice z zapisanym Prawem.

Według Japończyków, wejście na Fudzijamę jest mistycznym doświadczeniem, wymagającym uprzedniego oczyszczenia. Meksykanie sądzą, że na górze Tlaloc położonej w masywie Iztac-Ciuhatl, żyje władca deszczu. Hindusi uważają górę Meru za centralną oś kosmosu, natomiast zdaniem Chińczyków pępek świata znajduje się na górze K'unlun, przedstawianej w formie dziewięciopiętrowej pagody, symbolizującej dziewięć stopni, które pokonuje człowiek, by wydostać się z ziemskiego życia. Grecy czcili Olimp, uważając go za siedzibę bogów. Persowie górę Alborj, muzułmanie górę Al.-Kaf, Celtowie Białą Górę, Tybetańczycy górę Kajlas. W taoizmie pojawia się motyw góry stojącej w środku świata, wokół której krąży księżyc i słońce. Żyją tam Nieśmiertelni. Na jej szczycie znajdują się ogrody królowej Zachodu. Rośnie w nich drzewo brzoskwińowe, którego owoce zapewniają nieśmiertelność.

Edmond Wells,
Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

75. POSZUKIWANIA PROWADZONE Z POWIETRZA

Gdzie jest willa Nadara? Przecież nie będę pukał do wszystkich drzwi, żeby w końcu trafić pod właściwy adres. Gdy tak rozmyślam, pojawia się dziewczyna-motyl.

– Wiesz, gdzie mogę znaleźć Nadara?

Smarkaczka prowadzi mnie poza miasto, na północ od niebieskiego lasu, w nieznanne zarośla, gdzie pokazuje mi zasłonięte gałęziami wejście do jaskini, a następnie odlatuje z powrotem do Olimpii.

Clement Ader, Nadar, Antoine de Saint-Exupéry oraz Etienne de Montgolfier krzątają się wewnątrz jaskini wokół całej masy różnych przedmiotów, które bez wątpienia są przeznaczone do budowy latającego obiektu. Podczas gdy my zamęczaliśmy się wspinaczką na górę, oni dokonywali najprawdopodobniej tych wszystkich drobnych kradzieży, o których wspominała Atena.

My tylko zbudowaliśmy statek, którym przepłynęliśmy rzekę. Skonstruować balon to znacznie ambitniejszy plan.

W blasku świec szyją wielkie woskowane płótno, które posłuży im za zbiornik na ciepłe powietrze. Za gondolę posłużył im odwrócony blat okrągłego stołu, pomiędzy którego czterema nogami zrobili ściany z zaplecionych lian. Niegłupie. Skrzypienie sandałów zdradza moją obecność.

– Szpiegujesz nas? – pyta Clement Ader.

Tymczasem Montgolfier i Nadar kierują w moją stronę swoje ankh.

– Chcę polecić z wami.

Nie opuszczają broni.

– A dlaczego mielibyśmy się zgodzić?

– Ponieważ wiem, co znajduje się za niebieską rzeką.

– Niebawem my też się dowiemy.

– Poza tym, jeśli się nie zgodzicie, to co zrobicie ze mną? Przecież nie możecie podjąć ryzyka, że na was doniosę... Zabijecie mnie? Zostaniecie bogobójcami? Chcecie dźwigać „Ziemię 18”? Fakt, dźwiganie jarzma we czterech będzie łatwiejsze.

Zauważam ich wahanie, więc nalegam:

– Mogę wam pomóc w budowie statku powietrznego. Mam zręczne dłonie. Byłem lekarzem...

Naradzają się po cichu, a ja słyszę szept Saint-Exupéry'ego: „Co mamy do stracenia?”. Nadar odwraca się w moją stronę:

– Zgoda, możesz zostać. Ale pamiętaj, że jeśli nas zdradzisz, pozbedziemy się ciebie bez zastanowienia, a zanim znajdą twoje ciało, zostanie odnaleziony prawdziwy bogobójca.

Clement Ader potakuje, podając mi igłę.

– Masz szczęście. Prawie kończymy nasz statek powietrzny. Tej nocy wzbijemy się w powietrze. Jeśli nam pomożesz, nastąpi to szybciej. Najpierw trzeba skończyć płótno.

Czuję się tak, jakby mój mózg na nowo odkrywał tę umiejętność. Szybie. W nowoczesnym społeczeństwie, w którym spędziłem ostatnie ludzkie życie, wszystko działało na przyciski: pilot telewizora, wyłącznik prądu, winda, klawiatura komputera. Używając palców głównie do naciskania, straciłem poniekąd umiejętność, którą teraz powoli odzyskuję. Ukryty we mnie jaskiniowiec, ciągle obecny w DNA, pomaga mi odkryć na nowo jedną z najstarszych umiejętności – umiejętność robienia węzłów. Szyję, wiążę, splatam i po: wielu godzinach pracy, kiedy zapada noc, czasa naszego balonu jest gotowa. Mocujemy ją do odwróconego stołu, który

stanowi gondolę balonu.

Montgolfier kładzie na środku gondoli kosz żarowy, a obok zapas suchego drewna. Wyciągamy nasz statek powietrzny na polanę i obciążamy kamieniami. Zawieszona na wysokiej gałęzi koło służy do podniesienia membrany. Następnie Nadar rozpala ogień i przestawia kosz żarowy, tak aby skierować dym w stronę czaszy, a nie naszych już i tak zaczerwienionych oczu.

Wreszcie płótno jest nadmuchane. Wiemy, że trzeba działać szybko. Nawet jeśli las nas osłania i chroni, to i tak istnieje ryzyko, że trafią na nasz ślad. Kiedy odwiązujemy liny i zaczynamy powolutku wznosić się do góry, oddychamy z prawdziwą ulgą, nie widząc w pobliżu żadnego centaura. Etienne de Montgolfier każe rzucić część balastu, żeby przyspieszyć podnoszenie się, więc wyrzucamy kilka podwieszonych do kosza kamieni.

Trzy księżycy świecą na niebie, a ziemia oddala się coraz bardziej. Wewnątrz balonu jest bardzo gorąco, więc rozebrani do połowy dokładamy do ognia. I pomyśleć, że kiedyś mogłem latać tylko dzięki sile myśli...

Jest ciężko. Jesteśmy wyczerpani i spoceni, ale w miarę, jak się wznosimy, naszym oczom ukazuje się niezwykle widok: cała wyspa widziana z góry. Aeden...

– Wspaniale, prawda? – krzyczy Saint-Exupéry.

Drobny deszcz pieści moją skórę, a nieznanne ptaki krążą wokół balonu. Wychylam się. Wyspa ma kształt słabo widocznego w tej chwili trójkąta. Dwa górujące nad miastem wzgórza nadają całości wygląd twarzy, której nosem jest Olimpia. Oświetlany przez księżycy ocean mieni się brązowozłocistym blaskiem, znikającym dopiero w zetknięciu z białym brzegiem plaży o delikatnym piasku. Z ziemi dociera do naszych nozdrzy zapach orzechów kokosowych, zacierając woń spalonego drewna, która ogarnęła naszą gondolę.

Uznając, że osiągnęliśmy odpowiednią wysokość, Montgolfier oznajmia, że już czas przestać dokładać do ognia. Ale nadal się wznosimy.

– Jak tu pięknie! – mówi Nadar.

W swoim ziemskim życiu był pierwszym fotografem robiącym zdjęcia z lotu ptaka. Zresztą to właśnie on zachęcił Juliusza Verne'a do napisania *Pięciu tygodni w balonie*.

Dostrzegam widoczny we mgle wierzchołek góry, a w oddali, pod koszem balonu widzę niebieską rzekę i jej fosforyzujące ryby. Wśród leśnej gęstwiny rzeka wygląda jak lśniąca wstęga. O tej porze moi przyjaciele teonauci powinni być na drugim brzegu, o ile nie są już zajęci walką z chimera.

Dzwon na baszcie pałacu Kronosa wybija północ. Z góry widzę jeszcze jakieś inne światelka. To Maria Curie, Surcouf i La Fayette budują statek, którym można wypłynąć w morze.

– Najprawdopodobniej chcą opłynąć wyspę w poszukiwaniu mniej strzeżonego zbrocza – wyjaśnia Clement Ader.

Montgolfiera ciągle się wznosi. Nadar mocuje wstążki na linach, aby dobrze było widać kierunek wiatru. Saint-Exupéry ciągnie za sznury, zmieniając przepływ dymu. Nagle rozumiem, co ich niepokoi: nasz statek powietrzny nie leci w dobrym kierunku.

– Nie możemy zbliżyć się do góry Olimp? – pytam.

– To jest montgolfiera, a nie sterowiec – odpowiada Clement Ader.

– Można wznosić się i opadać, ale nie kierować w prawo lub w lewo – stwierdza zaniepokojony Montgolfier.

Góra oddala się, coraz bliżej jest morski horyzont.

Z wody tryska jasny gejzer. Wokół wyspy muszają być wieloryby.

Montgolfier każe ponownie wzniecić ogień, aby balon znów zaczął się podnosić. Ma nadzieję, że wyżej natrafimy na boczne prądy, które sprowadzą nas nad wyspę.

Ostatnie kamienie służące nam za balast spadają do oceanu. Nie słyszymy, jak uderzają

w wodę. Jesteśmy za wysoko.

Wiatr nadal oddala nas od wyspy i zamysłony Montgolfier przygląda się woskowanemu płótnu.

– Nie mamy innego wyjścia. Musimy obniżyć się jak najszybciej, bo inaczej znajdziemy się na pełnym morzu.

Gasimy ogień, on zaś ciągnie za linę i otwiera drzwiczki w membranie. Ciepłe powietrze ucieka. Tracimy wysokość.

Opadanie dzieje się dużo szybciej niż wznoszenie. Na koniec nasz balon brutalnie uderza o fale. Kosz nie jest szczelny, toteż od razu nabiera wody; a my nie mamy ani wiader do jej wylewania, ani wiosel, by móc płynąć do przodu. Kiedy celem jest niebo, nikt nie myśli o przejażdżce po morzu.

Clement Ader mówi, żebyśmy wyrzucili do wody przedmioty, które zwiększają nasz ciężar. Siedzimy skuleni na okrągłym stole z czterema nogami, który teraz służy nam za tratwę.

Nagle koło nas tryska ten sam gejzer, który widziałem z wysoka. Towarzyszy mu wysoki gwizd.

– Wieloryb na lewo! – krzyczy Nadar.

– Nie, to nie wieloryb – poprawia go Montgolfier.

Olbrzymia ryba, która zbliża się do nas, ma rzeczywiście rozmiary wieloryba, ale wygląda dużo bardziej niepokojąco. Z wieloryba ma tylko duże oczy. W jej pysku nie ma fiszbin, lecz ostre zęby, każdy mojego wzrostu.

– I co teraz?

76. ENCYKLOPEDIA: LEWIATAN

Według tradycji kananejskiej i fenickiej, Lewiatan to duży wieloryb pokryty błyszczącymi łuskami albo olbrzymi morski krokodyl, którego ciało może mieć ponad trzydzieści metrów długości. Jego skóra jest tak gruba, że nie przebijie jej żaden harpun. Zwierzę zionie ogniem, z jego nozdrzy wydobywa się dym, oczy świecą własnym światłem, a morze kipi pod nim, gdy ten wypływa na powierzchnię. Pochodzi od mitycznego węża Lotana, przeciwnika kananejskiego boga El. Według legendy Lewiatan jest w stanie połknąć słońce, stąd właśnie biorą się zaćmienia słońca. Ten sam mit pojawia się w Starym i Nowym Testamencie: w *Psalmach* króla Salomona, w *Księdze Hioba* i w *Apokalipsie*.

„Czy złowisz Lewiatana na wędkę?”

„Wody drżą przed jego majestatem, rozstępują się morskie fale, żelazo jest dla niego jak słoma, brąz jak zbutwiałe drewno, głębię wody wzburzy jak kocioł, morze we wrzątek przemienia, nie ma mu równego na Ziemi” (*Księga Hioba*, TV, 41). Lewiatan symbolizuje pierwotną oraz niszczycielską siłę oceanów. Jego odpowiedniki znaleźć można w wierzeniach egipskich, indyjskich, babilońskich. Jednak wydaje się, że to Fenicjanie wymyślili morskiego potwora, żeby zapewnić sobie dominację na morzu. Bez wątpienia strach przed Lewiatanem ograniczył konkurencję na wielkich morskich szlakach handlowych. Lewiatan jest jednym z trzech stworzeń, które mają zostać zjedzone na przyjęciu podczas Sądu Ostatecznego.

Edmond Wells,
Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

77. W BRZUCHU POTWORA

Wyskakuję z kosza, płynę, rzucam się w morskie odměty. Lewiatan jest obok, rozdziera fale, powodując przemieszczanie się całych ton wody. I pomyśleć, że byłem przerażony, oglądając Szczęki. A przecież tamten maleńki rekin umknąłby w te pędy na widok tego ogromnego wodnego demona. Jak sobie pomyślę, że dołączyłem do grupy Nadara, ponieważ bałem się stanąć twarzą w twarz z wielką chimerą z czarnego lasu...

– Nie umiem pływać! Nie umiem pływać! – krzyczy obok mnie Etienne de Montgolfier.

To właśnie problem ludzi powietrznego świata. Są zbyt wyspecjalizowani.

Chwytam go pod pachy i staram się utrzymać na wodzie.

Lewiatan otwiera swoją ogromną paszczę i jednym haustem polyka okrągły stół, woskowane płótno oraz Antoine'a de Saint-Exupéry'ego, który nieopatrznie został w środku. W jednej chwili lotnik-poeta znika pomiędzy ostrymi zębami, które zamykają się jak brona.

– Musimy dopłynąć do plaży! – wrzeszczy Nadar.

Płynę stylem klasycznym, starając się utrzymać głowę Montgolfera nad powierzchnią wody, ale ledwie mi się to udaje. Nie mam już siły ciągnąć go za sobą i prawie nieżywego przekazuję Aderowi. Na horyzoncie pojawia się drugie słońce.

– Uwaga, wraca!

Rozprasza się. Lewiatan rzuca się w naszą stronę, najwyraźniej głodny. Nie jestem już w stanie płynąć kraulem, który w rekordowym tempie pozwoliłby mi dotrzeć do plaży. Zrezygnowany tylko utrzymuję się na powierzchni.

Bestia polyka mnie bez walki. Potem wszystko dzieje się bardzo szybko. Pokonuję ścianę zębów, spadam na język, mijam podniebienie, dalej uderzam w głośnię, która odbija mnie jak kulkę i spadam z powrotem na język.

Potem wszystko ustaje. Jest ciemno, wilgotno, cicho. Moje nozdrza drażni ohydny zapach gnijącej ryby. Nagle język porusza się i uderza mnie w twarz. Wyciągam ankh i strzelam. Dla potwora mój strzał jest jak ukłucie szpilką. Jednak światło pozwala mi zorientować się, jak wygląda jego podniebienie. Przypomina mi katedrę z łukowym sklepieniem w szarym kolorze. Po błonie śluzowej płynie dziwny, fluoryzujący płyn. Przenoszę się na szczękę i we wgłębieniu jednego z zębów zauważam ankh, być może pozostawiony przez Saint-Exupéry'ego. Przeskakując na ząb trzonowy, chwytam leżący ankh i zaraz potem oddaję dwa strzały. Żadnego efektu.

Język atakuje ponownie. Ze wszystkich stron oblepia mnie kleista ślina. Ruchy stają się coraz trudniejsze. Pełno piany. Czubek języka popycha mnie w stronę sztywnej pochyłości gardła. Mijam głośnię. Teraz jestem w czarnej rurze i czuję, że spadam. Na całej długości przełyku nie ma nic, czego mógłbym się chwycić. W próżnej nadziei, że potwór zakaszle, lecę w kierunku ujścia tunelu. Zjazd zdaje się nie mieć końca.

Jest wiele historii o wielorybach i Lewiatanie. Biblia opowiada o Jonaszu, który uratował się w brzuchu wieloryba, podobną przygodę przeżył Pinokio – bohater bajki Carla Collodiego – oraz Nganoa – polinezyjski bohater, który wszedł do brzucha wieloryba, żeby uratować swoich rodziców.

Lecę dalej. Tunel przewęża się regularnie, tworząc zakręty, co zwiększa moją prędkość. Już wiem, jaki los spotkał wszystkie zjedzone przeze mnie kawałki mięsa. Tyle, że one nie miały oczu ani świecącej broni, nie mogły więc obserwować dróg w moim wnętrzu.

Moja przygoda kończy się wreszcie w dużej owalnej sali, do połowy wypełnionej parującym płynem. Pełno tu wypustek wyglądających jak małe wysepki. Zanurzone w płynie żółdkowym

ryby, których wokół mnie pełno, natychmiast ulegają rozpuszczeniu. Domyślam się, że jeśli tam wpadnę, czeka mnie podobny los. Na szczęście chwytam się wraku łódki, której obgryzione pudło nie poddało się jeszcze działaniu kwasów.

I oto jestem w żołądku.

Wewnątrz śmiertelnego jeziora zostaję nagle wessany przez wir, który wyrzuca mnie i moją łódkę w jelicie. Tracę przytomność. Kiedy ją odzyskuję, nadal jestem na łodzi. Nad sobą widzę miękkie sklepienie. Ten tunel jest szerszy i jeszcze bardziej cuchnie rozkładającą się rybą. Ściany lekko się kurczą, kiedy uderzam moimi ankh.

Przesuwam się dalej w przewodzie pokarmowym i myślę, jak bardzo poniżające dla duszy takiej jak moja, która osiągnęła stopień anioła, a potem boga, jest skończyć jako ekskrement wieloryba.

Moja łódź potrąca w tunelu różne przedmioty, jakieś resztki, ludzkie szkielety (być może innych pechowych uczniów). Wyjście dołem zdaje się bardziej prawdopodobne niż wydostanie się górą. Organiczne wyziewy stają się coraz bardziej nie do zniesienia, kiedy nagle mam wrażenie, że w tym błocie dostrzegam jakąś sylwetkę, której udało się uniknąć rozpuszczenia.

– Jest tu ktoś?

– Tutaj – odpowiada głos Saint-Exupéry'ego.

Biorę kawałek gnijącego drewna i wiosłuję w jego stronę.

– Jak przeżyłeś ten horror?

– Tak jak ty. Dzięki prowizorycznej tratwie. Ale i tak nas strawi, co?

– U człowieka proces trawienia trwa trzy godziny – mówię, przypominając sobie wiedzę zdobytą na studiach medycznych. – W przypadku Lewiatana trawienie może zająć kilka tygodni.

– Trzeba więc przyspieszyć ten proces – stwierdza jak zawsze wojowniczy lotnik.

Zanurzam kawałek togi w płynie, żeby zobaczyć, czy tkanina ulegnie rozpuszczeniu. Nic się nie dzieje.

– Tu nie ma kwasu – stwierdzam. – Możemy opuścić nasze łodzie i iść dalej.

Kiedy przemierzamy jelito, Saint-Exupéry zauważa dwa ankh wiszące na mojej szyi i prosi, abym mu oddał jego, co natychmiast czynię.

– Za każdym razem wydaje mi się, że przeżyłem najstraszniejszą przygodę mojego życia i za każdym razem jest gorzej – mówię.

Uśmiecha się na te słowa, ale w jego uśmiechu nie ma radości.

– Trochę to wszystko na nasze własne życzenie – zauważa. – W końcu mogliśmy siedzieć spokojnie w willach i oglądać w telewizji życie naszych klientów. Jak się im przyjrzeć, zdają się bardzo zabawni. A co sądzisz o swoich?

Doskonały z niego towarzysz wędrowni w układzie pokarmowym potwora. Odpowiadam mu, cały czas naciskając mój ankh, by krótkimi błyskami oświetlać tunel:

– Mam afrykańskiego księcia, wychowywaną w Japonii Koreankę, której ojciec jest Japończykiem a matka Koreanką, oraz małego Greka ośmieszanego przez zaborczą matkę. A pan?

– Ośmioletnią pakistańską dziewczynkę, cały czas ubraną w długą szatę, której rękę rodzice obiecali bogatemu starcowi, lapońskiego hipochondryka pasjonującego się łowieniem fok oraz Polinezyjczyka, który bawi się od rana do wieczora i nie chce pracować.

– Całkiem niezły koktajl.

Saint-Exupéry zdaje się wątpić:

– Żadne z tych trojga nie wydaje mi się zdolne do przejścia na kolejny poziom świadomości.

– A ja wierzę w moją małą Koreankę. Nie wiem dlaczego, ale pomimo ciągłych zawodów, jakich nie szczędzi jej życie, czuję, że jest ponadprzeciętnie uzdolnioną duszą. A poza tym lubię

ten kraj... lubię Koreę.

– Ach tak, a co wiesz o tym kraju?

– Jest położony na skrzyżowaniu kultur, pomiędzy Japonią, Chinami a Rosją, i potrafił odważnie oprzeć się tym trzem zaborczym narodom. Koreańscy mają fantastyczną kulturę. Jest nad wyraz subtelna i mało znana. Ich muzyka, malarstwo, alfabet są jedyne w swoim rodzaju.

Jakoś dziwnie opowiadać tu o Korei.

– Byłeś tam?

– Tak, w stolicy – Seulu. Byłem także w dużym nadmorskim mieście, Pusanie. W czasach studenckich miałem dziewczynę Koreańkę i to ona zabrała mnie tam, żebym poznał jej rodzinę.

Mój towarzysz strzela z anki i naszym oczom ukazują się coraz większe rybie szkielety.

– Zdziwiający, że twój ulubiony człowiek urodził się właśnie tam. Może jednak mimo wszystko istnieją jakieś powiązania... Ja nigdy nie byłem w Pakistanie, na Polinezji ani w Laponii. Opowiedz mi jeszcze o Korei. Znasz historię tego kraju?

– Korea stworzyła własną cywilizację, lecz przez wiele dziesięcioleci okupowali ją Japończycy, niemal doszczętnie niszcząc tamtejszą kulturę. Zburzyli świątynie, zastąpili język. Kiedy po wojnie Korea odzyskała niepodległość, jej mieszkańcy z trudem odnajdywali swoje korzenie. Ale dzięki wspomnieniom starych ludzi odbudowali świątynie.

– Tak. To musiało być straszne.

– Zaledwie zdążyli uwolnić się spod władzy Japończyków, zaczęła się wojna domowa pomiędzy dwoma Koreami: Północną – komunistyczną i Południową – liberalną. Problem polega na tym, że w Korei Północnej rządziła rodzina szalonych dyktatorów, powiązana z największymi na Ziemi tyranami, jak ci cholerni władcy totalitarni zawsze się dobrze dogadywali. Na przykład Hitler i Stalin, jak to nam przypomniał Hermes. Ale przecież można by wymienić wielu innych. Dyktator z dyktatorem zawsze się porozumie.

– Zdziwiający, jak ci dostarcni władcy totalitarni zawsze się dobrze dogadywali. Na przykład Hitler i Stalin, jak to nam przypomniał Hermes. Ale przecież można by wymienić wielu innych. Dyktator z dyktatorem zawsze się porozumie.

Rybia ość wielkości wieloryba sprowadziła nas z powrotem do naszej smutnej rzeczywistości.

– Jednakże... nigdy bym nie przypuszczał, że któregoś dnia zostanę połknięty przez takiego potwora – mówię.

– Czuję się tak jakbym wrócił do stadium zarodka – dziwi się Saint-Exupéry.

– Sądzisz, że to samiec czy samica?

– Trzeba by zrobić dziurę w jelicie i zobaczyć, czy ma pochwę, czy gruczoł krokowy – żartuje mój towarzysz.

– Dionizos twierdził, że przejdę tu ostateczne wtajemniczenie. Gdybym mógł przewidzieć, że zostanę zmieniony w odchody Lewiatana...

– To właśnie podstawowa zasada wtajemniczeń: poniżyć, aby potem wywyższyć, zhańbić, a następnie obdarzyć czią, zabić, a potem odrodzić.

Powietrze wokół nas staje się rzadsze. Trudno nam oddychać. Przesmyk zwęża się, brniemy w masie wielkich jak uszy brązowych robaków. Powietrze cuchnie okropnie. Zatykamy nosy tuniką.

– Sądzę, że dotarliśmy do końca tunelu. Rzeczywiście, znajdujemy się w hermetycznie zamkniętej jamie.

– Co zrobić, żeby Lewiatan otworzył odbył?

– Chyba to ty jesteś lekarzem?

Zastanawiam się:

– Normalnie w ludzkim ciele odbył reaguje jak fotokomórka. Kiedy odchody docierają do tej

strefy, naciskają na czujniki.

Rozejrzawszy się wokół, rzeczywiście dostrzegamy wystające żyły oraz nerwy. Uderzamy w nie z całych sił pięściami, kopimy i po jakimś czasie ściany wokół nas zaczynają się kurczyć i rozciągać. Na końcu tunelu pojawia się światło. Razem z innymi ekskrementami zostajemy wypchnięci na zewnątrz i wrzuceni do morza. Szybko staramy się wypłynąć na powierzchnię i światło dzienne. Pałam mnie płuca, ale muszę wytrzymać.

Wyływanie przypomina mi tanatonautyczny lot po tym, jak opuściłem swoje ciało i zostałem wessany przez pozaziemskie światło. Jednak widzę pewną istotną różnicę: jako zmarły śmiertelnik nic już nie czulem, moje odczucia jako początkującego boga są zwielokrotnione.

Walcząc o to, by wydostać się na powierzchnię, przeklinam mitologię, wszystkie legendy oraz występujące w nich potwory. Nienawidzę Lewiatanów, syren, małych i wielkich chimer, bogów-mistrzów i wszystkich bogów-uczniów.

Chwyta mnie jakaś ręka. To Saint-Exupéry ciągnie mnie do siebie, a po chwili obydwaj płyniemy z ulgą po spokojnym morzu. Ucieczka się udała. Jesteśmy uratowani.

Jednak nie dane jest nam długo odpocząć. Zbliżający się gejzer zapowiada powrót Lewiatana, który znowu chce się na nas rzucić.

Mój przyjaciel i ja patrzymy na to z niedowierzaniem. Tylko nie jeszcze raz, tylko nie po raz drugi...

I nagle cud. Jakby w odpowiedzi na moje milczące błagania pojawia się biały delfin z czerwonymi oczkami i zajmuje miejsce pomiędzy nami a Lewiatanem. Podpływają jego pobratymcy, tworząc zaporę, która nas chroni. W powietrzu rozbrzmiewają wysokie dźwięki.

Lewiatan chce przebić się siłą, ale delfiny otaczają go, uderzając pyszczkami jak ostrogami jego boki. Morski potwór próbuje je pożreć, ale są od niego szybsze. Walka przypomina mi scenę z obrazu przedstawiającego bitwę XVI-wiecznej Niezwyciężonej Armady, gdzie wielkie hiszpańskie okręty ociężałe manewrują pośród małych angielskich żaglowców, które zatapiają je jeden po drugim.

Lewiatan denerwuje się, wywołując fale wysokie jak ściany domu, ale delfiny, zwierzęta wodno-powietrzne, nurkują, skaczą, wyśmiewają się, nękać nieustannie bestię, która w końcu zawraca. Wtedy delfiny podpływają do nas i kilkoma przenikliwymi krzykami zachęcają nas, abyśmy uczepili się ich płetw grzbietowych.

Szybko wykonujemy ich polecenie. Wyspa jest daleko, a ucieczka kosztowała nas już dużo energii. Dosiadam delfina-albinosa, jakby był koniem. Stawiam stopy na jego bocznych płetwach. Płyniemy. Siedzę na delfinie jak na wodnym skuterze. Saint-Exupéry z nie mniejszą radością mknie na swoim wierzchołku. Po horrorze strasznej odysei szczęście z odzyskanej wolności wydaje się jeszcze większe. Wszystko nas zachwyca: powietrze, światło, prędkość.

Przemykamy po falach niesieni przez nasze rumaki.

Wreszcie delfiny docierają do plaży, gdzie nas zostawiają. Machamy im ręką na pożegnanie, a one stają na ogonach, wydając przy tym bojowe okrzyki. Biały delfin skacze wysoko w górę, wykonując kolejne salta.

Etienne de Montgolfier, Nadar i Clement Ader są tutaj. Patrzą na nas z niedowierzaniem.

– A wam jak udało się wrócić? – pytam.

– Wpław – odpowiada ochryplym głosem Clement Ader, jeszcze wyczerpany ciągnięciem pilota.

– Nie mieliśmy szczęścia – mówi Montgolfier – los się na nas wziął.

78. ENCYKLOPEDIA: PRAWA MURPHY'EGO

W 1949 roku amerykański inżynier, kapitan Edward A. Murphy pracował w bazie lotniczej USA nad przeprowadzeniem Projektu MX981. Doświadczenie polegało na zbadaniu, w jaki sposób można opóźnić skutki katastrofy lotniczej dla ludzkiego ciała. Dla potrzeb doświadczenia na ciele pilota należało umieścić szesnaście czujników. Misję tę powierzono jednemu z techników, zakładając, że każdy czujnik musi zostać umieszczony w dwóch pozycjach: dobrej i złej. Technik zaś umieścił wszystkie szesnaście w pozycji nieprawidłowej. Wtedy Murphy rzucił następujące zdanie: „If anything can go wrong it will” (Jeśli coś może się nie udać, to się nie uda). To pesymistyczne prawo, nazywane również Prawem Maksymalnego Znudzenia lub Prawem Posmarowanej Masłem Kanapki (bo kanapka spada zawsze masłem na dół), stało się tak popularne, że stopniowo zaczęły pojawiać się potoczne powiedzenia, także nazywane „prawami Murphy'ego”. Oto kilka z nich: „Jeśli wszystko zdaje się iść dobrze, na pewno coś przeoczyłeś”. „Każde rozwiązanie niesie ze sobą nowe problemy”. „Wszystko, co wznosi się do góry, musi w końcu spaść”. „Wszystko, co sprawia przyjemność, jest nielegalne, niemoralne albo tuczące”. „Kolejka obok zawsze przesuwana się szybciej”. „Naprawdę interesujący mężczyźni oraz naprawdę interesujące kobiety są zajęci, a jeśli nie są, to znaczy, że istnieje jakiś ukryty powód”. „Jeśli coś wydaje się zbyt piękne, aby było prawdziwe, to zapewne tak jest”. „Kobietę pociągają u mężczyzn te same cechy, których kilka lat później nie będzie mogła znieść”. „O teorii mówimy wtedy, gdy coś nie działa, ale wiemy dlaczego. O praktyce – kiedy działa, a my nie wiemy dlaczego. Kiedy teoria łączy się z praktyką, nic nie działa i nie wiadomo, dlaczego tak się dzieje”.

Edmond Wells,
Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V
(według mądrości ludowych)

79. ŚMIERTELNICY. 10 LAT

Siadam przed ekranem telewizora. Jestem zbyt podekscytowany, żeby od razu zasnąć. Moje ciało domaga się spokoju po tych wszystkich przygodach, ale w mózgu wrze.

Na pierwszym kanale dziesięcioletnia już Eun Bi oddaje się marzeniom, podczas gdy jej koleżanki skaczą na szkolnym boisku na skakance. Jedna z dziewczynek staje nagle przed nią i rzuca: „brudna Koreanka”.

Napaść zaskakuje Eun Bi. Zbita z tropu, na próżno usiłuje uderzyć napastniczkę w twarz. Dziewczyna ucieka, śmiejąc się. Po chwili już cała klasa wyśmiewa się z biedaczki, skandując chórem: „brudna Koreanka!”. Dzwonek kończy scenę oraz przerwę.

Eun Bi wraca z płaczem do klasy. Wychowawczynie pyta, co się stało, i sąsiadka Eun Bi z jednej ławki odpowiada, że nazwano ją brudną Koreanką. Wychowawczynie kręci głową. Rozumiejąc problem, patrzy na dziewczynkę, przez chwilę się waha, ostatecznie nic nie mówi. Ale ponieważ Eun Bi szlocha coraz głośniejsze, nauczycielka każe jej przestać albo wyjść z lekcji. Eun Bi usiłuje powstrzymać łzy, ale bez skutku. Wtedy wychowawczynie każe jej wyjść z klasy, żeby nie przeszkadzała w lekcji, i nie wracać, póki się nie uspokoi. Eun Bi wychodzi i wraca do domu. Kładzie się na swoim łóżku, cały czas płacząc. Matka pyta, co się stało.

– Nic, nic – odpowiada Eun Bi. – Chcę zostać sama, to wszystko.

Nie chce obiadu, nic nie chce jeść i dopiero późnym popołudniem decyduje się zwierzyć matce, która przynosi jej szklankę wody.

– Jedna z dziewczynek, której nawet nie znam, powiedziała, że jestem brudną Koreanką.

– I co zrobiłaś?

– Chciałam uderzyć ją w twarz, ale biegła szybciej ode mnie. Potem wychowawczynie wyrzuciła mnie za drzwi, bo przeszkadzałam klasie.

Matka tuli córeczkę w ramionach.

– Mogłam cię ostrzec... Nas, mieszkających w Japonii Koreańczyków, mogą spotkać tego rodzaju upokorzenia.

– Dlaczego?

– Dużo wycierpieliśmy od Japończyków. Kiedyś ci o tym opowiem. Napadli na nasz kraj. Zabili wielu z nas. Zbrukali i zburzyli nasze święte miejsca. Chcieli nas zmusić, żebyśmy zapomnieli o naszych korzeniach, przestali mówić w naszym języku. Oni...

– A więc dlaczego mieszkamy w Japonii, a nie w Korei?

– To długa historia, córeczko. Dawno temu porwali twoją babcię i razem z innymi kobietami przywieźli na wyspy. Tam... Jesteś jeszcze za mała, żeby to zrozumieć. Kiedyś dowiesz się wszystkiego.

Eun Bi z natężeniem wpatruje się w szklankę.

– Ale jak mam jutro wrócić do szkoły, kiedy straciłam wobec wszystkich twarz?

Matka obejmuje ją czule.

– Musisz, maleńka. Jeśli zrobisz inaczej, to tak jakby oni wygrali. Musisz nauczyć się stawiać czoła. Tak jak ja to robiłam. Nie poddawaj się. Twoja babcia przeżyła coś znacznie gorszego, a nie zalałama rąk. To co cię nie zabije, wzmocni cię. Zdobądź wykształcenie, to najlepszy sposób zemsty. W ten sposób pokażesz im, ile naprawdę jesteś warta.

Eun Bi czyta w ciemnych oczach matki, że przeżyła ten sam ból i że udało jej się go pokonać.

– Mamo, dlaczego Japończycy tak nas nienawidzą?

Matka waha się przez chwilę, potem odpowiada:

– Ponieważ kat zawsze nienawidzi swojej ofiary. Zwłaszcza, jeśli ona mu wybaczyła.

– Mamo, opowiedz mi, co przydarzyło się babci. Jestem gotowa.

Matka waha się. Po chwili decyduje się mówić:

– Jak ci już wspominałam, od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego do tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku Korea znajdowała się pod okupacją japońską. Przez trzydzieści pięć lat Japończycy usiłowali zmusić Koreańczyków, żeby zapomnieli, kim są. Ku wielkiej radości swojego żołdactwa, porywali najpiękniejsze kobiety. Na tyłach ich wielkiej armii zawsze były dziesiątki tysięcy koreańskich więźniarek, służących do „rozrywki”.

Eun Bi prosiła o opowieść, lecz teraz chętnie zatkałaby sobie uszy, żeby nie słyszeć wrzuczonego i drżącego głosu swojej matki, która ciągnie dalej:

– Wśród nich była twoja babcia. Japończycy zabili wszystkich mężczyzn w wiosce i uprowadzili wszystkie kobiety. W chwili upadku zabrali je wszystkie do Japonii, gdzie nadal były traktowane jak zwykle... niewolnice.

– Nie zbuntowały się? W końcu wojna się skończyła, a Japonia została pokonana.

Matka wzdycha ciężko i załamuje ręce.

– Kilka lat temu zatrzymane w Japonii Koreanki spróbowały podnieść głowę. Zażądały prawa powrotu do kraju oraz odszkodowań za swoją mękę. Jaka burza się rozpuściła! Japończycy pluli im w twarz, a rasizm osiągnął apogeum.

– A tata?

– Twój ojciec jest Japończykiem. On chciał udowodnić, że jest wart więcej niż jego rodacy. Ożenił się ze mną, mimo że ten związek był hańbą dla jego rodziny. Twój ojciec miał wtedy dużo odwagi. Ponieważ mnie kochał. A ja kochałam jego.

Matka milknie na chwilę, zatopiona we wspomnieniach. Potem bierze dłoń córki w swoją i mówi dalej:

– Musisz o tym wiedzieć, mała. Dla nas, Koreańczyków, wszystko w Japonii będzie zawsze trudniejsze niż dla innych. Zaciśnij zęby i nie pozwól, żeby zobaczyli, jak cierpisz. Jutro wrócisz do szkoły i będziesz zachowywać się tak, jakby nic się nie stało. Jeśli cię znieważą, nie płacz, nie daj im tej satysfakcji. W końcu się zmęczą. Zbieraj dobre oceny i bądź obojętna. To jest najlepsza odpowiedź.

Przez całą resztę dnia i całą noc Eun Bi gra w szczególnie brutalną grę wideo na swojej konsoli. Nazajutrz przyjmuje wobec kpin obojętny wyraz twarzy, nie reaguje na „brudną Koreankę” i odwraca głowę, kiedy dosięga jej czyjaś ślina. W klasie systematycznie otrzymuje najlepsze oceny.

Ja, który tak kochałem Koreę, czuję się teraz, jakbym dostał obuchem w głowę.

Coś tam wiedziałem na ten temat, nawet jeśli tych informacji nie było w podręcznikach historii. Jednak zupełnie co innego usłyszeć to na żywo, z ust mieszkającej w Japonii Koreanki. Wracają wspomnienia z przeszłości i z mojej podróży do Korei. Kraju Spokojnego Poranka.

Nie chcę już patrzeć, co się dzieje u Theotime'a i Kouassi Kouassi.

Zasypiam ze smutną melodią w uszach. Czuję się tak, jakby wszystkie uczucia, których doznaję jako bóg-uczeń, zatarły się w obliczu udręki tej dziesięcioletniej dziewczynki. W głowie dźwięczy mi wypowiedziane przez jej matkę zdanie: „My, ofiary, musimy przeproszać za zło, jakie wyrządziłyśmy naszym katom”.

80. MITOLOGIA: DEMETER

Demeter oznacza: „matka burzy”. Córka Kronosa i Rei, siostra Zeusa. Jest boginią ziemi, rolnictwa oraz zbóż. Jej włosy są jasne jak pola pszenicy. Wzbudzała pożądanie u bogów, ale żaden jej się nie podobał, toteż wszyscy planowali rozmaite strategie aby ją uwieść. Chcąc uniknąć ich zalotów, zamieniła się w klacz, a wtedy Posejdon przybrał postać ogiera. Z ich połączenia zrodził się Arion, mówiący koń z nogami człowieka. Kiedy Demeter ukryła się przed bogami, Zeus przybrał postać byka, a z ich związku poczęła się Persefona. Pewnego dnia młoda dziewczyna i zachwycała się narcyzami na łące Wiecznej Wiosny. Nagle rozstała się ziemia i na ciągniętym przez dwa rumaki rydwanie pojawił się jej wuj, Hades, władca Podziemnego Świata i Królestwa Umarłych. Już od dawna śledził dziewczynę, w której się zakochał. Porwał ją więc i zawiódł do wnętrza ziemi. Przez dziewięć dni i dziewięć nocy zrozpaczona Demeter szukała Persefony po całym świecie. Dziesiątego dnia Helios wyjawiał jej imię porywacza. Zagniewana matka odmówiła powrotu na Olimp, dopóki jej córka pozostanie uwięziona w Podziemnym Królestwie, i znalazła schronienie u króla Eleuzis. Pozbawiona bogini urodzaju ziemia stała się jałowa i bezpłodna. Drzewa nie rodziły owoców, rośliny gnęły. Zeus nakazał Hermesowi zejść do Podziemia po Persefonę, lecz Hades nie zgodził się jej uwolnić. Tłumaczył, że nie może już wrócić do świata żywych, ponieważ skosztowała pożywienia ze Świata Umarłych. W końcu bogowie osiągnęli kompromis. Ustalono, że Persefona część roku spędzać będzie z matką a część z Hadesem. Przez sześć miesięcy, czyli wiosnę i lato pozostanie z matką. Na pozostałe sześć, czyli jesień i zimę będzie wracać do władcy Podziemia. Ten podział symbolizuje cykl wegetacji roślin, dojrzewanie ziarna pod ziemią, nim zacznie kiełkować. Chcąc podziękować królowi Eleuzis za gościnę, bogini postanowiła uczynić jego syna Demofonta nieśmiertelnym. Aby „strawić jego ludzką naturę”, trzymała chłopca nad ogniem, ale kiedy pojawiła się przestraszona widokiem dziecka w płomieniach królowa Eleuzis, Demeter puściła chłopca i ten spadł na palenisko. Aby pocieszyć matkę, podarowała jej drugiemu synowi kłos zboża, żeby przemierzał Grecję i nauczał ludzi tajemnic rolnictwa oraz wypiekania chleba.

Edmond Wells,
Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V
(według Francisca Razorbacka zainspirowanego
Teogonią Hezjoda, 700 r. przed Chrystusem)

81. CZWARTEK: ZAJĘCIA DEMETER

Czwartek to dzień Jupitera, rzymskiego odpowiednika Zeusa. Jednak dzisiaj to jego siostra – Demeter będzie prowadzić zajęcia.

Idąc Polami Elizejskimi, mijamy pałac Kronosa, na którego wieży rozbrzmiewają jeszcze poranne dzwony. Dalej turkusowy kryształ pałacu Hefajstosa, warowny zamek Aresa, srebrny pałac Hermesa, aż docieramy przed normandzką farmę, pokrytą pomarańczową strzechą, z białymi szachulcowymi murami. Wszędzie pełno mis wypełnionych owsem, kukurydzą lub rzepakiem. Z boku widać zagrody, w których pasą się kozy, barany, krowy i świnię.

Taki wiejski pejzaż zaskakuje w Olimpii. Widzę na podwórku gdakające kury, gęgające gęsi oraz kwaczące kaczki. I prawie czuję się tak, jakbym wrócił na „Ziemię 1”.

Nie wiem, jaką bitwę z wielką chimera stoczyli w nocy moi przyjaciele teonauci, ale na czole Raoula widnieje okropny siniak.

Jedna z Hor otwiera drewniane drzwi i wchodzimy do wnętrza farmy w barwach karminowej czerwieni. Belki w tym samym kolorze zdobią sufit. W sali wystawiono całą masę najróżniejszych przedmiotów związanych z rolnictwem: kosy, sierpy, cepy, żniwiarki... Na prawo widzimy szklane tuby pełne ziaren zbóż, obok kwadratowe bochny chleba, jak z maleńkiej piekarni w czasach mojego dzieciństwa. Nieco dalej wielkie słoje, a w nich suszone pomidory oraz namoczone w oleju bakłażany i kabaczki.

Demeter wchodzi tylnymi drzwiami. Jest wysoką kobietą z grubymi, rudymi włosami związanymi żdźbłami pszenicy. Na żółtą sukienkę założyła fartuch w czarną kratę, podobny do tych, jakie noszą wiejskie kobiety. Ma silne ręce i pachnie świeżym mlekiem. Już rozumiem, dlaczego dodawała odwagi całym pokoleniom helleńskich rolników.

Staje na podium, uśmiechając się do nas i jeszcze przed rozpoczęciem zajęć rozdaje nam kubki pełne ziaren zbóż zachęcając do ich spróbowania. Przechodzi ponownie między rzędami z amforą w rękę, z której wlewa do kubków tłuste mleko. Pamiętam takie śniadania z czasów, kiedy byłem śmiertelnikiem.

– Te nowe dla was produkty żywnościowe są źródłem siły i energii – mówi bogini, siadając przy dębowym biurku, podparta łokciami na jego blacie. – Nazywam się Demeter, jestem boginią rolnictwa i waszym piątym nauczycielem.

Klaszcze w dłonie, by wezwać Atlasa, który przychodzi i jednym ruchem zrzuca z siebie ciężar „naszej” ziemi, kładąc ją na kieliszku do jajek.

– Gdybyś wiedziała, droga przyjaciółko, ile to waży...

– Ależ, Atlasie, to, co robisz, to nie praca, tylko kara – zauważa wysoka kobieta.

Olbrzym przebiera przez chwilę nogami w miejscu, potem jednak decyduje się wyjść.

„Rolnictwo” – pisze Demeter na tablicy, a następnie dodaje:

– Tak więc jestem boginią Demeter i na moich zajęciach dowiedcie się, jak ważną rolę w historii cywilizacji odegrało rolnictwo.

Ciągnie dalej, przechadzając się pomiędzy rzędami ławek i potrząsając swoimi rudymi włosami.

– Już w chwili sadzenia trzeba myśleć o zbiorach. To tak, jakby wyznaczać sobie spotkanie za jakiś czas.

Bierze swój ankh i podchodzi do „Ziemi 18”, aby przyjrzeć się naszym ludom.

Idziemy za nią i stwierdzamy, że czas zrobił swoje. Wszystko się zmieniło. Nasza ludzkość „dojrzała” sama. Pozostawione szczepy przekształciły się w plemiona.

Dwóch uczniów zauważa, że ich ludy zginęły, nie wiadomo dlaczego.

Demeter tłumaczy obruszonym, że gra zawsze wiąże się z ryzykiem. Podczas jej trwania uczniowie przekazują bodźce, ale w przerwach pomiędzy kolejnymi partiami ludy same idą wybranym przez siebie szlakiem, jeśli zaś zostaną skierowane na niewłaściwą drogę, mogą zginąć, jak to miało miejsce w przypadku naszych dwóch protestujących kolegów. Bogini dorzuca, że należy też wziąć pod uwagę zdarzenia losowe: trzęsienia ziemi oraz wszelkiego rodzaju katastrofy, które mogą zdarzyć się w każdej chwili.

– Nawet jeśli dobrze rozegraliście swoją partię, zawsze trzeba wziąć pod uwagę, że może wydarzyć się coś przypadkowego. Jakaś epidemia, nieprzewidziane spotkanie z lepiej uzbrojonym ludem, konflikt wewnętrzny przekształcony w wojnę domową, koalicja zakończona dominacją jednego ludu nad drugim... Wszystko jest możliwe. Jako bogowie musicie umieć przewidzieć bieg historii w czasie, gdy was tam nie będzie.

– Ale jak przewidzieć nieprzewidywalne? – pyta Marilyn. Uprzejma bogini w stroju wieśniaczki chce nam dodać otuchy:

– Istnieją sposoby znacznego ograniczania ryzyka, na przykład poprzez tak zwane rojenie. Stwórcie wiele osad, wiele miast, wiele szczepów. Jeśli jedna osada zostanie dotknięta epidemią, zaatakowana przez najeźdźcę lub zatopiona podczas powodzi, przetrwa inna. Poza tym zobaczcie, co tu się dzieje. Zostawiliście wszystkich razem w jednej grupie. Czyli włożyliście wszystkie jajka do jednego koszyka. Więc się teraz nie dziwcie, że wyszedł z tego kogel-mogel.

Wszystkim nam tak trudne wydawało się już samo stworzenie ludzkiej wspólnoty, że nikt nawet nie pomyślał o podgrupach.

– Przecież – mówi Edmond Wells – właśnie tak postępują mrówki i pszczoły. Ich królowe odlatują, by utworzyć siostrzane kolonie. Mogliśmy o tym pomyśleć.

– Wielu myśli o tym dopiero na koniec gry, kiedy szybko trzeba ratować swoje ludy. Jednak – mówi Demeter – wtedy jest już zwykle za późno.

Tak więc czas na naszej ziemi płynie, nawet jeśli my nad nią nie czuwamy. W ten sposób gra toczy się dalej, do końca w tym samym tempie. Rozumiem już, że Gra Y jest jak japońskie tamagotchi – elektroniczne zabawki, w których hoduje się niewielkie wirtualne zwierzątko, które rośnie nawet wtedy, gdy urządzenie nie działa, ponieważ jest sterowane przez mechanizm swego wewnętrzznego zegara.

Jest tu niezły materiał na hasło dla buddyjskich ekologów: „Prosimy o pozostawienie tej ludzkości w chwili śmierci tak czystą, jaką chcielibyście ją zastać, kiedy się na nowo odrodzi”.

Rozumiem też, że czas być może przyspiesza wszystko w sposób wykładniczy. Na początku ludzie dokonują niewielu odkryć, mają niewiele dzieci, a potem wszystko przyspiesza i dotyczy to zarówno populacji, jak i wiedzy. Z upływem czasu wszystkie zjawiska zostają zwielokrotnione...

Kontestatorzy nadal krzyczą, że zniknięcie ich ludów i skandal, ale Demeter kładzie kres ich narzekaniom, wołając centaury.

Znowu to straszne odejmowanie: $108 - 2 = 106$. Demeter wraca do przerwanych zajęć.

– A więc rolnictwo... Po odkryciu rolnictwa, które krzywdzi zamieszkujących tereny górskie, a faworyzuje ludzi z nizin, niektóre z waszych grup będą zmuszone migrować w poszukiwaniu żyznych ziem. Podobnie uprzywilejowane będą ludy żyjące w pobliżu rzek. Kolejną troską waszych poddanych będzie nawadnianie, wykorzystanie wód płynących, zapobieganie powodziom lub suszom.

Pisze na tablicy: „Nawadnianie”.

– Nie obawiając się, że jutro mogą umrzeć z głodu, wasze ludy będą swobodniej myśleć o przyszłości.

Notuje: „Przyszłość”.

– Dzięki rolnictwu pojawia się pojęcie przyszłości. A to wszystko zmienia. Rozumieć czas to coś tak samo ważnego, a może i ważniejszego, jak rozumieć przyrodę. Człowiek jest jedynym zwierciem, które myśli o czasie przyszłym, planuje więc narodziny swoich dzieci oraz własną starość. Zobaczycie to w grze. Z chwilą pojawienia się rolnictwa człowiek tak doskonale planuje wszystko w czasie, że zaczyna wyobrażać sobie „życie po życiu”, a więc świat, który istnieje po śmierci. Zatem rolnictwo rodzi religię.

Notuje: „Religia”.

– Sadząc rośliny, człowiek zaczyna porównywać się z nimi. Widzi, że on także wzrasta, kwitnie, owocuje. I widzi, jak wraca do ziemi, pozostawiając po sobie ziarna, które teraz będą rosły. Ziarna są jak jego potomstwo... Jednocześnie widzi człowieka, jak odradzają się drzewa, które utraciły wszystkie liście i wydawało się, że umarły, a tu nagle znowu się zielenią i wydają owoce. Wtedy pojawia się marzenie o reinkarnacji. Dlaczego po ziemskiej śmierci nie miałyby nastąpić kolejne życie i kolejna śmierć? A potem pojawia się w ludzkiej głowie jeszcze jedno pytanie: czy jest jakiś ogrodnik, który zajmuje się tą cyklicznie wzrastającą i ginącą przyrodą? O tak, rolnictwo zmienia umysły śmiertelników.

Demeter zachęca, żebyśmy uważniej przyjrzeni się naszemu światu, zatem pochylamy się wszyscy nad kulą, ciekawi, jak rozwinęły się nasze ludy.

Pozbawione boskiej opieki szczyty nadal się rozmadzały. Jak wspomniała bogini zbóż, wiele z nich przeniosło się na tereny obfite w wodę. Wokół zamieszkałych wysepek ciągną się wyczone sznurkiem różnokolorowe pola.

Mój szcep osiedlił się we wsi, którą tworzą chaty zbudowane na palach. Jest jedynym szcepem poruszającym się po wodzie tratwami, za pomocą wiosel. Tak jak inni rozwijają rolnictwo na nizinach, tak moi zbierają plony oceanu.

– Większość waszych koczowniczych ludów założyła wsie. Ogień i ogrodzenia chronią ich przed drapieżnikami.

„Wieś = Bezpieczeństwo” – zapisuje na tablicy. Przechodzi wśród środkowych rzędów ławek, przeganiając kaczki i gęsi, które weszły do sali.

– Teraz człowiek mniej jest uzależniony od kaprysów przyrody. Decyduje o miejscu, w którym odbędą się zbiory. Jednocześnie pracuje więcej, ponieważ uprawa roli wymaga o wiele więcej energii niż polowanie lub zbieranie owoców. Niektórzy wyspecjalizowali się w konkretnych uprawach. Potrzebna jest zatem umiejętność podejmowania trafnych decyzji. Na jakim obszarze stosować taką czy inną uprawę? Jaka strefa będzie najkorzystniejsza dla danej hodowli? Skończył się czas, kiedy myśliwi lub zbieracze w pełni byli uzależnieni od kaprysów przyrody. Rolnicy wykorzystują ją zgodnie z własnymi potrzebami. Karczują i wycinają lasy, a w ich miejsce zakładają pola i pastwiska.

Poprawia rudą czuprynę i podciąga rękawy, odsłaniając białe ręce.

– Pamiętajcie, że rolnictwo zawsze poprzedza hodowlę. Dlaczego tak się dzieje? Ponieważ początkowo domowe zwierzęta były tylko pasożytami, przychodzącymi do wioski, aby szukać pożywienia w pozostawionych przez ludzi śmieciach.

Ciekawe. Znaczą, że to nie człowiek wybrał kilka zwierząt, aby je udomowić, lecz same zwierzęta zdecydowały się towarzyszyć człowiekowi, licząc na pozostawione przez niego resztki.

– Jeśli jeden gatunek zwierząt żywi się pozostałościami innych, nazywamy go saprofitem. Człowiek jest saprofitem dla krowy, owcy, kozy. One same zaś odegrały podobną rolę, skubiąc młode roślinki lub też przyczyniając się do wycinania lasów albo do erozji gleb.

– A psy? – pyta jeden z uczniów.

– To skuszone naszymi odpadkami wilki, które uległy mutacji, żeby zostać zaakceptowane

przez człowieka. Stały się mniej agresywne, a bardziej skłonne do współpracy. To było w ich interesie, bo zwalniało je z męczącego obowiązku polowań.

– A koty?

– Rysie, które postąpiły w podobny sposób.

– A świnie?

– Dziki z apetytem na stopy naszych śmieci.

– A szczury? – pyta Proudhon.

– To jedyne saprofity, które nie podjęły pełnej współpracy z człowiekiem, kryjąc się jak złodzieje w swoich piwnicach. Wiedziały, że aby ludzie je tolerowali, muszą być ostrożne i dyskretne.

Demeter wraca do swojego biurka.

– Jednak w gronie saprofitów pojawiły się też nowe szkodniki. Zobaczycie wkrótce chmury szarańczy. Trzeba zauważyć, że szarańcza nie istniała przed pojawieniem się rolnictwa. Fakt uprawy tej samej rośliny na dużym obszarze spowodował szybkie rozmnażanie się jej konsumentów. Pojedynczy pasikonik jest nieszkodliwy, duża ich liczba na polach to prawdziwa plaga.

Bierze do ręki kredę i notuje, podkreślając kolejne wyrazy: „Praca”, „Wycinanie lasów”, „Specjalizacja”; na koniec znowu wraca do pojęcia „Przyszłość”.

– Niektóre z waszych ludów zrozumiały już zjawisko zmiany pór roku. Rolnictwo stanowi podstawę tego, co później wprowadzą ludzie: kalendarza będącego symbolem umiejętności mierzenia czasu. To kalendarz pozwolił człowiekowi lepiej zrozumieć, w jakim świecie żyje, że jest to świat nieustannych powtórzeń, w którym następują po sobie kolejno wiosna, lato, jesień, zima. Już nie boi się zronu, bo wie, że potem znowu przyjdą ciepłe dni.

Przychodzi mi do głowy, że pierwsze ludzie, widząc nadchodzącą zimą, musieli sądzić, że klimat ochładza się na dobre i już nigdy ich zmarznięte ciało nie zazna ciepła... Jakiej ulgi musieli doznawać z nadejściem wiosny.

– Dzięki kalendarzowi człowiek nauczył się określać swój wiek oraz wymyślił pojęcie urodzin.

Kiedy byłem jeszcze śmiertelnikiem, pewien pracownik opieki społecznej powiedział mi, że nie wystarczy dawać bezdomnym jedzenie, należałoby także pamiętać o ich urodzinach, ponieważ ta jedna data pozwala im zorientować się, w jakim momencie roku się znajdują. Zapisał więc daty urodzenia tych wszystkich, którymi się zajmowałem, i zawsze tego dnia dawał im w prezencie ciasto. Sposób był całkiem prosty, a zapewniał cząstkę człowieczeństwa istotom, które zdawały się tonąć. Stwierdziłem wtedy, że ten człowiek rzeczywiście myśli sercem, a nie zadawała się rzuceniem tu i tam miedziaka, by uspokoić swoje sumienie. Znowu ożywił w sercach kłoszardów poczucie czasu.

Bogini urodzaju ponownie podchodzi do „Ziemi 18”.

– Aby wasze rolnictwo dobrze się rozwijało, pomyślcie o budowie dróg, po których muły będą transportować zbiory z najbardziej oddalonych pól. Pamiętajcie o nawadnianiu tych pól, przekopując rowy doprowadzające wodę prosto z rzek. Najbardziej zaradni niech osuszą bagna. Jestem przekonana, że niektóre ludy poznały już problem komarów.

Wielu stojących obok mnie uczniów potakuje, mając w pamięci populacje zdziesiątkowane nagłymi atakami gorączki, której nie potrafiły wyleczyć.

– Z wprowadzeniem rolnictwa i hodowli przysotujecie się na galopujący przyrost naturalny w waszych wioskach. Dobrze odżywione matki będą wydawać na świat bardziej odporne dzieci, więc spadnie umieralność noworodków. Lepiej odżywione dzieci staną się silniejsze i będą dłużej żyły. W konsekwencji wasze wsie będą musiały się rozrastać lub trzeba będzie zakładać

następne. W obydwu przypadkach musicie wziąć pod uwagę groźbę konfliktów terytorialnych z sąsiednimi ludami. Przygotujcie się do wojen. Przeraziliście się bitew, w których uczestniczyły dziesiątki osób? To pomyślcie, że teraz będą ich setki, a nawet tysiące. Ze względu na rolnictwo, przyszłe wojny będą jeszcze straszniejsze. Wojownicy będą silniej zmotywowani, wiedząc, że walczą nie tylko o własne życie, lecz o przyszłość swoich dzieci na żyznych ziemiach.

Nasza nauczycielka wraca do tablicy i kreśli białą kredą cyfrę „5”, pogrubiając jej kontury.

– Jestem waszym piątym nauczycielem, nauczycielem „5” poziomu świadomości. Wiecie już, że „4” przedstawia człowieka, ale „5” to człowiek mądry, związany z niebem, lecz kochający ziemię. Z rozwojem rolnictwa, większą liczbą ludności, powstawaniem kolejnych miejsc, w których ludzie będą się spotykać, rozmawiać i zastanawiać wspólnie nad dotyczącymi ich sprawami, bez nieustannej obawy przed głodem i dzikimi zwierzętami, wiąże się powstanie nowego zjawiska: pojawienie się ludzi, którzy myślą, pierwszych ludzi wiedzących... Chronicie ich, umożliwicie im porozumiewanie, aby ich mądrość sięgała jak najdalej. Niech wasi ludzie stopniowo wyzbywają się strachu. Dobrą rzeczą może okazać się wprowadzenie do ich umysłów pojęcia przyszłości. Niech tworzą plany, karmią się nadziejami, mają swoje ambicje.

Demeter wskazuje na naszą planetę:

– Następną partia będzie rozstrzygająca. Dzięki rolnictwu, religii, kalendarzowi wszystko nabierze zupełnie innego wymiaru. Wasze ludy osiągnęły dojrzałość na poziomie pięcioletniego dziecka, zaś większość psychoterapeutów uważa, że w wieku 5 lat rozgrywa się wszystko, co najważniejsze. Patrzcie więc wnikliwie.

Nie wahajcie się rozwijać i zmieniać zachowanie waszych ludów. Ułatwi im to adaptację i przyjmowanie postaw przeciwnych do tych, które ich dotychczas motywowały.

Edith Piaf podnosi rękę.

– Proszę pani, jeśli jednak zmienimy mentalność naszych poddanych, mogą poczuć się zupełnie zagubieni!

Demeter siada, wzdycha ciężko, gładząc fartuch swymi pięknymi dłońmi:

– Chwilami zastanawiam się, czy wszystkie ludzkie nieszczęścia nie wynikają z braku wyobraźni bogów-uczniów, których zadaniem jest im pomagać.

82. ENCYKLOPEDIA: KALENDARZ

Pierwsze kalendarze: babiloński, egipski, hebrajski i grecki były kalendarzami lunarnymi, ponieważ łatwiej zaobserwować cykle księżycowe niż cykle słoneczne. Jednak trudno znaleźć w tych kalendarzach regularność.

Egipcjanie pierwsi zdecydowali się zrezygnować z obliczania czasu na podstawie miesięcy księżycowych. Ustalili, że miesiąc składa się z 30 dni, rok zaś z 12 miesięcy, czyli 360 dni. Jednakże tak wyznaczony okres roku był zbyt krótki. Dlatego postanowili do każdego dwunastego miesiąca dodawać 5 dni. Kalendarz hebrajski początkowo również był kalendarzem księżycowym, jednak później obliczano go na podstawie faz Słońca. Król Salomon mianował dwunastu generałów, z których każdy odpowiadał za jeden z miesięcy. Rok rozpoczynał się miesiącem, w którym dojrzewał owies. Po 3 latach zaczynało brakować jednego miesiąca w stosunku do cyklu zmian pór roku. Braków uzupełniano, podwajając jeden miesiąc na rozkaz władcy.

Nowoczesny kalendarz muzułmański zrezygnował ze zwyczaju dodatkowego miesiąca i jest oparty na klasycznej zasadzie roku księżycowego utworzonego z 12 miesięcy, składających się z 29 i 30 dni.

Kalendarz Majów dzielił rok na 18 miesięcy po 20 dni oraz 5 dni dodatkowych. Te ostatnie uważano za dni złej wróżby. W środku swojego kalendarza wpisali Majowie datę zniszczenia świata przez ogromne trzęsienie ziemi, którą określili na podstawie zapisów o wcześniejszych zjawiskach sejsmicznych. Tradycyjny kalendarz chiński to cykl 19 lat. 12 lat po 12 miesięcy księżycowych, z których każdy liczył 30 dni, oraz 7 lat składających się z 13 miesięcy. Ten system okazał się najbardziej dokładny, od dwóch tysiącleci umożliwiając bezbłędne obliczanie dni.

Edmond Wells,
Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

PLEMIĘ OS

Na ich totemie była osa.

W ciągu kilku lat ten stuczterdziestoczeroosobowy szczep rozrósł się do plemienia uczącego siedmiuset sześćdziesięciu dwóch osobników. Wiele nauczyli się od os. Kiedy napadały ich inne koczownicze plemiona, używali w walce broni wzorowanej na naturalnej broni ich ulubionego owada: zatrutym żądle. Po kilku próbach udało im się nasączyć groty sokiem z trujących roślin. Ludzie-osy zastanawiali się następnie, w jaki sposób wysyłać strzałki na odległość. W ten sposób wymyślili dmuchawkę.

Ludzie ze szczepu os dużo podróżowali. Obserwowali też postępowanie innych szczepów. Widzieli, jak w oddali członkowie innych ludów chronią się w jaskiniach. Poszli więc ich śladem. Widzieli ludzi rozpalających ognie i zaczęli ich naśladować. Jednak nadal unikali wszelkiego kontaktu z nimi.

Szczep os stawał się coraz liczniejszy. W końcu stał się plemieniem, opuścił jaskinię i zamieszkał w szałasach zbudowanych w samym centrum otoczonej wzgórzami doliny.

Mijały pokolenia, a w każdym następnym kobiety wydawały na świat coraz więcej dzieci płci żeńskiej. Aż w końcu na czele plemienia os stanęła kobieta. Była mądrzejsza od innych i lepiej wiedziała, do czego dąży. Członkowie plemienia zaobserwowali, że w gnieździe os są jedynie samice, natomiast samce potrzebne są tylko do rozmnażania, a kiedy spełnią swoje zadanie, zostają uznane za trutnie i wypędzone z gniazda. Plemienne kobiety zdecydowały, że będą postępować tak samo. Mężczyźni dostawali pożywienie do dnia, w którym posłużyli jako reproduktorzy, a następnie zostawali wygnani.

Powtarzane corocznie zachowanie stawało się obyczajem. Kiedy chłopcy osiąkali wiek, w którym zdolni byli do prokreacji, zapładniali kobiety i odchodzili. Nie wolno było wracać im do plemienia, więc błądzili wśród przyrody i najczęściej umierali.

Obserwacja os nauczyła kobiety nie tylko matriarchatu oraz wykorzystania żądla, ale także budowania sztucznych gniazd, równie trwałych jak jaskinie. Na wzór owada-totemu, kobiety-osy przeżuwały kawałki drewna, aż do uzyskania spoiwa, z którego budowały ściany. Jednak substancja powodowała ból szczęki, jej wytwarzanie zabierało dużo czasu, a poza tym szybko zajmowała się ogniem. Postanowiły więc ją ulepszyć, mieszając ze sobą różne rodzaje piasku, glinę oraz torf. W ten sposób budowały okrągłe domy, chroniące przed deszczem, wiatrem oraz oszczepami nieprzyjaciół. Kobiety z plemienia nauczyły się od os doceniać wartość wysoce energetycznego pożywienia: miodu. Zaczęły więc hodować pszczoły, żywiąc się ich miodem, lecz także wykorzystując kit pszczeli oraz wosk jako spoiwo, zaprawę, antybiotyk, środek dezynfekujący na otwarte rany i jako łakę. Dzięki temu wytwarzały szczelne naczynia, a ich pochodnie płonęły dłużej.

Wielu wygnanych mężczyzn próbowało wrócić do wioski, wskutek czego kobiety-osy zmieniły swój stosunek do nich. Chcąc im oszczędzić cierpienia związanych z błakaniem się po świecie, już przy narodzinach eliminowały dzieci płci męskiej. Odtąd każdego roku w dniu nazywanym „Świętem Rozmnażania” szły zapolować na obcych mężczyzn. Komando wojowniczek atakowało w nocy inne plemię, porywało mężczyzn, zabijając tych, którzy stawiali opór, a następnie wracało do wioski z cennym stadem rozplodowych samców. Obcych mężczyzn trzymano w zamknięciu, przydzielając kolejno kobietom według roli, jaką odgrywały w życiu

plemienia. Najlepsze wojowniczkę miały pierwszeństwo wyboru kochanków. Karmiono ich i pielęgnowano, następnie urządzano orgiastyczne święta, podczas którego „zbierano” ich nasienie. Potem mężczyźni wyrzucano i zmuszano, aby wrócili do swego rodzinnego plemienia. Jednak pojawiał się problem: zdarzało się często, że mężczyźni zakochiwali się w swoich seksualnych partnerkach i błagali, aby te pozwoliły im pozostać.

Początkowo kobiety-osy zabijały ich, postępując podobnie jak ich owadzie siostry z trutniami. Jednak potem doszły do wniosku, że intruzi mogą być dla nich przydatni. Zgodziły się na pozostanie wśród nich najinteligentniejszych, pod warunkiem, że w podzięce za ich dobroć będą pracować dla polepszenia życiowych warunków szczerpu. Tym sposobem mężczyźni porwani z plemienia ludzi-mrówek nauczyli je rolnictwa, ludzkie-konie hodowli, a ludzie-pająkę tkactwa.

Po przekazaniu kobietom danej wiedzy niewiele czasu mieli mężczyźni na odpoczynek. Szybko musieli prezentować następne odkrycie, w przeciwnym wypadku groziło im wygnanie lub śmierć. Więźniowie łamali sobie głowy, wymyślając kolejne rzeczy, które czyniły z nich osoby niezbędne. Około dziesięciu szczególnie poświęcających się rolnictwu lub wytwarzaniu narzędzi zostało uznanych za „permanentnych naukowców”. Powstało nawet kilka małżeństw, które tolerowano, ponieważ mężczyźni okazali się niezwykle pomyslowi.

Wojownicze amazonki zrozumiały także, że w interesie plemienia leży zatrzymanie niewielkiej grupy mężczyzn-reproduktorów, na wypadek gdyby któreś z ich polowań okazało się bezowocne.

O dziwo, kiedy mężczyźni odkryli reguły gry, wcale się nie zbuntowali, ale przypuścili inteligentny atak, chcąc udowodnić, że ich obecność jest słuszna. Ponieważ byli bardzo zmotywowani, rozwijali swoją wiedzę. Oczywiście ci, którzy zbyt szybko się jej wyżyli, stawali się bezużyteczni i traciли życie. Pozostali wyciągnęli z tego wniosek, że aby zyskać na czasie, wiedzę należy dawkować.

Dzięki tym nietypowym, ale skutecznym metodom, zbudowana z lepierek wioska kobiet-os rozrosła się, a ich rolnictwo rozwinęło się tak bardzo, że nie musiały już zajmować się polowaniem ani zbieractwem. Umiejętność tkania, której nauczyli je mężczyźni-pająkę, sprawiła, że zaczęły nosić nie tylko ubrania ze skór zwierząt, ale także z materiału. Nawet uprawiały bawełnę, zapewniając sobie dostateczną ilość roślinnych włókien. Jeden z mężczyzn pokazał im, jak farbować tkaniny za pomocą barwników uzyskiwanych z niektórych kwiatów oraz krwi owadów.

Jeniec z plemienia ludzi-pająków pokazał im nową broń. Teraz oprócz dmuchawki miały także łuk, czyli przedmiot umożliwiający wypchnięcie strzały za pomocą sznura. Najlepszym sposobem na to, by ją wystrzelić daleko, było zaczepienie sznurka na włóczni, napięcie go, a następnie puszczenie. Okazało się, że strzelając z łuku, można celować skuteczniej niż w przypadku strzelania z dmuchawki, ponieważ umożliwiał on przykładanie oka na osi lotu strzały. Kobiety-osy doceniły wynalazek tak bardzo, że w nagrodę każdej nocy kilka z nich odwiedzało posłanie wynalazcy.

Amazonki utworzyły konną drużynę, wyposażoną w łuki i zatrute strzały. Chcąc ulepszyć celność swoich strzałów, niektóre z nich decydowały się na usunięcie jednej piersi. Mogły więc zaatakować nawet silnie uzbrojone plemiona i bez problemu zdobywać nie tylko mężczyzn-reproduktorów, ale i inne drogocenne łupy.

Tymczasem wynalazca łuku zapragnął po raz kolejny zwrócić na siebie uwagę, by móc znowu skorzystać z miłosnych nocy w towarzystwie najpiękniejszych kobiet. Pewnego wieczoru, pociągając palcem po napiętym sznurze łuku zauważył, że wydaje on dźwięk, którego brzmienie zmienia się w zależności od wymiarów przedmiotu. Umieścił więc obok siebie kilka łuków różnej

wielkości, wygrywając na nich melodię. Następnie stwierdził, że o wiele prostsze wydaje się umieszczenie kilku sznurków na tym samym luku. I tak powstała siedmiostrunowa harfa. Od tego czasu mężczyzna nie musiał trudzić się wymyślaniem kolejnych wynalazków. Kobiety przepychały się między sobą, aby móc zająć miejsce u jego stóp i słuchać dźwięcznych fraz płynących z instrumentu o siedmiu strunach. Mężczyzna stał się „dożywotnim rezydentem” w plemienu kobiet-os. To on odkrył muzykę.

PLEMIĘ SZCZURÓW

Plemię ludzi-szczurów liczyło teraz tysiąc sześciuset pięćdziesięciu sześciu osobników. Przeniosło się na północ, spotykając po drodze inne ludy, które atakowało i zwyciężało.

Zachowali pamięć o tym, którego nazywali pierwszym przywódcą, legendarnym człowieku, który obserwując szczury zrozumiał, że aby się rozwijać, trzeba atakować innych ludzi, czynić ich poddanyymi oraz zabijać. A każdy kolejny przywódca otrzymywał jako symbol swej władzy to samo futro czarnego szczura.

Pierwszą strategią ich ataku było otoczyć wroga, jednak kolejne wojny przyniosły pomysły na coraz to nowe i bardziej złożone metody postępowania. Potrafili zastawiać zasadzki na koczownicze plemiona, przenikać do nich, żeby zabić przywódcę lub też nękać grupę, uderzając od tyłu.

Po wygranej bitwie dokonywali selekcji pokonanych. Najpierw przywódca i najmłodszy, najlepszy wojownik. Potem najpiękniejsze i najbardziej płodne kobiety. Dalej mniej bohaterscy wojownicy. W końcu starcy oraz brzydkie kobiety. Tę grupę uśmiercano od razu. Początkowo zabijali wszystkich pojmanych mężczyzn, ale po pewnym czasie ludzie-szczury zrozumieli, że lepiej zrobić z nich niewolników, którym powierza się wymagające największego wysiłku prace. Nosili jarzma, czyścili konie, a najlepsi zyskiwali czasami prawo dołączenia do grupy, ale tylko po to, żeby w pierwszym szeregu atakować przeciwnika.

Wielki przywódca trzymał w worku czaszki nieprzyjacielskich dowódców, z których wyjadł mózgi, a podczas postojów lubł stawić je wokół swojego posłania, aby przypominały mu ciężkie bitwy znaczące szlak jego wędrówki.

Zawładnąwszy jakimś nowym szczepem, ludzie-szczury nie tylko brali w posiadanie jego ludzkie stado, ale także posiadaną technologię.

Uznali, że wszyscy, którzy nie należą do ich plemienia, to „obcy”; dzielili ich na „obcych silniejszych”, „obcych równie silnych”, „obcych słabszych” oraz „obcych, których siły są nieznanne”.

Ludzie-szczury wykształcili mowę opartą na stosowanej przez nich taktyce prowadzenia walki. Początkowo były to tylko gwizdy, podobne do tych, jakie wydają szczury. Stopniowo gwizdy zaczęły przechodzić w krzyki, potem w krótkie wyrazy, którymi sygnalizowano najlepszą pozycję do zastawienia pułapki. Ilość nowych słów wzrosła na potrzeby ataku i niebawem najwyżej postawieni w hierarchii wojownicy znali największą liczbę słów, w szybki sposób określających daną taktykę. Oczywiście ani kobiety, ani niewolnicy nic nie rozumieli z tej tajemnej mowy.

Pewnego dnia w świetle błyskawic ujrzeli plemię zamieszkujące jaskinię, której wejście ozdobił rysunkiem przedstawiającym żółwia. Droga wiodąca do grotu osłonięta była kamiennym murem, tworzącym ochronny szaniec, tak wysoki, że powietrze napływało tylko górą.

Przywódca ludzi-szczurów rozkazał natychmiast, aby mu przyniesiono żółwia. Pokazał zwierzę swoim wojownikom, zwracając ich uwagę na to, w jaki sposób chowa głowę w pancerzu.

Z noszonego na głowie szczurzego filtra wyjął długi kiel i wbił go w otwór, w którym zniknęła łapa żółwia. Początkowo nic się nie działo, jednak po chwili ząb natrafił na ciało a z otworu zaczął się sączyć mętny, lepki płyn. Przywódca wziął go do ust, delektując się nim jak jakimś wybornym sokiem, podczas gdy zachęcani radosnymi piskami kobiet wojownicy wydali znany im wojenny okrzyk.

Następnego dnia raniem, kiedy słońce było już wysoko na niebie, ludzie-szczury zatknęli swoje oszczepy w otworze nad murem wiodącym do jaskini.

Gdy tylko pierwsza włócznia uderzyła w ich kryjówkę, ludzie-żółwie odpowiedzieli gradem kamieni. W obydwu obozach zaczęto liczyć zabitych.

Kamienie przeciw włóczniom. Śmierć każdego przeciwnika wzbudzała okrzyki radości w nieprzyjacielskim obozie.

Nazajutrz i kolejnego dnia bitwa trwała nadal. Ludzie-szczury zrozumieli, że oprócz wojny z zaskoczenia, można prowadzić także wojnę niszczyliską.

Ludziom-żółwiom nie brakowało jeszcze wody pitnej, ale zapasy żywności były na wyczerpaniu. Zjedli już nietoperze, robaki, węże, pająki, ślimiki. Dzieci płakały. Mężczyźni strzelali mniej celnie, bo głód powodował halucynacje. Na próżno szukali innego wyjścia. Byli uwięzieni.

Tak jak żółw w swoim pancerzu.

W chwili, gdy kolejny atak ludzi-szczurów został odparty za pomocą gradu kamieni, przez niebo przetoczył się grzmot.

A już po chwili kolejne pioruny zaczęły uderzać w skały, niszcząc ochronny mur ludzi-żółwi. Ludzie-szczury natychmiast przypuścili atak i już niemal bez walki odnieśli zwycięstwo nad grupką wygodniałych ludzi-żółwi.

Mózg przywódcy zwyciężonych został zjedzony, a jego czaszka dołączyła do znajdującej się w worku kolekcji. Wychudzone z braku pożywienia kobiety uznano za „nieprzydatne” i uśmiercono, a mężczyzn zabito za zbyt długie stawianie oporu. Tym, co zaskoczyło ludzi-szczurów, był ciągle płonący w jaskini ogień.

Przywódca rozkazał, aby jedna z ocalałych kobiet wyjaśniła jego działanie. Zastraszona kobieta spełniła żądanie. Od tego czasu ludzie-szczury delektowali się pieczonym mięsem, z zachwytem patrzyli na oświetlenie jaskini, ciepło oraz zdolność ognia do zmieniania wszystkiego, czego się dotknie.

To było wielkie święto ludzi-szczurów. Jednak teraz, kierowani przez pioruny, wyruszyli na podbój kolejnych ludów.

Po forsownym marszu dotarli do plemienia ludzi-koni. Zaatakowali ich nocą. Płonące pochodnie ludzi-szczurów przeraziły konie, uniemożliwiając ludziom skuteczną obronę.

Od tego dnia ludzie-szczury posiadali kawalerię: wojowników na koniach, uzbrojonych we włócznie oraz żarzące się głownie. Teraz nie było już nic prostszego, niż napaść na ludzi-krety, których można wykurzyć dymem z podziemnych tuneli. Nauczyli się od nich drążenia korytarzy w kopalniach i wydobywania metali, które następnie przetapiali, a potem wykuwali z nich miecze.

Plemię ludzi-szczurów rozwijało się coraz bardziej, a jego populacja wzrosła do dwóch tysięcy osób. Ale walka o władzę stawała się wśród nich coraz większa, pojedynki coraz bardziej zaciekle, a wielki przywódca musiał być najbardziej ze wszystkich przebiegły.

Ustaliła się pewna określona hierarchia. Na czele stał przywódca, któremu podlegali baronowie i hrabiowie. Za nimi stali kapitanowie i żołnierze. Potem wyrabiający z metali broń kowale, dalej stajenni, kobiety, obcy niewolnicy i na końcu pojmane obce kobiety, traktowane jak niewolnice.

Wyżej postawiona w hierarchii kasta decydowała o życiu lub śmierci członków niższych kast. Każda z nich wykształciła własną mowę. Kasty wyższe używały zwrotów, które tylko one mogły rozumieć. Wystarczyło więc zwrócić się do kogoś, żeby móc natychmiast określić, czy jest wyższy, równy, czy też niżej postawiony w społecznej hierarchii. I odpowiednio go traktować. Bowiem brak szacunku dla wyższych od siebie mógł z łatwością skończyć się śmiercią.

Status kobiet zmalał. Każdy mężczyzna należący do wyższej kasty miał prawo posiadać kilka kobiet, które pozbawiono jakiegokolwiek możliwości decydowania o sobie.

W szcurzym systemie wartości kobiety były tylko źródłem zaspokajania popędu seksualnego oraz materiałem reprodukcyjnym, potrzebnym do odnawiania stada. Edukacja młodych polegała na nauce sztuki wojennej. Najmniej zdolnych odsuwano do pracy w stajni, co stanowiło ogromny wstyd dla ich rodziców.

Kiedy nie było bitew, wojownicy ćwiczyli się w jeździe konnej oraz zajmowali myślistwem, uważając te zajęcia za pożyteczne dla dzieci.

Im bardziej wzrastała liczba członków plemienia, tym bardziej rosła wśród wojowników pogarda dla kobiet oraz cudzoziemców. Chcieli, aby kobiety wydawały na świat wyłącznie synów, którzy byli dla nich źródłem dumy. Odrzucali zaś dziewczynki, uważając ich narodziny za poniżające. Zwyczajem stało się zabijanie każdej zaraz po urodzeniu, jeśli w rodzinie znajdowała się już jedna.

W końcu na swojej drodze ludzie-szczury napotkali chłopskie osady. Złupili je i zniszczyli, ale od ich mieszkańców nauczyli się rolnictwa. Plemię myślało o tym, żeby się osiedlić, jednak doszło do wniosku, że nawet ufortyfikowana wioska jest łatwym łupem dla oblegających ją nieprzyjaciół, dlatego zdecydowali, że pozostaną ludem wędrownym.

Sława o ich okrucieństwie sięgała daleko, więc inne ludy wołały poddawać się nawet bez walki. Takie zachowanie stanowiło zawód dla ludzi-szczurów i nasilało ich agresję. Szukali więc kogoś, kto chciałby im stawić prawdziwy opór, bo te wszystkie zbyt łatwe zwycięstwa wywoływały u nich uczucie stagnacji. Czuli, że już nie idą naprzód. Zniszczywszy wszystko, co było na ich drodze, dowiedzieli się pewnego dnia, że w okolicy znajduje się inne plemię uznanych wojowników, nazywanych ludźmi-orłami. W nadziei, że przynajmniej oni nie poddadzą się bez walki, wyruszyli na poszukiwanie przeciwnika. Przemierzali wzdłuż i wszerz okolicę, ale nie natknęli się na żadnego z legendarnych wojowników.

Wtedy zrezygnowali skierowali się na zachód, a potem na południe, gdzie według znaków błyskawic, w niewielkiej zatoczce osiedlił się wysoce rozwinięty lud.

PLEMIĘ DELFINÓW

Ze stu czterdziestu czterech osób plemię delfinów wzrosło do trzystu siedemdziesięciu.

Niewiele dzieci przychodziło na świat, za to dużo czasu poświęcano na ich edukację. Program nauczania obejmował naukę pływania, łowienia ryb na ciosany z kości haczyk, pływanie na tratwie z pomocą wiosel. Żywili się rybami, których ławice wskazywali im ich przyjaciele, delfiny. Jedli też skorupiaki, muszle i algi.

Walenie chętnie zabawiała się z dziećmi, zabierając je na morskie wycieczki, a potem odwołując z powrotem bezpiecznie na plażę. Niektórym młodym ludziom udało się nawiązać tak bliski kontakt z delfinami, że potrafili porozumieć się z nimi za pomocą wysokich, modulowanych dźwięków.

Ta umiejętność zanikała w okresie przechodzenia mutacji kiedy głos nie mógł już osiągnąć

tak przenikliwych dźwięków. Ludzie-delfiny zachowali swoje przymierze z ludźmi-mrówkami. Ci ostatni zbudowali nieco dalej swoje podziemne miasto, zwieńczone wystającą na powierzchnię kopułą.

Ludzie-mrówki i ludzie-delfiny tworzyli razem wspólnotę liczącą osiemset dziewięćdziesiąt osób. Podobnie jak mózg, ich społeczność podzieliła się na dwie części: prawą półkulę stanowili ludzie-delfiny, marzyciele i poeci. Lewa półkula to ludzie-mrówki, posiadający zmysł praktyczny oraz dobry strateg.

Każde plemię samodzielnie ulepszało swoje umiejętności, a następnie dzieliło się wiedzą z drugimi. Wymieniali grzyby na skorupiaki oraz ryby, uczyli tkactwa w zamian za naukę pływania.

Ludzie-mrówki ulepszyli swoją umiejętność tkania, wykorzystując larwy owadów jako czółenka.

Ludzie-delfiny zaczęli wyrabiać sieci o dużych oczkach, które z łatwością można było włożyć pod wodę.

Porozumienie pomiędzy ludami przetrwało próbę czasu i dawało coraz lepsze owoce.

Żyjąc w pokoju, dwa plemiona rozwijały sztukę, która na pierwszy rzut oka zdawała się zupełnie bezużyteczna. Ludzie-delfiny tworzyły polifoniczne chóry, w których ludzie i delfiny wiodły polifoniczne rozmowy.

Mrówki hodowały w mrowiskach mszyce, a następnie doily je, otrzymując w ten sposób spadź chroniącą przed ich największym wrogiem – biedronką. Ludzie-mrówki też zabrali się za hodowlę. Najpierw sznurów, potem nutrii, lecz nie odpowiadał im smak tego mięsa, więc zastąpili je przez antylopy i dziki. Ponieważ zwierzęta te potrzebowały światła, umieścili je w zagrodach na świeżym powietrzu, gdzie rosła trawa i owoce.

Potem zaczęli je doić, tak jak robią to mrówki z mszycami, i otrzymywali smaczne mleko. Nie przestawali iść z postępem. Budowane poza podziemnymi miastami grzybiarnie marniały, więc zaczęto interesować się innymi roślinami, a przede wszystkim zbożami. Działając początkowo na oślep, jak to miało miejsce w przypadku zwierząt, próbowali siać ziarna i w ten sposób odkryli pszenicę, która okazała się łatwa do uprawy, a po zgnieceniu jej kłosów otrzymywało się mąkę.

Ludzie-mrówki i ludzie-delfiny stworzyli wspólny język, złożony z sześćdziesięciu trzyliterowych wyrazów, których sens można było zmieniać poprzez dodanie przedrostków i przyrostków. Komunikacja stała się więc łatwiejsza i mniej narażona na nieporozumienia.

W liczeniu posługiwali się palcami, najpierw tylko do dziesięciu, a potem do dwudziestu, wykorzystując paliczki. Obserwowali niebo, odróżniając na nim światła stałe, czyli gwiazdy i światła ruchome, czyli planety.

Za pomocą białego w ziemię kija, którego wyznaczany przez słońce cień obserwowali ich uczeni, określali cykle pór roku. Ale przede wszystkim obserwacja księżyca pozwoliła im stworzyć pierwszy kalendarz. Dla ludzi-delfinów zaznaczono w nim, kiedy które gatunki ryb wracają na wybrzeże, a dla ludzi-mrówek – kiedy siać i zbierać pszenicę.

Nawiązały się nowe koalicje z przechodzącymi ludami. Od ludzi-kameleonów nauczyli się sztuki kamuflażu, od ludzi-ślimaków malarstwa i wykorzystania pigmentów. Z siarki otrzymywali kolor żółty, żeby otrzymać czerwony – rozgniatali koszenile, dla barwy niebieskiej miażdżyli niezapominajki, zaś skały manganowe dostarczały im czerni.

Niektórzy ludzie-delfiny płynęli tratwami wzdłuż wybrzeży, odkrywając świat.

Dzięki temu właśnie dowiedzieli się, że z północy nadciąga plemię, nazywane ludźmi-szczurami, których uważa się za potwory i którzy posiadają nieznaną broń. Zdołali unicestwić wiele ludów i szacuje się, że dotrą na ich terytorium przed upływem miesiąca.

Wtedy ludzie-delfiny i ludzie-mrówki połączyli swoje siły. Dotychczas doświadczali tylko kilku potyczek z bandami rozbójników, których z łatwością przegrali za pomocą kijów i kamieni. Ale jak stawiec czoła doświadczonemu wojownikom, skoro sami nie posiadają żadnej skutecznej broni? Zaproponować najeźdźcom przymierze? Nawet nie warto było o tym myśleć. Napotykanie koczownicze szczepy opowiadały im ze zgrozą, że ludzie-szczury wolą zabijać i łupić, niż rozmawiać.

Powiało strachem.

Tej samej nocy stary mężczyzna-delfin miał dziwny sen.

Zobaczył ludzi zdecydowanych uśmiercić jego plemie, ale ono zdołało uciec na pokładzie wielkiej tratwy w kształcie migdała, której kadłub zanurzony był w wodzie. Górna część pływającego obiektu przybrana była szeroką połącją płótna, w które uderzał wiatr. Dzięki temu urządzeniu wielu z nich udało się wypłynąć na pełne morze.

Opowiadając nazajutrz zgromadzeniu swój sen, starzec okazał się wielce przekonujący. Dwa ludy postanowiły wspólnym wysiłkiem zbudować supertratwę, która mogłaby ich wszystkich uratować.

Drewniany kadłub, kształt migdała, wszystko tak jak we śnie starego mężczyzny. Wszyscy pomagali w budowie. Wybrano długie, proste drzewo, aby zaczepić na nim płótno. Zasadę działania zrozumiano dopiero wtedy, gdy powiał wiatr, popychając statek wzdłuż wybrzeża.

Następnej nocy starzec zobaczył we śnie, jak zbudować ster. I tak każda kolejna godzina snu dostarczała mu nowych pomysłów na ulepszenie statku. Idąc za jego radą, nasypało do środka ziemi, na której posiano pszenicę oraz posadzono grzyby. Wykonano zagrodę, w której znalazły się guźce i antylopy, mające dostarczać mleko podczas czekającej ich podróży, której długości nikt nie był w stanie przewidzieć.

Byli i tacy, którzy nie chcieli nigdzie płynąć, lecz szli sami wzdłuż brzegu, aż znaleźli bezpieczne miejsce. Jednak stary człowiek oświadczył, że w swoim śnie wszędzie widział agresywnych ludzi, byli na północy, na południu i na wschodzie, a jedynie zachód i szeroki ocean obiecywały ratunek.

Dzień i noc ludzie-delfiny i ludzie-mrówki zmagali się z budową statku. Każdego ranka z niepokojem oczekiwali przyścia starca przynoszącego nowe wskazówki.

Jednak pewnego ranka okazało się, że zmęczone serce medium nie wytrzymało i staruszek umarł. Wszyscy poczuli ogromny zawód. Przecież całe ich działania związane były z jego wskazówkami. Przyzwyczaili się, że każdy ich problem rozwiązywał w swoich snach. Teraz pozostali sami w obliczu morza, a nadejście ludzi-szczurów wydawało się nieuniknione.

Wtedy starsza kobieta z plemienia ludzi-mrówek zrozumiała, że musi coś zrobić. Siedząc na stercie desek, wytłumaczyła zebranim, że najważniejsze to postępować według ostatnich wskazówek starego mężczyzny: wzmocnić statek, zgromadzić na nim jak najwięcej żywności, zabrać sieci rybackie i haczyki, zapasy słodkiej wody oraz przewidzieć zapasowe płótno. Po chwili wahania posłuchano jej. Wtedy kobieta przypomniała im, że stary mężczyzna był kimś wyjątkowym i nie wypada zostawić jego ciała wśród śmieci, jak to robiono w przypadku innych zmarłych. Wiedziona jakimś przecuciem, kazała pogrzebać go w ziemi, w najgłębszym osiedlu ludzi-mrówek.

Sam pomysł był nowością. Niemniej przyjęli go jednogłośnie. Zanieśli zwłoki byłego przewodnika do wnętrza mrowiska, nakrywszy je rzadkimi muszlami. Potem zaczęli dmuchać w muszle, tworząc żalobny śpiew.

W tej samej chwili z zewnątrz osady odpowiedziały im inne muszle. Straże! Właśnie zauważyły chmurę kurzu utworzoną przez olbrzymie plemie najeźdźców.

Ludzie-delfiny i ludzie-mrówki rzucili się, by zagrozić drogę napastnikom, ale było już za

późno. Siedzący na koniach ludzie-szczury, z pochodnią w jednej ręce a włócznią w drugiej, palili wszystko, co stało im na drodze.

Zrozpaczona kobieta-mrówka zdołała tylko krzyknąć: „Wszyscy na statek”!

W całkowitym bezładzie kilkuset ocalałych dopłynęło do statku. Ludzie-szczury nie spostrzegli od razu, że to ucieczka, więc okręt z postawionym żaglem szybko nabierał prędkości, kierując się na pełne morze. Nagle rozległ się grzmot, a wiatr ustał. Statek zatrzymał się unieruchomiony. Pokonując swój strach przed wodą, ludzie-szczury wsiedli na pozostawione na brzegu małe tratwy i zaczęli wiosłować w kierunku statku.

Zapalone włócznie dosięgły dużego okrętu, a pozbawieni broni ludzie mogli tylko gasić zarzewia pożaru.

Zaczęła zapadać noc, a bitwa trwała. Nagle kobieta-mrówka zarządziła nie znoszącym sprzeciwu tonem, żeby z przodu statku rzucić pętlę. Podpłynęły do nich delfiny i zaciągnęły statek na szerokie morze, dokąd tratwy nie mogły już ich ścigać.

Wreszcie bezpieczni, wyrzucili ciała zabitych i policzyli ocalałych. Na statku było ich zaledwie trzydzieści razy osiem, czyli dwustu czterdziestu. Tych, którzy pozostali na łądzie, czekał los, jaki zwykle ludzie-szczury gotowali zwyciężonym: śmierć lub niewolnictwo. Niewielu było takich, którzy się poddali, a bardzo wielu zabitych. Ludzie-delfiny i ludzie-mrówki zbyt długo żyli wolni, aby móc znieść jarzmo niewolnictwa.

Ludzie-szczury złupili zbudowane na palach domy, potem podłożyli ogień. Chcieli także spalić kopułę miasta ludzi-mrówek, ale ziemia nie chciała się zapalić. Gdzieś tam głęboko, w pustej metropolii, wśród muszli spoczywało w pokoju ciało starego mędrca.

84. ENCYKLOPEDIA: CEREMONIALNE POCHÓWKI

Pierwsze obrzędy pogrzebowe pojawiają się dopiero u człowieka nowoczesnego, czyli *Homo sapiens*, około 120 000 lat temu. Takie groby odnaleziono w Qazfeh w Izraelu, nad Morzem Martwym. Archeolodzy wydobyli szkielety oraz przedmioty należące prawdopodobnie do zmarłych.

Ceremonie pogrzebowe stały się przyczynkiem do stworzenia wyobrażeń dotyczących życia po śmierci, pojęć raju i piekła, sądu nad doczesnym życiem, a następnie do powstania religii. Jak długo człowiek wyrzucał zwłoki swoich pobratymców na śmieci, tak długo śmierć była końcem wszystkiego. Z chwilą rozpoczęcia specjalnego traktowania ciał zmarłych, powstała nie tylko duchowość, ale także fantastyczny świat wyobrażeń.

Edmond Wells,
Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

85. BILANS DEMETER

Kiedy Demeter włącza światło, mrużymy oczy, mając wszyscy wrażenie, że właśnie wyrwaliśmy się z jakiegoś straszego koszmaru. Nie chcę odpaść z gry. Czuję się sfrustrowany i niespełniony. Znam to uczucie z czasów, gdy grywałem w pokera: oczekiwanie, ucisk w żołądku zanim pozostali gracze wyłożą swoje karty.

„Dobry gracz to ten, kto potrafi wygrać, mając złe karty” – mawiał Igor, mój „klient” w czasach, kiedy byłem aniołem.

Teraz mam dwieście czterdzieści kart. I niemal wszystkie znam z imienia. Hermes miał rację. W końcu przywiązaliśmy się do ludzi. Wydaje mi się, że Edmond jest w podobnym stanie jak ja.

Najbardziej niepokoi mnie fakt, że historia mojego ludu będzie toczyć się dalej, a ja w żaden sposób nie będę mógł w nią ingerować. A przecież są pozbawieni wszystkiego... Nie mają swojej osady, terytorium. Pozostała im tylko ta kupa desek, którą wiatr przesuwa na środku oceanu. Co się z nimi stanie przed kolejną partią gry? Obawiam się, że ten czas może być dla nich fatalny. Jednak Demeter okazuje się formalistką. Na razie musimy pozostawić nasze ludzkie plemiona własnemu losowi. Wrócimy do Gry Y jutro. Dopiero jutro.

Ile minie u nich dni, tygodni, miesięcy, gdy ja będę spokojnie spał w mojej willi?

Obgryzam nerwowo paznokcie. W rzędach wybuchają dyskusje. Bogowie-uczniowie wyrównują rachunki związane z wojnami, masakrami, zradami... Ja z chęcią zabrałbym się za Proudhona, który unicestwiwszy należących do Beatrice ludzi-żółwi, zmusił mnie do wysłania mojego ludu w nieznaną na tym prowizorycznym statku. Ale ponieważ Edmond Wells zachowuje zimną krew, ja też się powstrzymuję. Po co się skarżyć? W końcu wiem dokładnie, co odpowiedziałby mi anarchista: „Życie to dżungla. Wygrywa najlepszy”. I dodałby: „Biada zwyciężonym”. Krótkie zdania, usprawiedliwiającej najgorsze okrucieństwo.

Czy żałuje się zбитych podczas gry w szachy figur?... Jednak chciałbym znaleźć się w tamtym świecie, żeby im pomagać moimi dłońmi, mięśniami, żeby ciągnąć razem z nimi żagle i mówić do nich tak, by poczuli się uspokojeni.

Patrzę na sąsiednie ludy.

Na południu, na zupełnie innym kontynencie Freddy także założył wioskę nad brzegiem morza. Jego lud umieścił na swoim totemie wieloryba, zbudował statki z wiosłami, lecz żaden z nich nie jest tak duży, jak mój statek ostatniej szansy.

Ludzie-orły Raoula nadal mieszkają w górach i od czasu do czasu spadają z wysoka na przechodzące w pobliżu szczepy. Raoul i Proudhon obaj wyznają wojenne wartości, jednak podczas gdy pierwszy organizuje niewielkie wypadły na przeciwnika, drugi działa na zasadzie walca drogowego, niszcząc wszystko, co spotka po drodze. Obydwaj odrzucają wszelkie przymierza. Biorą, co jest do zabrania, pozostawiając po sobie tylko dymiące zgłiszcza.

Raoul zbudował niezwykle ruchliwą armię, która nad działanie siłowe przedkłada podstęp. Wśród jego ludzi każda akcja wymaga informacji i nikt nie uderza, dopóki nie jest pewien zwycięstwa. Korzystają z wiedzy innych ludów, wprowadzają zdobyczne technologie, przyjmując wszystko to, co wzbogaci ich własną wiedzę.

Oczywiście ludy Woltera i Rousseau prowadzą ze sobą wojnę, ale obie utworzone według całkiem odmiennych koncepcji osady dziwnie są do siebie podobne.

Bogini zbiorów ogłasza najpierw nazwiska przegranych. W sumie zginęło trzynaście plemion. Dziewięć zostało napadniętych, wziętych w niewolę i skreślonych z mapy świata przez najeźdźców. Dwa plemiona wyniszczyły nieznaną epidemię, a dwa ostatnie wyginęły na skutek

wojen domowych. Trzynastu bogów-uczniów zabrały centaury. Czyli nasze dzisiejsze odejście to: 106 – 13 = 93.

Następnie Demeter ogłasza zwycięzców.

Złoty wawrzyn: Marilyn Monroe i jej kobiety-osy.

– Brawo, Marilyn, pani kobiety są wzorem godnym naśladowania. Te feministki usiłują ciągle ulepszać swoje techniki. Nie zapomniała pani także o ich uzbrojeniu. Jednocześnie interesują się sztuką i muzyką. To one wymyśliły harfę i ksylofon. Jak najbardziej zasłużyły na pierwsze miejsce na podium.

Klasczemy w dłonie. Jestem zaskoczony, a zarazem bardzo się cieszę, że ta wrażliwa młoda blondynka umiała stworzyć lud wojowniczek, potrafiących walczyć, ale i odpoczywać. Przypominam sobie jedno ze zdań wypowiedzianych kiedyś przez aktorkę: „My, piękne kobiety, musimy wyglądać jak idiotki, żeby nie niepokoić mężczyzn”. No to teraz widać, jaka jest zdolna.

Srebrny wawrzyn: Proudhon i jego ludzie-szczury. Stworzył system społeczny złożony z kast, a także wprowadził złożone technologie, jak choćby wytapianie metali.

– Ale przecież ukradł to ludziom-kretom! – oburza się Sarah Bernhardt.

Demeter ignoruje jej uwagę.

– Ludzie-szczury Proudhona nauczyli się jeździć konno i stworzyli kawalerię. Stosują też dobre metody walki. Poza tym mają ciągle wysoki przyrost naturalny.

– Ale liczba ludności wzrosła dzięki niewolnicom z podbitych ludów! – nie ustępuje Sarah Bernhardt.

Trochę oklasków, ale mniej niż dla Marilyn. Nawet słychać kilka gwizdów pochodzących od uczniów, których ludy poróżniły się z plemieniem laureata.

Braźowy wawrzyn: Maria Curie i jej ludzie-iguany.

Przez rzędy przebiega szmer zaskoczenia. Kim są ci ludzie-iguany, których żadne z nas nie spotkało na swojej drodze? Pochylamy się nad kulą, kierując lupy naszych ankh na leżący na północy kontynent, bardzo oddalony od tego, który wybrał prawie każdy z nas. Widzimy lud trudzący się nad budową ogromnych aglomeracji na środku pustyni.

Owacje dla bogini iguan.

Demeter komentuje dalej. Niech Sarah Bernhardt uważa. Jej ludzie-konie ledwie dyszą i może w następnej partii zostać wyeliminowana.

– Ciekawe, czyja to wina! – mruczy była aktorka.

Lud Psów jest w stanie wegetacji. Uczennica Francoise Manusco musi dać mu nowe siły, jeśli nie chce, by zginął. Podobnie rzecz ma się z ludźmi-tygrysami Georges'a Mélièsa oraz ludźmi-termitami Gustave'a Eiffla, którzy – zdaniem naszej nauczycielki – kręcą się w kółko, nie znajdując swojego własnego stylu. To prawda, że zbudowali osady o pięknej architekturze, jednak to wszystko, na co ich było stać.

– Więcej odwagi – radzi Demeter. – Nie wystarczy włączyć, trzeba umieć podejmować śmiało decyzje. Proudhon otrzymuje takie dobre oceny, ponieważ nie boi się ryzyka.

– Pewnie. Zwłaszcza, jeśli trzeba wszystko zniszczyć... – zauważa Sarah Bernhardt.

– Proudhon nie jest bogiem zniszczenia – poprawia Demeter. – Jest bogiem surowym, tak jak bywają surowi rodzice. Ale przypomnijcie sobie, że często dzieci surowych rodziców są znacznie lepiej wychowane niż pobłażliwych. Dużo łatwiej jest ustąpić dziecku, aniżeli narzucić mu sztywne reguły postępowania. Ja osobiście nie mam nic przeciwko wyborowi, jakiego dokonał Proudhon. Wojna stanowi istotny element Gry Y. Proudhon zaangażował się w nią całkowicie, ale to taka sama opcja, jak inne. Szanuję jego wybór tak samo, jak szanuję tych, którzy oparli swoją cywilizację na dyplomacji, rolnictwie, nauce lub sztuce. Liczy się tylko wynik.

Demeter wraca na podium i zapisuje na tablicy: „Pochówek”.

– Uczestniczyłam dziś w pierwszym rytualnym pochówku, który odbył się u ludzi-mrówek Edmonda Wellsa. To wydarzenie, które należy zapisać złotymi zgłoskami. Od tego momentu zaczęła powstawać religie, a wasze społeczności podzielił się na trzy klasy: chłopów, żołnierzy i kapłanów.

– A artyści? – pyta Marilyn, najprawdopodobniej mając na myśli swojego harfistę.

– Należą do mniejszości i są za mało wpływowi, żeby móc w istotny sposób wpłynąć na historię ludzkości, przynajmniej w tym stadium ewolucji. Pani oraz Michael Pinson podarowaliście waszym ludziom muzykę, nie zapominajcie jednak, że wasi artyści nie przeżyją długo bez dających im jeść rolników oraz broniących ich żołnierzy.

Demeter kończy ocenianie, a wtedy stwierdzamy z Edmondem Wellsem, że zajęliśmy przedostatnie miejsce. Za nami uplasował się tylko jeden uczeń. Niejaki Charles Mallet i jego ludzie-nietoperze, plemię troglodytów, którzy próbowali upodobnić się do swojego totemu, przyczepiając do ramion za pomocą lian skórzane skrzydła. Wielu z nich zginęło, rzuciwszy się w tak dziwnym przybraniu ze szczytu urwiska.

– Jeśli jakiś pomysł okazuje się nieużyteczny, nie należy przy nim trwać. Ale pan się uparł. I z początkowej liczby ośmiuset zostało panu tylko pięćdziesięciu. Proszę nie zapominać, że poniżej trzydziestu gracze automatycznie wykluczani są z gry.

Tym razem jednak Charles Mallet został oszczędzony

– Co zamierzasz zrobić dla tych, którym udało się uratować? – pyta półgłosem Raoul.

– Modlić się – mówię. – Pozostaje tylko modlitwa.

Widząc jego zdziwioną minę, natychmiast pojmuję, że Raoul zastanawia się, czy sobie z niego żartuję.

– Modlić się? Tutaj? W królestwie bogów?

Wskazuję brodą szczyt góry, ciągle spowity mgiełną powłoką.

– Ach tak, oczywiście. „On”, tam na górze. Mam nadzieję, Michael, że nie zostaniesz... mistykiem. Bóg-mystyk... tego jeszcze nie było!

Freddy obejmuje mnie ramieniem.

– Zabawne, że obydwaj wybraliśmy przymierze z waleniami. Ja wziąłem wieloryby, a ty delfiny, a jednak to tobie udało się zbudować duże statki, zaś mnie tylko małe.

– Nie miałem wyboru.

– Jeśli byś czegoś potrzebował, śmiało zwróć się do moich ludzi-wielorybów.

– Ty także możesz na mnie liczyć, ale na chwilę obecną moje delfiny są raczej w złym położeniu.

– Dlaczego nie zawrócisz i nie przybędziesz odpocząć u mnie? Moje wieloryby wskażą drogę twoim delfinom. Twój lud opatrzy rany, uzupełni zapasy żywności oraz wody, wzbogaci się o wynalazki mojego plemienia. Moi ludzie używają łożowych świec. Także ich ubrania są dobrze skrojone i na pewno spodobają się kobietom z twojej wspólnoty.

– Zapraszasz mnie na pokazy wielorybiej mody? Dziękuję, ale obawiam się, że może być za późno. Już zaprogramowałem moje delfiny. Będą ciągnąć statek na daleki Zachód, tam, gdzie zachodzi słońce.

– Dlaczego to zrobisz?

– Mam nadzieję, że mój lud znajdzie spokojne miejsce, w którym będzie bezpieczny. Jakies sanktuarium, wyspę. Wystarczająco dużą, aby wprowadzić rolnictwo i hodowlę, ale nie na tyle, żeby przyciągać sąsiadów. Nie chcę już ryzykować utraty wszystkiego z powodu barbarzyńskich najeźdźców.

Raoul szepta mi na ucho:

– Uwolnij się od Edmonda Wellsa. Zgoda, pomógł ci na początku partii, ale teraz jest dla

ciebie ciężarem. Jego ludzie-mrówki są beznadziejni na wodzie, nie potrafią łowić ryb, a więc na nic zdadzą się na wyspie.

– Zawarliśmy przymierze.

– Możliwe, ale i tak na koniec gry może być tylko jeden zwycięzca. Im szybciej będziesz latał na własnych skrzydłach, tym lepiej dla ciebie.

Jakbym słyszał jego ojca.

Gładząc swój złoty wieniec laurowy, Marilyn wdaje się w dyskusję, w której chwali kobiety, jej zdaniem w naturalny sposób przeznaczone do ochrony życia i budowania harmonii pomiędzy ludźmi, w przeciwieństwie do mężczyzn, nieustannie owładniętych pragnieniem dominacji i przemocy. W klasie jeden po drugim rozbrzmiewają ordynarne męskie żarty.

– Och, doskonale wiem, co sobie myślicie. Sądzicie, że moje kobiety-osy nie wytrzymają długo. Ale one są dobre nie tylko jako matki i mieszkanki swoich osad. Są także doskonałymi wojowniczkami, gotowymi walczyć, aby bronić tego, co do nich należy.

Jej słowa wywołują prawdziwą lawinę śmiechu, jednak niespieszona Marilyn ciągnie dalej:

– Rzucam wam wyzwanie. Wszystkim. Niech ten, kto sądzi, że potrafi stawić czoła moim amazonkom, ośmieli się z nimi spotkać!

Sarah Bernhardt i Maria Curie przytakują jej głośno. Mężczyźni gwizdzą. Demeter klaszcze w dłonie, chcąc uspokoić zebranych, nim kłótnia przerodzi się w wojnę płci. Do sali wchodzi czekający na dworze Atlas, sądząc, że to jego wzywano. Podnosi „Ziemię 18” i westchnąwszy kilkakrotnie, zabiera ją ze sobą.

Nie mogę oderwać wzroku od oddalającej się planety i oceanu, na którym dryfuje kruchy statek z resztkami mojego ludu...

Demeter każe nam zająć z powrotem miejsca w ławkach.

– Hermes opowiedział wam już o doświadczeniu przeprowadzonym na szczurach – mówi. – Zanim udacie się na kolację, chciałabym jeszcze opowiedzieć wam o eksperymencie, który podsumuje dzisiejsze zajęcia i wyjaśni wam niektóre rodzaje zachowań waszych poddanych...

86. ENCYKLOPEDIA: EKSPERYMENT NA SZYMPANSACH

Puste pomieszczenie, w nim pięć szympansów. Na środku stoi drabina, a na jej szczycie leży banan. Gdy tylko pierwsza małpa zauważy banana, wchodzi po drabinie, by go wziąć i zjeść. Jednak w chwili, kiedy zbliża się do owocu, z sufitu leci na nią strumień lodowatej wody. Małpa spada. Pozostałe szympansy także próbują pokonać stopnie. Wszystkie dają się zmoczyć, jednak żaden nie zdobywa leżącego na górze banana.

Strumień wody zostaje zakręcony, a jedną mokrą małpę zastępuje się inną, całkiem suchą. Gdy tylko zostaje wpuszczona do pokoju, inne starają się odradzić jej wspinaczkę, żeby uniknęła zimnego prysznica. Ale nowo przybyła nie rozumie. Widzi tylko grupę pobratymców, którzy bronią jej dostępu do smakołyku. Próbuje więc zdobyć go siłą, walcząc z tymi, którzy chcą ją zatrzymać. Jedna przeciw czworgu nie ma żadnych szans. Kolejna mokra małpa zostaje zastąpiona suchą. Kiedy tylko wchodzi do pomieszczenia, jej poprzedniczka rzuca się na nią i bije, sądząc, że w ten sposób należy witać nowo przybyłych. Nowa małpa wypada z gry, nim jeszcze zdążyła dostrzec drabinę i banana.

Trzecia, czwarta i piąta mokra małpa zostają kolejno zastąpione przez nowe, suche małpy. Za każdym razem nowe szympansy zostają na powitanie pobite.

Powitanie staje się coraz bardziej pełne przemocy. Już nie jedna, lecz kilka małp rzuca się na nowego przybysza, jakby chodziło o jakiś rytuał, który należy ulepszać. Na końcu eksperymentu na górze drabiny nadal znajduje się banan, ale pięć suchych i wcześniej pobitych małp nawet nie myśli, żeby się do niego zbliżyć. Myślą tylko o tym, żeby patrzeć na drzwi, w których pojawi się nowy, którego trzeba będzie jak najszybciej wygrzmocić.

Powyższe doświadczenie przeprowadzono w celu zbadania zachowań grupowych w firmie.

Edmond Wells,

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

87. MAGICZNA SZTUCZKA

Podczas kolacji wielka jadalnia w Megaronie przybrana jest kwiatami indygowca. Mata Hari siada naprzeciw mnie. Uśmiecha się do mnie, a ja odwzajemniam jej uśmiech. Nadal dręczy mnie los moich ludzi-delfinów, błąkających się po morzu.

Siedzący obok mnie Edmond Wells zdaje się mniej martwić o swoich ludzi-mrówki. Spokojnie rozmawia z Georges'em Mélièsem, który mówi o wyższości kowalstwa nad wszystkimi innymi rodzajami rzemiosła.

– Dla mnie – mówi z naciskiem Méliès – kowale to pierwsi czarodzieje. Daje im się kamienie, a oni dzięki umiejętności wykorzystania wysokich temperatur przekształcają je w surowce, które nie występują w przyrodzie.

– To prawda – przyznaje Edmond Wells, wspominając swoje zapiski o kenickich kowalach z góry Synaj. Mieszkańcy wsi darzyli ich tak wielkim szacunkiem, że czasami zakuwali ich przy kuźni łańcuchami, aby nie ulegli pokusie przejścia do innej miejscowości, w której byłoby lepiej opłacani. Kiedyś nawet wymieniano ich jako okup lub ofiarowano w darze na znak zawartego przymierza.

Simone Signoret i Maria Curie rozmawiają przy sąsiednim stoliku o modzie panującej w ich plemionach. Pochodząca z Polski fizyczka przyznaje, że w jej regionie bywają tęgie mrozy, więc musi brać pod uwagę ciepłe ubrania.

Uczniowie rozmawiają o drogach i mostach albo o przechowywaniu żywności.

Lepiej kryć dachy domów słomą czy lupkiem? Jaki system filtrów wprowadzić, żeby chronił przed bakteriami zbiorniki z deszczówką? Tu przechowuje się mięso w soli, tam ryby w oleju. W zamkniętych korkiem amforach żywność dłużej jest świeża. Tylko trzeba mieć garnarzy i dęby korkowe. Klej, igły do szycia, krosna, środki dezynfekujące rany (cebula, cytryny lub słona woda), wszystko to stanowi temat do rozmów. A muchy i komary? Jak przegonić tych nosicieli chorób, które wśród tylu ludów dokonały spustoszenia?

Georges Méliès wyjaśnia, że razem ze swoimi ludźmi-tygrysami poświęcił się opracowaniu cennego kompostu, niezbędnego do hodowli roślin, który nie zawiera zbyt dużej ilości bakterii, a więc nie ma toksycznego działania.

Wchodzą Pory Roku.

Tym razem serwują nam zboża. Jest ryż, kasza, płatki owsiane, proso, sorgo, a nawet chleb. Całkiem logiczne, bowiem do naszych obyczajów wkroczyło rolnictwo.

Jaki dobry chleb. Chrupię skórkę, delektuję się jednocześnie słonym i słodkim miąższem, odnajduję nieco ukryty, cudowny smak fermentacji.

Pory Roku stawiają na stołach dzbanuszki krowiego, koziego i owczego mleka oraz innych tłustych napojów.

W menu pojawiają się też ostrygi, ale dziś nie jestem w stanie przełknąć żadnej żywej istoty. Za to Wolter zapycha się nimi z rozkoszą. Łyka je tuzinami, wyjaśniając, że wystarczy odrobina cytryny, żeby sprawdzić, czy ostryga jest świeża.

Również bardziej konwencjonalne mięsiwa znalazły się w dzisiejszym menu. Jest wołowina, baranina, jagnięcina, kurczak. Stwierdzam, że są o wiele delikatniejsze niż mięso z hipopotama lub żyrafy.

Méliès twierdzi, że jego ludzie-tygrysy zjadają się takimi właśnie głowami małp, jakie za chwilę pojawiają się na naszych stołach. Podano do nich małe łyżeczki, byśmy mogli spróbować zawartość. Większość z nas odwraca z niesmakiem wzrok.

Ten widok przywodzi mi na myśl eksperyment z szympanсами, o którym opowiedziała nam

Demeter. Z tego właśnie powodu zginęła ludzkość zamieszkująca „Ziemię 17”. Ponieważ zapomnieli, po co żyje i myśleli tylko o kontynuowaniu tradycji, których pierwotnego znaczenia już nie rozumieli.

– O czym myślisz? – pyta Marilyn, dołączając do grupki teonautów.

– O niczym... Co was spotkało wczoraj?

– Próbowaliśmy przejść, ale spotkaliśmy wielką chimere.

– Dziś wieczorem idziesz z nami – dodaje Raoul. – Nie wystawisz nas drugi raz z rzędu do wiatru.

Nie odpowiadam, zostawiając sobie prawo dokonania wyboru.

Na deser serwują nam ciastka oraz chleb moczony w miodzie.

– Tylko dobrej kawy brakuje, żeby posiłek był całkiem udany – oświadcza zachwycony Méliès.

Dziś wieczorem czeka nas koncert. Do Megaronu przybywają centaury, syreny i lirogony. Do znanych już instrumentów dołącza łuk foniczny, na którym gra jeden z centaurów. Muzyka jest spokojna.

Jako coś na trawienie, Georges Méliès proponuje magiczną sztuczkę, do której nie potrzeba żadnych specjalnych rekwizytów. Mata Hari chętnie zgadza się wziąć udział w tym numerze.

– Pomyśl o liczbie od 1 do 9 i pomnóż ją przez 9.

Tancerka zamyka oczy i oznajmia:

– Już.

– Odejmi od niej pięć.

– Gotowe.

– Dodaj cyfry tworzące liczbę, aż otrzymasz liczbę prostą. Przykład: jeśli twoją liczbą jest 35, dodaj 5 i 3, a otrzymasz 8. A jeśli po dodaniu otrzymasz znowu liczbę złożoną, ponów czynność, aż otrzymasz jedną cyfrę.

– Dobrze.

– Teraz przyporządkuj twoją cyfrę odpowiedniej literze alfabetu, zgodnie z zasadą, że A=1, B=2, C=3 itd. Otrzymasz literę.

– Gotowe.

– Wybierz europejski kraj, którego nazwa zaczyna się na tę literę.

– Jeszcze długo?

– Nie, już prawie koniec. Spójrz na ostatnią literę tworzącą nazwę kraju i przypisz jej owoc, którego nazwa składa się z czterech liter.

– Okej.

Georges Méliès robi taką minę, jakby się mocno zastanawiał, a następnie oznajmia:

– Twój owoc to kiwi.

Mata Hari jest zdumiona. Ja też szukam klucza, ale nie mogę znaleźć. W końcu reżyser zadaje pytanie:

– Skąd wiedziałeś?

– Powiedzmy, że istnieje związek między moją sztuczką i tym, co tu się dzieje. Wydaje nam się, że wybieramy, a wcale tak nie jest...

Magik mruga do mnie okiem i prosi o następną kawę. Sarah Bernhardt siada przy naszym stoliku.

– Musimy sprzymierzyć się przeciw Proudthonowi – mówi cicho. – W przeciwnym razie uśmierci nas wszystkich.

– Wygrał, a więc bogowie-mistrzowie akceptują jego sposób gry – uspokaja Raoul.

– Grabież, zabijanie, gwałty, niewolnictwo, terroryzm i zła wola, a wszystko to tworzy

system myśli i sposób sprawowania władzy! – mówi Sarah.

– Nie osądźaj. Spróbuj się dostosować – odpowiadam. Sarah Bernhardt unosi się gniewem:

– I ty mi to mówisz? Czy nie zdajecie sobie sprawy, że on wygra, a wtedy jego wartości ogarną całą planetę? Co, chcecie, żeby świat rządził się wartościami szczurów? Widzieliśmy tego efekt na „Ziemi 17”.

Zniszczenie tej planety pozostało w pamięci nam wszystkim.

– Jeśli nie zareagujemy, to on...

Proudhon, który ma dobry słuch, odwraca się ku nam i rzuca z wyraźnym sarkazmem w głosie:

– Zależę się z wami wszystkimi, że nie uda wam się zatrzymać moich wojowników...

Sarah Bernhardt nie znajduje żadnej odpowiedzi. Wie, że jej wycieńczeni ludzie-konie nie przeżyją ataku.

– A więc staw czoła moim amazonkom! – krzyczy Marilyn Monroe.

Proudhon odwraca się w jej stronę.

– Przyjdę, przyjdę, moja piękna, nie boję się waszych żądań...

I prowokacyjnie przesyła jej dłonią pocałunek.

– Uprowadzam, że jeśli zbliżysz się do moich dziewcząt, nie zachowamy się tak jak ludzie-delfiny.

– Doskonale – odpowiada jej przeciwnik, zacierając dłonie. – A więc mamy w perspektywie piękną bitwę.

Przez chwilę odnoszę wrażenie, że znowu znalazłem się w przedszkolu, wśród krzyczących do siebie na boisku dzieciaków: „Chcesz się bić? To chodź!”.

Twoi tylko! Nie tylko siła jest ważna! Moje dziewczyny mają więcej w głowie i są odważniejsze niż

– Czekam z niecierpliwością na tę konfrontację! – krzyczy bóg ludzi-szczurów.

– Przyjmuję zakłady – proponuje Toulouse-Lautrec.

Niewysoki mężczyzna z bródką staje na stole i czeka na stawki.

– Nie mamy pieniędzy – zauważa Gustave Eiffel.

– A więc zagrajmy o togi. Szybko się brudzą i niszczą – mówi malarz.

Wymuje karnet i rysuje w nim dwie kolumny, jedną dla tych, którzy obstawiają zwycięstwo Marilyn, drugą dla tych, którzy liczą, że wygra Proudhon.

Edmond Wells stawia swoją togę na aktorkę.

– W świecie zwierząt osy wygrały ze szczurami – wyjaśnia.

Ponieważ nigdy nie miałem szczęścia w grach, wolę się wstrzymać. Poza tym, za bardzo zajmuje mnie los mojego biednego ludu i jego lajby, żeby interesować się tą bitwą. Jeśli podczas kolejnej rundy nie zdołam uratować ludzi-delfinów, nie pozostanie mi nic innego, jak zamienić się w centaura lub syrenę. Tyle przeżytych istnień, tyle zgromadzonej mądrości, a wszystko tylko po to, żeby teraz stać się chimerą?... Nie, muszę koniecznie znaleźć jakiś sposób, który pozwoli mi uratować moje plemię, a nie myśleć o zabawie.

– Myślisz o naszych ludziach? – mówi cicho Edmond Wells.

– A pan nie?

– Też. Najgorsze jest to, że po zakończonej bitwie ludzie-szczury przedstawili swoją wersję wydarzeń. Według nich, to my byliśmy bandą wędrownych dzikusów, których zdołała wychować ich błyskotliwa kultura. Nawet wymyślili, że uprawialiśmy miłość z delfinami... Nie wiedziałeś o tym?

– Nie, nie wiedziałem... To nieprawdopodobne. Najpierw nas zabijają, a potem ponownie tworzą historię, w której przydzielają sobie szlachetne role.

Widzę, że mój przyjaciel jest bardzo zmartwiony. Wyjmuje *Encyklopedię* i szybko coś notuje. Nie śmiem mu przerywać. Wydaje się, że ma jakiś pomysł.

– Nie możemy ich tak zostawić... – mówię.

Odpowiada mi, nie przestając pisać:

– Za późno.

– Nigdy nie jest za późno – protestuję.

– Przegraliśmy. Nie mieliśmy szczęścia. To wszystko.

– „Przegrani zawsze znajdują wytłumaczenie. Ci, którym się udało, zawsze znajdują sposób” – mawiał mój ojciec. I zawsze jest jakiś sposób.

– Ale nie tym razem.

Nadal pisze, potem czyta to, co zanotował, i wydaje się, że jest tym bardzo zmartwiony. Następnie wstaje, zamyka księgę i obwieszcza poważnym tonem:

– Może masz rację. Ci, którym się udaje, zawsze znajdą jakiś sposób... jaki by on nie był.

88. ENCYKLOPEDIA: PAMIĘĆ POKONANYCH

Na temat wydarzeń, które miały miejsce w przeszłości, znamy tylko wersję zwycięzców. I tak o Troi wiemy tylko to, co przekazali greccy historycy. O Kartaginie tylko tyle, ile opowiedzieli historycy rzymscy. O Galii wiemy tylko to, co w swoich Pamiętnikach opowiedział Juliusz Cezar. O Aztekach lub Inkach dowiadujemy się tylko z opowieści konkwistadorów lub misjonarzy, którzy przybyli, żeby ich siłą nawracać. I zawsze jest tak, że nawet jeśli zwyciężonym przypisuje się pewne talenty, to tylko po to, żeby głośniejsz słać zasługi zwycięzców, którzy zdołali ich unicestwić.

Kto ośmieli się mówić o „pamięci zwyciężonych”? Książki historyczne przyjmują darwinistyczną zasadę, że jeśli jakieś cywilizacje wyginęły, to znaczy, że były niedostosowane. Jednakże badając wydarzenia, dochodzi się do wniosku, że to właśnie najbardziej rozwinięte cywilizacje zostały zniszczone przez najbardziej brutalne. Ich jedyne „niedostosowanie” polegało na tym, że wierzyły w traktaty pokojowe, co miało miejsce w przypadku Kartagińczyków, oraz w prezenty, jak w przypadku Trojan (ach! ta apologia „podstępu” Ulissesa, będącego w gruncie rzeczy tylko perfidnym zachowaniem, które doprowadziło do nocnej masakry...).

Najgorsze jest jednak nie to, że zwycięzcy niszczą książki historyczne oraz przedmioty pamięci o ich ofiarach, ale to, że jeszcze je znieważają. Grecy wymyślili legendę o Tezeuszu, który zwyciężył polykającego dziewicę potwora z głową byka, a wszystko tylko po to, aby usprawiedliwić napaść na Kretę oraz zniszczenie wspaniałej cywilizacji minojskiej. Rzymianie utrzymywali, że Kartagińczycy składali ofiary swojemu bogu Molochowi, choć dziś już wiadomo, że była to zupełna nieprawda.

Kto będzie miał kiedyś odwagę mówić o wspaniałości pokonanych? Może bogowie, bo oni znają piękno i subtelność cywilizacji, które zginęły od miecza i ognia...

Edmond Wells,
Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

89. CZAS DOŚWIADCZEŃ

Pałac Atlasa schowany jest wśród figowców, w południowej części Olimpi, w dzielnicy dość oddalonej od naszych willi.

– To czyste szaleństwo, nigdy nas nie puszczą.

– Trzeba spróbować.

– Ale czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, co by było, gdyby dowiedzieli się, że my...

– Co? Odwiedziliśmy Atlasa? Wydaje mi się, że mamy prawo zwiedzać miasto.

Idziemy dalej.

Dom olbrzyma jest jednopiętrowy, zbudowany z nieoszlifowanego marmuru.

Ma chyba z dziesięć metrów wysokości.

Edmond Wells i ja wchodzimy przez uchylone okno. Wystrój wnętrza jest odbiciem upodobania olbrzymów do masywnego drewna i tkanin o żywych kolorach.

Jak najdyskretniej prześlizgujemy się pomiędzy wielkimi fotelami i kanapami.

W rustykalnej kuchni Plejone, towarzyszka Atlasa, upomina olbrzyma srogim tonem:

– Jesteś zbyt uprzejmy. Więc cię wykorzystują.

– Ale...

– A jeśli zażądamy, żebyś przeniósł Olimp, to co im odpowiesz?

– Ależ, Plejo, to nie jest tylko praca...

– Zatem, co to jest?

– Kara. Za to, że razem z Kronosem przeciwstawiliśmy się Zeusowi, a ponieważ przegraliśmy... Zresztą, sama wiesz, jak było.

Ukryci w salonie widzimy, że kobieta stoi z rękoma na biodrach i mówi podniesionym głosem do zbitego z tropu Atlasa.

– Łatwo tak kogoś ukarać. Od tego czasu traktują cię jak chłopą pańszczyźnianego, to wszystko. Pracujesz jak wół za darmo, a jeśli protestujesz, przypominają ci, że to pokuta i nie pozostaje ci nic innego, jak milczeć. Podnieś głowę, Atlasie, domagaj się swoich praw.

– Ależ, kochanie, ja przegrałem wojnę...

– To było tysiące lat temu! Mylisz słabość z uprzejmością, Atlasie.

Słychać odgłos pocałunku. Wyobrażam sobie, jak obejmują się te dwie góry... Ach, czułości olbrzymów...

Korzystając z tego, że nasza para wielkoludów ma teraz coś zupełnie innego do roboty niż zwracanie uwagi na hałasy, idziemy korytarzem w poszukiwaniu miejsca, w którym Atlas kładzie swoje świąty.

Kiedy tak wspina się na palce, żeby otworzyć wysokie na trzy metry drzwi, czujemy się jak w bajce o Tomciu Paluchu. Za jednymi z nich ukazuje się naszym oczom sypialnia z łóżkiem szerokim jak ogród, ale pozostałe prowadzą do składów, toalet, a nawet do pracowni dla majsterkowicza. W końcu trafiamy na spiralne schody wiodące do piwnicy. Schodzimy, oświetlając drogę za pomocą błyskawic wysyłanych z ankh.

Na dole, w blasku imponujących świec, które podpalamy naszymi ankh, widzimy olbrzymie, wyżłobione w skale sklepienie. Tu, na półkach nie stoją butle ani słoje, lecz dziesiątki kul ziemskich umieszczonych w kieliszkach do jajek.

Ile istnieje światów? Sądziłem, że wszystkie z wyjątkiem „Ziemi 1” to tylko modele ćwiczebne, które niszczy się z chwilą unicestwienia danej planety, aby powstała nowa cywilizacja. A jednak nie. Najwyraźniej bogowie-mistrzowie zachowują pozostałe planety. Może było tak, że „Ziemia 17” została przekształcona w „Ziemię 18”, ale obok niej stoi cała kolekcja

innych światów, oznaczonych etykietkami aż do numeru 161.

Edmond Wells doznał takiego samego olśnienia jak ja. Obaj myślimy o tym samym.

A może zgrupowano tu wszystkie planety znajdujące się we Wszechświecie?

Zbliżamy nasze ankh do jednej z kul. Ustawiamy zoom. Na powierzchni planety zauważamy coś w rodzaju brodawek. Ultranowoczesne megalopolis schowane są pod ogromnymi kłozami, mającymi je chronić przed wszechobecnym skażeniem środowiska. Być może przyszłość ludzkości...

Świat obok dokonał innego wyboru. Z pewnością na skutek wojen nuklearnych życie w promieniowanej atmosferze stało się niemożliwe. Dlatego ludzie zbudowali podwodne miasta, chronione przez wodę przed zatrutym powietrzem.

Nieco dalej świat pozbawiony oceanu. Ludzie żyją w miastach, których kształt przypomina piramidę, dając im schronienie przed żarem słońca i odrobinę wilgoci.

Stwierdzamy, że większość światów jest „dojrzała” niż „Ziemia 1”. Tak na oko wyglądają na rok 3000 lub więcej. Jak to możliwe?

– A może to są ćwiczenia pozostawione przez poprzednich uczniów? – mówi szeptem Edmond Wells.

– Wtedy byłyby na dalszym etapie rozwoju, ponieważ Kronos sprawiłby, że dojrzewałyby szybciej.

Odkrywamy także światy utworzone na tajemniczych ruinach megalopolis, których ludność cofnęła się do czasów prehistorycznych. Możliwe, że podobnie jak nasza biedna „Ziemia 17”, zapomniała wszystko, czego nauczyła się w przeszłości.

A jaka różnorodność klimatyczna!

Tu mamy bardzo gorący świat, gdzie ludzie chodzą nago, tam świat lodu, którego mieszkańcy żyją w igloo, dalej świat wilgotny, w którym domy zbudowano na drzewach...

Edmond Wells pokazuje mi świat, w którym klonowanie stało się elementem obyczajowości do tego stopnia, że wszyscy ludzie wyglądają jak bliźnięta. Wybrali spośród siebie najpiękniejszego, najinteligentniejszego oraz najbardziej odpornego, a pozostałych uśmiercili. Zrobili więc to samo, co genetycy z „Ziemi 1” w stosunku do mlecznych krów oraz kukurydzy.

Dalej planeta, na której żyją tylko kobiety, podzielone na bezpłciowe oraz płciowe – zdolne do rodzenia dzieci. Podobnie jak u mrówek, mianowały królową, która, ku mojemu ogromnemu zdziwieniu... znosi jajka. Przybliżam obraz i rzeczywiście widzę kobiety noszące w torbach na brzuchu jajka, które wysiadują w domu.

Jak się dobrze przyjrzeć, widać, że ta planeta nie żyje w roku 3000 ani nawet 5000, lecz na poziomie dojrzałości, który w naszych kalendarzach określilibyśmy jako 2 miliony lat po Chrystusie. Wynika więc z tego, że przyszłość to kobiety i jajorodność. Nagle wydaje mi się to zupełnie logiczne...

Ciągle zafascynowany, obserwuję kobiety świat, gdy wtem coś mnie w nim zaskakuje: wszystkie są ładne. Dlaczego naturalna selekcja promuje przez wieki piękno?

– Jesteśmy tu po to, żeby odnaleźć „Ziemię 18” – przypomina Edmond Wells.

Wiemy już, że Atlas ustawia światy według poziomu świadomości. Od najbardziej do najmniej rozwiniętych. Kierujemy się w głąb rzędu i wśród innych światów, których barbarzyńska ludność walczy ze sobą pieszo, konno lub na tratwach, zadając ciosy maczugami, natrafiamy na „Ziemię 18”.

Wymijemy kule, aby w blasku świec lepiej ją było widać. Nasi ludzie dryfujący na pełnym morzu na swojej kruchej łajbie wydają się zmęczeni i zrozpaczeni. Statek zaraz może rozbić się o rafy, których nie dostrzegli moi niedoświadczeni marynarze. Przybyliśmy w samą porę. Za pomocą mojego ankh szybko wywołuję wichurę, która oddali ich od najbardziej niebezpiecznych

skał. Potem koncentruję się i przekazuję silnej kobiecie-liderce, która przejęła rolę mądrego medium, żeby ponownie rzucili do morza duże łaśsa. Ona mnie słucha, lecz większość rozbitków nie chce pójść w jej ślady. Są zbyt wyczerpani, aby jeszcze wierzyć w jej przepowiednie.

Jak natchnąć ich nadzieją? Wysyłam przeczucia, ale to nic nie daje. Jakiś brodacz próbuje nawet zorganizować bunt i zmusić wszystkich do powrotu. Rozpętuję burzę z piorunami, podczas której Edmond Wells zabija go uderzeniem ankh, co wystarcza, żeby uspokoić tych wszystkich, którzy chcieli pójść w jego ślady.

Kolejny raz stwierdzam, że ludzie szanują bogów tylko wówczas, kiedy się ich boją.

Teraz ocaleni zgadzają się słuchać naszego medium. Nawiązuję kontakt z delfinami, aby zawiodły statek z dala od groźnych skał. W końcu nawiązanie kontaktu z delfinami jest dla boga równie łatwe, jak dla anioła rozmowa z kotem. Problem to ludzie. Są za mało „podatni”.

Wreszcie statek dokonuje zwrotu. Obydwaj z Edmondem Wellsem oddychamy z ulgą. Uniknęliśmy katastrofy.

Cofając się, przewracam kulę razem z kieliszkiem do jajek, na którym stoi. Kula pęka. Wszędzie leżą porozrzucone kawałki szkła. Czyżbym zniszczył świat?

Jednak nie... w środku kuli nie ma nic. To tylko wypukły ekran, w którym odbijają się dalekie światy.

Edmond Wells gasi wszystkie świece. Dobrze, że o tym pomyślał, bo oto już otwierają się drzwi do piwnicy i staje w nich Atlas.

– Co się dzieje, kochanie? – dobiega z daleka głos jego żony.

– Nic, Plejo. Zdawało mi się, że słyszę jakiś hałas – mówi olbrzym, oświetlając okolice wielką pochodnią.

Na ile jest to możliwe, chowamy się w jakimś kącie. Atlas krąży po piwnicy, sprawdzając kolejne kule.

– To na pewno szczury... – woła żona.

Przechodzi obok, nie zauważając nas, następnie wraca na górę, powłócząc nogami.

Szybko zapalamy ponownie świece i zabieramy się wreszcie do możliwie jak najlepszej pomocy naszym protegowanym. Co ich jeszcze spotka?

Michel de Nostre-Dame, zwany Nostradamusem, urodził się w 1503 roku w Saint-Remy-de-Provence we Francji. Już jako młody chłopak interesował się matematyką, alchemią i astrologią. Prześladowany przez Inkwizycję za żydowskie pochodzenie, całe życie zmuszony był uciekać. Po błyskotliwych studiach w Montpellier, w 1525 roku wyjeżdża walczyć z trawiącą całą Europę dżumą. Wprowadza w życie własną medycynę, całkiem inną od praktykowanej w tym okresie. Nie wykonuje upuszczania krwi. Dużą wagę przykłada do czystości oraz higieny. Jako pierwszy lekarz stosuje papierowy dzióbek w kształcie stożka, który podkłada choremu pod nos, zapobiegając w ten sposób rozprzestrzenianiu się chorobotwórczych wyziewów. Sam wkłada sobie pod język różaną pastylkę, która ma go chronić przed „wyziewami” z ciał pacjentów. Jednocześnie pisze dzieła na temat sporządzania konfitur oraz tworzy perfumy na bazie drzewa sandałowego i cedrowego. W 1537 roku Nostradamus uznawany jest za największego europejskiego lekarza, jednak podczas walki z epidemiami zaraża własną rodzinę. Jego żona i dzieci umierają na dżumę. Po okresie depresji zaczyna swoją duchową drogę. Suficy mistycy na Sycylii uczą go, jak dzięki jedzeniu gałki muszkatolowej wprowadzić się w stan hipnotycznego snu, umożliwiając przekroczenie bariery świadomości. Oddaje się medytacjom, podczas których – w blasku świecy lub miedzianej misie napełnionej wodą i postawionej na trójnogu mającym kąty identyczne jak te, które tworzą piramidę Cheopsa – doznaje wizji dotyczących przyszłych losów ludzkości.

Hipnotyczne sny Nostradamusa trwają nawet całą noc. Na ich podstawie pisze słynny zbiór czterowierszy, zatytułowany *Centuries*.

Czasami jego wizje uznawano za zbyte hermetyczne, jednak niektórzy twierdzą, że przewidział w nich nadejście czasów cesarza Napoleona, Trzeciej Rzeszy, caudilla Francisca Franca, a także zrzucenie bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki.

Jean Dixon, opierając się na jego przepowiedniach, próbował w 1956 roku ostrzec Johna Fitzgeralda Kennedy’ego przed groźącym mu śmiertelnym niebezpieczeństwem. Nostradamus przewidywał, że około 2000 roku pojawią się pierwsze oznaki wielkich zmian politycznych oraz klimatycznych. Przewidział zbliżenie Stanów Zjednoczonych i Rosji w celu wspólnego przeciwstawienia się ciągle wzrastającemu niebezpieczeństwu, którego źródła znajdują się na Bliskim Wschodzie. Wizjoner przepowiedział między innymi kataklizmy, tornada i zjawiska sejsmiczne, które uznał za gniew Ziemi wobec niszczących ją ludzi. W liście do króla Francji Henryka II Nostradamus napisał, że w 2250 roku w dziejach ludzkości nastąpią radykalne zmiany. Według jego przewidywań, w 3797 roku Ziemia zostanie zniszczona wskutek wysokich temperatur oraz spadania wielkiej liczby meteoroidów, pochodzących z rozpadu planety Merkury. Spowoduje to podniesienie stanu wód i zalanie całej powierzchni Ziemi.

Jednak do tej chwili, uspokaja lekarz z Saint-Remy-de-Provence, człowiek opuści już Ziemię i zdobędzie planety w innych systemach słonecznych, tworząc na nich nowe cywilizacje. Przepowiednie Nostradamusa sięgają 6000 roku. Wróżbita gościł na dworach królewskich i książęcych całej Europy. Był ulubieńcem Katarzyny Medycejskiej, matki Henryka III. W czerwcu 1566 roku wezwał do siebie swojego asystenta i przyjaciela, Chavigny, któremu z męczonym głosem przekazał ostatnią przepowiednię: „Jutro umrę”. Co też nastąpiło. Zgodnie z własnym życzeniem, został zamurowany w pozycji pionowej w kościele w Salon-de-Provence – „aby żaden tchórzliwy idiota nie deptał po moim grobie”.

91. SPOKOJNY ŚWIAT

Byli kompletnie wycieńczeni. Ileż wycierpieли! A przed nimi ciągle nieskończony horyzont. Ci, których nie zabiła dyzenteria, szkorbut lub inne nieznanne choroby, zaczęli tracić nadzieję.

Próbowali nowych metod połowów, wyciągając na pokład dziwne ryby, które nierzadko okazywały się trujące.

Dzięki padającym deszczom uniknęli odwodnienia organizmu. Kiedy spadły pierwsze krople, szybko nadstawili opróżnione z ziarna amfory.

Większość czasu spędzali leżąc na pokładzie, a ich ciała były tak osłabione, że ledwie mogli się poruszać. Pustymi oczami wpatrywali się w horyzont, na którym ciągle nie pojawiał się żaden łód.

Gruba kobieta-liderka nieustannie próbowała dodawać im odwagi, opowiadając swoje sny. Widziała, tak, widziała idealną wyspę, spokojne miejsce, w którym mogliby żyć szczęśliwie.

– Cierpliwości, wiary, dotrzemy tam – powtarzała na głos, żeby przekonać także samą siebie.

Pojawił się pierwszy bunt wywołany przez ludzi-mrówki, pragnących powrócić na stały łód. Twierdzili, że wolą być niewolnikami ludzi-szczurów, niż dać się targać morskim nawałnicom. Dość łatwo jednak pokonano buntowników. Druga rebelia, zorganizowana przez najbardziej zdesperowanych, prawie się udała, kiedy nagle uderzenie pioruna zabiło jej przywódcę.

Przemówili do nich niebiosy. Od tej chwili czuli się tak, jakby tam w górze coś się wydarzyło... I to „coś” mówiło im, że muszą kontynuować swoją eskapadę.

Potem delfiny przeprowadziły ich statek przez rafy i od tego dnia wszyscy poddawali się prośbom tej, którą nazwali „Królową dwojga ludów”, ludzi-delfinów i ludzi-mrówek, solidarnych w obliczu tego samego wroga. Sny Królowej również stały się bardziej wyraziste. Ciągłe mówiła o wyspie-sanktuarium, na której już nigdy nie zostaną zaatakowani. Zmęczenie, głód i choroby powodowały kolejne straty w ludziach. Królowa zabroniła zjadania trupów, mimo że stanowiły źródło białka, i rozkazała wrzucać je do morza.

Nieustannie im powtarzała: „Ufajcie, sny i delfiny wskażą nam drogę”. A delfiny, widząc nieszczęście ludzi, nie zadawały im tylko prowadzeniem statku, lecz łowiły dla nich ryby, pomagając im w ten sposób przetrwać. Rzuciły im nawet złowione ryby na pokład.

„Tam, na ziemi, do której niebawem dotrzemy – mówiła Królowa – znajdziemy ogromne owoce, zwierzynę łowną oraz rzeki ze słodką wodą”.

We śnie dowiedziała się, że może polepszyć samopoczucie swojego ludu, każąc im siedzieć ze skrzyżowanymi nogami i powoli oddychać. Ponieważ to ją wybrali na władczynię, nikt nie zadawał zbędnych pytań, kiedy kazała pozostawać nieruchomo w dziwnej pozycji lub też, gdy mieli nie myśleć o niczym innym, tylko o wdychu i wydechu. Dobrze odżywni dzięki delfinom i sprawniejsi dzięki oryginalnej gimnastyce, członkowie obydwu ludów poczuli się znacznie lepiej.

Zdarzały się jeszcze zgony, jednak ci, którzy przeżyli, byli w zdecydowanie lepszej formie. Emigranci trwali nieruchomo, oddychali, gwizdali, następnie śpiewali razem, a delfiny odpowiadały im śpiewem.

Okręt nadal płynął na zachód, coraz dalej na zachód i już stracili rachubę, jak długo są na morzu. Starali się nie wspominać masakry, która była przyczyną ich ucieczki, lecz myśleć już tylko o tym, by płynąć naprzód. Ich twarze były poważne, rzadko się uśmiechali, ale już żadna kłótnia nie wybuchła między nimi.

A potem pewnego dnia, podczas gdy zrezygnowani tym błędzeniem po bezkresnych wodach kreśliли na rybiej skórze mapy nieba, z góry masztu dobiegł ich okrzyk zwiadowcy, na który

przestali już czekać:

– Ziemia! Ziemia na horyzoncie!

Latające nad ich głowami mewy potwierdzały, że ziemia jest blisko. Na pokładzie podniósł się wrzask. Obejmowali się, płacząc. Kiedy byli już blisko wybrzeża, rzucili się do wody i dopłynęli do brzegu wplaw. Postawili stopy na kamienistej plaży, za którą wznosiły się piaszczyste pagórki koloru ochry. Po tylu dniach spędzonych na rozkołysanym statku potykali się o własne nogi.

Zjedli kraby i porosty, a potem zasnęli w blasku księżycy, wtuleni jedni w drugich, w tę pierwszą noc na ich nowej ziemi.

Rankiem policzyli, ilu ich jest. Sześćdziesiąt cztery osoby, czterdziestu dwóch mężczyzn-delfinów i dwadzieścia dwie kobiety-mrówki. Wspólnie udali się w głąb wyspy. Była piękniejsza niż w najśmielszych snach. Znaleźli bujną roślinność, drzewa pełne nieznanych owoców, szmerzące strumienie. Weszli w las i nagle zaczął na nich spadać grad kamieni, każąc im spodziewać się obecności wroga. Ale to były tylko orzechy kokosowe, rzucone ze śmiechem przez szpiegujące ich małpy. Spadając na ziemię, pękały, a w ich wnętrzu ludzie znajdowali mleko i biały miąższ. Prawdziwa manna z nieba. Wreszcie byli spokojni, postanowili więc ochrzcić wyspę, nazywając ją: „Wyspą Spokoju”.

Dotarli w głąb, nie znalazłszy najmniejszego śladu człowieka. Podczas następnych dni mężczyźni-delfiny i kobiety-mrówki połączyli swe siły, wspólnie budując na brzegu wioskę.

Na polanie Królowa zauważyła mrówki i ucieszyła się, że owadom, podobnie jak im, udało się dotrzeć na wyspę. Szła za nimi aż do ogromnego mrowiska w kształcie piramidy. Położyła obie dłonie na ścianie i prosiła owady, żeby jej pomagały, tak jak to robiły wobec starego człowieka, który był poprzednim medium.

Zamknęła oczy, a wtedy napłynęły kolejne wizje. Wielka piramida, taka jak u mrówek. Spichlerze jak u mrówek. Porozumiewanie się jak u mrówek. Jeden wspólny zmysł, tak jak u mrówek. Zmysł zdobywania nowego terytorium.

Sześćdziesiąt cztery osoby zaczęły budować piramidę o wysokości dziewięciu metrów. Kiedy dwie trzecie były już gotowe, Królowa zamieszkała w jednym z pomieszczeń, gdzie mogła „przyjmować” i gdzie „przyjmowała”. Do swojej poprawiającej samopoczucie gimnastyki dodała pozycje w bezruchu oraz medytacje. Stworzyła medycynę czakr, bazującą na strumieniu życia przebiegającym przez ciało, który należało odblokować, żeby poprawić przepływ energii. Określiła leżące wzdłuż kręgosłupa główne punkty, w których się ona gromadzi. Jeden punkt znajdował się nad narządami płciowymi, drugi pod pępkiem, trzeci naprzeciw serca, czwarty na wysokości gardła, piąty między oczami, a szósty na czubku czaszki.

Nadal zaskakiwały ją sny.

Intuicja podpowiadała jej, że powinna stworzyć system polityczny, w którym, podobnie jak królowa mrówek, nie pełniłaby roli liderki, lecz „nioski”. Tak jak tamta wydawała na świat swoją społeczność, tak ona, pełniąc rolę medium, rodziłaby koncepty. Byłaby to republika idei, w której, podobnie jak w świecie mrówek, ludzie mogliby swobodnie wypowiadać się podczas zgromadzeń, konfrontując swoje argumenty. Tym samym wszyscy uczestniczyliby w życiu społecznym i każdy byłby potrzebny.

Ludzie-mrówki i ludzie-delfiny wymyślali słowa o abstrakcyjnym znaczeniu, a nawet o znaczeniu przenośnym. Było słowo, które określało przepływającą w ciele życiową energię, słowo wyrażające nadzieję, która podtrzymywała ich podczas podróży, inne do określenia snów Królowej, jeszcze inne do opisywania tego, czego nauczyli się od delfinów i jednocześnie tego, co dotyczyło wychowania dzieci.

Zdecydowali, że będą mieć tylko tyle dzieci, ile są zdolni kochać i wychować. A jednak ich

wspólnota stawała się coraz liczniejsza, bo tyle miłości i uwagi poświęcali swemu potomstwu, że śmierć noworodków stała się rzadkością.

Mijały tygodnie, a oni zapomnieli horror ataku ludzi-szczurów, zapomnieli bóle, których doświadczyli podczas ucieczki i mieli wrażenie, że są sami na świecie.

Dzieci pływały z delfinami i bawiły się, odpowiadając na ich piski. Wspiwały się na ich grzbiety jak na rumaki i dawały im ziemskie jedzenie: orzechy kokosowe oraz daktyle, których walenie próbowały z ciekawością. Wydawały wtedy podobne do śmiechu dźwięki i ludzie, naśladując ich, także nauczyli się śmiać.

Wtedy władczyni przyszła do głowy pewna myśl: mrówki były ich ukrytym symbolem, delfiny jawnym. Byli zatem wewnątrz mrówkami, a na zewnątrz delfinami.

Zdobywszy się na większą odwagę, wyjąłem spod kieliszka do jajek zegar i przekręciłem wskazówkę, przyspieszając lokalny czas.

Wioska rozrosła się, stała się miasteczkiem, potem dużym miastem z pełnym żaglowców portem. W środku nadal stała duża piramida, w której zmarła pierwsza Królowa, szybko zastąpiona przez kolejną wizjonerkę.

Zjednoczony lud odkrył nowe zboże: kukurydzę, którą zaczął uprawiać.

Oprócz chłopów i rybaków pojawiła się nowa, dokładnie wyselekcjonowana grupa osób zdolnych do rozwiązywania praktycznych problemów, mędrców, których jedynym zadaniem było kierowanie sprawami miasta. Znachorzy specjalizowali się w badaniu czakr znajdujących się w ludzkim ciele. Astronomowie sporządzali mapy nieba i starali się zrozumieć jego mechanizm. Nauczyciele zajęli się edukacją dzieci. Wszystkimi dziedzinami zajmowały się zarówno kobiety, jak i mężczyźni, każde zadanie wyznaczano według umiejętności, a nie jakichkolwiek innych kryteriów.

Zauważyli, że jedna trzecia mieszkańców mrowiska śpi, odpoczywa lub spaceruje beczynnie. Jedna trzecia haruje zupełnie niepotrzebnie, budując tunele, które spowodują zapadnięcie się spichlerzy, lub przenosząc gałązki, które blokują uczęszczane korytarze. Wreszcie ostatnia część trzodzi się, by naprawić błędy nieudolnych robotników oraz dbać o dalszy rozwój miasta. Tak też zrobili mieszkańcy wyspy. Nie zmuszali nikogo do pracy, ale sprawili, że wszyscy mieli ochotę uczestniczyć w sukcesie całego ludu. Tym samym stworzyli koncepcję łatwo udzielającego się entuzjazmu.

Jednak najbardziej charakterystyczną cechą tej ludzkiej wspólnoty był nowy element: na razie jej członkowie żyli wolni od strachu.

92. ENCYKLOPEDIA: ATLANTYDA

Znajomość mitu o Atlantydzie zawdzięczamy dwóm dziełom greckiego filozofa Platona: *Timajos*, czyli *o Naturze* oraz *Kritias*, czyli *o Atlantydzie*, napisanym około 400 roku przed Chrystusem.

Teksty te nawiązują do pism Solona, który twierdził, że legendę o zaginionym łądzie przekazali mu kapłani egipscy. Platon w *Timajosie* umieszcza tajemniczą wyspę za Słupami Herkulesa, jak w starożytności nazywano Cieśninę Gibraltarską, zatem na Oceanie Atlantyckim, naprzeciw Portugalii i Maroka. Podaje również nazwę jej stolicy: Atlantis. Miasto miało koncentryczną budowę. Składało się z coraz szerszych kręgów. Najszerszy z nich miał średnicę stu stadionów, czyli około dwudziestu kilometrów.

Według Platona, miejsce to wybrali na swoją siedzibę bóg mórz – Posejdon oraz śmiertelna kobieta o imieniu Cleito. Z ich związku zrodziło się pięć par bliźniąt, które zostały dziesięcioma królami Atlantyd. Każdy z nich władał dziesiątą częścią wyspy. Platon określa jej całkowitą powierzchnię, która w przeliczeniu na obecne jednostki wynosiłaby około dwa miliony kilometrów kwadratowych, czyli prawie jedną trzecią Australii.

Również zdaniem Platona, Atlantydzi byli wyżsi niż współcześni im ludzie i tworzyli lud silny, a także bardzo mądry. Wprowadzili nowoczesny system polityczny, oparty na zgromadzeniach, mieli też bardzo rozwiniętą technikę. Przynajmniej posiadali tzw. „świdry”, miedziane druty owinięte skórą i zakończone kwarcem, za pomocą których leczyli chorych oraz przyspieszali wzrost roślin.

Platon twierdzi, że Atlantida zniknęła około 9000 lat przed napisaniem *Kritiasa*, czyli około 11 000 lat przed naszą erą.

O istnieniu tej wyspy mówią także pisma egipskie, nazywając ją Ha mem Ptah. Pojawia się ona także w tekstach afrykańskiego plemienia Joruba. Wszyscy nazywali ją miastem idealnym oraz rajem utraconym.

Sam wyraz „raj” pochodzi z języka perskiego i oznacza ogród, mógł więc stanowić nawiązanie do Atlantyd. Także w Chinach odnaleźć można legendę o tajemniczej wyspie, zamieszkiwanej przez lud obdarzony nadnaturalnymi zdolnościami medycznymi. Tę „wyspę wiecznej młodości” nazwali Chińczycy Kun Lun. Ich z daniem znajdowała się daleko od oceanu.

Edmond Wells,

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

93. EDMOND MA KŁOPOTY

Razem z Edmondem patrzymy na nasze plemiona, oddychając z ulgą. Nasi ludzie na razie mają schronienie i są z dala od brutalności dalszej gry. Czujemy się dumni jak rodzice, którzy uratowali tonące dzieci.

Podoba mi się ten lud, który wspólnie ukształtowaliśmy. Fakt, że liczebność naszych plemion zmniejszyła się, nasi ludzie są z dala od innych, ale żyją, dobrze się czują i są świadomi, że trzeba żyć mądrze, z myślą o przyszłych pokoleniach. Proudhon wyposaży swoich ludzi-szczury w technologię niezbędną do wyładowania na wyspie, ale do tego czasu nasi mędrzy prawdopodobnie wynajdą sposób obrony.

Odstawiamy „Ziemię 18” na miejsce i zbieramy się do wyjścia. Niedługo zacznie świtać. W pełni poświęceni naszej pracy, straciliśmy poczucie czasu. A tu, po wejściu na górę czeka nas przykra niespodzianka: drzwi do piwnicy są zamknięte na klucz. Znaleźliśmy się w pułapce. Nie tylko ryzykujemy, że zostaniemy złapani przez olbrzyma, kiedy przyjdzie po potrzebną na dany dzień planetę, ale również nie zdążymy wrócić na czas do naszych willi.

– Podsadź mnie – mówi zupełnie spokojnie Edmond Wells. Biorę go na barana, żeby swobodnie mógł obejrzeć zamek.

– Klucz jest nadal w drzwiach – oznajmia. Zamieniamy się rolami. Jestem zręczniejszy i bardziej sprawny fizycznie, więc wciskam moją togę pod drzwi, następnie chwytam Edmonda za barki i popycham klucz, który blokuje ten monumentalny zamek. W efekcie klucz spada z drugiej strony, ale położony materiał wycisza hałas. Nie pozostaje nam już nic innego jak przyciągnąć do nas togę.

Klucz jest długi jak moje ramię i niesłychanie ciężki. Trzymetrowy olbrzym może używa go bez trudu, ale mierzący metr siedemdziesiąt pięć człowiek ma z tym kłopoty. Próbuję wielokrotnie, wspomagany szeptanymi przez Edmonda słowami zachęty.

Wreszcie rozlega się zgrzyt i zamek puszcza.

– Słyszałaś, Plejo? – pyta Atlas.

– Nie martw się. To pewnie znowu te szczury – odpowiada Plejone.

Opuszczamy schody, nim zdąży na nie wejść, i biegniemy w stronę okna, ukryć się za zasłonami. Atlas już wraca, krzycząc:

– Jeden z nich wszedł do piwnicy i zniszczył jeden świat!

– Szczur?

– Nie, uczeń. Mogłem zastawić pułapki na ludzi. Zawsze znajdują się jacyś bogowie-uczniowie, którzy są oszustami.

– Uwaga, jeden jest tam! – krzyczy olbrzymka.

Czujemy drgania podłogi, spowodowane przez ich kroki.

Zbliżają się.

– Uciekamy, szybko – szepcze Edmond, popychając mnie przed sobą.

Atlas trzyma miotłę, jego towarzyszka pokrywkę od garnka. Biegamy we wszystkie strony, szukając wyjścia, a oni za nami.

– Jest ich dwóch – mówi Plejone. – Tu są, tu są. Widzisz ich?

– Naciągnij togę na głowę, szybko – radzi mój towarzysz niedoli.

Nie dyskutuję, przyzwyczajony do słuchania jego rad i tak jak on robię w materiale dwie dziury na wysokości oczu. Olbrzymy są coraz bliżej.

– Rozdzielmy się teraz.

Przebiegam w podskokach przez kuchnię, unikając w ten sposób uderzeń pokrywką.

Stwierdzam, że przydałaby się również dziura na nos, ponieważ tkanina uniemożliwia mi oddychanie. Edmond biegnie zygzakami, chcąc uniknąć rozdeptania przez Atlasa. Chowa się za ogromnym meblem, który olbrzym natychmiast odstawia. Ja wdrapuję się Plejone na plecy. Nie może mnie zdjąć i krzyczy:

– Ugryzł mnie, ugryzł!

Podczas gdy się szamocze, zauważam przymknięte okno i skaczę, żeby uciec. Uff, jestem na dworze. Przyczajony w krzakach czekam na przyjaciela.

W środku Atlas nie posiada się z radości:

– W porządku, Plejo, jednego mam.

Dobry Boże, Edmond Wells dał się złapać! Waham się: uciekać czy próbować pomóc przyjacielowi?

– Wrzucmy go do morza. Zamieni się w wieloryba, delfina lub w co tylko będzie chciał – radzi megiera.

Wierność zwycięża. Wracam i widzę Edmonda Wellsa wyrrywającego się w rękach olbrzyma. On także mnie zauważa.

– Nie, odejść! – krzyczy.

Próbuję odwrócić uwagę przeciwnika. Wtedy Edmond Wells wyjmuje coś z kieszeni togi i rzuca, nakazując mi złapać.

– Trzymaj, teraz twoja kolej.

Chwytam *Encyklopedię Wiedzy Relatywnej i Absolutnej* i uciekam, mocno przyciskając księgę.

Znowu przeskakuję przez okno i biegnę, raniąc ciało o wszystkie znajdujące się na drodze ciernie. Słyszę, jak pod ciężarem biegnącego za mną Atlasa łamią się gałęzie. Jest już blisko.

Biegnę, wiedząc, że dopóki mnie nie złapie, nie będzie znał mojej twarzy. Teraz próbuje zwołać całe miasto, by urządzić na mnie polowanie.

Encyklopedia uderza mnie w serce. Mam dalej pisać dzieło. To najmniejsza rzecz, jaką mogę zrobić, żeby uczcić pamięć Edmonda Wellsa. Uratować nasz lud, uratować swoje życie, pisać dalej *Encyklopedię*.

Zewsząd wybiegają centaury, usiłując mnie schwytać. Nawet gryfy przychodzą im z pomocą. Biegnę, ile sił w nogach. Mam za dużo do stracenia, żeby się poddać.

94. ENCYKLOPEDIA: RUCH ENCYKLOPEDYSTÓW

Spisać całą wiedzę istniejącą w danej epoce to wyzwanie, które na przestrzeni wieków wzbudzało entuzjazm wielu uczonych. Pierwsze prace encyklopedyczne prowadzone na szeroką skalę rozpoczęto w III wieku przed Chrystusem. Lu Buwei, bogaty chiński kupiec, który został premierem w królestwie Qin, zaprosił na dwór trzy tysiące uczonych i zlecił im spisać wszystko, co wiedzą.

Następnie gruby plik kartek będących wynikiem ich pracy umieścił przy bramach targowych stolicy, na wierzchu zaś położył tysiąc sztuk złota. Powiesił też informację głoszącą, że każda osoba zdolna dodać najmniejszy okruszek wiedzy do już zebranej, otrzyma znajdujące się w woreczku pieniądze.

Na Zachodzie Europy Izidor z Sewilli pisze w 621 roku pierwszą współczesną encyklopedię, zatytułowaną *Etymologiae*, w której zawarta jest łacińska, grecka i hebrajska wiedza jego czasów. W 1153 roku Johannes Hispalensis tworzy *Secretum Secretorum* (Tajemnica Tajemnic) – traktat w formie listu Arystotelesa do podbijającego Persję Aleksandra Wielkiego. Pisma zawierają wskazówki dotyczące polityki oraz moralności, a także wiedzę z zakresu higieny, medycyny, alchemii, astrologii, obserwacji roślin oraz minerałów. Cieszący się niezmiennym powodzeniem aż do czasów Odrodzenia *Secretum Secretorum* przetłumaczony został na wszystkie europejskie języki. Przełomowe znaczenie miały prace Alberta Wielkiego, w 1245 roku profesora na uniwersytecie w Paryżu i nauczyciela Tomasza z Akwinu. Jest on autorem encyklopedii, w której zgromadził całą ówczesną wiedzę dotyczącą zwierząt, roślin, filozofii oraz teologii.

Bardziej od niego wywrotowy, ale i preferujący lżejsze podejście do wiedzy Francois Rabelais w pisanych od 1532 roku dziełach interesuje się medycyną, historią oraz filozofią. Marzy o nauczaniu, które pobudzałoby apetyt na wiedzę, a jednocześnie odbywałoby się w atmosferze radości. Swoje własne encyklopedie stworzyli też Włosi: Petrarka oraz Leonardo da Vinci, a także Anglik Francis Bacon. W 1746 roku francuski księgarz Lebreton otrzymał od króla dwudziestoletni przywilej publikowania *Wielkiej Encyklopedii Francuskiej* (*Dictionnaire raisonne des sciences, des arts et des metiers*), której redakcję powierzył Denisowi Diderotowi i Jeanowi d'Alembertowi. Pomagali im najwięksi uczeni i myśliciele, tacy jak Wolter, Monteskiusz czy Jean-Jacques Rousseau, tworząc kompendium ówczesnej wiedzy z zakresu nauki i techniki.

W tym samym czasie w Chinach, za rządów Cheng Menglei, ponad dwa tysiące uczonych i dwustu kaligrafów trzusi się nad redakcją liczącej ponad 800 000 stron *Wielkiej Encyklopedii Dawnych i Obecnych Czasów*, która zostanie wydrukowana w sześćdziesięciu pięciu egzemplarzach. Jednak po śmierci Cesarza jego najstarszy syn, nieustannie walczący z ojcem o władzę, mszcząc się na jego bliskich, skazuje Cheng Mengleia na wygnanie, gdzie ten umiera w biedzie.

Edmond Wells,
Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

Uff, docieram cało do domu. Zdejmuję maskę z twarzy. Całe szczęście, że Edmond Wells wpadł na pomysł wykorzystania naszych tog do zakrycia twarzy. Siadam wygodnie na kanapie.

Ogarnia mnie okropne uczucie samotności. Doświadczyłem już podobnej pustki w czasie ostatniego ziemskiego wcielenia, po śmierci mojego ojca. Wrażenia, że nie istnieje nic, co stanowiłoby łącznik pomiędzy moim światem a niebytem.

Edmond Wells był moim nauczycielem i mistrzem w świecie aniołów. Był surowy, rygorystyczny, wymagający, ale to dzięki niemu zdobyłem otwartość umysłu, tak potrzebną do moich poszukiwań.

Poświęcił dla mnie swoje życie, żądając w zamian tylko tyle, żebym kontynuował jego dzieło, gromadził wiedzę, która odrzuca barbarzyństwo i przygotowuje do osiągnięcia wyższego stopnia świadomości.

Czy aby temu podołał? Na początek zanotuję myśli, które mi przekazał ustnie. „Mów o tym, co wiesz” – powtarzał.

Już od wieków ludzie starają się przekazać całą swoją wiedzę. Edmond Wells wziął odpowiedzialność za badania Francisa Razorbacka. A teraz ja odpowiadam za ciągłość nauki. Jednak moje serce krwawi, kiedy wykonuję w pamięci nowe odejmowanie:

$$93 - 1 = 92.$$

Dzisiaj jednak nie wzbogacę *Encyklopedii*. Wystarczy, że obejrzę w telewizji, co się dzieje u moich śmiertelników.

Włączam od razu pierwszy program, na którym dwunastoletnia Eun Bi okazuje się ponadprzeciętnie uzdolnionym dzieckiem, do tego posiadającym niezaprzeczalny talent do rysowania. Jej zeszyty pełne są szkaradnych zwierząt w pstrokatej kolorach. Jej prace podobają się klasie, zarówno uczniom, jak i nauczycielom. Nagle zostawiają „Koreankę” w spokoju. Wieczorem w domu Eun Bi szuka zapomnienia w grach wideo. Nie rozmawia już z matką na temat historii swojej rodziny. Natomiast szpera w bibliotekach, poszukując książek na ten temat. Ponieważ takich dzieł jest w Japonii niewiele, zaczyna szukać w internecie.

Kiedy matka informuje ją o chorobie babci, dziewczynka pyta, gdzie staruszka mieszka.

– Na Hokkaido.

Eun Bi prosi o numer telefonu do starszej pani. Matka najpierw waha się, potem jednak daje. Dziewczyna podchodzi do aparatu.

– Od dawna czekałam na twój telefon – odpowiada jej zmęczony głos.

Starsza pani i nastolatka rozmawiają długo, a podczas rozmowy wpływają na wierzch wszystkie cierpienia i doznane w przeszłości zniewagi. Eun Bi dowiaduje się wreszcie wszystkiego, czego chciała się dowiedzieć. Potem babcia oznajmia jej, że jest ciężko chora i niedługo umrze. Wtedy mama Eun Bi bierze z rąk córki słuchawkę i puszczając w niepamięć dawne spory, zaczyna rozmawiać z matką.

Do domu wraca ojciec, a widząc, że żona i córka są czymś przestraszone, pyta, co się stało. Babcia jest chora? To dlaczego nie postępuje zgodnie z japońskim zwyczajem, który nakazuje starym ludziom, będącym już tylko zbędnymi gębami do nakarmienia, iść umrzeć na górze, żeby nie obarczać swoją osobą rodziny? Wspomina film *Ballada o Narayamie*. Przykład do naśladowania...

Na trzecim programie Kouassi Kouassi uczestniczy w obrzędach pogrzebowych po śmierci swojego dziadka, króla 280 plemienia. Ciało zmarłego wystawiono na przykrytym gałęziami stole. Otaczają je muzycy, wystukując na tam-tamach rytm podobny do bicia serca.

– Kiedy rozlegają się dźwięki tam-tamów, całe plemię wpada w trans, a wtedy można towarzyszyć duszy zmarłego aż do krainy wielkich duchów lasu – tłumaczy chłopcu ojciec.

Całe przedpołudnie Kouassi Kouassi malował na swojej twarzy rytualną maskę oraz nacierał włosy ptasim tłuszczem i miodem. Wokół oczu ma białe obwódki, na policzkach czerwone kreski, we włosy wetknął patyki.

– Tam-tamy będą grały przez cały dzień – wyjaśnia ojciec – ale żeby cała ceremonia została wypełniona, należy zjeść święte mięso.

– Co to jest święte mięso?

– Mięso z człowieka-antylopy. Ludzie-antylopy, którzy należą do ludów Północy, sami nazwali się w ten sposób. A my jesteśmy ludzie-lwy. Jest zaś normalne, że lwy zjadają antylopy.

Chłopiec także chciałby wziąć udział w nagonce, ale ojciec uważa, że to polowanie będzie zbyt brutalne dla małego chłopca.

Patrzy więc Kouassi Kouassi, jak uzbrojeni w dzidy i siatki członkowie jego plemienia oddalają się z wioski.

Kiedy wieczorem wracają, niosąc przywiązane do długiej gałęzi człowieka, chłopiec dziwi się widząc, że człowiek ten jest tak bardzo podobny do jego bliskich. Wyobrażał go sobie z rogami, a tu nie – jest podobny do nich, tylko jego twarz jest bardziej wydłużona a spojrzenie łagodniejsze. „Głowa roślinożercy” – myśli Kouassi Kouassi.

Przy dźwiękach tam-tamów nieszczęśnik, któremu nie udało się uciec, został przyprowadzony na główny plac.

– Zjemy wszystko? – pyta dziecko.

– Oczywiście, że nie – odpowiada ojciec. – Każdy otrzyma kawałek odpowiedni do swojej rangi. Nie jesteśmy dzikusami. Nie jemy pośladków, rąk, ani nóg.

– A więc co jemy?

– Przede wszystkim wątrobę, zarezerwowaną dla ciebie i dla mnie, jako spadkobierców zmarłego. Inni dostaną mózg, nos, serce, uszy, oczy, wszystko to, co jest święte.

Kouassi Kouassi wcale nie uważa tego za apetyczne. Lecz jego ojciec wyjaśnia, że ten symboliczny akt pozwoli duszy dziadka pójść prosto do nieba.

– Kouassi Kouassi, nadejdzie taki dzień, kiedy ty zostaniesz królem. Duch rodziny pomoże ci. Wystarczy, że go odnajdziesz obok wielkiego baobabu, w którym został złożony. Tradycja jest istotą naszego ludu i trzeba ją podtrzymywać, aby żadna obca magia nie mogła wyrządzić nam zła.

Na drugim programie dwunastoletni Theotime jest otyłym dzieckiem. Przyrządzając posiłki matka podsuwa mu smaczne dania z oliwą z oliwek. Kiedy chłopiec wraca ze szkoły, przynosząc raczej marne oceny, matka przeklina system szkolnictwa, który nie jest w stanie zrozumieć bystrości umysłu jej latorośli. Pociesza więc syna, dając mu dopiero co wyjęte z pieca ciasteczka i obdarzając go mokrymi pocałunkami.

– Mamo, daj mi zjeść – protestuje chłopiec.

– To silniejsze ode mnie – tłumaczy matka. – Jesteś taki miłutki. Chyba nie zabronisz matce całować swojego synka?

Zrezygnowany Theotime znosi tę lawinę czułości, polykając podwieczorek. Jak sobie pomyśle, że Igor tyle razy o mało nie został zabity przez swoją matkę...

– Przynajmniej wiesz, co znaczy twoje imię. Theo to bóg, a time – strach. Theotime: boski strach.

Theotime już tysiąc razy słyszał tę historię, więc nawet nie podnosi głowy znad ciastka. Nie reaguje też na dźwięk telefonu. To na pewno nie do niego.

Matka odbiera i po chwili wraca przerażona.

– Zabrali dziadka do szpitala. Nie chcą go już trzymać w domu starców, więc powiedzieli, że jego stan zdrowia pogorszył się. A tyle pieniędzy dostają na jego utrzymanie... Musimy tam jechać.

Dziadek chłopca leży w głównym szpitalu Iraklionu. Z rył wystają mu plastikowe rurki, czujniki podłączone są do komputerów. Theotime szuka wolnego skrawka skóry, gdzie mógłby dziadka pocałować. Pochyla się nad policzkiem. Starzec coś mamrocze.

– Co mówisz, dziadku?

Starzec próbuje coś powiedzieć, ale jego usta są zbyt suche, aby mógł mówić. Pielęgniarka próbuje wlać mu do gardła szklankę wody, jakby podlewała kwiat w donicze.

– Biedak, cierpi na chorobę Alzheimera, nawet nas już nie poznaje – mówi zmartwionym głosem matka Theotime'a. – Jakie to nieszczęście, tak kończyć życie.

Starszy człowiek wydaje z siebie kilka pisków i ojciec Theotime'a proponuje, żeby go trochę unieść. Może tak uda mu się wyrazić to, co chce im powiedzieć.

Cała rodzina z największą ostrożnością uczestniczy w tej operacji, nie chcąc odłączyć jakiegos przewodu. Oparty o poduszki starzec wciąga powietrze i mówi z trudem:

– Pozwólcie mi... umrzeć.

Matka Theotime'a natychmiast marszczy brwi.

– Niedobry dziadziuś. Niedobry. Przyszliśmy ci odwiedzić, przyprowadziliśmy ci małego, a ty nam mówisz, że chcesz umrzeć. Ależ my cię nie opuścimy! Będiesz żył.

– Chcę umrzeć – powtarza starzec.

Przychodzi lekarz i uspokaja rodzinę. Tłumaczy, że dziadek cierpi, ponieważ bolą go odleżyny i że w szpitalu nie mają żadnego materaca zapobiegającego ich powstawaniu. Ale podstawowe narządy pracują. Ma trochę zajęte oskrzela, lecz sobie z tym poradzą.

– A ile to będzie kosztować?

Lekarz bierze głęboki wdech.

– Proszę się nie martwić. Hospicjum przesłało nam całą dokumentację. Wszystko jest w porządku. Za pani ojca zapłaci opieka społeczna. Będzie mógł u nas zostać, nawet jak skończy sto lat.

– Słyszysz, dziadziuś? Zajmą się tobą. Ale co to za zapach?

Lekarz podnosi koldrę i Theotime stwierdza, że dziadek ma ubrane pieluchomajtki. To, że stary człowiek jest ubrany jak niemowlę, przstraszyło chłopczyka. Prosi, żeby już wyszli. Matka przystaje na jego prośbę, cały czas chwalać syna za odwagę, z jaką zniósł ten spektakl o końcu życia.

Wyłączam telewizor. Moi śmiertelnicy sprawili, że zapomniałem o bólu spowodowanym utratą Edmonda Wellsa. „Tu, na dole, nic nie trwa wiecznie” – powtarzał mi często. Ze zdziwieniem stwierdzam, że ludzie nie potrafią ze spokojem przyjąć faktu, że postawiono kropkę po ostatnim zdaniu w rozdziale opisującym ich życie.

Kładę się do łóżka i zamykam powieki. A czy ja będąc umiał pogodzić się z końcem? O ile łatwo jest umrzeć, nie wiedząc, co nastąpi potem, o tyle trudno jest umierać, kiedy się wie. A ja wiem, że jeśli umrę tutaj, zamienię się w chimerę. Będę już tylko nieśmiertelnym stworzeniem, które nie potrafi mówić, zwyczajnym widzem zagubionym na wyspie, gdzieś tam, w kosmosie. Jak bardzo chciałbym nie wiedzieć i zbliżyć się do nieznanego! Nawet dziadek Theotime'a ma nadzieję, że śmierć będzie dla niego wyzwoleniem. Może nawet spieszo mu, żeby się dowiedzieć, czy po drugiej stronie coś istnieje.

Patrzę na plan zajęć i listę nauczycieli.

Kogo spotkam niedługo?

Dobry Boże. Ją!

96. MITOLOGIA: AFRODYTA

Jej imię oznacza: „ta, która wynurzyła się z morskiej piany”. Według mitologii, Kronos wykastrował Uranosa i wrzucił jego narządy płciowe do morza. Tam z krwi, spermy oraz słonej wody utworzyła się piana (*ap h ro*), którą prądy i morski wiatr Zefir poniosły na wyspę Cypr, gdzie wynurzyła się z niej kobieta. Zaopiekowały się nią Hory. To one zawiodły Afrodytę na Olimp. Towarzyszyła jej Miłość (Eros) oraz Pożądanie (Himeros). Jej uroda i wdzięk poruszyły wszystkich bogów i wzbudziły zazdrość bogiń. Zeus uznał ją za swoją córkę. Afrodyta poślubiła najbrzydszego z bogów, kulawego kowala o zdeformowanym ciele – Hefajstosa. Sporządził on dla niej magiczny pas. Każdy, kto go nosił, wzbudzał szaloną miłość u tych, którzy się do niego zbliżyli. Afrodyta miała troje dzieci: Phobosa, Deibosa i Harmonię, której ojcem nie był jednak kaleki Hefajstos, lecz piękny bóg wojny – Ares, z którym bogini żyła w potajnym związku. Tymczasem Helios, bóg Słońca, zaskoczył któregoś dnia kochanków w małżeńskim łóżu Hefajstosa. Doniósł o tym znieślawnemu mężowi, który postanowił ukuć sieć z brązu, schwycić w nią kochanków i poniżyć ich w obliczu wszystkich bogów. Co też uczynił.

Po uwolnieniu Ares powrócił do Tracji, zaś Afrodyta udała się do Pafos, gdzie w morskiej wodzie miała odnaleźć utracone dziewictwo. Hefajstos chciał się rozwieść, jednak za bardzo kochał niewierną żonę, żeby móc się z nią rozstać na zawsze. Tymczasem zemsta odwróciła się przeciwko niemu, ponieważ bogowie wzruszyli się, widząc nagą Afrodytę w pułapce. Od tego czasu każdy z nich pragnął ją posiadać i większości to się udawało.

Afrodyta uległa zalotom Hermesa, a z ich związku począł się Hermafrodyta, młody człowiek dwojga płci, którego imię pochodzi z połączenia imion jego rodziców.

Po Hermesie Afrodyta przyjęła do swego łóża Posejdon. Potem Dionizosa, z którym miała syna Priapa. Bogini Hera, chcąc pokazać swoją dezaprobatę wobec lekkich obyczajów Afrodyty, obdarzyła jej syna narządem płciowym nadnaturalnych rozmiarów. Afrodyta kochała też króla Cypru, Cinyrasa, który wprowadził na wyspie jej kult.

Szaleńczą miłością zapalał do niej rzeźbiarz Pigmalion, który wykuł jej posąg w kości słoniowej i umieścił go w swoim łóżku. Potem błagał, żeby bogini zechciała do niego przyjść. Przestała na jego prośbę, wstąpiła w posąg i tchnęła w niego życie, stwarzając w ten sposób Galateę.

Afrodyta nie ustawała w miłosnych przygodach. Porwała Faetona (jego imię oznacza „błyszczący”), który był jeszcze dzieckiem, i uprawiała z nim miłość, a następnie mianowała go strażnikiem swojej świątyni.

Wśród kochanków Afrodyty wymienia się Adonisa – słynnego ze swej urody pasterza i jednocześnie syna jej byłego przyjaciela Cinyrasa, króla Cypru. Jednakże ciągle zakochany i zazdrosny o boginię Ares wysłał przeciw niemu dzika, który rozszarpał go na oczach ukochanej, a z przelanej krwi młodzieńca powstał kwiat – anemon.

Atrybuty Afrodyty to mirta, róża, owoce pestkowe: jabłka i granaty, uważane za dające płodność. W orszaku bogini na Olimpie szły Nimfy, Charyty, Eros, Hory, Trytony oraz Nereidy. Jej ulubionymi ziemskimi zwierzętami były łabędzie i synogarlice, a także kozły i zające; cenila je za ich zdolność do rozmnażania się. Poświęcone Afrodycie świątynie charakteryzują się piramidalnym lub stożkowym kształtem, w dużym stopniu przypominającym mrowisko. Egipskim odpowiednikiem Afrodyty jest bogini Hathor, której kult rozwinął się w Afrodytopolis, niedaleko Memphis. W mitologii fenickiej utożsamiano ją z boginią Miłość – Astarte. (W rzeczywistości to właśnie Astarte zainspirowała Greków do stworzenia postaci Afrodyty). W Rzymie znano ją pod imieniem Wenus, której później poświęcono jedną z planet.

Edmond Wells,
Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V
(wkład Francisa Razorbacka, zainspirowanego
Teogonią Hezjoda, 700 r. przed Chrystusem)

97. PIĄTEK: ZAJĘCIA AFRODYTY

Budzik wyrywa mnie z erotycznego snu, od którego jeszcze drży moje ciało. Afrodyta...

Jej spojrzenie, jej rzęsy, jej perfumy, jej dłonie, jej zęby, jej usta.

Afrodyta...

Jej głos, jej uśmiech, jej oddech. Afrodyta...

Jej chód, nogi, dotyk jej skóry, jej piersi, jej pośladki, jej plecy.

Afrodyta...

Jej włosy, jej...

Siadam, opierając się o poduszkę. Serce wali mi jak oszalałe. Znowu jestem niczym nastolatek, który drży na widok każdej ładnej dziewczyny. Kiedy byłem zakochany, prawie mdlałem, a moje policzki płonęły.

„Miłość to zwyczajstwo wyobraźni nad inteligencją” – mawiał Edmond Wells. Nawet nie zdawał sobie sprawy, jak trafnie to określił.

Wspomnienie przyjaciela rozwiewa moje erotyczne wizje. Mieliśmy sobie jeszcze tyle do powiedzenia. Tyle jeszcze mogłem od niego otrzymać. Jego głos dźwięczy w moich uszach: „Napisałem *Encyklopedię*, ponieważ spotykani przypadkiem ludzie dostarczali mi dużej wiedzy. Ale kiedy chciałem ją ponownie przekazać, aby wiedza ta nadal trwała, spostrzegłem, że niewielu zainteresowanych jest takim prezentem. Ofiarować można tylko tym, którzy gotowi są nasz dar przyjąć. A więc dałem ją wszystkim. Jak butelkę wrzuconą do morza. Znajdą ją ci, którzy będą umieli ją docenić, nawet gdybym miał ich nigdy nie spotkać”.

Myśleni o nim przypomina mi o naszych plemionach, które tworzą już jeden lud, żyjący w pokoju na wyspie, i z którymi mogę porozumiewać się za pośrednictwem Królowej dzięki wymyślonej przez Edmonda piramidzie.

Puk, puk...

Aż podskoczyłem.

– Ej, ty tam, w środku, wstawaj! – krzyczy Raoul. – Czas na śniadanie. Dają jeść nawet chorczom, którzy odmawiają stawienia czoła wielkiej chimerze.

Wchodzi i siada na kanapie, ja tymczasem myję się i ubieram. Mimo czynionych mi wyrzutów, mój przyjaciel jest dziś rano w wyjątkowo dobrym humorze.

– Właściwie to dobrze zrobiłeś, że nie poszedłeś wczoraj wieczorem z nami – mówi po drodze. – W zasadzie to nie posunęliśmy się dalej. Ale Georges Méliès twierdzi, że ma pomysł na to, jak pokonać przeszkodę. W każdym razie już wiemy, że wielka chimera odporna jest nie tylko na działanie naszych ankh, ale również na strzały. Skonstruowaliśmy ogromną kuszę i strzeliliśmy w nią zaostrzonym palem, wielkim jak słup. A dla niej było to jak ułucie. Idziesz dziś wieczorem?

– Jeszcze nie wiem. Słyszałeś o Edmondzie?

– Oczywiście, wieści rozchodzą się szybko. Wygląda na to, że włamał się do domu Atlasa, żeby móc dalej grać. Chciał oszukać...

– Byłem tam z nim – mówię.

Kręci głową bardziej ze zrozumieniem niż zdziwieniem

Wiem, że Raoul był zazdrosny o mojego mistrza. Skoro Edmond zniknął, ma pewność, że teraz będę tylko jego.

W Megaronie Pory Roku podają letnie mleko prosto od krowy, chleb oraz rogaliki. Na stołach jest jajecznica, plasterki bekonu, miód. Lubię to.

Raoul puszcza do mnie oko:

– Mamy piątek. Dzień Wenus. A Wenus to lacińskie imię A-fro-dy-ty!

– I co z tego?

– Wszyscy wiemy, że masz fioła na punkcie tej bogini. Zresztą mógłbyś zachowywać się trochę dyskretniej, bo wielu plotkuje na wasz temat.

– Co opowiadają za moimi plecami?

Marszczy brwi, ze spokojem trzymając w swoich wielkich dłoniach grzanekę.

– A więc mówią, że aby spodobać się Afrodycie, tworzysz uprzejme i spokojne ludy, dla których najważniejsze jest życie duchowe.

Raoul Razorback łagodni tamtą wypowiedź:

– Znam cię i wiem, że tak nie jest. Ty naprawdę jesteś uprzejmy... i uduchowiony. Już od dobrej setki wcieleń jesteś eleganckim facetem, przekonany, że w życiu, jak w filmie, zawsze wszystko kończy się happy endem, źli zostają ukarani a dobrzy nagrodzeni.

Wkładam nos do filizanki.

– Mylisz się. Afrodyta nie lubi uprzejmych. Z twoimi ludźmi-orłami masz większe szanse, by ją uwieść.

Patrzy na mnie zdziwiony.

– Mój lud Orłów nie jest jeszcze wystarczająco rozwinięty. Na razie głównym niebezpieczeństwem jest Proudhon. Jego armia jest tak liczna i dobrze uzbrojona, że może podbić cały świat, nie napotkawszy najmniejszej próby oporu. Wolę zatem zostać w górach i dalej budować moją cywilizację, czekając, aż będzie na tyle potężna, żeby stawić mu czoła.

– Boisz się Proudhona?

– Oczywiście. Wiedzie prym w grze i narzuca nam swój rytm.

– Sarah Bernhardt proponowała ogólną unię przeciwko jego szczyrom.

– Za późno – odpowiada. – Twój lud jest już prawie wykluczony z gry. Jeśli chodzi o innych uczniów, to tak bardzo boją się, że zostaną usunięci, że znajdują się w stanie totalnej paniki. Gotowi uciekać lub poddać się. Natomiast ci, którzy mogliby stawić im czoła, jak ludzie-niedźwiedzie Wiktora Hugo lub ludzie-wilki Maty Hari, mieszkają zbyt daleko, żeby móc interweniować.

– Jest jeszcze Marilyn Monroe i jej amazonki.

– Wierzysz w to? Jej kobiety są z pewnością niezwykle odważne, jednak problem jest nie w osach, ale w samej Marilyn Monroe. Ona zupełnie nie zna się na strategii. Chwilami wydaje mi się, że jej śmiertelniczki lepiej wiedzą, co robić, niż mająca nimi kierować bogini. A to już szczyt wszystkiego.

Zawsze bawi mnie to, że niektórym ludziom wydaje się, że są bardziej przewidujący niż ich bogowie. Sam też stwierdziłem, że niektórzy moi ludzie-delfiny dokonywali bez mojego wpływu istotnych odkryć, o których ja nawet nie myślałem.

Georges Méliès siada obok nas.

– Chyba już wiem, jak pokonać potwora – oznajmia prosto z mostu.

Wydaje się być nastawiony entuzjastycznie.

– Postępowaliśmy dotychczas źle, próbując mu się przeciwstawić. Trzeba obejść problem.

– Mów dalej.

– Nie zadawajcie mi więcej pytań. Dziś wieczór czeka was niespodzianka. Nie trzeba zabijać wielkiej chimery, wystarczy ją unieszkodliwić.

Słychać dźwięk dzwonu. Jest ósma trzydzieści, a więc czas udać się do pałacu Afrodyty.

Siedziba bogini miłości przypomina zamek z baśni. Z balkonów okalających liczne wieżyczki zwisają kwiaty. Wszędzie dużo kiczu: różowe wstążki, złote nitki. Prawdziwy wystrój domu dla lalek.

I wtedy z nieba zstępuje Afrodyta. Wspaniale wygląda w rydwanie ciągniętym przez setkę gołębi i synogarlic. Czerwone słońce podkreśla szlachetność jej sylwetki. U jej boku frunie cherubinek.

Pulchne dziecko ma skrzydła kolibra. Jest uzbrojone w łuk i kołczan ze strzałami zakończonymi szkarłatnym sercem.

– To Kupidyń – szepcze Raoul. – Wystarczy jedna strzała i szalejesz z miłości. Niepokojące, co? To może być bardzo niebezpieczna broń...

Myszę, że mnie nie jest już potrzebna ani strzała Kupidyń, ani pas Afrodyty.

Skrzydłata eskorta siada na trawie. Słychać furkot piór. Bogini schodzi z rydwanu i pozdrowia nas. Następnie zbliża się do bramy pałacu, a wtedy dwoje drzwi otwiera się, tak jakby ją rozpoznały.

Wchodzimy do dużej okrągłej sali, której ściany obite są czerwonym welurem.

Zyrandole w kształcie lichtarzy oświetlają pomieszczenie.

Na ścianach wiszą japońskie ryciny o erotycznej tematyce oraz sceny z *Kamasutry*. Wzdłuż bocznych ścian stoją wykute w rzymskim marmurze splecione w uścisku pary.

– Witajcie w moim domu – mówi bogini, zajmując miejsce za stojącym na podium biurkiem. – Jestem Afrodyta, bogini miłości, wasza szósta nauczycielka, która pomoże wam w przejściu na „6” poziom świadomości.

Za pomocą dzwoneczka o delikatnym dźwięku wzywa Atlasa, który wchodzi, uginając się pod ciężarem „Ziemi 18”. Bogini wskazuje mu kieliszek do jajek, lecz olbrzym odwraca się w naszą stronę, a jego rysy tężeją. Domyślam się, że szuka wśród nas drugiego zamaskowanego ucznia, który uciekł mu w nocy. Spuszczam wzrok.

– O co chodzi? – pyta zdziwiona jego zachowaniem Afrodyta.

– Dziś w nocy dwóch uczniów włamało się do mojego domu, żeby się dostać do „Ziemi 18”.

– Jesteś tego pewien?

Olbrzym wyjmując zza paska strzęp togi. To jest moja toga! Dobry Boże... Musiałem o coś zaczepić. Po powrocie do willi będę musiał zniszczyć resztę ubrania.

– Nie martw się, Atlasie. Zostaw ten kawałek materiału Afrodycie. Znajdziemy winnego.

Takim samym gestem każe olbrzymowi oddalić się, a nas zaprasza, byśmy podeszli i zajęli miejsca wokół „Ziemi 18”.

Stojąc blisko kuli, trzyma pomiędzy piersiami swój inkrustowany diamentami ankh i przygląda się naszym ludom.

– Wasi śmiertelnicy znają już rytuały pogrzebowe. Kto je wymyślił?

Ponieważ Edmond Wells nie może odpowiedzieć, wszyscy odwracają się w moją stronę.

– Jak się pan nazywa? – pyta Afrodyta, udając, że mnie nie poznaje.

– Pinson... Michael Pinson.

Mówi dalej, zwracając się do całej klasy:

– Skoro znacie już ceremonie pogrzebowe, znaczy to, że wkrótce zobaczycie, jak powstają religie, a więc także pierwsze próby zgłębienia tajemnicy nieśmiertelności przez śmiertelników. Większość waszych plemion nie wyrzuca już ciał swoich zmarłych i w całkiem naturalny sposób zaczynają sobie wyobrażać, że dusze przechodzą w jakiś wyższy wymiar. Jednym słowem, stworzyli sobie „protoreligie”. Jednak najpierw mała poprawka.

Podchodzi do „Ziemi 18”, otwiera zapadkę zegara i kilkakrotnie przesuwając wskazówki do przodu. Biorąc pod uwagę liczbę okrążeń wskazówek wokół tarczy, postarzyła nasz świat o kilka wieków. Wszystkie nasze ludy musiały dojrzeć w przyspieszonym tempie i cieszyć się, że skierowałem moje plemię na dobre tory.

Bogini miłości nakazuje, by każdy z nas stanął przy swoim dziele.

Patrzę i stwierdzam, że lud Iguan Marii Cúrie czci już Słońce, lud Szczurów Proudhona – Sokołów, lud Os Marilyn Monroe swoją królową, którą uważają za wcielenie boga na Ziemi. Lud Sokolów Bruna Ballarda bije pokłony Księżycowi, a lud Termitów Gustave'a Eiffla oddaje hołd posągowi ogromnej kobiety. Ludzie-skarabeuszce Clementa Adera modlą się do krowy, a ludzienie Sarah Bernhardt do starych drzew.

Ale są i bardziej zaskakujące religie. Ludzie-wilki Maty Hari obrali sobie za boga Wielkiego Białego Wilka, którego uważają za swojego świętego przodka. Lud Tygrysów Georges'a Mélièsa wierzy w energię, którą nazywa „Ciepłem”. Orły Raoula czczą najwyższy szczyt gór, w których mieszkają. Tymczasem moi ludzie-delfiny czczą pojęcie, które nazywają Życiem i określają jako obecną w każdej rzeczy energię. To właśnie z nim, z Życiem ma kontaktować się nowa Królowa i od niego otrzymuje potrzebne dla swej wspólnoty informacje.

– Dla człowieka religia jest naturalną koniecznością – wyjaśnia Afrodyta. – Ambicja pcha go, żeby powiększał swoje terytorium. Wyobraźnia zaś popycha go do podboju światów leżących poza zasięgiem wzroku. Aby stały mu się bliższe, nadaje im nazwy i je rysuje. Tworzy kosmogonie. Wymyśla nas na obraz tego, co wydaje mu się najwyższe.

Przypomina mi się zdanie Edmonda Wellsa odnośnie Olimpij: „Tu jest tak, jak w dziecięcym śnie lub... w książce”.

Za pomocą ankh przyglądamy się naszym ludziom i stwierdzamy, że nawet plemiona bez bogów stworzyły sobie jakiś kult.

Afrodyta potrząsa długimi blond włosami i oznajmia:

– Ponieważ wymyślili już zaświaty, to my stworzymy im te „prawdziwe”.

Zapisuje na tablicy: „Raj 18”.

Bogini miłości wyjmuje z szuflady coś, co przypomina zestaw małego chemika, w którym jest butelka w kształcie stożka. Miesza w szklanym naczyniu różne składniki, a następnie ogrzewa je nad palnikiem Bunsena. Butelka zostaje umieszczona w mieszalniku i po chwili pojawiają się kłęby pary, przekształcając się w stożkowy wir, obejmujący całą butelkę. Następnie Afrodyta wyjmuje z probówki niewielkie słońce, które umieszcza w największym miejscu stożka.

A więc to coś takiego przyciągało nasze dusze w chwili, gdy opuszczały ciało i udawały się do Raju „Ziemi 1”. Słońce umieszczone na dnie Raju.

Afrodyta klaszcze w dłonie i po chwili wchodzi do sali złożona z Charyt orkiestra, intonując *Adagio* Samuela Barbera.

Muzyka rozbrzmiewa w całej sali, budząc w nas dziwne uczucia.

Kupidyn gasi kilka stojących najbliżej kuli świec, żeby zyskać półmrok i nagle stajemy jak wryci, dostrzegając najpierw jedną duszę, potem dwie, potem dziesiątki, setki, tysiące ulatujących z „Ziemi 18” dusz. Wszystkie kierują się do nieba. Wznoszą się i zagłębiają w rurze prowadzącej do szklanego naczynia „Raju 18”.

Co za widowisko! Z każdego zakątka planety nadlatują ludzkie duszyczki całymi grupami, jak migrujące kosmiczne ptaki.

Niektóre z nich lądują, lecz po chwili znowu unoszą się nad powierzchnią, pod warstwą chmur. To są dusze błądzące, które nie mają wystarczającej woli lub siły, żeby wzbić się do światła i wolą pozostać w pobliżu Ziemi.

A raj w szklanym naczyniu zaczyna się organizować. Trzy pierwsze dusze same ogłaszają się archaniołami i dołączają do swojego grona kilka druzgotnych aniołów, tworząc razem z nimi sąd, który będzie przyjmował nowo przybyłych i ważył dusze. I tak na „Ziemi 18” zostaje wprawione w ruch wielkie koło cyklu reinkarnacji. Pralka, z której za każdym razem wyjmuje się pranie bielsze i bardziej lśniąca.

Marzę o tym, żeby z pokolenia na pokolenie, z jednej karmy na drugą mój lud delfinów

stawał się coraz doskonalszy.

Niektóre z moich pięknych dusz-delfinów woła odradzać się na wyspie, ale pozostałe chcą udać się do innych ludów. To ich wolny wybór. Są nawet takie, które wybierają swoich rodziców wśród ludzi Raoula czy Proudhona, tak jakby chciały, żeby duch delfinów ogarnął ich wrogów lub najbardziej zawziętych wojowników. Ale to nie koniec działań bogini miłości. W drugiej butli tworzy „Imperium Aniołów”, do którego ma prawo przejść kilka szczególnych dusz z „Raju 18”. Afrodyta właśnie dała naszym ludziom możliwość przejścia na „6” poziom świadomości. Od tej chwili śmiertelnicy z „Ziemi 18” także będą mieli swoich własnych aniołów.

Cykl ludzkości z tej małej planety wszedł właśnie na drogę ciągłej wędrówki: ciało, dusza, Imperium Aniołów, powrót na Ziemię.

Wznoszenie się na wyższy poziom jest możliwe. Nasze zadanie jako bogów będzie znacznie łatwiejsze. Tamtejsze anioły „rzemieślniczo” pomagać będą swoim klientom, podczas gdy my będziemy działać w sposób bardziej „przemysłowy”. Anioły to żołnierze walczący o pozyskanie ludzkiej świadomości. „Raj 18” oraz „Imperium Aniołów”. Afrodyta z największą delikatnością kładzie obydwa naczynia na zapadkach znajdujących się pod kieliszkiem do jajek, na którym leży kula ziemiska. Nadszedł czas. Ponownie gasną światła, tylko „Ziemia 18” oświetlona jest przez reflektor. Niektórzy z nas stają na niewielkich drabinkach, żeby sięgnąć wyżej niż kula, lub wchodzą na krzesła, aby znaleźć się na wysokości naszych ludów. Wszyscy zaczynamy kolejną partię gry.

Ja wchodzę na taboret od zachodniej strony, na wprost mojej wyspy. Ustawiam zoom, przekręcając przycisk „N” mojego ankh: ściągam ocean, wyspę. Moją Wysepkę Spokoju.

Ludzie-delfiny wzniesli monumentalną piramidę, o wiele wyższą i szerszą od tych, jakie stawiano dotychczas. Przy jej budowie zachowali zasadę złotej liczby: (1+ 5):2, której istnienie musieli odkryć dzięki obserwacji przyrody. Ich nowa Królowa zrobiła się gruba. Ze względu na otyłość praktycznie nie opuszcza swojego mieszkania. Koło niej siedzi pięciu bardzo młodych mężczyzn pogrążonych w medytacji. Próbuje coś z tego zrozumieć.

Nigdy nie spotkałem się z czymś takim. W swoim mieszkaniu, w otoczeniu pięciu mężczyzn królowa tworzy swego rodzaju „nadajnik-odbiornik o ludzkich falach”, zasilany zgromadzoną energią seksualną.

Dzięki tej żywej antenie cała ludność podłączona jest do płynącej z Królowej energii, ona zaś połączona jest z kosmosem.

Posiadając od niedawna „zaświaty”, mój lud dokonał niesłychanego postępu. Liczy już trzysta tysięcy obywateli, bardzo wykształconych, w większości dynamicznych i posiadających niezwykle rozwinięte poczucie odpowiedzialności.

Jak bardzo chciałbym, żeby zobaczył to mój przyjaciel Edmond Wells, żeby razem ze mną ujrzał poziom rozwoju naszych ludów.

Afrodyta wspominała nam o protoreligii, ale moi ludzie są w tej dziedzinie bardziej zaawansowani. Mają różne typy miejsc, w których możliwe jest przekazywanie duchowości. I obok klasycznego nauczania znają i uprawiają medytację; oraz telepatię, potrafią także opuścić własne ciało. W szkole dzieci uczą się lepiej oddychać, zapadać w krótki, krzepiący sen, kochać.

Ponieważ doskonale znają swoje ciało, potrafią się leczyć poprzez przyłożenie dłoni lub uciskanie odpowiednich punktów. Stworzyli własne pismo i zapisują swoją wiedzę w pergaminowych księgach. Otworzyli bibliotekę, a w zgromadzonych tam woluminach opisana jest kartografia nieba oraz wszystkie zwierzęta i rośliny występujące na ich wyspie. Nie pozostali też w tyle w dziedzinie nauk teoretycznych ani nie zapomnieli o sztuce. Malują, rzeźbią, komponują.

Jednak największe wrażenie robi ich pogoda ducha. Żyjąc z dala od stresu związanego

z wojną, nie znają przemocy. Ich wychowane w miłości dzieci nie bawią się sztuczną bronią. Delfiny są o wiele zabawniejsze...

Dobrze odżywni rybim białkiem, leczeni w odpowiedni sposób, moi śmiertelnicy żyją długo i nawet ci, którzy skończyli sto lat, są w dobrej formie. Poza tym są wysocy. Średni wzrost to 195 centymetrów, ale niektórzy osiągają nawet 210 centymetrów.

Spoglądam przez lupę mojego ankh, kierując ją na ulice. Domy nie mają zamków. Wszyscy pracują z własnej woli i bez żadnego strachu, a zgromadzenia mędrców dyskutują o tym, jak rządzić miastem.

– Panie Pinson?

Od czasu do czasu wysyłają swoje długie, smukłe okręty, przypominające kształtem delfiny, na ekspedycję do Starego Świata. Ponieważ jednak większość autochtonów ma zwyczaj mordować nowo przybyłych, zanim nawiążą z nimi kontakt, zgromadzenie mędrców zastanawia się, czy kontynuować wyprawy nowych śmiałków. Jednakże port rozrasta się, a w stoczniach powstają kolejne, jeszcze szybsze statki. W mieście urbanisci opracowują system wspólnej kanalizacji, który usunie śmieci i...

– Panie Pinson, mówię do pana!

Afrodyta staje przede mną.

– Ten kawałek tkaniny przyniesiony przez Atlasa należy, jak mi się zdaje, do pana.

Moje serce przestaje bić.

– To pan wszedł po cichu do domu strażnika światów, aby przyspieszyć rozwój swojego ludu, prawda? Już rozumiem, jak to się stało, że pańscy ludzie tak nagle uniknęli zagłady i w szybkim tempie zdołali zbudować tak piękne miasto. Cały problem w tym, że ingerowanie w życie planety poza godzinami zajęć jest surowo zabronione. Dopuścił się pan oszustwa, Michaelu Pinson. Bardzo mnie pan zawiódł.

Swoim diamentowym ankh dokładnie ogląda moją wyspę.

– Pana lud jest za bardzo do przodu w stosunku do innych. Przykro mi, ale muszę przestawić zegary.

Moje serce bije coraz szybciej. Niech ukarze mnie, ale nie mój lud, nie mój lud... Trzymany przez nią klejnot zamienia się w niebezpieczną broń, ustawioną na największą moc.

Nie ona, tylko nie to.

Jednak delikatny palec już naciska na karzący przycisk „D”.

98. ENCYKLOPEDIA: PRAWO DLICHA

Ivan Dlich, ksiądz katolicki wywodzący się z rodziny zamieszkałych w Austrii rosyjskich Żydów, długo badał zachowanie dzieci i opublikował wiele dzieł, takich jak na przykład *Spółczesność bez szkoły* lub *Twórcze bezrobocie*. Ten człowiek wszystkich kultur i uznany za wyrotowca myśliciel rezygnuje z kapłaństwa i w 1960 roku tworzy w Meksyku centrum dokumentacji Cuernavaca, specjalizujące się w analizie krytycznej społeczeństwa industrialnego. W swojej rozprawie: *Nie potrzeba strategii politycznej, żeby wywołać rewolucję* wzywa człowieka do stworzenia obszaru pracy, w którym najważniejszą zasadą byłyby pozytywne relacje pomiędzy członkami społeczności. Dzięki tym relacjom, a nie wydajności, człowiek sam znajdzie taką formę uczestnictwa w produkcji, która mu najbardziej odpowiada. Oprócz swoich książek i rozpraw Ivan Dlich znany jest zwłaszcza dzięki prawu nazwanemu jego nazwiskiem. Prawo Dlicha nawiązuje do prac wielu ekonomistów na temat wydajności pracy ludzkiej. Można je wyrazić tymi słowami: „Jeśli ciągle stosuje się metodę, która działa, w końcu przestaje działać”. Tymczasem w dziedzinie ekonomii zwykło się myśleć, że jeżeli podwoi się wykonaną przez rolnika pracę, to podwoi się również ilość zebranej pszenicy. W praktyce działa to tylko do pewnej granicy. Im jest ona bliższa, tym mniej rentowna okazuje się dodatkowa praca. Jeśli się ją przekroczy, wydajność staje się coraz mniejsza. To prawo ma zastosowanie na poziomie przedsiębiorstwa, ale również na poziomie jednostki. Aż do lat 60. zwolennicy Stachanowa sądzili, że aby spowodować wzrost wydajności, należy zwiększyć wywierany na robotnika nacisk. Im większej doświadcza on presji, tym lepsze osiąga wyniki. W rzeczywistości jest to prawdziwe tylko do momentu osiągnięcia punktu, który definiuje prawo Dlicha. Poza tym punktem każda dawka dodatkowego stresu będzie antyprodukcyjna, a więc działająca destruktywnie.

Edmond Wells,
Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

MIASTO DELFINÓW

Piorun uderzył w wulkan o siódmej rano, wywołując minitrzęsienie ziemi.

Kilka minut później, podczas gdy z głównego krateru zaczął unosić się dym, nastąpił drugi, silniejszy wstrząs. W ziemi powstały szczeliny i zapadły się najwyższe budynki. Wydawało się, jakby Ziemia dostała drgawek. Kiedy wreszcie wszystko uspokoiło się pod ich stopami, sądzili, że to koniec i zaczęli ewakuować rannych.

Wtedy właśnie na horyzoncie pojawiła się gigantyczna, prawie pięćdziesięciometrowa fala. Powoli zbliżała się do brzegu, przykrywając wschodzące słońce i tworząc daleko przed sobą zimny cień. Ptaki, które zbliżyły się do tej zielonej i gładkiej ściany, zostały przez nią nieodwracalnie wessane.

Zbudzenie przez trzęsienie ziemi ludzie-delfiny zebrali się na plaży, aby zobaczyć nieznaną zjawisko. Przecierali oczy, jakby wierzyli, że w ten sposób pozbędą się nocnego koszmaru.

Jak kiedyś ich przodkowie w obliczu nacierającej hordy ludzi-szczurów, tak teraz oni stali, zafascynowani niebezpieczeństwem, które nagle i bez żadnego powodu zaatakowało ich lud.

Królowa zamknęła na dłuższą chwilę oczy, chcąc spróbować zrozumieć, co się stało, po czym otworzyła je szybko i na wszystkie strony przesłała telepatycznie jedną wiadomość: „Uciekać”.

Ale nikt się nie ruszył. Wszystkich przeraził ogrom nieszczęścia.

Zaczęła krzyczeć:

– Trzeba szybko uciekać! Wsiadajcie na statki!

Nadal żadnej reakcji. Cały lud stał jak zauroczony, przyglądając się swojej nieuchronnej zagładzie. Tym razem spokój oraz inteligencja działały na ich niekorzyść. Już wszystko zrozumieli i pogodzili się z tym. W jednej chwili stali się spokojni... jakby zrezygnowali z walki o przetrwanie.

– Uciekać – powtarzała Królowa.

Są takie chwile, w których wściekłość jest ratunkiem. Dlatego Królowa zaczęła krzyczeć. Wrzask ten rozbrzmiewał w mieście jak dźwięk rogu. Jej rozdzierający głos był tak silny, że wyrwał wreszcie ludzi-delfinów z odrętwienia. Dzieci, które jeszcze nie rozumują, jak echo podjęły ten krzyk bóleści. Od najmniejszych do najstarszych, wszystkie rozumiały rozmiar dramatu.

Jak w dotkniętym czyjąś stopą mrowisku, wezwanie do przetrwania rozeszło się momentalnie, obejmując swym zasięgiem całe miasto.

Z plaży dobiegały nawoływania, krzyki, płacz.

A potem krzyki i gesty stały się bardziej wyważone, ukierunkowane i skuteczniejsze. Każdy zabierał w pośpiechu kilka rzeczy i szybko wsiadał na statek. Marynarze rozwijali żagle. Ogromna fala zbliżała się nieuchronnie, jak w zwolnionym tempie.

Teraz znajdowała się w odległości dziesięciu kilometrów.

Manewrujące w porcie statki uderzały w siebie nawzajem. Na skutek paniki mniej się zastanawiano. Tylko najspokojniejszym i najręczniejszym udało się wydostać.

Niosąca śmierć fala zakryła swym płaszczem horyzont. Trzy kilometry od wybrzeża.

Ziemia ponownie zadrżała, ale tym razem już nie pod wpływem ruchów magmy. Rozległ się grzmot.

Wybuchła panika.

Całe rodziny rzuciły się do wody, chcąc dopłynąć do statków, z których wyciągały się ręce, próbując ich wyłowić i uratować.

Fala była w odległości dwóch kilometrów.

Wstrząsy stawały się coraz liczniejsze, ziemia rozwarła się. Drzewa, góry, skały oraz kruche ludzkie budowle zapadały się jedne po drugich. Piramida, symbol ich świętności, popękała i zawałiła się.

Kilometr.

Znowu zapadła cisza. Ciężka, przytłaczająca. Pociemniało. Znikąd nie dobiegał żaden głos ptaka.

Właśnie wtedy wybuchł wulkan, zalewając wyspę pomarańczową magmą. Fala była już tylko w odległości stu metrów.

Ludzie zostali uwięzieni pomiędzy ogniem a wodą.

Ponad pięćdziesiąt metrów.

Nawet delfiny wyrzucało do góry tak wysoko, że ginęły, spadając na ląd. I jak w zwolnionym tempie, straszna fala uderzyła w rajską wyspę, która stała się kiedyś dla ludzi schronieniem. Byli już tylko śmiesznymi, jasnymi punkcikami, rozpaczliwie wymachującymi rękoma. Zmiażdżone ciała oblepiały kamienie, po czym zamieniały się w różowe błoto. Następnie cała wyspa zakolysała się jak uderzony przez lodową górę „Titanic”, a wielkie bloki skalne oderwały się od ziemi, tworząc w niej otwory. Żółta magma wrzała i dymiała na powierzchni zielonej wody.

Wyspa zaczęła znikać z powierzchni Ziemi, skazując swych mieszkańców na pewną śmierć. Najpierw zapadała się powoli, potem nagle, jednym ruchem dała się wciągnąć śmiertelnemu wirowi w otchłani oceanu.

Powróciła cisza.

Koniec. Wszystko skończone. Ze wspaniałej cywilizacji pozostały tylko unoszące się na wodzie szczątki.

Z usiłujących wydostać się z wyspy stu sześćdziesięciu okrętów, ocalało dwanaście.

Z trzystu tysięcy dusz zaludniających stolicę ludzi-delfinów przeżyły trzy tysiące.

Królowa zginęła, ale na jednym z dwunastu statków szybko wybrano inną. Od razu zrozumiała, jak odpowiedzialne jest jej zadanie. Stanąwszy na dziobie statku, odezwała się do swego ludu, chcąc mu dodać otuchy. Powiedziała, że dopóki żyje choćby jeden człowiek-delfin, to gdziekolwiek się uda, zabierze ze sobą wartości, pamięć, wiedzę oraz symbole swojego ludu.

SKARABEUSZE

Złożony z dwóch milionów stu pięćdziesięciu tysięcy mężczyzn i kobiet lud Skarabeuszy osiągnął wysoki poziom rozwoju cywilizacji. Zbudowali duże miasta, a dzięki bardzo pożytecznemu wynalazkowi, jakim było garncarstwo, rozwinęli zróżnicowane rolnictwo. Najpierw uprawiali rośliny, następnie magazynowali zbiory w wielkich składach. Jednak wołki zbożowe oraz inne owady szybko niszczyły zapasy, aż do dnia, w którym jedna z kobiet wpadła na pomysł, żeby zrobić hermetycznie zamknięte naczynia. Pomysł ten przyszedł jej do głowy podczas obserwacji skarabeuszy, które chronią swoje jajeczka w krowim łajnie, aby ich małe mogły rozwijać się w sprzyjającym środowisku.

Lud Skarabeuszy postanowił nieco zmienić tę ideę, myśląc o naczyniach z suszonego kału zwierząt, następnie z gliny uszczelnionej tym samym materiałem.

Wynalezienie garncarstwa przyniosło im wiele korzyści. Najpierw wyrabiali małe garnki,

potem większe, aż wreszcie gliniane dzbanki, które napełniali mlekiem, mięsem, zbożem i słodką wodą. Wynaleźli koło garncarskie, umożliwiające im wyrabianie doskonale okrągłych naczyń. Z tej idei powstały zwykłe koła, w które wyposażyli swoje tacki i wozy. Odżywiali się najlepiej ze wszystkich żyjących w tym regionie ludów, a ich dzieci były najwyższe. To też było dla nich w pewien sposób korzystne.

Swoje pierwsze miasto zbudowali w dorzeczu jednej z rzek. Potem dopłynęli nią aż do źródeł. W czasie, gdy dokonywali kolejnych odkryć, ich pola uprawne rozrastały się na południe. Rzeka nawadniała ziemię i dostarczała użyźniającą ją osady. Drugie miasto powstało jeszcze bardziej na południe, jakby chcieli w ten sposób zaznaczyć kierunek swojej ekspansji. Potem trzecie. Na każdą wyprawę zabierali ze sobą całe dzbanki żywności, dzięki której mogli przeżyć i posuwać się dalej, tam gdzie inne ludy nie zdołały dotrzeć. Ich system: wyprawa, wieś, miasto, zwiększanie terenów uprawnych – funkcjonował doskonale, nieustannie powiększając ich terytorium, liczbę ludności oraz komfort życia. Jednak kierując się stale na południe, dotarli w końcu do wysokiej góry, której nie potrafili pokonać.

Ponieważ na zachodzie było morze, na wschodzie pustynia a naprzeciwko góra, zdecydowali się w tym miejscu zakończyć swoją ekspansję.

Zbudowali więc drogi łączące miasta, którymi przemieszczały się wozy, przewożąc plony. Dobrze im się wiodło, gdyż położenie geograficzne ich terytorium było bardzo korzystne. Dzięki dużej liczbie ludności mogli ponadto stworzyć armię, która pokonawszy wszystkie sąsiednie ludy, stanowiła teraz siły obronne, gotowe stawić czoła każdej inwazji.

Pewnego ranka dzieci zauważyły daleko na horyzoncie płynące z północnego zachodu statki, jakich jeszcze nigdy tam nie widziano.

Początkowo obawiali się nowego ataku piratów, ale w miarę jak statki przybliżały się, dostrzegli, że są lepiej skonstruowane od tych, które dotychczas widzieli. Nie tylko posiadały żagle, ale także ich kadłub był dwadzieścia razy większy i o wiele dłuższy niż wszystkie znane łodzie.

Trzystu żołnierzy stanęło w obronnym szyku.

Jednak kiedy okręty weszły na mieliznę, ujrzeni ze zdziwieniem, że schodzą z nich wyczerpane i wyglądzone istoty. Ich spojrzenia naznaczone były ogromnym strachem i ludziskarabeusze domyślili się, że obcy musieli stawić czoła wielu próbom.

Na wszelki wypadek wojownicy otoczyli przybyszów murem z dzid i tarczy, jednak obcy nie wyglądali na wrogów. Wydawali się okropnie zmęczeni i chorzy. Większość od wielu dni, a nawet tygodni, nic nie miała w ustach. Ich policzki były blade i zapadnięte. Najbardziej dziwną osobą wśród nich była kobieta o szerokich biodrach. Zwiotczała skóra jej rąk zwisała jak zbyt obszerne ubranie.

Ledwie zdążyli zejść ze statków, zbili się w grupkę, stając jedni obok drugich i drżąc z zimna. Jeden z nich znalazł w sobie tyle siły, by podejść do żołnierzy. Powiedział coś w języku, którego lud Skarabeusz nie znał. Dowódca żołnierzy odpowiedział pytaniem: „Kim jesteście?”

Podróżny wziął patyk i narysował na piasku rybę, potem statek, następnie fale. Człowiek-skarabeusz zrozumiał ostatecznie, że ludzie ci uciekli z położonej na zachodzie wyspy, zatopionej przez morskie fale.

Nie byli uzbrojeni, a na znak pokoju wyciągali otwartą dłoń. Kobiety-skarabeusze przyniosły jedzenie, aby nakarmić przybyszów, oraz okrycia, by mogli się rozgrzać. Żołnierze zebraли ich na położone niedaleko polanie, na której ludzie-skarabeusze zbudowali prowizoryczne chatki.

Zamieszkali na ogrodzonym i pilnowanym terenie. Ludzie-skarabeusze przychodzili im się przyglądać, jakby byli dziwnymi zwierzętami. Z zainteresowaniem oglądano ich statki, zastanawiając się, jak ci pozbawieni wszystkiego ludzie mogli zbudować tak piękne okręty.

Największe wrażenie robiły żagle, których łopot przypominał dźwięk skrzydeł rozcinającego fale wielkiego ptaka.

Ludzie-delfiny przez wiele dni pozostawali w zamknięciu, odpoczywając i lecząc rany. Milczeli, a w ich spojrzeńiach był tylko wielki smutek. Wreszcie któregoś dnia wódz ludziskarabeuszy wezwał na spotkanie delegację ludzi-delfinów. Jedna i druga strona spoglądała na siebie nieufnie, a zarazem z zainteresowaniem.

Podczas przeprowadzonych następnie rozmów zdecydowano, że ludzie-delfiny mogą zostać w mieście, a nawet zbudować własną dzielnicę, pod warunkiem, że podzielą się posiadaną wiedzą.

Ludzie-delfiny opuścili ogrodzony teren i dostali zgodę na budowę domów na peryferiach stolicy. Wzniesli tam dziwne okrągłe domy z obrzuconego białą spoiwa, zamykane eleganckimi drzwiami w turkusowym kolorze. Kiedy opadły pierwsze emocje, postanowili wprowadzić święto upamiętniające ich exodus, podczas którego udało im się oszukać śmierć.

– Począwszy od dzisiaj – ogłosiła ich Królowa – za każdym razem, gdy unikniemy jakiegos niebezpieczeństwa, opiszemy je w naszych księgach, żeby nikt o tym nie zapomniał i aby to doświadczenie służyło kolejnym pokoleniom. Zorganizujemy uroczystość, podczas której będziemy spożywać produkty, jakie towarzyszyły nam w naszej przygodzie. Podczas tych wszystkich tygodni, kiedy uciekaliśmy przed potopem, żywiliśmy się rybami. Dlatego co roku w rocznicę wielkiej katastrofy będziemy jedli tylko ryby.

Tej samej nocy Królowa umarła, udławiwszy się rybią ością.

Należało szybko zdecydować, kto we wspólnocie jest w stanie zająć jej miejsce. Ludzie-delfiny testowali zdolności wielu z nich do pełnienia funkcji medium. Kobiety okazały się zdecydowanie zdolniejsze w tej dziedzinie niż mężczyźni.

Wygrała młoda dziewczyna. Natychmiast zaczęła jeść za czworo, żeby utyc i móc zgromadzić w sobie tyle energii, ile było niezbędne do długich medytacji.

W ramach podziękowania za otrzymaną gościnność ludzie-delfiny przekazywali stopniowo swoją wiedzę ludziom-skarabeuszom. Nauczyli ich swojego systemu liczbowego i alfabetu. Nauczyli ich swojego języka. Nauczyli ich mapy nieba oraz swojej techniki żeglowania i łowienia ryb. Oczywiście ludzie-delfiny nie potrafili wyjaśnić, co się stało na ich wyspie. Wystarczyło im mówienie, że mieszkali kiedyś w Raju, z którego zostali wygnani na skutek nieznanego błędu, który musieli popęlnić.

Nauczyli też ludzi-skarabeuszy, jak zastąpić prowadzony przez nich dotychczas handel wymienny, wprowadzając nową jednostkę wartości: muszlę.

Wyjaśnili im, dlaczego warto wznosić pomniki. One jednoczą ludność, stanowią punkty odniesienia w mieście oraz przyciągają przejeżdżających tędy obcych, ułatwiając wymianę handlową.

Ludzie-skarabeusze z uwagą słuchali ludzi-delfinów, jednak w kwestii pomników wyrażali swoje powątpiewanie. Kosztowały zbyt drogo jak na cel, który wydawał się mało oczywisty.

Wtedy ludzie-delfiny postanowili stworzyć na ich własny użytek religię.

Stwierdzili, że zmarłych należy chować w piramidzie, bo to ułatwia im wielką podróż zaświaty. Ludzie-skarabeusze bali się oczywiście, że dusze ich zmarłych utkną w dolnym świecie, ale to nie wystarczyło, żeby rzucili się w wir wielkich prac. Aż tak bardzo im na tym nie zależało. Wtedy jeden z ludzi-delfinów, najlepszy gawędziarz w swoim pokoleniu, obiecał, że nazajutrz opowie im historię świata. I przez całą noc, puszczając wodze swojej wyobraźni, oczarowywał ich kosmogonią, która miała na celu stworzenie przez nich religii i zbudowanie piramidy. Pomysł, by stworzyć bogów z głowami zwierząt, nasunął mu się całkiem niespodziewanie. Uznał bowiem, że taka koncepcja wywrze wrażenie na ludziach-

skarabeuszach.

I tak się stało. Mało tego, sami pomogli jeszcze gawędziarzowi upiększyć jego opowieść dzięki wynalezionym przez siebie roślinnym miksturkom, a zwłaszcza wytwarzanemu z rozortartej efedry i czerwonej jagody świętemu napojowi, za pomocą którego wprowadzali się w trans i mieli jeszcze bardziej wyraziste wizje. Historię przekazywano z ust do ust, jako że podobała się wszystkim, następnie zaś została spisana. Mężczyzna-delfin dodał oczywiście wiele jej elementów, lecz przyświecał mu konkretny cel: wzniesienie piramidy, w której nowo wybrana Królowa mogłaby porozumiewać się z ich bogiem.

Młoda otyła dziewczyna była już psychicznie przygotowana do tego zadania, kiedy wreszcie przekonani do stworzonej dla nich nowej religii ludzie-skarabeusze zgodzili się na prośby swoich gości. W ciągu kilku miesięcy wzniesli piramidę wyższą od tej, która była na wyspie. Na dwóch trzecich jej wysokości wybudowali wygodną lożę. Od tego czasu ludzie-skarabeusze składali tu ciała możliwych swego ludu, a ludzie-delfiny uczestniczyli w tych podróżach w zaświaty. Niebawem trzeba było odsunąć trochę szczątki zmarłych, żeby umieścić tam nową władczynię-medium.

Młoda dziewczyna wiedziała, że w nowym miejscu „nadawczo-odbiorczym” przemówi do niej bóg, jednak długo zastanawiała się, nim postawiła mu pytanie, które najbardziej ją męczyło: „Dlaczego nas opuściłeś?”.

Kiedy je wreszcie zadała, wydawało jej się, że otrzymała odpowiedź, którą zinterpretowała następująco: „Żeby was wzmocnić poprzez zetknięcie z przeciwnościami losu”.

Królowa przyjęła tę odpowiedź, ale na wspomnienie nieszczęść swojego ludu, siedząc w pozycji kwiatu lotosu, długo płakała, sama wśród zmarłych z ludu Skarabeuszy.

– Proszę cię, proszę, nie zsyłaj na nas nigdy więcej takiej próby.

Po tej małej wymówce zrobionej swojemu bogu nabrała przekonania, że to było twarde doświadczenie, ale przecież mogło skończyć się o wiele gorzej.

Przecież kiedyś ten sam bóg wybawił ich od niebezpieczeństwa grożącego ze strony ludziszczurów, pomógł im wybudować okręt, uratował go od zatonięcia, prowadząc statek przy użyciu delfinów w kierunku wyspy, a następnie umieścił ich na tej wspaniałej wyspie i obdarzył bogatym życiem duchowym.

W ciągu następnych dni medium oraz gawędziarz dokonali cudu. Pierwsza – dzięki otrzymanym z nieba informacjom, drugi – rozpowszechniając te informacje wśród ludzi.

Gawędziarz ulepszył jeszcze swoją kosmogonię. Do opowieści o ludzkiej parze, która poszukiwała utraconego Raju, dodał ideę dwóch braci-bliźniaków a jednocześnie rywali. Wymyślił walkę pomiędzy czcicielami Księżyca i czcicielami Słońca. Pierwsi mieli żyć w kłamstwie i ułudzie (księżyc jest tylko odbiciem słonecznego światła), drudzy zaś w prawdzie (słońce jest prawdziwym źródłem wszelkiego rodzaju energii). Opowiedział o walce sił ciemności z siłami jasności, dobrych ze złymi, tworząc w ten sposób prosty dualizm, który miał odtąd trwać wiecznie.

Królowa delfinów zapamiętywała wszystko, co jej przekazywał ich bóg, kiedy jednak przytaczała jego słowa swojemu ludowi, dodawała do nich oczywiście własną interpretację. Ponieważ z leżących wokół niej trupów zaczął wydzielać się niewyobrażalny odór, władczyni wymyśliła rytuał polegający na opróżnianiu ciał zmarłych z ulegających gniciu narządów wewnętrznych i owijaniu ich w dobrze ściśnięte paski płótna, zapobiegając przedostawaniu się powietrza.

Kosmogonia bliźniaczych bogów szybko rozprzestrzeniła się wśród ludzi-skarabeuszy, którzy dostosowali ją do swoich legend, włączając do niej własne duchy oraz lokalne obrzędy. Po pewnym czasie istniała już bardzo trwała i złożona religia skarabeuszy. Gawędziarz umarł,

ludzie-skarabeusze zapomnieli o nim, sądząc, że taka zawsze była ich religia. Podczas gdy ludzie-skarabeusze rozwijali swój panteon bóstw, ludzie-delfiny kroczyli całkiem odmienną drogą, upraszczając swoją religię, aż doszli do koncepcji jednego, uniwersalnego boga. Wtedy pojawiły się w stosunku do nich pierwsze reakcje rasistowskie.

Dzieci-delfiny pozwalały bić się bez powodu dzieciom-skarabeuszom. Zdarzało się często, że sklepiki ludzi-delfinów z czystej zazdrości były płańdrowane i grabione przez ludzi-skarabeuszy.

Jednak wpływ ludzi-delfinów przynosił efekty. Oprócz wybudowania piramidy i stworzenia religii, nakłonili swoich gospodarzy-skarabeuszy do budowy portowego miasta, odwiedzanego przez coraz większą ilość obcych żaglowców. Kazali też wznieść bibliotekę, w której umieścili księgi zawierające całą posiadaną przez nich wiedzę.

Po bibliotece przyszedł czas na szkoły, w których dzieci od najmłodszych lat uczyły się pisać, czytać i liczyć. Powstały też ośrodki dla dorosłych, w których uczyli się geografii, astronomii i historii.

Wreszcie ludzie-delfiny popchnęli ludzi-skarabeuszy do wyruszenia na morskie i lądowe wyprawy. Sam pomysł nie był tak całkiem niewinny: mieli nadzieję, że w ten sposób odnajdą tych, którzy być może przeżyli, spośród dziewięciu innych okrętów, które popłynęły w innym niż oni kierunku. I rzeczywiście, w trakcie swych poszukiwań gdzieś na pustyni napotkali szczepy ludzi-delfinów od dawna wędrujące z jednej oazy do drugiej. Nawiązawszy z nimi kontakty, ucieszyli się, że ich braciom z Wyspy Spokoju udało się zbudować na wybrzeżu własne wsie. Jaki by nie był ich los, wszyscy zachowali w pamięci obydwie straszne zdarzenia, które naznaczyły życie ich ludu: ucieczkę przed inwazją ludzi-szczurów oraz wielki potop, przez który musieli opuścić swoją wyspę.

Jednakże ludzie-skarabeusze zawsze żądali od ludzi-delfinów czegoś więcej. Zazdrościli im posiadanej wiedzy, potem zaczęli twierdzić, że ludzie-delfiny coś przed nimi ukrywają. Odkrywszy obecność otęłego medium, także chcieli zostać dopuszczeni do tajemnicy piramidy i zażądali, aby kasta kapłanów-skarabeuszy została również upoważniona do rozmów z tym bogiem. Następnie zmusili ludzi-delfinów, żeby ci przekazali im jeszcze więcej swojej wiedzy. Na to też uzyskali zgodę. Powstała wtedy nie kasta, ale całkiem spora grupa wykształconych ludzi-skarabeuszy, prawdziwych intelektualistów, którzy stopniowo zajmowali miejsca kapłanów, chłopów i żołnierzy, pochodzących z poprzedniego pokolenia. Chcąc umocnić swoje wpływy na innych, narzucili im nową koncepcję władzy: monarchię. Przy udziale swoich bliskich i dzięki logistycznej pomocy ludzi-delfinów, ich przywódca ogłosił się królem, synem Słońca. Wymyślił podatki, dzięki którym finansował swoją armię i stworzył królewskie zapasy żywności. Zaczął też budowę wielu coraz bardziej imponujących pomników.

Wkrótce królestwo składało się z dwudziestu dużych miast.

Silny kraj, stale na drodze postępu, doskonale rozwinięta kultura, państwowa religia – wszystko to sprawiło, że ludzie-skarabeusze stali się niebawem polityczną i ekonomiczną superpotęgą.

SZCZURY

Prowadzeni przez pioruny zwiadowcy ludzi-szczurów dokonali pewnego dnia niezwykłego odkrycia: ujrzeni wioskę zamieszkaną przez kobiety, same kobiety. Długo obserwowali eleganckie amazonki, kobiety piękne i wysportowane. Niektóre z nich baraszkowały w rzecze,

szorując sobie wzajemnie ciała mydlącymi roślinami i chlapiąc na siebie ze śmiechem. Inne, siedząc na końskim grzbiecie, ćwiczyły skoki przez przeszkody lub strzelanie z łuku. Obchodząc wokół wioski, zauważyli kilku mężczyzn, którzy przygotowywali posiłki, szyli, tkali lub grali na instrumentach.

Kiedy zwiadowcy wrócili do obozu, byli jeszcze ciągle bardzo poruszeni.

Ich opowiadanie zachwyciło przywódcę, wysokiego mężczyznę, w nakryciu głowy ze skóry czarnego szczura, które otrzymał po przodkach.

- Czy te kobiety należy zakwalifikować do kategorii „obcy słabsi”, czy też „silniejsi od nas”? - zapytał.

Zwiadowcy stwierdzili kategorycznie:

- Słabsi.

Wtedy przywódca powiedział, że miał sen, w którym usłyszał, iż mają je zaatakować.

Ludzie-szczury rozdzielili między sobą broń. Ich oddziały przekazały sobie sygnał do ustawienia się długim szeregiem wzdłuż pagórków otaczających kobięcą wioskę.

Pierwszy sygnał, naśladujący ptasi gwizd, nakazywał oddziałowi gotowość. Drugi rozkazywał rzucić kopie przez mur broniący osady kobiet-os.

Ostrza wbiły się tam, gdzie upadły. Krzyki, krew, ciała zabitych, w różowej wodzie wewnętrznego jeziora unosiły się włosy i porozrzucone ubrania. Kiedy druga seria wyrzuconych kopii dotarła do celu, na twarzach mieszkanki wioski os malowało się niezrozumienie.

Amazonki zapanowały jednak nad sobą i pobiegły do szopy, w której przechowywano łuki. Jedna z kobiet, o długich jasnych włosach, wydawała rozkazy. Wojowniczkę zgromadziły się wokół swojej przywódczyni, a następnie ukryte za murem obronnym zaczęły strzelać do napastników. Dzięki nowym łukom z podwójnym wygięciem zabiły dziesiątki przeciwników, jednak teraz z kolei ludzie-szczury zapanowali nad sobą.

Kolejne serie wyrzuconych włóczni. Kiedy przywódca-szczur uznał, że moment jest odpowiedni, wydał trzeci sygnał.

Ludzie-szczury zaczęły wyważać taranem bramę. Przeszkodziły im dobrze wycelowane strzały, jednak miejsce zabitych i rannych zajmowali inni, którzy chroniąc się za tarczami, wyrwali strzegącą miasta bramę.

Na nowy sygnał z zarośli wyskoczyła setka jeźdźców, nacierając z wyciem na osadę. Ale kolumna amazonek czekała już w gotowości na koniach i dwie jazdy starły się przed murami wioski. Niebawem szala zwycięstwa zaczęła przechylać się na korzyść amazonek. Nie były silniejsze, ale szybsze. Ich sztuka uników oraz zręczność na koniu pozwoliły im unikać ciosów mieczem i uderzeń kopii. Po frontalnym natarciu ludzie-szczury uciekli, niektórzy nawet pieszo. Kolumna amazonek popędziła za nimi. Strach przeszedł na drugą stronę. Ludzie-szczury cofali się, uciekając przed tymi zdumiewającymi kobietami.

Przywódca szczurów stanął na czele nowego zastępu lansjerów. W czasie, gdy jeźdźcy wspinali się na wzgórze, oni zajmowali pozycję do ataku. Wielu mężczyzn skosiła pierwsza linia kawalerii. Kobiety wypuszczały strzały zakończone metalowym grotem. Potem nastąpiła walka wręcz i po raz kolejny szala zwycięstwa nie przechyliła się na stronę mężczyzn. Amazonki krzyczały, gryzły, szarpały za włosy, wyrwijąc je całymi garściami, kopały w podbrzusze. W futerale przyczepionym do łydek miały niewielkie sztylety z zatrutym ostrzem. Zaskoczeni nieoczekiwanym oporem oraz determinacją tych furii ludzie-szczury walczyli gorzej niż zazwyczaj. Przyzwyczajeni do tego, że ich towarzyszek życia spędzają czas wyłącznie w jaskiniach, nie potrafili przewidzieć, że ten kobiecy ród może stawić im taki opór. Przywódca szczurów przeklinał po cichu zwiadowców, którzy nie docenili przeciwnika. Z obnażonym mieczem rzucił się na amazonki, rozrywając ich linię obrony. Odpowiedź przyszła szybko.

Wypuszczona przez przywódczynię kobiet-os strzała pokieraszowała mu czoło. Dowódca szczurów upadł.

Kiedy mężczyźni zabierali ранego przywódcę w szczurzym nakryciu głowy, wojowniczkki wydawały zwycięskie okrzyki.

Wiatr zmienił kierunek. Ludzie-szczury przegrali z kretešem. Następnie uciekli, nie czekając nawet na sygnał do odwrotu. Wkrótce też zostali wygnani z terenów sąsiadujących z osadą os.

Kiedy kobiety pochowały ciała zabitych wojowniczek i opatrzyły ranne, w osadzie urządzono święto.

W obozie ludzi-szczurów wściekłość przewyższała poczucie zawodu i klęski. Cały swój wstręt do płci żeńskiej skierowali na własne kobiety, znęcając się nad nimi bez powodu, jakby to były amazonki.

Przywódca szczurów, odzyskawszy siły, stał się szczególnie mściwy. Uznał, że oddziały nie tylko wykazały się brakiem odwagi, ale także zwykłym tchórzostwem, uciekając przed mieszkankami kobiecej osady. Chcąc ich zmotywować, wymyślił „dziesiątkowanie”. W przypadku porażki będzie skazywał na śmierć co dziesiątego żołnierza. Tak więc dowiedzieli się, że lepiej zginąć w walce z nieprzyjacielem niż jak tchórze z rąk swoich braci. Pierwsi nieszczęśnicy zostali wybrani. Następnie przywódca rozkazał wyrzucić ciała dziesiątkowanych wojowników na śmieci.

W ten sposób, działając instynktownie, szczurzy przywódca wprowadził zasadę przeniesienia poprzez terror, wymyśloną dawno temu przez jego sławnego przodka.

– Strach zwalcza się za pomocą strachu. Stając w obliczu amazonek, zapomnijcie o strachu. Bać się musicie tylko mnie – oświadczył swojemu ludowi.

I rzeczywiście. Ujrzawszy tyle bezinteresownego okrucieństwa, żołnierze uznali, że kobiety-osy są mniej straszne niż ich przywódca. On zaś, chcąc im przywrócić wiarę we własne siły, pchnął ich do walki z innymi ludami, stawiającymi znacznie mniejszy opór. Pojmani przez nich jeńcy nie zostali zabici, lecz jak bydło rzeźne wystawieni na pierwszej linii, prosto pod strzały amazonek.

Przywódca ludzi-szczurów chciał zemścić się za zniewagę, jakiej doznał od walecznych kobiet. Kazał swoim stolarzom zrobić łuki z podwójnym wygięciem, podobne do tych, jakie widział u przeciwniczek. Wzmocnił pozycję kasty wojskowych, nadając im nowe przywileje.

Ogłosił się królem. A podczas długiej, pełnej przepychu ceremonii oznajmił, że odtąd wprowadza podatki na unowocześnienie armii.

Ponieważ obawiano się, że wojna z kobietami-osami może potrwać dłużej, król szczurów postanowił wybudować prowizoryczne miasto otoczone podwójną palisadą. Ludzie-szczury mogli stamtąd organizować wypadki.

Może to wydawać się dziwne, ale władza przywódcy-szczura nigdy nie była tak duża, jak po doznanej klęsce. Nigdy też nie darzono go takim szacunkiem.

Król ustanowił wkrótce pojęcia męczennika i bohatera, by móc uciąć sławę tych, którzy polegą w walce ze straszными kobietami. Okazał się też pionierem w zakresie propagandy, opisując wielokrotnie bitwę w taki sposób, żeby poniżyć swoje przeciwniczki.

Słowo „osa” stało się wyzwiskiem, a oni odczuwali szczególną przyjemność, niszcząc wszystkie napotkane gniazda tych owadów.

Król się nie spieszył. Chciał, żeby jego zwycięstwo nad kobietami-osami było prawdziwym triumfem. W jego snach królowa os zamiatała swymi długimi włosami ziemię u jego stóp, błagając, żeby darował jej życie.

Według greckiego historyka Diodora Sycylijszycy, północno-zachodnią Afrykę zamieszkiwało plemię wojowniczych kobiet, organizujących wojenne eskapady, sięgające aż do Egiptu i Azji Mniejszej. Także mitologia grecka wspomina o ludzie złożonym z samych kobiet (nazywano je *amazos*, czyli pozabawione piersi, ponieważ odcinały sobie prawą pierś, aby móc lepiej posługiwać się lukami. Mieszkały nad rzeką Termodont, na obszarze dzisiejszego Kaukazu. Żyły bez mężczyzn, utrzymując z nimi tylko okazjonalne stosunki w celach prokreacyjnych. Zdaniem Diodora, Amazonki nie odczuwały wstydu. Nie miały też poczucia sprawiedliwości. Kiedy rodziły się chłopcy, robiły z nich niewolników. Uzbrojone w łuki i strzały z brązu, zakrywały ciała krótkimi tarczami w kształcie półksiężyca. Ich królowa Lizyppe walczyła ze wszystkimi ludami zamieszkującymi tereny aż do rzeki Thais. Pogardzała małżeństwem i do tego stopnia uwielbiała wojnę, że Afrodyta rzuciła jej wyzwanie. Sprawiała, że syn Lizyppe zakochał się w swojej matce. Nie chcąc popełnić kazirodztwa, chłopak rzucił się w nurt rzeki Thais i utonął. Chcąc uciec przed nawiedzającym ją duchem zmarłego, Lizyppe zabrała swoje córki i udała się z nimi aż nad Morze Czarne, a potem każda z nich założyła swoje własne miasto: Efez, Smyrnę, Cyrenę i Myrynę. Jej następczynie, królowe Marpessa, Lampado i Hipolita, rozciągnęły swoje wpływy aż po Trację i Frygię. Kiedy jedna z sióstr, Antiope, została porwana przez Tezeusza, Amazonki zaatakowały Grecję i oblegały Ateny. Król Tezeusz, nie mogąc ich odeprzeć, wezwał na pomoc Herkulesa. Należy podkreślić, że walka z Amazonkami była jedną z dwunastu prac Herkulesa. Podczas wojny trojańskiej wiedzione przez królową Penteseleę Amazonki przyszły na odsiecz Trojanom. Penteselea zginęła w pojedynku z Achillesem, jednak jej ostatnie spojrzenie sprawiło, że heros na zawsze zakochał się w swojej ofierze. Ślady kobiecych wojowniczek odnajdujemy u Kimerów oraz Scytów. W późniejszych czasach także Rzymianom przyszło walczyć z mieszkankami kobiecych osad, takimi jak Namnetes z wyspy Sein lub Samnites, mieszkające w okolicach Wezuwiusza. Jeszcze dzisiaj w północnym Iranie spotkać można osady zamieszkałe głównie przez kobiety, które uważają, że wywodzą się od Amazonek.

Edmond Wells,
Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

101. OKRUTNE ROZCZAROWANIE

Powraca światło. Oslupiali mrużymy oczy, wyrwani ze świata naszych ludzi.

Nie spuszczam wzroku z bogini miłości. Jestem wściekły. Czuję się tak jak zwymyślana przez uczniów Eun Bi. Tyle, że ja zostałem obrażony przez nauczyciela.

Ach, wolałbym zostać zabity zaraz na początku, jak Juliusz Verne. Wolałbym zostać złapany przez syreny jak Francis Razorback lub zabity przez Atlasa jak Edmond Wells. Oni przynajmniej nie musieliby doświadczyć tego, co ja. Po co zadawać sobie tyle trudu, tworzyć cenny klejnot, aby potem zobaczyć, jak jest niszczone? Czy na tym polega cynizm bycia bogiem? Pokochać lud, żeby potem lepiej widzieć, jak ginie?

Czy nie miałem racji, chcąc uratować statki z ocalonymi nosicielami wartości, które wydawały mi się istotne? Czy aż tak bardzo zburzyłem porządek świata, pragnąc rozwoju niewielkiej grupy ludzi z dala od barbarzyńskich najeźdźców?

Nadal nie wiem, co jest lepsze od Boga, ale wiem już, co jest gorsze od diabła: A-fro-dy-ta. Kusila mnie rajem, a ofiarowała piekło. Ze swoim uroczym uśmiechem zniszczyła wszystko, co zbudowałem, rzucając mi tylko swoje „przykro mi”, co było jeszcze gorsze niż cała reszta. W tej chwili nienawidzę jej, przeklinam, spluwam na nią. Jeśli to jest bogini miłości... to bez wątpienia wolę od niej boginię nienawiści. Czuję, że zawładnęło mną ogromne uczucie zniechęcenia. Ale zaraz się opanowuję. Dać się teraz wyrzucić? To byłoby zbyt łatwe.

Przede wszystkim muszę uratować tyle, ile się da. Walczyć, aż do końca. „Dopóki życie trwa, dopóty jest nadzieja” – jak mówi przysłowie.

Dopóki żyje chociaż jeden człowiek-delfin, dopóty będzie nośnikiem wartości, pamięci i symboli. Przynajmniej to starałem się przekazać Królowej-medium.

Muszę się uspokoić. Muszę działać jak najskuteczniej. Uratować ich bez względu na to, ile mnie to będzie kosztować. Walczyć moimi narzędziami boga-ucznia. Muszę ich ochronić. Bo jestem bogiem, ich bogiem.

Muszę się uspokoić.

Oddychać, zamknąć oczy. Rozmawiać z innymi, tak jakby to wszystko było zupełnie nieistotne. Wielu uczniów gratuluje Marilyn Monroe zwycięstwa nad Proudhonem. Ci, którzy wygrali zakład, odbierają od przegranych swoją nagrodę. Nawet najwięksi macho doceniają zalety kobiet-os. Proudhon siedzi cicho. Na jego twarzy nie widać ani gniewu, ani żalu. Zachowuje się fair. Nawet podchodzi uściskując dłonie przeciwniczki i także jej gratuluje.

Wygłądać na odprężonego.

Muszę podsumować stan, w jakim znalazł się mój lud. Nie posiada własnego wojska, nie ma miasta, moi ludzie-delfiny są tylko „lokatorami”, uzależnionymi od dobrego humoru gospodarzy. Obawiam się, że kiedy Clement Ader, bóg ludzi-skarabeuszy, wszystko już od nich wyciągnie, wyrzuci ich poza swoje terytorium jak wyciśniętą cytrynę. Moi ludzie-delfiny muszą ciągle podbijać stawkę, żeby zdobyć prawo do życia. Są zakładnikami. Widziałem, że inni ludzie-delfiny trafili także do innych ludów. Ludziom-iguanom Marii Curie przekazali swoją wiedzę z zakresu astronomii, budowy pomników, gwiazdnych podróży i medycyny. Pod wpływem moich ludzi tamci również, podobnie jak ludzie-skarabeusze, wzniesli piramidy. Ludziom-psom Françoise ludzie-delfiny dostarczyli wiedzy o symbolach oraz ukrytych strukturach. Ludzi-byków Oliviera nauczyli swobody seksualnej oraz zamiłowania do labiryntów.

Ludzie-wilki Maty Hari nauczyli się od moich budowy szybkich i długich okrętów oraz zagłowców. Natomiast ludzie-wieloryby tak bardzo gościnnie przyjęli moich rozbiteków, że już wspólnie rozmawiają na temat systemów nawadniania oraz kierowania zgromadzeniami.

Ludzie-lwy Montgolfiera rozwinęli dzięki nim koncepcję nauk humanistycznych i sztuki. Arytmetyka i alfabet delfinów dotarły aż do ludzi-orłów Raoula Razorbacka.

Moi ludzie są bardziej rozproszeni, niż sądziłem. Jak kierować ludem, który nie ma swojego terytorium? Obawiam się, że będę musiał skoncentrować się na tych, którzy zamieszkali u ludzi-skarabeuszy. Są najliczniejsi i wydaje mi się, że mają do dyspozycji najlepsze otoczenie.

– Bogini miłości nie przebiegała w środkach. Nic nie pozostało z tej wspaniałej osady, którą zbudowałeś na wyspie – mówi szeptem Mata Hari.

Milczę.

– Uważam, że kara Afrodyty jest nieproporcjonalnie duża do twojej rzekomej winy. Mogła przynajmniej dać ci czas na ewakuację ludzi.

I pomyśleć, że jeszcze wczoraj tańczyliśmy razem, a ona szeptała mi na ucho, jaki „rozwinęty i sympatyczny” jest mój lud...

Kieruję wzrok w stronę Afrodyty. Zauważam, że ona także na mnie patrzy, a nawet przesyła mi uśmiech. Ta, która kazała mi uważać na przyjaciół. Lepiej bym zrobił, gdybym się jej wystrzegął.

Mimo wszystko nie potrafię mieć tego za złe mojej bogini. Zniewala mnie i jakie by nie było jej zachowanie, odnoszę wrażenie, że żywi do mnie prawdziwe uczucie i że to dla mojego dobra sprawia mi cierpienie. Czyżbym stał się przez nią masochistą? Nie. Raczej alpinistą, który uparł się, że wejdzie na niebezpieczne zbocze góry, zamiast polecieć helikopterem. Wszyscy sportowcy świadomie wybierają ból. Bieg w maratonie to prawdziwa droga krzyżowa, podnoszenie ciężarów to niepotrzebne cierpienie. Spróbuję spodobać się bogini miłości...

– Co za dziwka – mówi cicho Sarah Bernhardt. – To co ci zrobiła, jest naprawdę niesprawiedliwe.

Sam jestem zaskoczony, słysząc, jak z moich ust padają te słowa:

– Zmusiła mnie do przestrzegania reguł gry.

– Tak, zsyłając kataklizm, który cię zniszczył...

– Mogę ci pomóc, jeśli chcesz – mówi dalej Mata Hari. – Wśród moich ludzi-wilków żyje już kilku ludzi-delfinów, ale jeśli inni będą mieli kłopoty, przyślij ich do mnie, ochronię ich i dam im ziemię.

Mata Hari uratowała mi życie podczas przeprawy przez niebieską rzekę. W trudnych chwilach jest zawsze obok, gotowa mi pomóc. Jednak z niezrozumiałych powodów drażni mnie jej uprzejmość.

Afrodyta wyjmuje spod kieliszka do jajek butelki z Rajem oraz Imperium Aniołów.

Dusze wlatują do pierwszego naczynia, potem tanecznym ruchem niektóre z nich trafiają do Imperium Aniołów jak małe świetlne punkciki podobne do robaczków świętojańskich.

Pozostało jednakże wiele zbłąkanych dusz, zatrzymanych na Ziemi przez niskie uczucia. Ukryte i niewidzialne, usiłują straszyć swoich przeladadców, przeszkadzając mediom, przesyłając im nieprawdziwe przeczucia, lub też zostać z tymi, których kochały.

– Trzeba będzie oczyścić planetę z tych nieboraków – mówi Afrodyta. – Nie ma szczęśliwych błądzących dusz. Przeznaczeniem każdej duszy jest odradzać się nieustannie, aż do chwili, gdy przejdzie do wyższego świata. Pamiętajcie o tym.

Wszyscy notują: nauczyć kapłanów rozpoznawania zbłąkanych dusz i sprawić, by przeniosły się w zaświaty.

Bogini kieruje się w moją stronę i ku mojemu wielkiemu zdumieniu składa mi gratulacje:

– Brawo, Michael. Sądziłam, że pan... a właściwie nie myślałam, że uda się panu przejść tę próbę. Zaczyna pan robić na mnie wrażenie. Nie wiedziałam, że ma pan w sobie takie pokłady możliwości...

Jest mi na przemian gorąco i zimno. Nie wiem, jak mam zareagować.

– To co cię nie zabije, wzmocni cię – dodaje.

Tak samo powiedziała matka Eun Bi. Długi czas to zdanie przypisywano Nietzschemu, a przecież ono znajduje się w Starym Testamencie.

Ale chyba nie oczekuje, że jej podziękuję za męczeństwo mojego ludu, które miało go „wzmocnić”!

Podchodzi do mnie.

– Był pan naprawdę dobry, Michaelu Pinson.

Bierze moją dłoń i ściska, jak trener gratulujący swojemu bokserowi zwycięstwa. Potem wraca na podium.

– Kokietka – mruczy pod nosem Raoul. – Po tym, co ci zrobiła, nie powinieneś nawet pozwolić, by się zbliżyła do ciebie.

– Co za aktorka! Zadaję sobie tylko pytanie, po co jej ten cały pokaz sztuki uwodzenia? – mówi Marilyn.

– Bez wątpienia do testowania swojej władzy – stwierdza Freddy.

– Tak, jej władzy czerwonej magii – podsumowuje Raoul.

Wyjaśnia mi, że oprócz białej i czarnej magii, istnieje jeszcze trzecia, mało znana: czerwona magia. To magia kobiet, oparta na najbardziej podstawowych popędach płciowych. Szczególnie interesowali się nią Azjaci, tworząc w Indiach *Kamasutrę* oraz tantryzm, miłosne tao w Chinach lub weselny taniec w Japonii. Zrozumieli bowiem, że oprócz rzucania uroku lub czynienia egzorcyzmów, kobiety mogą uwieść mężczyznę i poddać go władzy hormonów, czyniąc go równie słabym, jak po zażyciu narkotyków.

Raoul zrozumiał mój problem, lecz na razie nie umie go rozwiązać. Nie spuszcza wzroku z bogini. I czuję ulgę, kiedy przerywa prywatne rozmowy i woła, byśmy podeszli w kąt sali, gdzie stoją przykryte słoiki.

– Mój poprzednik, Hermes, przedstawił wam szczegółowo doświadczenie ze szczurami. Demeter opowiedziała o doświadczeniu z małpami. Zwierzęca parabola pozwala lepiej zrozumieć niektóre z ludzkich zachowań. Ja natomiast opowiem wam o pchłach.

Wyjmuje jeden ze słoików i pokazuje nam doświadczenie. Postanawiam robić notatki do *Encyklopedii*.

102. ENCYKLOPEDIA: SAMOOGRANICZANIE SIĘ PCHEŁ

Pchły umieszczono w słoju. Brzeg słoja znajduje się dokładnie na takiej wysokości, która umożliwia im wyskoczenie na zewnątrz.

Następnie otwór w słoju zamknięto szklanym wieczkiem. Początkowo pchły skaczą i uderzają w wieczko. Ponieważ je to boli, zaczynają dostosowywać długość skoku, tak że zatrzymują się pod samą pokrywką. Po godzinie nie ma już ani jednej pchły, która uderzałaby o szkło. Wszystkie skróciły swój skok, żeby dotrzeć tuż poniżej wieczka.

Jeśli następnie zdejmie się szklaną pokrywkę, pchły ciągle będą skakać na ograniczoną wysokość, tak jakby słoik nadal pozostawał zamknięty.

Edmond Wells,
Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

103. UWAGA NA SUFIT

Afrodyta nadal stoi z twarzą przy słoiku, jakby patrzenie na samoograniczające się pchły było najbardziej pasjonującym widowiskiem we wszechświecie.

– Jakie wnioski wyciągniecie z tego doświadczenia? – pyta.

– Niektóre przeżycia z przeszłości utrudniają widzenie rzeczy takimi, jakie są one w rzeczywistości. Wizja realnego świata zniekształcona jest przez dawne urazy – mówi Rabelais.

– Nieźle. Poza tym z obawy przed uderzeniem głową w sufit pchły nie chcą podjąć ryzyka.

A przecież gdyby tylko spróbowały, zobaczyłyby, że sukces jest znowu w ich zasięgu.

Ze sposobu, w jaki wymawia to zdanie, wnioskuję, że jest ono w szczególny sposób skierowane do mnie.

– To trochę tak jak w doświadczeniu z szympansami – dodaje Wolter.

– Nie, bo szympansy nie miały nawet złych przeżyć – odparowuje Rousseau. – Pchły wiedzą, dlaczego nie należy skakać wyżej, szympansy tego nie wiedziały.

– Ale w obydwu przypadkach chodzi o istoty, które nie widzą czegoś, co jest oczywiste.

– Jest również strach przed zmianą zwyczajów – zauważa Saint-Exupéry.

– Z pewnością – zgadza się bogini miłości.

– Poza tym pchły nie zadają sobie już trudu zdobywania nowych informacji. Swoje doświadczenia uznają za ostateczne – stwierdza Sarah Bernhardt.

– Właśnie dotykacie jednego z wielkich problemów ludzkości – oświadcza nasza nauczycielka. – Wiele ludzi potrafi wyrobić sobie własną opinię. Powtarzają więc to, co mówili im rodzice, potem nauczyciele, aż wreszcie to, co dziś wieczorem usłyszeli w wiadomościach. Tak bardzo potrafią przekonać samych siebie, że to ich własne opinie, iż umieją ich żarliwie bronić w obecności ewentualnych przeciwników. A przecież gdyby tylko spojrzeli własnymi oczami i myśleli po swojemu, zdołaliby odkryć świat taki, jaki jest naprawdę, a nie taki, jaki ktoś im przedstawia.

Ta lekcja przypomina mi dyskusję z kilkoma zaproszonymi kiedyś na kolację przyjaciółmi. Jeden z nich, dziennikarz, tłumaczył nam, że wszystkie media uzyskują informacje z jednej i tej samej agencji prasowej, która zupełnie przez przypadek finansowana jest przez państwo oraz wielkie korporacje naftowe. Zatem społeczeństwo zna na bieżąco, choć nie w bezpośredni sposób, punkt widzenia państwa oraz grup przemysłu paliwowego, które same chciałyby rządzić narodami dostarczającymi im ropy naftowej. Czegoś takiego inni nie potrafili zaakceptować. Natychmiast został uznany za zwolennika takiej polityki. Próbowiałem go bronić, ale na próżno. O dziwo, najbardziej agresywni byli ci, którzy uważali się za obrońców wolności.

– Co zrobić, żeby pchły odważyły się skoczyć poza przyjętą przez wszystkie linie? – dopytuje się Afrodyta.

– Wychować je tak, żeby czuły się wolne i polegały tylko na własnych zmysłach – mówi Rabelais.

– Ale jak to osiągnąć?

– Obdarzając je inteligencją – sugeruje Simone Signoret.

– Nie, inteligencja nie ma tu nic do rzeczy.

– Ucząc je wyrabiania własnej opinii w oparciu o to, co same przeżyły, oraz o ich własne doświadczenia – proponuję.

Afrodyta zgadza się:

– Dokładnie tak. Wszystkiego próbować, gromadzić doświadczenia, żeby zrozumieć, a nie

posługiwać się cudzymi, ani tymi z przeszłości. Należy samemu budować swoją teraźniejszość.

Kiedyś na Ziemi, gdy razem z Raulem zdecydowaliśmy się poznać śmierć, wzbudzaliśmy nieufność nawet w naszych własnych rodzinach. Dla wszystkich śmierć była dziedziną zastrzeżoną dla religii i tylko kapłani lub mistycy mieli prawo snuć na jej temat rozważania. Zainteresowanie zwykłego człowieka śmiercią jako ziemią nieznaną wydawało się bezwstydne, zwłaszcza wtedy, gdy nawiązywałem do tak bardzo mi bliskich pojęć „duchowości laickiej” lub „duchowości indywidualnej, a nie zbiorowej”. Dla mnie duchowość była przeciwieństwem religii, ponieważ dotyczyła każdego człowieka, podczas gdy religia była tylko myślowym gotowcem, przeznaczonym dla tych, którzy nie potrafili znaleźć własnej drogi duchowego rozwoju. Podkreślałem, że w słowie „duchowość” zawiera się także pojęcie „humor”, a większość religii była dla mnie zbyt poważna, by zachować ten wymiar. Zrozumiałem potem oczywiście, że lepiej byłoby dla mnie, gdybym milczał i rozmawiał na ten temat tylko z Raulem, który przynajmniej mnie rozumiał.

– Chcąc zachęcić ludzi, by ponownie przetestowali skok na sam szczyt, należy nauczyć ich wolności, a do przekazania im tej nauki potrzebni są...

Afrodyta pisze kredą na tablicy: „Mędrcy”.

– Oto nowe wyzwanie. Wprowadźcie do swoich ludów mędrców, wtajemniczonych, naukowców – radzi. – Krótko mówiąc, istoty na poziomie świadomości nr 6.

– Pozwolą się zabić – mówi Bruno.

– Wśród pańskiego ludu prawdopodobnie tak – mówi nagle Afrodyta, spoglądając surowo na Bruna Ballarda.

– U mnie? Co ma pani przeciwko mnie?

Widzę, jak bogini rzuca się w kierunku Bruna.

– Co mam przeciwko panu?

W tym momencie dochodzę do wniosku, że nigdy nie przypuszczałem, iż któregoś dnia przyjdzie mi oglądać skaczących sobie do oczu bogów.

– A więc to, mój drogi panie Ballard, że co prawda w swoim kącie nie napada pan na nikogo, jak dotychczas nie dokonał pan żadnej masakry... jednak proszę zobaczyć, jak traktuje pan własny lud. Proszę mi powiedzieć, co ma pan przeciw kobietom?

Bruno spuszcza wzrok.

Nie rozumiem. Spodziewałem się raczej takiej reakcji w stosunku do Proudhona, który zaatakował kobiety-osy...

– Pozwolił pan na przyjęcie zwyczajów, których nawet nie da się nazwać. A wśród nich tego, który jest najbardziej wyrazisty... Obrzezanie kobiet! Matki, które okaleczają swoje własne córki. Usuwają im łechtaczki! Oto, co się robi u pana, panie Bruno. A dlaczego one to robią?

– Ee... – mówi Bruno – ... nie wiem. To kobiety podjęły taką decyzję. Sądzą, że jeżeli tego nie zrobią, nie będą prawdziwymi kobietami.

– A kto im podsunął taki pomysł?

– Ee... mężczyźni.

– A dlaczego?

– ... Ponieważ nie chcieli, żeby sypiały, z kim popadnie.

– Nie, mój panie, ponieważ nie chcieli, żeby odczuwały przyjemność. Są zazdrośni o kobiecą przyjemność, która wydaje im się czymś wyższym niż męska (i taką jest). Oto cała prawda. Widziałam wśród pańskiego ludu małe dziewczynki okaleczone na całe życie, w dodatku w warunkach urągających wszelkim zasadom higieny i w straszonym bólu. A wszystko to w imię... tradycji!

Bruno nie może przez chwilę złapać równowagi.

- To nie ja, to moi ludzie...

- Tak, ale nic pan nie zrobił, żeby im przeszkodzić. Jeden sen, przeczcucie, uderzenie pioruna pewnie by wystarczyło. Co z tego, że jest pan bogiem, skoro pozwala pan na to, by ludzie robili byle co? Ale to jeszcze nie wszystko, panie Bruno... trzeba też wspomnieć o zaszywaniu warg sromowych. Bez żadnego znieczulenia. A wszystko po to, żeby w chwili ślubu były dziewicami...

Boginie-uczenнице rzucają Brunowi spojrzenie pełne dezaprobaty.

- Opowiem panu o jeszcze jednej, mniej znanej i bardziej niegodnej rzeczy, która się u pana dzieje, panie Bruno... W języku medycznym na „Ziemi 1” nazywa się to „przetoką położniczą”.

- Nie znam znaczenia tego słowa. Po sali przebiega szmer. Spodziewam się najgorszego.

- Wie pan, co to takiego? No właśnie. Małe, dwunastoletnie dziewczynki wydawane są za mąż za bogatych starców. Sprzedawane przez własnych rodziców. I oczywiście ci łajdacy nie stosują żadnych zabezpieczeń, więc dziewczynki zachodzą w ciążę, jak tylko osiągną dojrzałość płciową. Ale ich ciało nie jest jeszcze gotowe. Zwykle nie utrzymują ciąży do końca, lecz kiedy płód rośnie, uciska na tkanki oddzielające narządy rodne, pęcherz moczowy i odbytnicę, na skutek czego mocz, a czasami też odchody wydostają się przez pochwę. Te młode dziewczęta myją się bez przerwy, ale i tak pachną tak brzydko, że mężowie wyrzucają je, a rodziny już nie chcą ich przyjąć. Włóżca się więc jak bezańskie psy, a ludzie rzucają w nie kamieniami. Dwunastoletnie dziewczynki, panie Bruno! Dwunastoletnie!

Wszyscy patrzymy na niego. Chowa głowę w ramionach.

- To nie ja, to moi ludzie - obwieszcza głośno, jak właściciel psa, który właśnie pogryzł dziecko.

Ta mowa obrońcy nie uspokaja bogini miłości.

- Przecież właśnie po to pańscy ludzie mają boga. Żeby ich trzymać w ryzach, wychowywać, nie pozwalać im robić wszystkiego, co tylko im przyjdzie do głowy... A poza tym, jak łatwo uwziąć się na kobiety. Nie mają wystarczającej siły fizycznej, by się bronić. W końcu na wszystko się zgodzą... Nie będę już opowiadać o niektórych pana wioskach, gdzie kobiety tak wstydy się faktu narodzin dziewczynek, że woła je utopić zaraz po urodzeniu.

Teraz Bruno Ballard nic już nie mówi. Mam wrażenie, że ogarnia go wściekłość. To dziwne, ale wygląda tak, jakby miał za złe Afrodycie, że wyjawiała wszystkim prawdę o obyczajach jego ludu.

Ale Afrodyta wskazuje już palcem innych uczniów.

- Niech się pana koleżkowie tak nie śmieją... Myśleliście, że nie zauważę? Po pierwsze, nie tylko u niego są tego rodzaju praktyki. Poza tym widziałam, jak niepotrzebnie poświęćacie życie ludzkie, widziałam kazirodztwo, uważane za sposób wychowania dzieci! Widziałam pedofilię waszych marnych przywódców. Już nie wspominając o kanibalizmie ani o trzymaniu w odosobnieniu trędowatych lub kalekich. Widziałam jak palicie na stosach pierwsze kobiety, nazywane czarownicami... Widziałam budowę pierwszych sal tortur. I zawód kata, który stał się zatrudnieniem na cały etat. Wszystko to widziałam. To, na co pozwoliliście przez waszą małoduszność lub głupotę.

Patrzy na nas surowo.

- Chyba, że to przez waszą rozwiązłość.

Wielu uczniów spuszcza głowy. Bogini zmienia ton, ponownie przechodzi wzdłuż rzędów, a jej toga powiewa na wietrze. Wraca na podium. Kupidyn siada na jej ramieniu. Afrodyta oddycha głęboko.

- A więc... o czym to mówiliśmy? Już wiem, o mędrkach. Na początku bez wątplenia mędracy niepokoją przywódców i ustalone systemy. Ci zaś nie wahają się użyć siły, przemocy, nawet terroryzmu, aby się od nich uwolnić. Tak więc wasi mędracy zaczną być prześladowani. Ale trzeba

na to spojrzeć perspektywicznie. Wasi uczeni męczennicy zasieją ziarno, którego wzejścia być może nigdy nie zdołają zobaczyć. Tales, Archimedes, Giordano Bruno, Leonardo da Vinci, Awerroes nie mieli lekkiego życia, ale pozostawili po sobie nie dające się zatrzeć ślady. I to jest wasze następne zadanie.

„Mędrcy”, podkreśla bogini grubą kreską.

– Dusze z „Ziemi 18” już się wznoszą. Waszym zadaniem jest wyznaczyć ludom kurs. Proszę, żebyście zanotowali na kartkach wasz ostateczny cel.

„Ostateczny cel”, pisze i dodaje tuż obok: „Utopia”.

– Za każdą polityką kryje się jakiś zamiar. I on właśnie jest ważny.

Dodaje trzeci wyraz: „Intencja”.

– Nie należy ufać etykietkom. Możecie mieć demokrację, ale jeśli zamiarem prezydenta jest tylko wzbogacić się, to w efekcie otrzymacie ukrytą dyktaturę. Podobnie, możecie mieć monarchię, ale jeśli intencją króla jest dobro jego ludu, to w efekcie otrzymacie system społecznej równości. Za politycznymi hasłami, za przywódcami, kryją się osobiste intencje i to właśnie ich należy pilnować i nimi kierować.

Niektórzy uczniowie nie rozumieją, zatem nasza nauczycielka wyjaśnia:

– Wszyscy potraficie sobie wyobrazić świat, który byłby idealny dla ludzi. Każdy z was ma wyobrażenie innej utopii. I właśnie zadaniem waszych mędrców będzie realizacja tej utopii. Będą więc w jakimś sensie strażnikami waszego ukrytego, boskiego zamiaru. Będą radzić ludowi lub jego przywódcom, aby wasze cywilizacje osiągnęły wyższy cel. Trzeba go tylko określić. Proponuję, by każdy z was wymyślił jakieś marzenie dla swojego ludu. Napiszcie, co dla was znaczy pojęcie „świat idealny”, i to nie tylko w odniesieniu do waszych ludów, ale całej „Ziemi 18”.

Zapanowała zupełna cisza. Każdy z nas oddaje się takiej samej introspekcji. Co oznacza dla mnie idealny świat? Na tym etapie myślę, że ideałem byłby pokój na całej planecie. Pragnąłbym powszechnego rozbrojenia. W takim świecie mógłbym skierować całą energię mojego ludu na poznanie oraz dobro ogółu, a więc na duchowość. Gryzmołę drukowanymi literami: „POKÓJ NA CAŁYM ŚWIECIE”.

Afrodyta dodaje:

– Ponieważ idealna przyszłość może stopniowo ulegać zmianie podczas naszych zajęć, podajcie dokładną datę powstania waszej utopii. Dziś mamy piątek, pierwszego.

Bogini zbiera wszystkie prace, a następnie oznajmia, siadając z powrotem przy biurku:

– Nadszedł czas na oceny.

Wstrzymujemy oddech. Nasza nauczycielka wygląda, jakby się nad czymś głęboko zastanawiała. Patrzy w notatki, a potem na każdego z nas. Wreszcie podaje werdykt:

– Pierwsze miejsce: Clement Ader i jego ludzie-skarabeusze.

Inni klaszczą, ale ja jestem oburzony. Ludzie Clementa Adera byliby tylko zbieraniną nieokrzyszanych wieśniaków, gdybym nie dał im pisma, matematyki i piramid.

Bogini miłości nakłada złoty wieniec laurowy na głowę mojego gospodarza. Dodaje jeszcze komentarz:

– Clement Ader nie tylko umiał wykorzystać zasadę przymierza, przygarniając ludzi-delfinów, ale także potrafił zrozumieć, dlaczego warto budować pomniki. To jego cywilizacja stworzyła na „Ziemi 18” najpiękniejsze na tamte czasy budowle. Kosztowały wiele pracy i energii, ale przyczyniły się do oddziaływania kultury ludzi-skarabeuszy w czasie i przestrzeni. Wszystkim wam radzę skorzystać z metod Clementa Adera.

Całuje lotnika w obydwie policzki i przyciska do piersi.

– Drugie miejsce: ludzie-iguany Marii Curie. Także wzniesli piramidy oraz zbudowali duże,

nowoczesne miasta, a poza tym rozwinięli astrologię oraz wróżbiarstwo. Powiem tylko jedno słowo krytyki. Należy zaprzestać składania ofiar z ludzi, ale jestem pewna, droga Mario, że potrafi pani stworzyć takich mędrców, którzy zakończą tę „glupotę”. Proszę potraktować dzisiejszą nagrodę jako zachętę do takiego działania.

Przyjmując srebrny wieniec laurowy, Maria Curie podkreśla, że bardzo wiele zawdzięcza ludziom-mediom, którzy potrafili jej słuchać; dodaje też, że w przyszłości zrobi wszystko, aby rozpowszechnić idee głoszone przez ludzi-iguany.

Tak jak Clement Ader, Maria Curie nie wspomina o statkach, które pewnego dnia pojawiły się na horyzoncie, przynosząc im całą wiedzę niezbędną do rozkwitu ich kultury... Pewnie woleliby wszyscy, żebym został wyeliminowany, aby już nigdy nie byli zmuszeni do okazywania mi choćby najmniejszej wdzięczności.

– Wreszcie trzecie miejsce: Joseph Proudhon i jego ludzie-szczury.

Przez zgromadzonych przebiega szmer. Bogini dodaje:

– Ludzie-szczury zajmują miejsce ex aequo z kobietami-osami, jednak ponieważ reprezentują siłę „D”, dałam im niewielką przewagę po to, żeby w gronie laureatów znalazły się wszystkie trzy siły.

W sali ponownie zawrzało.

Afrodyta uspokaja niecierpliwym gestem protestujących, wśród których są głównie kobiety, i mówi dalej:

– Cywilizacja ludzi-szczurów jest dziś pod względem militarnym najsilniejsza na całej „Ziemi 18”. Wszyscy musicie się z tym liczyć. Moim zdaniem, jego armia jest obecnie niezwycięzona, poza tym posiada nadzwyczaj skuteczną broń.

Słychać gwizdy. Tym razem bogini jest najwyraźniej zirytowana. Uderza ręką w biurko, chcąc przywrócić ciszę.

– Zrozumcie! Tak jak wy, pragnę nade wszystko miłości i nienawidzę przemocy. Na nic jednak przymykanie oczu. Silna armia zawsze w końcu dotrze do pokojowo nastawionego ludu. Twardy zwycięża miękkiego.

W mojej głowie dźwięczy pieśń czekających na śmierć ludzi-delfinów podczas ataku ludu Szczurów. W mojej głowie rozbrzmiewają słowa litanii śpiewanej w dniu potopu. Ponieważ nie byli zdolni do walki, starali się z godnością przejść z życia do śmierci. Czyżby więc ich szlachetne zachowanie nie miało żadnej wartości w kodeksie olimpijskich bogów?

– Co komu po pięknych zasadach, jeśli umrze? – oświadcza Afrodyta, jakby czytała w moich myślach. – Wielu z was zbłądziło przez to, że byliście aniołami. A „Ziemia 18”, jak każdy inny świat, to miejsce konfrontacji. To prawdziwa dżungla. Gdyby istniał tylko jeden bóg, narzuciłby swój własny system wartości, ale tak nie jest. Jest was jeszcze koło setki. Najpierw bądźcie realistami, dopiero potem idealistami.

– Dlaczego zniszczyła pani cywilizację Michaela? – pyta znieczeka Mata Hari.

– Rozumiem pani uczucia – zimno odpowiada bogini – i gratuluję dobroci serca. Tyle, że samo serce nie wystarczy. Żeby zrozumieć świat, potrzebna jest jeszcze inteligencja. Mnie samą drogo kosztowała ta lekcja.

Kiedy tak mówi, widzę w jej jasnym spojrzeniu tysiące dramatów, cierpień i niezapomnianych zrad.

– Michael nie tylko dopuścił się oszustwa, ale także stworzył nieprawdziwy świat. To była jakby wyspa rozpieszczonych dzieci... Bez żadnego kontaktu z sąsiednimi ludami. Owszem, gromadzili wiedzę i rozwijali duchowość, lecz stali się zbyt „osobiści”. Teraz przynajmniej ich cenna wiedza rozchodzi się po całym świecie. Po co być światłem, które świeci w dzień? Światło widać tylko w mroku. Najlepiej je widać wśród przeciwności. I to dlatego musieli opuścić wyspę,

dłatego teraz walczą o przeżycie. Ale ja wierzę w Michaela. Jego ludzie będą lśnić nawet w największych ciemnościach.

Mam ochotę jej powiedzieć, że gdyby pozwoliła mojemu ludowi rozwijać się, wysłaliby swoje okręty do innych ludów, zawożąc im swoją wiedzę. Wystarczyło dać im trochę czasu. Przecież nawet po tym, jak statki z odkrywcami przyjmowano strzałami, ludzie z Wyspy Spokoju nie zaprzestali ich wysyłania. Trzeba było mi zaufać. Ale ona patrzy na mnie porozumiewawczo i znowu mam wrażenie, że to wszystko robi dla mojego dobra. Gryzę się w język.

– Działajcie, jak najlepiej możecie, bądźcie odpowiedzialni, lecz działajcie zgodnie z regułami gry – podsumowuje swoją wypowiedź. – Pozytywne uczucia są dobre w kinie i powieściach, ale nie sprawdzają się w prawdziwym życiu.

– W takim razie dlaczego czyniła pani takie zarzuty Brunowi? – pytam.

Po raz pierwszy widzę, że bogini miłości jest trochę zmieszana. Spuszcza wzrok i mówi:

– Ma pan rację. Panie Bruno, żałuję tego, co powiedziałam. To był napad złego humoru. Bruno, jesteś w gronie dwudziestu najlepszych i możesz kierować swoimi ludźmi, jak ci się podoba. To co powiedziałam, to tylko opinia obserwatorki, nie musisz brać jej pod uwagę.

Już po chwili Bruno obnosi swoją zwycięską minę.

Ta nagła zmiana szokuje mnie jeszcze bardziej niż wszystko, to co wydarzyło się dotychczas. Zdecydowanie już nic nie rozumiem z zasad rządzących światem bogów. Przypomina mi się Lucien Dupres. Może miał rację mówiąc, że znaleźliśmy się w pułapce. My, których dusze powinny być najbardziej czyste i znajdować się na najwyższym poziomie rozwoju, będziemy musieli przystać na potworności... Ja sam już tyle z nich zaakceptowałem. Czyżby za dużo?

Afrodyta bierze ponownie listę i powraca do ogłaszania ocen. Po raz kolejny znalazłem się na szarym końcu, ale nie jestem ostatni. Wykluczony zostaje malarz Paul Gauguin i jego ludzieszwierszcze, którzy pięknie śpiewali podczas żniw, ale zapomnieli o garnkarstwie, potrzebnym, żeby móc schować na zimę swoje zapasy. Wygłodniali, byli zbyt słabi, aby odeprzeć atak ludzi-szczurów. Nic nie zostało z ich wspaniałej kultury oraz sztuki, która swym rozwojem wyprzedzała epokę.

Centaur zabiera piewęc urody Pont-Aven i Markizów, który nawet się temu nie sprzeciwia. Bogini wyczytuje następnie nazwiska siedmiu innych, mniej znanych bogów, którym nie powiodło się głównie z powodu wojen, epidemii lub głodu. Ich także zabierają centaury.

Odejmowanie: $92 - 8 = 84$.

Nadchodzi Atlas i zabiera „Ziemię 18”.

Wszyscy kierują się do wyjścia. Patrzę na pchły w słoiku bez wieczka. A czym jest nasze wieczko?

Spoglądam na ośnieżoną górę i jestem przekonany, że pewnego dnia się dowiem.

W 1947 roku francuski etnolog Marcel Griaule badał liczące ponad 300 000 osób plemię Dogonów, zamieszkujące płaskowyż Bandiagara w Mali, około stu kilometrów od miasta Mopti. Starszyzna plemienia zdecydowała podczas narady, że wtajemniczą Griaule'a w swoje sekrety. Przedstawili mu ślepego starca, Ogotemmeliego, strażnika ich wielkiej świętej jaskini. Dwaj mężczyźni rozmawiali przez 32 dni. Ogotemmeli zapoznał Griaule'a z kosmogonią Dogonów, pokazując mu wyryte w skale rysunki oraz mapy nieba z przedstawionymi gwiazdami i planetami.

Według mitologii Dogonów, Stwórca – Amma był garniarzem. Wziął garść gliny i ulepił jajko. Do czasoprzestrzeni Amma włożył osiem podstawowych ziarenek, z których narodziła się Rzeczywistość. Amma stworzył następnie Nommo, ludzi-ryby, którzy stali się jego przedstawicielami. Najpierw pięciu Nommo-mężczyzn, potem pięć Nommo-kobiet. Pierwszy Nommo został władcą nieba i burzy. Towarzyszył mu drugi Nommo-posłaniec. Trzeci Nommo władał wodami. Ostatni Nommo – Yurugu zbuntował się przeciw swemu Stwórcy, ponieważ nie otrzymał kobiety, której pragnął. Wtedy Amma wyгнаł go z pierwotnego jaja. Jednak Yurugu wyrwał kawałek jaja i z tego fragmentu powstała Ziemia. Yurugu postanowił zatem znaleźć dla siebie kobietę na tej planecie. Ale Ziemia była sucha i jałowa. Tak więc powrócił Yurugu do pierwotnego jaja i z łożyska stworzył kobietę, która została jego żoną – Yasigui. Bardzo rozgniewany Amma zamienił Yasigui w ogień, z czego powstało Słońce. Yurugu nie poddaje się jednak, lecz wyrwa kawałek Słońca i zabiera go na Ziemię. Tam rozdrabnia go na ziarenka, w nadziei, że wykiełkuje z nich nowa rzeczywistość, w której wreszcie znajdzie swoją towarzyszkę życia. Wskutek okaleczenia Słońca narodził się Księżyc. Po tylu prowokacjach rozgniewany Amma zamienił Yurugu w pustynnego lisa. Wybuchła wówczas wojna pomiędzy Nommo. Wyrwane przez nich kawałki pierwotnego jaja zamieniły się w umieszczone we wszechświecie gwiazdy. Podczas walki powstały drgania, które wciągnęły w spiralę gwiazdy.

W opowieści Ogotemmeliego oraz na starych rysunkach, które pokazuje, najdziwniejsze jest to, że przedstawiają one wszystkie planety systemu słonecznego na właściwych im miejscach. Nawet Pluton, Neptun i Uran są dobrze oznaczone, chociaż te trudne do zobaczenia planety zostały odkryte całkiem niedawno. Ale jeszcze bardziej niezwykły jest fakt, że zdaniem Ogotemmeliego, Stwórca, czyli Amma, mieszka w niebie na gwiazdzie, którą nazwano Syriuszem A. Na mapach Dogonów znaleźć można obok niej drugą gwiazdę, którą Ogotemmeli nazywa „najcięższym przedmiotem we wszechświecie”. Zresztą ich kalendarz składa się z pięćdziesięcioletnich cykli, odpowiadających obrotowi tych dwóch dalekich gwiazd wokół siebie. Otóż niedawno odkryto Syriusza B, białego karła, który krąży po elipsie wokół Syriusza A w cyklu pięćdziesięcioletnim. Gwiazda posiada czarne dziury, a jej materia jest najgęstszą z dotychczas znanych.

Edmond Wells,

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

105. NAJWAŻNIEJSZY UCZEŃ

Pory Roku zaczynają znowu swoją pracę. Dziś wieczór mamy prawo zjeść kilka nowych produktów, które zostały odkryte przez nasze plemiona... przede wszystkim masło, ser i wędlinę. Masło wydaje mi się tak smaczne, że biorę jeszcze jedną kostkę i zjadam prosto z widelca. Smakuje jednocześnie mlekiem i migdałami. Naprawdę pyszne. Tak samo ser i wędlina. Jednak nie w głowie nam delektowanie się potrawami. Wszyscy komentują dzisiejszą partię, żałując, że Proudton, ten najeżdźca bez czci i wiary, znowu znalazł się w czołowej trójce. Niektórzy jednak twierdzą, że musi być obecny ktoś reprezentujący siłę „D” i że postawa anarchisty jest wyrazem właściwej niektórym ludziom potrzeby dominacji. Inni twierdzą, że zwycięstwo Marilyn nad bezlitosnym wrogiem dowodzi, że sama przemoc nie wystarczy, by zwyciężyć we wszystkich bitwach.

– Zastanawiam się, kto byłby dziś w stanie pokonać jego wojsko? – pyta Mata Hari.

– Inne, jeszcze silniejsze wojsko, które znalazły jego sposób prowadzenia walki, potrafiło go naśladować i ulepszyć – odpowiada Raoul.

Powiedziałabyś to, mój przyjaciel bierze swoje krzesło i siada obok mnie.

– Teraz ty piszesz *Encyklopedię* Wellsa, prawda?

– To prawda. Edmond mi ją powierzył przed swoją śmiercią.

– Tracisz czas.

– Robię to głównie po to, aby wzbogacić wiedzę ludzi-delfinów.

Jednak to wyjaśnienie nie jest dla niego zbyt przekonujące.

– Raczej pomyśl o tym, żeby ich uzbroić, bo inaczej zawsze będą zależeć od tych, którzy ich u siebie goszczą. Są jak właściciele sklepów nachodzeni przez mafie, która obiecuje im rzekomą ochronę.

– Nie zapominaj, Raoul, że twój lud także należy do tych, którzy wymuszają od mojego wiedzę w zamian za swoją gościnność.

– Nie chciałbym, żebyś pozwolił się wyeliminować.

– Dziękuję ci za troskę, ale na razie, mój lud żyje.

Kiwa głową bez przekonania.

– Nie podobało mi się to, co ci zrobiła Afrodyta – mówi cicho. – Ja na twoim miejscu byłbym z wściekłości.

Podaje mi kawałek miodowego ciasta.

– W świecie, gdzie wszystko jest niepewne, przynajmniej zjedzenie dobrego ciasta jest realną przyjemnością.

Wchodzi orkiestra centaurów, by towarzyszyć naszej agape. Do grona tam-tamów, fletów i fonicznego luku dołączyły trąbki.

Afrodyta przemyka wśród zebranych, każdemu szepcząc jakieś słówko. Podchodzi do mnie i siada obok. Raoul ulatnia się dyskretnie.

– Zrobiłam to dla twojego dobra – mówi bogini. – Jeśli człowiek nie napotyka przeszkód, usypia.

Przelykam ślinę.

– Gdyby mi na tobie nie zależało – ciągnie dalej swoim ciepłym głosem – zostawiłabym twój lud, żeby obrastał w piórka na tej wyspie, plawiąc się w szczęściu, sam na świecie i z dala od prawdziwego życia.

– Byłbym z tego bardzo zadowolony.

– I tak właśnie sądziłam... Twoi ludzie staliby się w końcu arogancy, przesadnie dumni ze

swojej wiedzy i mieliby w pogardzie resztę ludzkości.

Afrodyta gładzi moją dłoń.

– Wiem – szepcze – Ludzie-delfiny są wszędzie prześladowani i wykorzystywani. Zabiera się ich wiedzę, a w podziękowaniu dostają kopniaka lub przegania się ich widłami. Ale przynajmniej ocknęli się.

– Ponieważ są źle traktowani, zaczynają wpadać w paranoję.

– Uwierz, jeszcze mi za to podziękujesz.

Zaciskam wargi, wiedząc, że ten dzień jeszcze nie nadszedł, a ja na razie muszę towarzyszyć moim pokojowo nastawionym ludziom w ich życiu wśród ludów kochających przemoc i wojny.

– Umiesz już rozwiązać zagadkę? – pyta bogini. „Lepsze niż Bóg, gorsze niż diabeł”... Przecież to ona jest rozwiązaniem tej zagadki! To Afrodyta jest lepsza niż Bóg i gorsza niż diabeł... Przez nią oszalałem z miłości, a robi to lepiej niż Pan Bóg. I niszczy mnie gorzej niż diabeł.

Jej szarada przypomina mi pewną grę towarzyską – Post-it, podczas której gracze siedzą w kole i piszą na samoprzylepnych kartkach nazwisko jakiejś znanej osobistości, a następnie przyklejają te kartki sobie nawzajem na czołach. Dana osoba nie wie, kogo reprezentuje, więc zadaje na oslep pytania: „Czy jestem osobą żyjącą? Jestem mężczyzną czy kobietą? Czy jestem sławny? Niski, wysoki? Jestem muzykiem, malarzem, politykiem?”. Pozostali odpowiadają „tak” lub „nie”. Kiedy odpowiedź brzmi „tak”, zgadujący ma prawo zaproponować jakieś nazwisko. Gra często okazuje się okrutna, ponieważ ukazuje, jak nas widzą inni. Zarozumialcy dostają zwykle imiona królów lub dyktatorów, marzyciele nazwiska artystów, osoby męczące – nudziarzy. Zatem ten, kto zadaje pytania, pyta jednocześnie: „A wiesz z kim jestem utożsamiany?”.

Lubien to grę aż do dnia, w którym wpadłem na pomysł napisania na czole sąsiada mojego własnego nazwiska. Efekt okazał się niezwykle spektakularny.

Może Sfinks zagrał podobnie z Afrodytą? Lepsze niż Bóg, gorsze niż diabeł... Rozwiązanie jest tak blisko, że bogini nie jest w stanie go dostrzec.

– To pani jest rozwiązaniem tej zagadki.

Najpierw wygląda na zaskoczoną, a po chwili wybucha krystalicznym śmiechem.

– Jakie to miłe! Uznaję tę odpowiedź za komplement. Ale przykro mi, to jednak nie to! Wiesz, już byli tacy, którzy myśleli o tym rozwiązaniu – dodaje. – Chodź.

Wstaje. Ja też. Przyciska mnie do swoich piersi. Wdycham jej zmysłowy zapach i wstrzymuję oddech.

– Jesteś dla mnie ważny. Uważam, że spośród wszystkich uczniów ty liczysz się najbardziej. Wierz mi, mam przecucia, a ja rzadko się myślę. Jestem przekonana, że jesteś „tym, na kogo czekam”.

Mówi dalej ze słodyczą w głosie:

– Nie zawieźdź mnie. Rozwiąż zagadkę. A gdyby to miało ci pomóc...

Dotyka ustami mojej brody. Czuję na skórze jej język. Cały drzę. Jej nagie palce dotykają moich.

– Nie będziesz żałował – szepcze mi do ucha.

Potem odwraca się i znika wśród stolików, zostawiając mnie w szoku, zlanego potem od czoła aż po szyję.

– Czego chciała? – pyta podekscytowana Marilyn.

– Nic takiego...

– No to chodź, wracamy na czarne terytorium.

Po kolei dołączają do nas wszyscy teonaucci, aby przygotować nową wyprawę. W naszej

grupie jest także Georges Méliès.

– Wydaje mi się, że mam coś, co pozwoli nam uwolnić się od wielkiej chimery – mówi.

– Co to takiego?

– Nigdy nie należy kazać iluzjoniście zdradzać swojej tajemnicy. Należy mu pozwolić zaskoczyć widza i mam nadzieję, że tak właśnie zaskoczymy za chwilę wielką chimerę.

Pierwsze informacje o występie magika odnajdujemy w egipskim pergaminie z 2700 roku p.n.e. Artysta nazywał się Meidoum i występował na dworze faraona Cheopsa. Olsniewał widzów, pozabawiając kaczkę głową, a następnie zwracając ją za pomocą kuglarskich sztuczek, tak że cała i zdrowa kaczka odchodziła na własnych nogach. Rozwijając swoją sztukę, Meidoum ucinął głowę wołu, którego następnie w taki sam sposób ożywił.

W tym samym okresie egipcycy kapłani praktykowali świętą magię, w której wykorzystywali mechaniczne sztuczki, umożliwiające otwieranie na odległość drzwi świątyni. W starożytności rozwój kuglarstwa wiązał się z kulkami, kośćmi, monetami i kubkami. Pierwsze arkana tarota – błazen przedstawiają właśnie magika pokazującego swoje sztuczki na targu.

Nowy Testament opowiada historię Szymona Czarnoksiężnika, który swą sztuką magiczną zyskał łaski rzymskiego cesarza Nerona. Święty Piotr stanął z nim do współzawodnictwa. Pokonany Szymon postanowił wtedy pokazać swoją ostatnią sztuczkę, wyzywając tym samym Piotra na honorową walkę. Rzucił się z Kapitolu, aby wlecieć do nieba. Ale apostołowie, chcąc udowodnić wyższość religii nad magią, sprawili swoimi modlitwami, że Szymon spadł.

W średniowieczu pojawiły się pierwsze sztuczki karciane, uzupełniane innymi sztuczkami kuglarskimi. Jednakże ich autorów nierzadko podejrzewano o uprawianie czarów i kończyli na stosie.

Tak naprawdę dopiero w 1584 roku, dzięki publikacji angielskiego iluzjonisty Reginalda Scotta, następuje rozróżnienie magii i czarnoksięstwa. W swojej książce autor ujawnia tajemnicę wielu sztuczek, aby zapobiec w ten sposób egzekucjom licznych magików, skazywanych na śmierć przez króla Szkocji Jakuba I.

W tym samym czasie we Francji termin „magia” zostaje zastąpiony terminem „zabawna fizyka”, a prestidigitatorzy będą od tej pory nazywani „fizykami”. Magia staje się więc widowiskiem, w którym przedstawiane są sztuczki wykorzystujące zapadnię, zasłony lub ukryte mechanizmy.

Prekursorem nowoczesnej magii jest Robert Houdin, syn zegarmistrza, który także uprawiał ten zawód. Stworzył on „Teatr wieczorów fantazji”, w którym do iluzjonistycznych sztuczek wykorzystywał stworzone przez siebie mechanizmy i złożone urządzenia. Robert Houdin został nawet wysłany przez francuski rząd do Afryki w celu udowodnienia tamtejszym marabutom i czarownikom wyższości francuskiej magii. Kilka lat później Horace Godin wymyślił sztuczkę z „kobietą przeciętą na dwoje”, natomiast amerykański magik, Houdini, nazywany dzięki swym szczególnym umiejętnościom wydostawania się z każdej pułapki „królem ucieczki”, zaczął organizować wielkie pokazy magii, jeżdżąc z nimi po całym świecie.

Edmond Wells,
Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

107. WYPRAWA W CZERWONYM ŚWIECIE

Godzinę później teonauci dyskretnie opuszczają rozbawione i roztańczone towarzystwo. Wychodzimy z Olimpi i kierujemy się w stronę niebieskiego lasu, chcąc wreszcie dotrzeć do najważniejszej góry na wyspie.

Nasz coraz bardziej doświadczony zastęp szybko posuwa się naprzód, korzystając ze skrótów odkrytych w czasie poprzednich wypraw.

Ta droga stała mi się bliska. Idziemy. Może dlatego, że przez dwa dni byłem z dala od towarzystwa moich przyjaciół, czuję entuzjazm, jak za pierwszym razem. Znowu mam takie uczucie, jakbym przekraczał granice jakiejś *terra incognita*.

Mata Hari kroczy na przedzie, starając się nie czynić najmniejszego hałasu, tak aby nie zaskoczyła nas żadna cherubinka ani mający złe zamiary centaur. Za to Freddy i Marilyn gawędzą beztrąsko. Patrzę na nich i stwierdzam, że Joseph Proudhon nie wygra z Marilyn, ponieważ posiada ona umiejętność dostosowywania się, która jemu jest obca. Jest szczwana jak lis i jak kot spada na cztery łapy.

Na końcu idzie Georges Méliès, ciągnąc ze sobą wielki worek, w którym, jak twierdzi, jest jego „magiczne coś”.

Dobrze mi z nimi. Ogólnie rzecz biorąc, życie mojej duszy jest udane. Dotarłem do Raju.

Doświadczyłem, co znaczy wniebowstąpienie. Mam przyjaciół. Prowadzę poszukiwania. Jestem za coś odpowiedzialny. Mam do wypełnienia zadanie.

Moje życie ma sens.

Raoul obejmuje mnie ramieniem.

– Na Ziemi wszyscy mieliśmy jakieś życie uczuciowe – mówi, wskazując głową na Marilyn i Freddy’ego... – Miłość jest ważna. Czym jest życie bez kobiety?

Uwalniam się z jego objęć.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Dziwne. Sądziłem kiedyś, że w Imperium Aniołów lub w Aedenie uczucia będą jak dogasające ognisko. A jednak nie. Są zarówno anioły, jak i bogowie, którzy znowu rozpoczynają swoje życie uczuciowe. Trochę tak jak starcy, o których myśli się, że są już u schyłku swego męskiego wieku, a oni nagle oświadczają, że się rozwodzą i ponownie żenią. Masz dużo szczęścia, że udało ci się zakochać.

– No, nie wiem.

– Cierpisz z tego powodu? Doznałeś od niej tyle przykrości. Ale przynajmniej przeżywasz coś silnego. Pamiętam takie powiedzenie: „W każdym związku jest ten, kto cierpi, i ten, kto się nudzi”.

– To uproszczenie.

– A jednak sprawdza się w wielu przypadkach. Ten, kto kocha, cierpi, a ten, kto się nudzi, zwykle podejmuje decyzję o rozstaniu. Mimo to... ten, kto kocha najbardziej, dostaje to, co najlepsze.

– A więc ten, kto cierpi.

– Tak, ten, kto cierpi.

Odczuwam przyjemność, rozmawiając z moim przyjacielem z dawnych lat. Może śmierć Edmonda Wellsa na coś się przydała?

– W każdym razie – mówi – wydaje mi się, że przeczytałem w *Encyklopedii*, iż to dzięki cierpieniu możemy się rozwijać.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Spójrz, jak przebiegają nasze relacje z ludźmi... Jeśli zwracamy się do nich uprzejmie, nie słuchają nas. Kiedy nie cierpią, nie rozumieją. Nawet jeśli są na tyle inteligentni, żeby domyślić się jakiejś idei, to dopóki nie odczuwają jej boleśnie na ciele i nie wyleją swoich łez, nie potrafią naprawdę przyswoić informacji. Cierpienie pozostaje ciągle najlepszym sposobem, jaki wynaleźli bogowie i anioły, żeby wychowywać ludzi.

Zastanawiam się nad tym, co usłyszałem.

– Jestem pewien, że rozwijając świadomość ludzi, moglibyśmy uczynić ich lepszymi, nie nakładając na nich cierpienia.

– Oj, Michael, na zawsze pozostaniesz wielkim utopistą. Może to właśnie podoba mi się w tobie najbardziej. Ale tylko dzieci wierzą w utopię... Ty jesteś jak dziecko. Dzieci nie zgadzają się na ból. Dzieci chcą żyć w cukierkowym świecie! Świecie wyobraźni, który naprawdę nie istnieje. W utopii takiej jak Nibylandia Piotrusia Pana. Ale syndrom Piotrusia Pana to stan psychozy, dotyczący tych, którzy nie potrafią przestać być dziećmi. W końcu wysła się ich do zakładu dla obłąkanych. Ponieważ dusze we wszechświecie nie mogą pozostać na etapie dzieciństwa, lecz muszą stać się dorosłe... A być dorosłym, to znaczy uznać podłość świata, ale także swoją własną podłość. Spójrz na wędrowkę twojej duszy. Za każdym razem jesteś bardziej dorosły. To wzniosły proces, który się nigdy nie kończy. W każdej epoce wzrastałeś i dojrzewałeś, i nie należy się cofać. Pod żadnym złym pretekstem. Nawet w imię uprzejmości i dobroci... Patrzy na mnie ze smutkiem.

– Nawet twoją przygodę z Afrodytą przeżywasz jak dziecięcą mrzonkę.

Idziemy przez gęstszy odcinek lasu i wiem, że zaraz za nim znajduje się niebieska rzeka. Nagle z góry dociera światło.

– Afrodyta cię nie kocha.

– A co ty możesz o tym wiedzieć?

– Ona nie jest zdolna kogokolwiek pokochać. Nie kochając nikogo, może udawać, że kocha wszystkich. Widziałeś, jak potrafi prowokować. Rozdziela swoje pieszczoty, chętnie gładzi ludzi po ramionach, tańczy, zupełnie bezceremonialnie siada na kolanach a potem, kiedy dana osoba próbuje posunąć się dalej, ona wznosi mur. Upaja się słowem „miłość”, ponieważ wyraża ono uczucie, które jest jej najbardziej ze wszystkich obce. Zresztą, przyjrzyj się jej życiu: kochała praktycznie wszystkich olimpijskich bogów oraz setki śmiertelników. Ale tak naprawdę, nigdy żadnego z nich nie kochała.

Uwaga przyjaciela dźwięczy mi jeszcze w uszach. Bogini miłości niezdolna do tego, żeby kochać? To mi przypomina studia medyczne, które odbyłem w moim ostatnim ziemskim wcieleniu, jako Michael Pinson. Zawsze mnie bawiło, że każdy lekarz wybierał jako swoją specjalizację dziedzinę, która była związana z jakąś jego słabością. Ten, kto miał łuszczycę, decydował się na dermatologię, ten, kto miał problemy z nieśmiałością, chciał leczyć ludzi dotkniętych autyzmem, cierpiący na zaparcia zostawali proktologiem, a schizofrenik... psychiatrą. Tak jakby zetknięcie z najcięższymi przypadkami pozwalało im wyleczyć własne niedomagania.

– Wszyscy jesteśmy chorzy z miłości – mówię.

– Ty jesteś mniej chory niż Afrodyta. Ponieważ, to co czujesz, jest piękne i czyste. Do tego stopnia, że nawet nie potrafisz mieć jej za złe masakry twojego ludu i tego, że przez nią możesz zostać wykluczony z gry.

– Zrobiła to, ponieważ...

– Ponieważ jest świnią. Przestań ją usprawiedliwiać.

Idziemy dalej, a ja po raz kolejny czuję, że przyjaciel wytrącił mnie z równowagi.

– Chcę jednak, żebyś wiedział, że nie wyśmiewam się z uczuć, które żywisz do tej sercowej

inwalidki... Myślę, że to co przeżywasz, to inicjacja przez kobiety. A każda próba to dalszy stopień w rozwoju. Jesteś sfrustrowany i nieszczęśliwy, ale przecież jesteś materia, która znajduje się w nieustannym ruchu. To mi przypomnia historię, którą kiedyś opowiadał mój ojciec.

Wspominając swojego ojca, Francisca Razorbacka, mój przyjaciel przez moment daje się ogarnąć nostalgii, jednak szybko się opanowuje.

– To jest jak dowcip. Powiedział mi, o ile dobrze pamiętam, coś takiego:

„Kiedy miałem 16 lat, moje hormony zaczęły się burzyć. Marzyłem wtedy o wielkiej miłości. Wreszcie ją spotkałem, ale potem dziewczyna zaczęła być natrętna, więc ją zostawiłem i zacząłem szukać innej, która byłaby jej przeciwieństwem. W wieku 20 lat marzyłem, by znaleźć się w ramionach doświadczony kobiety. Spotkałem ją. Była bardzo sprytna i starsza ode mnie. Dzięki niej odkryłem nowe zabawy. Jednak ona pragnęła nowych doświadczeń i odeszła za moim najlepszym przyjacielem. Więc zacząłem szukać jej przeciwieństwa. W wieku 25 lat pragnąłem już tylko milej dziewczyny. Spotkałem ją, ale nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. Nasz związek rozpadł się. Znowu zacząłem szukać przeciwieństwa. Kiedy miałem 30 lat, zapragnąłem kobiety inteligentnej. Znalazłem ją. Była mądra i ją poślubiłem. Problem jednak był w tym, że nigdy się ze mną nie zgadzała i starała się zawsze narzucić mi swój punkt widzenia. W wieku 35 lat pragnąłem dziewczyny młodszej od siebie, którą mógłbym urabiać na swój sposób. Wytropiłem ją. Była bardzo wrażliwa i widziała wszystko w czarnych barwach. Wtedy chciałem znaleźć kobietę dojrzałą, pogodną i o bogatej osobowości. Znalazłem ją w klubie jogi, ale nalegała, żebym wszystko zostawił i wyjechał spędzić resztę życia w hinduskiej aśramie. Kiedy miałem 50 lat, od mojej przyszej towarzyszki wymagałem już tylko jednego...”.

– Czego?

– „... żeby miała duże piersi!”

Raoul wybucha śmiechem. Ale ja nie.

– Ach, ta inicjacja przez kobiety, mówię ci! Wszystkie są cudowne, szalone, posiadają intuicję, są kapryśne, tajemnicze, aroganckie, wymagają wierności, są niestałe w uczuciach, wspaniałomyślne, zaborcze, potrafią doprowadzić nas do największej rozkoszy i rozpacz. Ale utrzymując z nimi stosunki, nie uczymy się poznawać samych siebie, a więc się nie rozwijamy. To tak jak z dojrzewaniem kamienia filozoficznego... Gnijemy, ułatwiamy się, szlachetniejemy, wypalamy się, ale ulegamy metamorfozie. Jedyne niebezpieczeństwo to skupić się na jednym i pozostać w tym stadium, jak mucha w plastrze miodu.

– Za późno. Ja już to mam za sobą.

– Może Afrodyta chce ci tylko udzielić lekcji: jak wypuścić kogoś z ręki? Naucz cię, że trzeba uciekać od kobiet... takich jak ona. Oto jej nauka dla ciebie.

– Nie jestem już do tego zdolny. Ona jest dla mnie wszystkim.

Chowam głowę w ramiona, a Raoul bierze mnie za rękę.

– Dopóki bardziej będziesz kochał siebie niż ją, dopóty nie będzie mogła cię zniszczyć.

– Nie jestem o tym przekonany.

– Och, zapomniałbym o tym zdaniu Edmonda Wellsa: „Miłość to zwycięstwo wyobraźni nad inteligencją”. A ty niestety masz tak bogatą wyobraźnię, że znajdujesz w Afrodycie zalety, których nie posiada. I nie ma temu końca.

– To jest nieskończone... – dodają.

I myślę dalej: „...Razem z nią dotrę do tej nieskończoności. Za wszelką cenę”.

Nieruchomieję. Z gęstwiny dobiega odgłos czyichś kroków.

Jakieś stworzenie wynurza się z paproci i zbliża się do mnie. Już je widzę. Ludzki tułów, nogi koziorożca zakończone kopytami, głęboko osadzone, podłużne oczy, z kręconych włosów wystają niewielkie różki. Satyr patrzy na mnie z szelmowską miną.

- Czego chcesz?

- Czego chcesz? – powtarza, kiwając kędzierzawą głową.

Odpycham go.

- Idź sobie!

- Idź sobie!

Potworek ciągnie mnie za togę.

- Zostaw mnie w spokoju – mówię.

- Zostaw mnie w spokoju.

- Zostaw mnie w spokoju.

- Zostaw mnie w spokoju.

Już trzy satyry bawią się w echo i wszystkie trzy pociągają mnie za togę, jakby chciały mi coś pokazać. Uwalniam się. Raoul przegania je wierzbową gałązką. Kilka kroków dalej spotykamy następnę.

- Ja uważam, że są zabawne – mówi Georges Méliès.

- W każdym razie nie są niebezpieczne – zauważa Mata Hari. – Gdyby chciały na nas działać, już dawno by to zrobiły.

Idziemy dalej, a satyry razem z nami. Powietrze pachnie mchem i porostami. Niezwykła wilgoć przenika do naszych płuc. Z ust wydobywa się para.

Idę, a natrętny obraz Afrodyty nie opuszcza mnie ani na chwilę.

Dwanaście uderzeń dzwonu rozbrzmiewa w dolinie i oto jesteśmy już nad brzegiem niebieskiej rzeki.

Georges Méliès prosi, abyśmy się zatrzymali i poczekał na światło dnia, które jest niezbędne – jak twierdzi – żeby jego plan się powiódł. Mimo że niezbyt mu ufamy, zatrzymujemy się posłusznie i siadamy pod wysokim drzewem z poskręcanyimi korzeniami. Żądam, żeby w międzyczasie Georges Méliès wyjawiał mi tajemnicę arytmetycznej sztuczki z „kiwi”. Przystaje na moją prośbę.

- Wszystkie cyfry pomnożone przez 9 dają zawsze liczbę, która po dodaniu tworzących ją cyfr daje dziewięć – wyjaśnia. – $3 \times 9 = 27$. $2 + 7 = 9$; $4 \times 9 = 36$. $3 + 6 = 9$; $5 \times 9 = 45$. $4 + 5 = 9$ itd. Jakakolwiek cyfra zostanie wybrana, zawsze będę wiedział, że w dodawaniu otrzymam 9. Jeśli odejmę 5, zostanie 4. Jeśli więc powiem, żeby przypisać jej odpowiednią literę z alfabetu, musi to być „d”. A jedynym krajem europejskim, którego nazwa zaczyna się na „d” jest Dania, czyli Denmark, a jedynym czteroliterowym owocem, którego nazwa zaczyna się na „k” jest kiwi.

A więc to było takie proste. Poznanie prawdy o magicznych sztuczках rodzi rozczarowanie.

- Sądziś, że dokonałeś wyboru, a naprawdę wcale tak nie jest. Podążasz ukrytą drogą, której istnienia nawet nie podejrzewasz.

- Czy uważasz, że tutaj także tylko wydaje nam się, że dokonujemy wyborów, a w rzeczywistości nie możemy tego zrobić?

- Jestem o tym przekonany – odpowiada iluzjonista. – Sądzymy, że prowadzimy grę, ale w rzeczywistości tylko odtwarzamy napisane wcześniej scenariusze. Czy niektóre zdarzenia z historii naszych ludów nie przypominają ci tych, które miały miejsce na „Ziemi 1”?

- Amazonki występują tylko w mitologii, nie są postaciami historycznymi.

- A może żyły i wyginęły? Nie znamy historii ludów, które kiedyś istniały, ale zostały pokonane. I to jest właśnie punkt widzenia obowiązujący w Olimpi. Wymienia się zwycięzców, a zapomina o przegranych. Na „Ziemi 1” podreźnili do historii też mówili tylko o zwycięskich ludach. Poza tym w starożytności niewiele potrafiło pisać, więc istniał przede wszystkim przekaz ustny. Do nas dotarły zatem tylko opowieści tych, którzy postarali się o umieszczenie ich w księgach. Tym samym znamy historię Chińczyków, Greków, Egipcjan i Hebrajczyków, ale nie

znamy dziejów Hetytów, Partów czy też... Amazonek. Wszystkie cywilizacje posługujące się tylko językiem mówionym były w niekorzystnej sytuacji.

Przywodzi mi to na myśl jeden z najciekawszych fragmentów *Encyklopedii*. Pamięć pokonanych... Kto dziś pamięta o zniszczonych cywilizacjach? Może bogowie, pozwalając nam odegrać już napisaną partię chcieli, żebyśmy poczuli ten ból. Pamięć pokonanych.

A jednak historia „Ziemi 1” wydaje mi się odmienna od tej, która zapisuje się w naszej kuli z „Ziemią 18”.

Georges Méliès pogłębia swoją myśl.

– Nie widzisz na przykład nic wspólnego między ludźmi-skarabeuszami a Egipcjanami?

– Ależ nie. Przecież to ja nakłoniłem ich do budowy piramid. Jeśli zaś chodzi o ich religię, to przez czysty zbieg okoliczności zainteresowałem się egipskimi praktykami, opisanymi w *Encyklopedii* Edmonda Wellsa.

Chociaż jest ciemno, domyślam się, że na twarzy Georges’a Méliès’a widnieje uśmiech.

– Tak sądzisz? A jeśli ten twój... zbieg okoliczności jest wynikiem planu, który powstał poza nami, a któremu podlegamy, tak jak wtedy, gdy sądzisz, że jesteś wolny w swoim wyborze, a potem i tak nieuchronnie dochodzisz do Danii i kiwi?

Nie muszę się zastanawiać, przecież wiem, że każdą boską decyzją dotyczącą mojego ludu podejmuję w duszy i w moim własnym umyśle. Nie ulegam żadnym wpływom. Jestem więc bogiem, który zależy wyłącznie od swojej wolnej woli. Jeśli powtarzam elementy z „Ziemi 1”, to tylko dlatego, że to jedyny świat, jaki znam i który pamiętam. Robię to z własnej nieprzymuszonej woli. Lub też z braku wyobraźni.

A poza tym, przecież nie istnieje tysiąc sposobów ewolucji danego ludu... Buduje osady, wypowiada wojny, wynajduje garncarstwo, konstruuje statki, buduje zabytki. I nawet nie ma specjalnie dużego wyboru w tych pomnikach. Albo buduje się sześcian, podobny do świątyni Salomona, albo piramidę, jak piramida Cheopsa, albo kulę, jak paryskie kino Geode, lub też rzymski łuk triumfalny. Staram się skontrolować Méliès’a.

– O ile mi wiadomo, na „Ziemi 1” nie istniał lud Szczurów.

– Ależ tak – odpowiada spokojnie. – Był lud porównywalny z ludźmi-szczurami, ale ponieważ zmarł, zapomniano o nim. Asyryjczycy stanowili indoeuropejski lud zamieszkujący Azję Mniejszą. Zabijali wszystkie obce ludy, dzięki czemu stworzyli wojenne imperium, które w końcu zniszczyli inni indoeuropejczycy, tacy jak mieszkańcy Mezopotamii, Medowie, Scytowie, Kimerowie, Frygowie i Lidyjczycy.

Wszystkie te nazwy coś mi niejasno przypominają. Zdaje się, że Georges Méliès dobrze zna historię zapomnianych najeźdźców, chociaż ci nie wynaleźli pisma ani nie zostawili ksiązek. Jednak nie dają za wygraną:

– A ludzie-jeźowce Camille Claudel? Nie są do niczego podobni.

Mój rozmówca pozostaje niewzruszony.

– Jeszcze nie wiem. Czasami trudno odczytać znaczenie tych zwierząt-symboli. Ale spójrz na ludzi-iguany, kolejny lud budujący piramidy. Jakoś przez przypadek osiedlili się z drugiej strony oceanu, tak jak Majowie, którzy też byli ekspertami w dziedzinie piramid. Mówię ci, Michael, wydaje nam się, że sami prowadzimy tę grę, a my tylko uczestniczymy we wcześniej napisanym scenariuszu.

Raoul nic nie mówi, wyraźnie zadowolony, że jest jeszcze ktoś, kto myśli tak jak on.

Oparta o pień drzewa Mata Hari przysłuchuje się rozmowie i od kilku chwil widać, że aż się pali do tego, by zabrać głos.

– Na „Ziemi 18” – mówi – kontynenty mają inne kształty niż na „Ziemi 1”. Te różnice geograficzne całkiem zmieniają wszystkie dane. Ludy mieszkające na „Ziemi 1” obok siebie, na

„Ziemi 18” mogą być oddzielone nawet oceanem.

Na to Georges Méliès nie potrafi nic odpowiedzieć. Tak samo jak na zarzuty Freddy’ego:

– Te podobieństwa to wytwór naszej wyobraźni, która każe nam stale porównywać nieznanne ze znanym. Podobnie jak wtedy, gdy udaliśmy się na Czerwoną Planetę...

Pamiętamy tę podróż. Odbyliśmy ją w czasach, gdy byliśmy aniołami. Wyruszyliśmy wtedy w kosmos, poszukując zamieszkałej planety. Tak właśnie odkryliśmy Czerwoną Planetę, na której żyły cztery ludy: ludzie zimowi, ludzie jesienni, ludzie letni i ludzie wiosenni. Każda pora roku, ze względu na pierwotną orbitę planety, trwała tam pięćdziesiąt lat, a władzę nad wszystkimi kontynentami sprawowała w tym okresie odpowiednia do pory cywilizacja. Tym, co szczególnie zaskoczyło naszą grupę, było istnienie bardzo rozwiniętego pod względem nauki i handlu ludu Relatywistów, którego członków znajdowaliśmy we wszystkich napotkanych społecznościach i którzy wszędzie byli ciemiężeni oraz prześladowani. Robili wszystko, aby się zasymilować i zostać zaakceptowani, jednak zawsze ich odrzucano i nadal pozostawali obcy. Freddy stwierdził, że wszędzie istnieje lud Pstrągów (pstrągi są zazwyczaj wpuszczane do systemów filtrowania wody, ponieważ ułatwiają wykrywanie zanieczyszczeń, na które są bardzo podatne). Natomiast ludzie-pstrągi sami dla siebie pełnili rolę detektorów niebezpieczeństw, jakie występowały na planecie.

– Skoro wszystko zostało zapisane, w takim razie chciałbym zobaczyć cały przygotowany specjalnie dla nas scenariusz.

– Przypomina mi to telewizyjne reality show, cieszące się kiedyś tak dużą popularnością – zauważa Freddy Meyer. – Uczestnikom wydawało się, że sami decydują o swoim postępowaniu, a dopiero na końcu okazywało się, że wszystkie sytuacje zostały wcześniej przewidziane i że za każdym razem, kiedy licencję na te programy sprzedawano za granicę, odnajdywano te same archetypy: wzruszająca blondynka z nieślubnym dzieckiem, wyniosła snobka, nadworny żartowniś, nieudacznik, uwodziciel...

Wiatr przywiał słodki zapach lawendy. Szeleszczą liście, ale na razie noc stała się tylko trochę mniej czarna.

A jeśli mają rację? Jeśli wszystko zostało z góry zapisane i zawarte w tym scenariuszu? „Wszystko zaczyna się od powieści i na powieści kończy” – sugerował mi już Edmond Wells. Nadal jednak czuję się zaskoczony myślą, że jestem tylko pajacykiem, zabawką w rękach nieznanego wymiaru, który nas przerasta.

Mój lud Delfinów nie istniał nigdy w historii świata. Nie przypominam sobie, żeby na „Ziemi 1” żyła ludność dosiadająca delfinów i potrafiąca się leczyć dzięki postrzeganiu znajdujących się w ciele pól energetycznych.

Georges Méliès wygląda na urażonego.

– Zaczekaj trochę. Albo twoi ludzie-delfiny znikną jak ich ziemscy odpowiednicy, albo też ulegną mutacji i przekształcą się w inny lud. Ale jestem przekonany, że gdyby teraz zakończyć Grę Y, twoje delfiny nie znalazłyby się w żadnym podręczniku historii.

To prawda, że moje przedostatnie miejsce nie daje mi nadziei na to, aby zapisać się w pamięci potomnych. A poza tym, rzadkie zapiski z epoki, w której zostawiliśmy naszą grę, dotyczą tylko wojen i monarszych ślubów. I nikt nie jest zainteresowany grupą rozbitek, którzy przybyli pewnego dnia, a następnie zintegrowali się z nowym ludem, przekazując mu swoją wiedzę i sztukę.

Rozmowa urywa się. Wschodzi drugie słońce. Jest pierwsza w nocy, a więc pora stawić czoła potworowi. Przeciągamy się, rozprostowując kości i robiąc rozgrzewkę przed ewentualną walką fizyczną, a następnie ruszamy w dalszą drogę.

Przechodzimy wodospad na niebieskiej rzece i docieramy do czarnego lasu. Przyśpieszamy

kroku. Mata Hari daje nam znak, że droga wolna.

Nie tylko ja jestem niespokojny. Jedyne Georges Méliès wydaje się pewien siebie. Co takiego jest w jego worku, że daje mu taką wiarę w siebie?

Z daleka dobiega nas pomruk. Mata Hari zatrzymuje się. My także. Ogromne zwierzę wie już, że tu jesteśmy. Zagrożenie pędzi w naszą stronę, jest coraz bliżej i nagle staje przed nami.

A więc to jest wielka chimera... Jej zakończone trzema szyjami ciało przypomina dziesięciometrowego dinozaura. I pomyśleć, że miałem to już za sobą... Na każdej szyi głowa innego zwierzęcia. Głowa lwa ryczy, głowa kozła pluje lepkiem płynem o mdłym zapachu, głowa smoka zionie ogniem wydobywającym się z otwartej paszczy, która otwierając się, ukazuje zaczepony pomiędzy dwoma kłami kawałek togi, to co pozostało z jakiegoś ucznia, który nie potrafił wystarczająco szybko biegać.

Stoimy w cieniu zwierzęcia.

– No i na czym polega twój magiczny plan? – pyta Raoul Razorback Georges'a Méliès'a.

Pionier efektów specjalnych otwiera swój worek i wyjmuje z niego duże lustro.

Spokojnie podchodzi do bestii i stawia lustro przed nią. Chwila oczekiwania.

Wszystkie trzy głowy wielkiej chimery odwracają się w stronę lśniącego przedmiotu i wpatrują z niedowierzaniem w obraz znajdujący się w nim potwora.

Na widok swojego odbicia bestia staje się niespokojna, przez jej ciało przebiegają dreszcze i nie może spuścić wzroku ze straszego obrazu.

– Nie wie, że to on i boi się samego siebie – mówi szeptem Marilyn.

Wielka chimera drży, odchodzi do tyłu, powraca, ale przestaje interesować się nami.

Ostrożnie, najpierw powoli, a potem coraz szybciej, opuszczamy jej pole widzenia. Nie możemy uwierzyć, że było to takie proste. Może jednak świat nie docenia mocy magików.

Gratulujemy Georges'owi Mélièsowi, który daje nam znak, byśmy jak najszybciej oddalili się, zanim zwierzę nie zmieni swojego zachowania.

Zagłębiając się w czarny świat, do którego wreszcie mamy wolny dostęp. Pamiętam, jak tu błądziłem, ścigany przez wielką chimerę. Upadłem, znalazłem podziemną grootę, a w niej ludzkie ślady, a potem uratował mnie biały królik o czerwonych oczach... Tyle czarów w jednym miejscu. A wszystko udało się pokonać za pomocą zwykłego lustra...

Mijamy czarną strefę, idziemy ciągle pod górę, aż docieramy do płaskowyżu. Tutaj zaczyna się nowe terytorium, tym razem czerwone, które ciągnie się daleko, aż za horyzont. Nasze stopy grzęzną w gliniastej ziemi.

– Po niebieskim czarne. Po czarnym czerwone – zauważa Freddy Meyer. – Idziemy w stronę światła, pokonując kolejne fazy dojrzewania kamienia filozoficznego.

Drzewa ustępują miejsca wielkiemu polu maków. Jest piękne i bardzo czerwone, w karminowym odcieniu. Tę chwilę wybrało sobie słońce, żeby nabrać barw i oświetlić ognistym blaskiem purpurowy pejzaż.

– Stańmy.

– O co ci chodzi?

Wszyscy patrzą na mnie. W głowie słyszę dźwięki bębnow, na których grają centaury. Mam wrażenie, że za moment zemdleję.

– Zatrzymajcie się, muszę trochę odpocząć... Wszystko, co tu się dzieje, jest zbyt szalone. Nie mogę już tego znieść.

– Ale przecież wielka chimera...

– Jest zajęta – mówi ze zrozumieniem Mata Hari. Grupa teonautów waha się, a potem, pod naciskiem Raoula, zgadzają się zrobić przerwę.

Odchodzę dalej, odwracam się od nich plecami, siadam wśród maków i zamykam oczy.

Muszę zrozumieć, to co mnie spotyka.

Wszystko dzieje się zbyt szybko dla mojej biednej duszy.

Byłem człowiekiem, byłem aniołem, teraz jestem bogiem.

Bogiem-ucznikiem.

A ja zawsze sądziłem, że być bogiem, to znaczy posiadać wszelką władzę. Teraz dopiero widzę, że to znaczy być za wszystko odpowiedzialnym. Nie daruję sobie, jeśli moi ludzie-delfiny umrą. Wiem o tym. To nie są zwykłe pionki. O nie, są czymś więcej. Są odbiciem mojej duszy... Są moim duchem, a ja jestem obecny w każdej osobie z tego plemienia. Są trochę jak hologramy tworzące obraz. Ale kiedy się go zburzy, w każdym kawałku można odnaleźć cały obraz. Moja boska dusza jest w członkach mojego ludu i dopóki choćby jeden z nich będzie żył, ja będę istniał. A jeśli wszyscy umrą? Jeśli zobaczę ostatniego człowieka-delfina, jak ostatniego Mohikanina stawiającego czoła światu, który pozbył się jego współbraci... wtedy z niecierpliwością będę czekał na wykluczenie z gry, aby zamienić się w niemą i nieśmiertelną chimerę. A moja dusza będzie nadal żyła, lecz nie będzie mogła robić nic innego, niż przechadzać się po lesie i przekomarzać z nowymi bogami-uczniami, jak to robiła moja cherubinka. Może stanę się centaurem lub Lewiatanem, może stanę się... tkwiącą przed lustrem wielką chimerą. Ale najgorsze będzie to, że stracę nadzieję na dalszy rozwój. Koniec tajemnic. Będę tylko nosił żalobę po moim ludzie.

Powracają obrazy, podobne do widokówek. Mój lud na plaży, stara kobieta pierwszy raz rozmawiająca z delfinem. Budowa statku ostatniej szansy oraz intronizacja pierwszej Królowej...

Wyspa Spokoju. Niezwykłe miasto czystej duchowości, zniszczone przez potop. A potem płynący gdzieś z mojego wnętrza głos: „Tak było trzeba. Zrobiłam to dla twojego dobra. Najedździe dzień, gdy to zrozumiesz”. Afrodyta... Jak mogę jeszcze kochać tę kobietę? Otwieram oczy.

A Wielki Pan Bóg, mieszkający tam, w górze, to kto? Zeus? Wielki Architekt? Wyższy Wymiar?

Prawdopodobnie coś, czego nie jesteśmy w stanie sobie wyobrazić.

Uśmiecham się na pewną myśl. Tak samo trudno zrozumieć człowiekowi Boga, jak atomowi trzustki kota zrozumieć lecący w telewizji western.

Kim jest Bóg? Nie spuszczam z oczu wierzchołka góry.

Frustrujące jest znajdować się tak blisko tej tajemnicy.

Jakby w odpowiedzi na moje pytanie, przez wieczną chmurę osłaniającą szczyt góry przenika światło.

Złudzenie optyczne? Wydaje mi się, że światło ma kształt cyfry 8...

Dlaczego nas tu przywiódł? Dlaczego nas uczy? Żebyśmy stali się Mu równi? Żebyśmy Go zmienili? Może Wielki Pan Bóg jest zmęczony, może nawet jest w stanie agonii?

Na tę myśl czuję mrowienie w szyi. Niewyraźnie przypominam sobie słowa Afrodyty:

„Jedni z nas w Niego wierzą, inni nie”.

Pamiętam śmierć Juliusza Verne'a: „Tylko nie idź tam, do góry”. A potem Lucien... powiedział coś takiego: „Nie rozumiecie, że chcą z nas zrobić morderców?”, „Tak czy owak, wasze ludzkie plemiona umrą, jak to miało miejsce na «Ziemi 17». A wy w najlepszym wypadku będziecie współwinni ich śmierci”.

A zmarły Edmond Wells: „To jest najlepsze miejsce, żeby obserwować i zrozumieć. Tu łączą się wszystkie wymiary”.

Przypominam sobie pierwsze spotkanie z Afrodytą: „Pański przyjaciel twierdzi, że jest pan nieśmiały”. Dotyka mnie. Ten kontakt z miękką jak jedwab skórą... jej wydatne usta, żywe

spojrzenie. „Mam dla pana zagadkę”.

Znowu ta przekłeta zagadka nawiedza mój umysł, jak toczący mnie od środka robak.

„Lepsze niż Bóg, gorsze niż diabeł”.

„To pani, Afrodyto. To pani jest lepsza od Boga i gorsza od diabła”. Znowu słyszę jej krystaliczny śmiech. „Przykro mi, ale to nie to...”.

A Dionizos: „Czy jest pan «tym, na którego czekamy?»”.

Gdybym to ja wiedział, kim naprawdę jestem. Wiem, że nie jestem tylko Michaeliem Pinsonem, ale kim jestem oprócz tego? Duszą, która się rozwija i odkrywa swoją prawdziwą moc...

Przypominam sobie Lewiatana: „Inicjacja poprzez trawienie w wodzie”, mawiał Saint-Exupéry. Przypominam sobie nasz pobyt u Atlasa. Te wszystkie światy, tak podobne do naszego, w których nieporadna ludzkość stara się żyć, najlepiej jak potrafi... mniej lub bardziej wspomagana przez swoich bogów. Bogów, z których każdy ma swoje własne kłopoty, własny styl, własne obawy, własną moralność, własne ambicje, własne mrzonki, własne potknięcia.

A potem przypominam sobie bogobójcę. Atena powiedziała: „Jeden z was zabija swoich towarzyszy. Jego kara będzie straszniejsza od każdej, jaką możecie sobie wyobrazić. (...) Jeden z was... jeden ze stu czterdziestu czterech jest oszustem. Nie możecie ufać sobie nawzajem”. „A ty, Michael... Nie ufaj swoim przyjaciółom” – mówiła Afrodyta.

Afrodyta, ciągle ona.

Jej pocałunek. Jej twarz. Jej zapach.

Muszę myśleć o czymś innym. O moich byłych klientach Igorze, Venus, Jacques'u, którzy stali się nowymi śmiertelnikami i walczą w swojej karmie, tak jak ja walczyłem w moim śmiertelnym życiu, choć zupełnie tego nie rozumiałem. „Raczej starają się zmniejszyć swoje nieszczęście, niż zbudować szczęście”. I takie zdanie: „Istota ludzka nie pojawiła się jeszcze, oni są tylko ogniwem łączącym małpy z człowiekiem i to właśnie my, bogowie, mamy im pomóc stać się pewnego dnia istotami na 4 poziomie świadomości. Na razie są na poziomie 3,3...”.

Spoglądam na górę Olimp.

Znowu zamykam oczy.

Chcę powiedzieć „nie”. Chcę spać. Chcę skończyć z tym wszystkim.

Moi ludzie-delfiny przeżyją beze mnie. Afrodyta znajdzie inną duszę, którą będzie uwodzić i dręczyć. Teonauci znajdą innych bogów-uczniów, którzy będą im towarzyszyć w poszukiwaniu Ostatniej Tajemnicy.

– Obudź się, Michael, szybko!

Otwieram oczy i to co widzę, wprawia mnie w osłupienie.

Na niebie pojawia się oko, ogromne oko, zasłaniające horyzont.

Czyżby to było...

SKŁADAM PODZIĘKOWANIA:

Patrickowi Jean-Baptiste'owi, Jeromowi Marchandowi, Reine Gilbert, Françoise Chaffanel, Dominique Charabouskej, Stephanowi Krauszowi, Jonathanowi Werberowi, Sabine Crossem, Jean-Michelowi Raoux oraz Borysowi Cyrulikowi.

Wydarzenia, które miały miejsce podczas pisania tej powieści:

Powstanie filmu krótkometrażowego *Nasi przyjaciele ludzie*: nawiązanie do sztuki pod tym samym tytułem, w której kosmici analizują obyczaje ludzi, jak w filmie dokumentalnym o świecie zwierząt.

Powstanie scenariusza do filmu pełnometrażowego *Planeta kobiet*.

Powstanie komiksu *Dzieci Ewy*, stanowiącego ciąg dalszy tej historii.

Utworzenie informacyjnej strony internetowej: arbre-despossibles.free.fr, na której można będzie zapisywać to wszystko, co wydarzy się w przyszłości.

Strony internetowe:

www.bernardwerber.com

www.albinmichel.com